



CIERPIENIA  
DEXTERA

  
JEFF LINDSAY

## O książce

### **III powieść z Dexterem Morganem, bohaterem cyklu thrillerów Jeffa Lindsaya i kultowego serialu telewizyjnego**

Dexter Morgan, „dobry zabójca”, którego ofiarami padają wyłącznie zwyrodniali seryjni mordercy wymykający się organom sprawiedliwości.

A poza tym przykładowy obywatel zatrudniony jako analityk śladów krwi w laboratorium kryminalistycznym policji w Miami.

Makabryczne odkrycie na kampusie uniwersytetu w Miami. Spalone zwłoki dwóch studentek z ceramicznymi łbami byków podłożonymi w miejsce brakujących głów.

Sprawę prowadzi detektyw Deborah Morgan, siostra Dextera. Tym razem nie może liczyć na pomoc brata, ponieważ nagle z niewyjaśnionych powodów znika Mroczny Pasażer - jego wewnętrzny głos, a zarazem źródło wiedzy o psychice seryjnych morderców.

Giną kolejni ludzie, a Dexter, którego ktoś śledzi,  
czuje się osaczony przez nieznaną siłę...

JEFF LINDSAY

# CIERPIENIA DEXTERA

Z angielskiego przełożył  
TOMASZ WYŻYŃSKI



Wydanie elektroniczne

Jeff Lindsay  
(właściwie Jeffrey P. Freundlich, ur. 1952)

Amerykański pisarz, autor thrillerów. Współautorką jego wcześniejszych książek była jego żona, Hilary Hemingway, bratanica Ernesta Hemingwaya. Pierwsza powieść z Dexterem – **Demony Dextera** – posłużyła za kanwę popularnego serialu telewizyjnego nagrodzonego Złotymi Globami i Emmy. Na podstawie serii o Dexterze powstały również komiksy (wyd. Marvel).

*Tego autora*

CIEN' DEXTERA  
DEMONY DEXTERA  
CIERPIENIA DEXTERA

Tytuł oryginału:  
DEXTER IN THE DARK

Copyright © Jeffry Freundlich 2007  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros  
Andrzej Kuryłowicz s.c. 2015

Polish translation copyright © Tomasz Wyżyński 2015

Redakcja: Agnieszka Łodzińska

Zdjęcie na okładce: ALLPIX Press/BE&W

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros  
Andrzej Kuryłowicz s.c.

ISBN 978-83-7985-162-1

*Wydawca*  
WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ  
S.C.  
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)



*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, [88em](#)



# Spis treści

Podziękowania

Na początku

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[Epilog](#)

*Dla Hilary, jak zawsze*

# Podziękowania

Nie można pisać w próżni. Powietrza tej książki dostarczyli Bear, Pookie i Tink. Wyrazy wdzięczności dla Jasona Kaufmana i jego adiutanta, Caleba, za ogromną pomoc w kształtowaniu manuskryptu.

I, jak zawsze, specjalne podziękowania dla Nicka Ellisona, który sprawił, że to wszystko się wydarzyło.

## Na początku

*TO pamiętało poczucie zdziwienia, następnie upadek i nic więcej. Później tylko czekało.*

*TO bardzo długo czekało mu to trudności, ponieważ nie istniała pamięć i nic jeszcze nie krzyczało. Z tego powodu TO nie wiedziało, że czeka. W tamtej chwili TO nie zdawało sobie sprawy, że czymś jest. Po prostu trwało, bez możliwości odmierzania czasu, nawet nie wiedząc, że istnieje coś takiego jak czas.*

*TO czekało i obserwowało. Z początku nie było wiele do oglądania: ogień, skały, woda, a potem trochę małych, pełzających istot, które po pewnym czasie zaczęły się zmieniać i powiększać. Zajmowały się prawie wyłącznie zjadaniem się nawzajem i rozmnażaniem. Lecz nie istniało nic, z czym można by je porównać, więc na tym etapie to wystarczało.*

*Mijał czas. TO obserwowało duże i małe istoty, które zabijały się i pożerały w bezcelowy sposób. Przyglądanie się im nie dawało prawdziwej radości – nie było nic innego do roboty, a pojawiało się ich coraz więcej. Lecz TO nie wydawało się zdolne do niczego oprócz patrzenia.*

*I dlatego zaczęło się zastanawiać: Dlaczego patrzę?*

*TO nie dostrzegało żadnego sensu w tym, co się dzieje, i nie mogło nic zrobić, a jednak trwało i patrzyło. Bardzo długo się nad tym zastanawiało, lecz nie doszło do żadnych wniosków. Wciąż nie dawało się niczego przemyśleć do końca; nie pojawiło się jeszcze pojęcie celu. Istniało tylko TO i istoty.*

*Było ich mnóstwo, z każdą chwilą coraz więcej; zajmowały się zabijaniem, jedzeniem i kopulowaniem. Lecz istniało tylko jedno TO, które niczego takiego nie robiło i zaczęło się zastanawiać, dlaczego tak się dzieje. Czemu jest inne? Dlaczego tak się od wszystkiego różni? Czym jest, jeśli naprawdę czymś jest, i czy też powinno coś robić?*

*Znów minęło dużo czasu. Niezliczone zmieniające się, pełzające istoty powoli stawały się coraz większe i lepsze w zabijaniu się nawzajem. Ciekawe z początku, lecz jedynie z powodu subtelnych różnic. Pełzały, skakały i skradały się, by zabijać – jedno nawet latało w powietrzu, by zabijać. Bardzo interesujące – tylko co z tego?*

*TO zaczęło odczuwać niepokój. O co w tym wszystkim chodzi? Czy powinno być częścią tego,*

*co obserwuje? Jeżeli nie, dlaczego istnieje i patrzy?*

*TO postanowiło odkryć przyczynę, która sprawiła, że istnieje, cokolwiek to oznacza. Dlatego teraz, gdy obserwowało duże i małe istoty, analizowało, czym się od nich różni. Wszystkie musiały jeść i pić, inaczej umierały. Nawet jeśli jadły i piły, w końcu i tak umierały. TO nie umierało. Po prostu trwało bez końca. Nie potrzebowało jeść ani pić. Lecz stopniowo TO uświadomiło sobie, że czegoś potrzebuje – tylko czego? Zdawało sobie sprawę, że gdzieś narasta potrzeba, lecz nie potrafiło powiedzieć, o co chodzi; miało tylko poczucie, że czegoś brakuje.*

*Mijały eony łusek i wykluwania się z jaj, lecz nie pojawiła się odpowiedź. Zabijać i jeść, zabijać i jeść. Jaki to ma sens? Dlaczego muszę na to wszystko patrzeć, skoro nie mogę nic zrobić? TO zaczęło odczuwać lekką gorycz z powodu tej sytuacji.*

*A potem, któregoś dnia, nagle pojawiła się zupełnie nowa myśl: Skąd się wziąłem?*

*TO domyśliło się dawno temu, że jaja, z których wykluwają się istoty, powstają wskutek kopulacji. Lecz TO nie wykluło się z jaja. Nic ze sobą nie kopulowało, by stworzyć TO. Kiedy TO uzyskało świadomość, nie istniało nic, co mogłoby kopulować. TO pojawiło się jako pierwsze i z*

pozoru istniało zawsze, choć miało niejasne, niepokojące wspomnienie upadku. Wszystko inne wykluło się z jaja lub urodziło, TO nie. Po tej myśli mur oddzielający TO od istot stał się wyższy, ogromny, niewiarygodnie wielki, odseparował je kompletnie, na wieczność. TO było samotne, na zawsze zupełnie samo, co wywoływało ból. TO chciało stanowić część czegoś. Było tylko jedno TO – czy nie powinien istnieć sposób, by TO również kopulowało i tworzyło swoje kopie?

Ta myśl zaczęła się TEMU wydawać nieskończenie ważna: NIECH MNIE BĘDZIE WIĘCEJ. Wszystkiego było więcej, TO również chciało więcej siebie.

Cierpiało, obserwując bezrozumne istoty, które prowadziły szalone, burzliwe życie. Pojawiła się złość, zmieniła się w gniew, który później przekształcił się we wściekłość na głupie, bezsensowne twory i ich niekończącą się, pustą, wstrętną egzystencję. Wściekłość się powiększała, rozsadzała serce, aż któregoś dnia TO nie mogło już wytrzymać. Bez zastanowienia uniosło się i skoczyło na jedną z jaszczurek, pragnąc ją w jakiś sposób zmiażdżyć. I stał się cud!

TO znalazło się wewnątrz jaszczurki!

Widziało to samo co jaszczurka; czuło to samo!

Na długo zupełnie zapomniało o wściekłości.



*Jaszczurka nie spostrzegła, że ma pasażera. Dalej zajmowała się zabijaniem i kopulowaniem, a TO podróżowało wraz z nią. Kiedy zabiła mniejszą od siebie, okazało się to bardzo ciekawe. W ramach eksperymentu TO przeniosło się do ciała mniejszej jaszczurki. Przebywanie w tej, która zabijała, było zabawniejsze, lecz nie prowadziło do naprawdę sensownych wniosków. Przebywanie w tej, która umierała, okazało się wyjątkowo interesujące i prowadziło do pewnych wniosków, lecz nie były one zbyt przyjemne.*

*Przez pewien czas TO cieszyło się nowymi doświadczeniami. Chociaż odczuwało proste emocje istot, nigdy nie były one bardziej skomplikowane niż oszołomienie. Istoty ciągle nie zauważały TEGO, nie wiedziały, że... Cóż, po prostu niczego nie wiedziały. Były takie ograniczone – a jednak żyły. Żyły i nie zdawały sobie z tego sprawy, nie pojmowały, jak to wykorzystać. Wydawało się to niesprawiedliwe. Niebawem TO znowu się znudziło i ogarnął je gniew.*

*Aż w końcu, pewnego dnia, zaczęły się pojawiać mały. Na początku wyglądały nędznie. Były małe, tchórzliwe, hałaśliwe. Lecz TO dostrzegło jedną drobną różnicę: miały ręce, które pozwalały robić zdumiewające rzeczy. TO widziało, jak stają się świadome swoich rąk*

*i zaczynają się nimi posługiwać. Wykorzystywały je do różnych, zupełnie nowych celów: masturbacji, okaleczania się nawzajem, odbierania pożywienia słabszym przedstawicielom swojego gatunku.*

*TO obserwowało coraz uważniej, zafascynowane. Widziało, jak jedne małpy zabijają inne, a potem uciekają, by się ukryć. Widziało, jak się okradają, lecz tylko wtedy, gdy nikt nie patrzy. Widziało, jak robią sobie straszliwe rzeczy, a potem udają, że nic się nie stało. Kiedy TO patrzyło na małpy, po raz pierwszy wydarzyło się coś cudownego: TO się roześmiało.*

*W ten sposób narodziła się myśl, która po chwili przybrała klarowną formę.*

*TO pomyślało z rozbawieniem: Mogę nad tym pracować.*

# 1

Cóż to za księżyc? Nie jasny, lśniący księżyc przesywającego szczęścia, bynajmniej. Ach, płynie, skomli i skwierczy jak tania świeczka, imitacja tego, czym powinien być, lecz nie ma w nim pasji. Temu księżycowi brak siły, by unieść mięsożerców do lotu po radosnym nocnym niebie ku ekstazie krojenia i cięcia. Zamiast tego zerka nieśmiało przez czyściutkie okno, oświetlając zachwyconą, zadowoloną kobietę, która przysiadła na skraju kanapy i mówi o kwiatach, kanapkach i Paryżu.

Paryżu?

Tak, z poważną, okrągłą jak księżyc twarzą szczebioce egzaltowanym, donośnym głosem właśnie o Paryżu. Znowu.

Więc cóż to za księżyc, zdyszany, uśmiechnięty, obszyty koronką szyderstwa? Uderza słabo w okno, lecz nie może się dostać do środka, przebić słodkiej, mdlącej paplaniny. I jakież Mroczny Mściciel mógłby siedzieć w fotelu po drugiej stronie pokoju, gapić się mętным wzrokiem i udawać, że słucha, jak to w tej chwili robi biedny Otumaniony Dexter?

Ach, to nie księżyc, tylko miesiąc miodowy – rozwija w ciemnym salonie sztandar małżeństwa, wzywa wszystkich do szeregu i sygnalizuje trąbką początek szarży. Do kościoła, drodzy przyjaciele, bo Drapieżny Donżuan Dexter ma się żenić! Zbliża się rydwan czystego szczęścia ciągnięty przez śliczną Ritę, która, jak się okazało, przez całe życie marzyła o podróży do Paryża.

Małżeństwo, miesiąc miodowy w Paryżu... Czy te słowa pasują do zdania, w którym jest jakakolwiek wzmianka o Widmowym Rzeźniku?

Czy naprawdę możemy sobie wyobrazić nagle spoważniałego lub głupkowato uśmiechniętego nożownika przed ołtarzem prawdziwego kościoła, we fraku i muszce w stylu Freda Astaire'a, wsuwającego obrączkę na biały palec na oczach rozpromienionych gości, którzy pociągają nosami? Czy możemy sobie wyobrazić Demona Dextera w szortach z madrasu, gapiącego się na wieżę Eiffla i chłepcącego café au lait przy Łuku Triumfalnym? Czy możemy go sobie wyobrazić, jak trzyma Ritę za rękę i spaceruje, upojony, wzdłuż Sekwany albo gapi się bezmyślnie na każdą z krzykliwych ozdób wystawionych w Luwrze?

Naturalnie mógłbym odbyć pielgrzymkę do Rue Morgue, mekki seryjnych morderców.

Lecz zachowajmy przez chwilę trochę powagi. Dexter w Paryżu?! Przede wszystkim czy Amerykanów w ogóle wpuszczają jeszcze do Francji?! I na koniec: Dexter w Paryżu?! By spędzić miesiąc miodowy?! Jak ktoś o mrocznym hobby Dextera mógłby w ogóle brać pod uwagę coś tak banalnego? Jak ktoś, kto uważa seks za coś równie interesującego jak prowadzenie księgowości, może się żenić? Krótko mówiąc, czy Dexter naprawdę zamierza to zrobić?! Czy, w imię wszystkiego, co złe, mroczne i śmiercionośne, może to być prawda?!

Wszystkie te pytania wydają się bardzo trafne i rozsądne. I, szczerze mówiąc, trochę trudno na nie odpowiedzieć, nawet mnie samemu. Lecz oto znoszę chińską torturę wody, słuchając Rity mówiącej o swoich oczekiwaniach, i zastanawiam się, czy Dexter jest w stanie to wszystko znieść.

Cóż, Dexter jest w stanie to wszystko znieść, bo musi, częściowo po to, by w dalszym ciągu skutecznie się maskować, a nawet robić to jeszcze lepiej – aby nikt na świecie się nie zorientował, kim naprawdę jest. Trudno uznać Dextera za osobę, z którą chciałoby się siedzieć przy stole w chwili, gdy gaśnie światło –

zwłaszcza gdy wokół leżą noże. I oczywiście potrzeba mnóstwo wyteżonej pracy, by nikt się nie dowiedział, że Dexterem kieruje Mroczny Pasażer, którego cichy, jedwabisty szept rozlega się w ciemności z tylnego siedzenia. Od czasu do czasu Pasażer zajmuje miejsce z przodu, ujmuje kierownicę i wiezie nas do Parku Niewyobrażalnych Rozrywek. Owce nie powinny się dowiedzieć, że Dexter jest wilkiem.

Dlatego Pasażer i ja bardzo ciężko pracujemy nad swoim kamuflażem. Przez kilka ostatnich lat byliśmy Dexterem Umawiającym Się Na Randki, pokazując światu optymistyczne, a przede wszystkim normalne oblicze. Rita odgrywała w tym uroczym przedstawieniu rolę narzeczonej i pod wieloma względami okazało się to idealnym układem, ponieważ nie interesowała się seksem, podobnie jak ja, a jednak zależało jej na towarzystwie Mężczyzny, Który Ją Rozumie. A Dexter naprawdę rozumie. Nie ludzi, romanse, miłość i inne bzdury. Nie, Dexter zna morderczo uśmiechniętą granicę – wie, jak wybrać wśród mieszkańców Miami najgodniejszego kandydata do ostatecznej, mrocznej elekcji do skromnego Panteonu Dextera. Kandydatów jest bardzo wielu.

Nie daje to stuprocentowej gwarancji, że Dexter to uroczy towarzysz; jego urok powstał w wyniku wieloletnich ćwiczeń i jest sztucznym produktem eksperymentów laboratoryjnych. Niestety, biedna Rita – ofiara nieszczęśliwego pierwszego małżeństwa, w którym dochodziło do aktów przemocy – nie potrafi odróżnić margaryny od masła.

A zatem wszystko w porządku. Dexter i Rita przez dwa lata uczestniczyli w życiu towarzyskim Miami, zauważani i podziwiani przez wszystkich. Później, w wyniku serii wydarzeń, które oświecony obserwator mógłby przyjąć ze sceptycyzmem, Dexter i Rita przypadkiem się zaręczyli. Im dłużej się głowiłem, jak uniknąć czekającego mnie absurdalnego losu, tym lepiej zdawałem sobie sprawę, iż to logiczny etap w ewolucji mojego kamuflażu. Żonaty Dexter – Dexter z dwójką gotowych dzieci! – z pewnością zupełnie nie pasuje do tego, czym naprawdę jestem. Zmiana o charakterze jakościowym, ogromny krok do przodu, przejście na zupełnie nowy poziom.

Jest także dwoje dzieci.

Może się wydawać dziwne, że osoba zainteresowana wiwisekcją istot ludzkich może lubić dzieci Rity, ale to prawda. Lubię Cody'ego i Astor. Nie rozczulam się na myśl o wyrwanym

zębem, gdyż wymagałoby to umiejętności odczuwania emocji; jestem szczęśliwy, że nie cierpię na tę przypadłość. Ogólnie rzecz biorąc, dzieci wydają mi się znacznie bardziej interesujące niż dorośli i szczególną irytację wywołują we mnie ludzie, którzy je krzywdzą. Od czasu do czasu specjalnie ich wyszukuję. A gdy wytropię takiego drapieżnika i jestem pewien, że rzeczywiście zrobił to, co zrobił, sprawiam, że nigdy więcej nie robi już niczego – jestem przy tym bardzo szczęśliwy i nie gryzie mnie sumienie.

Dlatego to, że Rita miała dwoje dzieci z katastrofального pierwszego małżeństwa, wcale mnie nie zniechęcało, zwłaszcza że potrzebowały specjalnej pomocy rodzicielskiej Dextera, by ich nieopierzeni Mroczni Pasażerowie grzecznie siedzieli przypięci pasami na Mrocznych Tylnych Siedzeniach, nim nauczą się samodzielnie prowadzić auta. Ponieważ, zapewne wskutek szkód psychicznych, a nawet fizycznych, jakie odnieśli z rąk swojego ojca narkomana, Cody i Astor przeszli na Mroczną Stronę, podobnie jak ja. A teraz mieli się stać moimi dziećmi, zarówno w sensie prawnym, jak i duchowym. Prawie zaczynałem czuć, że życie ma mimo wszystko jakiś głębszy sens.



Istniały zatem bardzo dobre powody, by Dexter to wszystko przecierpiał – ale Paryż?! Nie wiem, skąd się bierze opinia, że Paryż jest romantyczny. Czy ktokolwiek, nie licząc Francuzów i Lawrence’a Welka, może uważać, że akordeon ma w sobie coś seksownego? I czy nie stało się oczywiste, że nikt tam nie lubi Amerykanów? A poza tym Francuzi upierają się, by mówić po francusku, prawda?

Może Ricie namieszał w głowie jakiś stary film opowiadający o dziarskiej, odważnej blondynce i romantycznym brunecie, którzy spacerują wokół wieży Eiffla i śmieją się z wrogich spojrzeń lubieżnego mężczyzny noszącego beret i palącego gauloise’y, gdy w tle rozlega się modernistyczna muzyka? A może słuchała płyty Jacques’a Brela i doszła do wniosku, że przemawia do jej duszy? Kto to może wiedzieć? Tak czy inaczej, w konwencjonalnym umyśle Rity utkwilo przeświadczenie, że Paryż to stolica wyrafinowanego romantyzmu; nie dałoby się jej tego wyperswadować bez poważnej operacji chirurgicznej.

Nieustannie debatowaliśmy o zaletach dań z kurcząt i ryb, wina i barku samoobsługowego, a teraz pojawiły się serie pełnych dygresji monologów o Paryżu. Wydawało się, że Rita

cierpi na monomanię. Na pewno stać nas na tygodniowy pobyt, będziemy mogli zwiedzić ogród Tuileries i Luwr – może obejrzelibyśmy sztukę Moliera w Comédie-Française? Podziwiałem głębię jej studiów. Mnie Paryż przestał interesować dawno temu, gdy się dowiedziałem, że znajduje się we Francji.

Na szczęście nie musiałem szukać grzecznego sposobu informowania jej o tym, gdyż do pokoju cicho wślizgnęli się Cody i Astor. Nie biegają z wrzaskiem po domu jak większość dzieci w wieku około siedmiu, dziesięciu lat. Jak już wspomniałem, ich drogi biologiczny ojciec wyrządził im wielką krzywdę; jedna z konsekwencji polega na tym, że poruszają się bardzo cicho – przenikają do pomieszczeń drogą osmozy. Najpierw ich nie ma, a po chwili stoją cicho w pobliżu i czekają, by ich zauważyć.

– Chcemy się pobawić w chowanego – rzekła Astor. Odzywała się w imieniu swoim i brata; Cody wypowiadał najwyżej kilka słów dziennie. Nie był głupi, bynajmniej. Po prostu zwykle wolał milczeć. W tej chwili popatrzył na mnie i kiwnął głową.

– Och – westchnęła Rita, przerywając swoje rozważania na temat kraju Rousseau, Kandyda i Jerry’ego Lewisa. – Cóż, w takim razie może...

– Chcemy się pobawić z Dexterem w chowanego – dodała Astor i Cody energicznie pokiwał głową.

Rita zmarszczyła brwi.

– Szkoda, że nigdy nie rozmawialiśmy o tym wcześniej, ale czy nie uważasz, że Cody i Astor... Czy nie powinni zacząć się zwracać do ciebie jakoś inaczej niż po prostu „Dexter”? To się wydaje takie...

– Może *mon papere*? – spytałem. – Albo *Monsieur le Comte*?

– A może nie? – mruknęła Astor.

– Po prostu myślę... – rzekła Rita.

– „Dexter” jest w porządku – stwierdziłem. – Przyzwyczaili się tak do mnie mówić.

– To brzmi tak, jakby nie okazywali ci szacunku – zauważyła Rita.

Popatrzyłem na Astor.

– Pokaż swojej mamie, że potrafisz powiedzieć „Dexter” z szacunkiem – poprosiłem.

– Prooooooszę! – odrzekła, przewracając oczyma.

Uśmiechnąłem się do Rity.

– Widzisz? Ma dziesięć lat. Nie potrafi niczego powiedzieć z szacunkiem.

– Cóż, tak, ale... – zaczęła Rita.

– Wszystko jest w porządku, dzieci zachowują się grzecznie – powiedziałem. – Ale Paryż...

– Chodźmy na dwór – odezwał się Cody. Popatrzyłem nań ze zdziwieniem. Cztery sylaby, czyli długa oracja jak na niego.

– Dobrze – odezwała się Rita. – Skoro rzeczywiście myślisz...

– Prawie nigdy nie myślę – przerwałem. – To zaburza funkcjonowanie mózgu.

– To nie ma sensu – wtrąciła Astor.

– Nie musi mieć sensu. To prawda – odparłem.

Cody pokręcił głową.

– Pobawmy się w chowanego – powiedział. Nie chcąc mu przerywać, w milczeniu wyszedłem za nim do ogrodu.

## 2

Cudowne plany Rity nabierały kształtu, lecz oczywiście nie żyłem w świecie, gdzie istniały tylko radość i truskawki. Miałem również prawdziwą pracę. Ponieważ Dexter jest z natury wyjątkowo sumienny, chętnie się nią zająłem. Przez ostatnie dwa tygodnie bez pośpiechu kończyłem nowe malowidło, wymagające ostatnich, nielicznych pociągnięć pędzla. Młody dżentelmen, który stał się dla mnie źródłem inspiracji, odziedziczył mnóstwo pieniędzy i wszystko wskazywało na to, że wydaje je na okropne, mordercze eskapady; zacząłem żałować, że również nie jestem bogaty. Nazywał się Alexander Macauley, choć przedstawiał się jako „Zander”. Wydawało mi się to nieco afektowane, lecz może o to chodziło. W końcu był w stu procentach kimś w rodzaju eleganckiego hipisa czerpiącego dochody z funduszy powierniczych, człowiekiem, który nigdy naprawdę nie pracował i zajmował się beztroskimi rozrywkami o takim charakterze, że moje puste serce zabiłoby z radością, gdyby

tylko Zander odznaczał się lepszym smakiem w wyborze ofiar.

Źródłem majątku Macauleyów były olbrzymie stada bydła, niekończące się plantacje cytrusów i zwałowanie odpadów fosforanowych w jeziorze Okeechobee. Zander często przyjeżdżał do ubogich dzielnic miasta, by hojnie wspomagać bezdomnych. Nielicznych, wybranych biedaków, którym naprawdę chciał ułatwić rozpoczęcie nowego życia, zabierał na swoje rodzinne ranczo, gdzie podejmowali pracę – dowiedziałem się tego z łzawego artykułu w gazecie opisującego z podziwem jego działalność charytatywną.

Oczywiście Dexter popiera dobroczynność. Jestem jej gorącym zwolennikiem, ponieważ prawie zawsze jest ona sygnałem ostrzegawczym, że pod maską Matki Teresy kryje się coś nikczemnego, złego i zabawnego. Nie wątpię, że gdzieś w głębi ludzkiego serca naprawdę żyje duch łagodnej, troskliwej dobroci opartej na miłości bliźniego. Jasne, że tak. Musi gdzieś tam być. Po prostu ja nigdy go nie widziałem. Ponieważ nie posiadam ani cech ludzkich, ani serca, jestem zmuszony polegać na osobistych doświadczeniach, z których wynika, że najchętniej okazujemy litość swoim bliskim i na tym się kończy.

Dlatego kiedy widzę bogatego, przystojnego i z wyglądu normalnego młodego człowieka, który wyrzuca garściami pieniądze, by pomóc uciemiężonym biedakom, trudno mi przyjąć jego altruizm za dobrą monetę, niezależnie od tego, jak pięknie to wygląda. W końcu ja również potrafię tworzyć własny obraz, z którego wynika, że jestem uroczy i niewinny. Wszyscy wiemy, jak bardzo jest on autentyczny, prawda?

Na szczęście dla spójności mojego światopoglądu Zander nie był inny niż wszyscy, tylko znacznie bogatszy. A odziedziczone pieniądze sprawiły, że stał się nieco niedbały. Z drobiazgowych zeznań podatkowych, do których dotarłem, wynikało, że rodzinne ranczo jest niezamieszkałe i że nie jest tam prowadzona żadna działalność gospodarcza. Oznaczało to, że gdziekolwiek Zander zabiera swoich drogich brudnych przyjaciół, nie pracują oni na wsi, zdrowi i szczęśliwi.

Ponadto okazało się, że towarzyszą oni swojemu nowemu przyjacielowi Zanderowi na bosaka. W specjalnym pokoju w ślicznej rezydencji w Coral Gables, zabezpieczonym przed włamaniem przez kilka bardzo sprytnych, kosztownych zamków, których otwarcie zajęło mi prawie pięć minut, Zander przechowywał trochę pamiątek. Doskonale wiem, że narażanie

się na takie ryzyko jest bardzo głupie, gdy się jest potworem, jednak ja również przechowuję pamiętki. Jeżeli któregoś dnia ciężko pracujący policjant prowadzący śledztwo natrafi na moją kasetkę, znajdzie tylko kolekcję szkiełek mikroskopowych z pojedynczymi kroplami krwi i nie będzie w stanie udowodnić, że mają one coś wspólnego z jakimikolwiek morderstwami.

Zander nie był taki sprytny. Zachował po jednym bucie każdej ze swoich ofiar i miał nadzieję, że bogactwo i zaryglowane drzwi zabezpieczą jego tajemnice.

Doprawdy niesłychane! Nic dziwnego, że potwory mają złą reputację. Cóż za niewyobrażalna naiwność – buty?! Buty, na wszystko, co mroczne?! Czy ktoś może na serio robić coś takiego? Staram się być tolerancyjny i rozumieć słabostki bliźnich, lecz to już przesada! Czy przepocony, zabłocony, dwudziestoletni trampek może mieć w sobie coś atrakcyjnego? Jak można zostawiać takie obuwie na widoku?! Czułem się prawie obrażony.

Naturalnie Zander myślał, że jeśli kiedykolwiek zostanie złapany, stać go będzie na wynajęcie najlepszych adwokatów na świecie, którzy sprawią, że sąd skáže go na prace społeczne – byłaby w tym jakaś ironia, ponieważ



od tego właśnie wszystko się zaczęło. Jednak nie przewidział, że schwyta go Dexter, a nie policja. I że jego proces odbędzie się w Trybie Doraźnym Mrocznego Pasażera, gdzie nie ma adwokatów – chociaż naturalnie mam nadzieję, że któregoś dnia trafię na jednego z nich – i gdzie wyrok jest ostateczny.

Czy but jest naprawdę wystarczającym dowodem? Nie miałem wątpliwości co do winy Zandera. Nawet gdyby Mroczny Pasażer nie śpiewał arii przez cały czas, gdy patrzyłem na buty, doskonale wiedziałem, co oznacza taka kolekcja – jeśli pozostawię Zandera samemu sobie, zdobędzie następne egzemplarze obuwia. Byłem zupełnie pewien, że to zły człowiek, i bardzo pragnąłem odbyć z nim rozmowę przy świetle księżyca, by przekazać mu kilka sarkastycznych uwag. Musiałem jednak mieć absolutną pewność – nakazywał to Kodeks Harry’ego.

Zawsze przestrzegałem szczegółowych zasad ustanowionych przez Harry’ego, mojego ojczyca, policjanta, który nauczył mnie, jak być tym, czym jestem. To on mi pokazał, jak usunąć ślady z miejsca przestępstwa z policyjnym profesjonalizmem, i nauczył mnie staranności w wyborze partnerów do tańca. Gdyby istniały

jakiegokolwiek wątpliwości, nie mógłbym zaprosić Zandera do zabawy.

A teraz? Żaden sąd na świecie nie uznałby Zandera za winnego wyłącznie na podstawie posiadania kolekcji obuwia – można by mu zarzucić tylko fetyszyzm sprzeczny z zasadami higieny. Jednak żaden sąd na świecie nie dysponował zeznaniami Mrocznego Pasażera, idealnego biegłego – cichy, wewnętrzny głos żądał działania i nigdy się nie mylił. Jego syk stawał się coraz bardziej natarczywy; coraz trudniej było mi zachować spokój i bezstronność. Chciałem zaprosić Zandera do Ostatecznego Tańca; potrzebowałem tego jak powietrza.

Chciałem, naturalnie – lecz wiedziałem, jak zareagowałby Harry. To za mało. Nauczył mnie, że aby uzyskać pewność co do osoby zabójcy, należy odnaleźć zwłoki, ale Zander zdołał je ukryć tak sprytnie, że nie potrafiłem ich odszukać. Bez zwłok pragnienie to za mało.

Wróciłem do materiałów zgromadzonych w trakcie prywatnego śledztwa, by sprawdzić, gdzie Zander może przechowywać kolekcję zapeklowanych ciał. Dom nie wchodził w grę. Odwiedziłem go i znalazłem tylko muzeum butów, a Mroczny Pasażer zwykle bezbłędnie wykrywa kolekcje zwłok. Poza tym w domu

brakowało miejsca – na Florydzie nie ma piwnic, a Zander mieszkał w dzielnicy, gdzie nie mógłby kopać na podwórku ani przenosić ciał w taki sposób, by nikt go nie zauważył. Krótka konsultacja z Pasażerem przekonała mnie, że człowiek, który umieszcza swoje pamiątki na płytach z orzechowego drewna, z pewnością starannie pozbywa się resztek.

Stare ranczo świetnie by się nadawało, lecz w czasie krótkiej wizyty nie natrafiłem na żadne ślady. Było oczywiste, że od dawna nikt się tam nie pojawia; nawet podjazd był zarośnięty.

Szukałem dalej. Zander kupił apartament na wyspie Maui na Hawajach, lecz było to stanowczo za daleko. Miał też kilka hektarów ziemi w Karolinie Północnej – możliwe, lecz nie bardzo wierzyłem, że mógłby jechać dwanaście godzin ze zwłokami w samochodzie. Posiadał akcje firmy, która próbowała zagospodarować Toro Key, niewielką wysepkę na południe od Cape Florida. Jednak wyspa należąca do prywatnej spółki nie wchodziła w rachubę – kręciło się tam zbyt wiele osób. Przypomniałem sobie, jak usiłowałem przybić do brzegu na Toro Key, gdy byłem młodszy, i napotkałem uzbrojonych strażników, którzy odpędzali intruzów. Zander musiał ukryć zwłoki w innym miejscu.

Posiadał liczne pakiety akcji i aktywa, lecz tylko jedno pasowało – piętnastometrowy jacht *Cigarette*. Jeden z potworów, którego zabiłem, wykorzystywał jacht do pozbywania się zwłok. To bardzo proste – wystarczy obciążyć ciało, wyrzucić przez reling i pomachać dłonią na pożegnanie. Schludne, czyste, porządne; żadnych problemów, żadnych świadków, żadnych dowodów.

I żadnych szans na znalezienie zwłok. Zander trzymał swoją łódź w Royal Bay Yacht Club, najbardziej luksusowym porcie jachtowym w Coconut Grove. Miał on znakomitą ochronę, zbyt dobrą, by uśmiechnięty Dexter mógł się tam zakraść z wytrychem. Z portu korzystali wyłącznie nieprzyzwoicie bogaci multimilionerzy, którym zapewniano pełną obsługę – pracownicy portu pucowali cumy jachtów, gdy przybiły do przystani. Właściciel łodzi nie musiał nawet tankować paliwa; wystarczyło zatelefonować i jacht czekał w gotowości do wyjścia w morze z szampanem w kubku z lodem w kokpicie. Przez całą dobę wszędzie roilo się od uzbrojonych strażników, którzy uśmiechali się sympatycznie, grzecznie pozdrawiali właścicieli łodzi i strzelali do każdego, kto próbował przejść przez ogrodzenie.

Nie miałem szans na dostanie się na jacht. Byłem przekonany, że Zander wykorzystuje go do pozbywania się zwłok, i tak samo uważał Mroczny Pasażer, co wydawało się jeszcze ważniejsze. Ale łódź znajdowała się poza moim zasięgiem.

Irytowało mnie to i frustrowało. Wyobrażałem sobie Zandera z ostatnim trofeum, prawdopodobnie schowanym w wielkiej pozłacanej skrzyni z lodem – telefonował do kapitanatu portu, nakazywał zatankowanie paliwa, po czym przybywał nonszalancko na przystań, a dwaj pracownicy firmy ochroniarskiej Wackenhut Corporation wnosili ciężką skrzynię na pokład jachtu i z szacunkiem machali na pożegnanie. Nie mogłem się dostać na łódź, by to udowodnić. Bez koronnego dowodu Kodeks Harry’ego nie pozwalał mi działać.

Byłem pewien, że mam rację, więc co mi zostawało? Mógłbym próbować przyłapać Zandera na gorącym uczynku w czasie następnej zbrodni. Lecz nie miałem pewności, kiedy ją popełni, a nie mogłem go obserwować przez cały czas. Musiałem od czasu do czasu pojawiać się w pracy oraz w domu, zachowując pozory normalnego życia. Jeśli schemat pozostanie bez zmian, w ciągu kilku najbliższych

tygodni Zander zatelefonuje do kapitanatu i każe przygotować jacht, a potem...

Potem kapitan portu, sprawnie kierujący klubem bogaczy, zanotuje, jakie prace wykonano na łodzi – ile paliwa zatankowano, jaki szampan dostarczono i ile detergentu zużyto do umycia przedniej szyby. Umieści te informacje w pliku o nazwie „Macauley” i zapisze w komputerze.

I nagle znaleźliśmy się z powrotem w świecie Dextera, a Pasażer syczał z aprobatą i zachęcał do zajęcia miejsca przy klawiaturze komputera.

Dexter jest skromny, chętnie usuwa się w cień i dobrze zdaje sobie sprawę z ograniczeń swojego ogromnego talentu. Jeśli jednak istnieje jakaś granica moich możliwości zdobywania informacji za pomocą komputera, jeszcze na nią nie natrafiłem. Usiadłem i zabrałem się do pracy.

Włamanie się do komputerów klubu i odnalezienie archiwum zajęło mi niespełna pół godziny. Jasne, istniał dokładny rejestr usług serwisowych. Porównałem go z protokołami zebrań zarządu ulubionej organizacji charytatywnej Zandera, Misji Boskiej Światłości Jednego Świata, która mieściła się na skraju dzielnicy Liberty City. Czternastego lutego zarząd z radością poinformował, iż Wynton Allen opuści jaskinię rozpusty, jaką stanowi

Miami, i przeniesie się na ranczo Zandera, by się zrehabilitować uczciwą pracą. A piętnastego lutego Zander wypłynął łodzią w morze i zużył sto trzydzieści dwa litry paliwa.

Jedenastego marca podobne szczęście spotkało Tyrone'a Meeksa i dwunastego marca Zander odbył rejs łodzią.

I tak dalej – za każdym razem, gdy jakiś szczęśliwy bezdomny zostawał wybrany, by prowadzić radosne życie na łonie natury, w ciągu następnej doby Zander wypływał w morze, zużywając duże ilości paliwa.

Nie widziałem zwłok – lecz Kodeks Harry'ego powstał, by działać w lukach systemu, w mrocznej krainie idealnej sprawiedliwości, a nie idealnego prawa. Byłem pewien, Pasażer był pewien, mieliśmy wystarczające dowody, które nas wszystkich zadowalały.

Zander wypłynie w nowy rejs przy świetle księżyca i cały jego majątek nie pomoże mu się utrzymać na wodzie.

### 3

A zatem w nocy podobnej do wielu innych, gdy księżyc miotał akordy maniackiej muzyki na swoje radośnie krwiożercze dzieci, nuciłem wraz z nim i przygotowywałem się do wyjścia i ostrej zabawy. Dexter zakończył pracę; nadszedł czas rozrywki. Zebranie moich prostych akcesoriów i wyjście z domu powinny zająć tylko chwilę; później ruszę na spotkanie z kłopotliwym właścicielem funduszy powierniczych. Lecz, oczywiście, zbliżał się ślub i już nic nie było proste. Zacząłem się nawet zastanawiać, czy cokolwiek kiedyś znów się stanie proste.

Naturalnie budowałem piękną, prawie niemożliwą do przebicia fasadę z lśniącą, antyseptycznej stali i szkła, by ją przytwierdzić do frontonu Zamku Dextera, pełnego gotyckich horrorów. Bardzo chętnie współuczestniczyłem w przenoszeniu na emeryturę Dawnego Dextera i z tego powodu zajmowałem się „konsolidowaniem naszego życia”, jak to nazwała Rita. W tym wypadku oznaczało to, że muszę opuścić swoje małe, wygodne



mieszkanko na skraju Coconut Grove, przeprowadzić się do mającego trzy sypialnie domu Rity dalej na południe, ponieważ było to „rozsądne”. Oczywiście okazało się nie tylko rozsądne, lecz również straszliwie niewygodne. W nowym otoczeniu nie mogłem mieć absolutnie żadnych tajemnic, nawet gdyby mi na tym zależało. A naturalnie mi zależało. Każdy pełen poświęcenia, odpowiedzialny ogr ma swoje sekrety; nie chciałem, by o pewnych rzeczach wiedział ktokolwiek oprócz mnie.

Istniały na przykład wyniki moich studiów na temat potencjalnych towarzyszy zabaw, a ponadto niewielka drewniana kasetka, bardzo cenna, zawierająca czterdzieści jeden szkiełek mikroskopowych. Na każdym z nich znajdowała się kropelka zakrzepłej krwi symbolizująca życie jednego potwora, którego zabiłem własnymi rękoma – kompletny diariusz mojego życia wewnętrznego. Nie zostawiam wielkich stosów gnijącego mięsa. Nie jestem niechlujnym, partackim rzeźnikiem, który morduje jak szaleniec, tylko wyjątkowo czystym, starannym rzeźnikiem, który morduje jak szaleniec. Zawsze bardzo dokładnie pozbywam się resztek i gdyby jakiś okrutny, nieubłagany wróg postanowił dowieść, że jestem krwiożerczym potworem,

trudno by mu było się zorientować, czym tak naprawdę są moje szkiełka.

Mimo to konieczność tłumaczenia, skąd się wzięły, mogłaby w końcu doprowadzić do kłopotliwych pytań, nawet gdybym musiał udzielać odpowiedzi kochającej żonie – a tym bardziej groźnemu nieprzyjacielowi, który postanowiłby mnie zniszczyć. Jakiś czas temu pojawił się w Miami taki policjant – sierżant Doakes. Chociaż oficjalnie ciągle żył, zacząłem o nim myśleć w czasie przeszłym, ponieważ miał wielkiego pecha i stracił stopy, dłonie oraz język. Z pewnością nie był w odpowiedniej formie fizycznej, by mnie postawić przed obliczem sprawiedliwości, choć niewątpliwie na to zasługiwałem. Ale zdawałem sobie sprawę, że skoro pojawił się jeden groźny przeciwnik, prędzej czy później będą następni.

Z tego powodu prywatność wydawała mi się bardzo ważna – nigdy nie lubiłem się afiszować swoimi sprawami osobistymi. Jeśli się dobrze orientuję, nikt nigdy nie zaglądał do mojej kasetki ze szkiełkami. Jednak nigdy wcześniej nie miałem narzeczonej sprzątającej mój pokój ani nie mieszkalem pod jednym dachem z dwojgiem wścibskich dzieci, które mogłyby grzebać w moich rzeczach, by się czegoś więcej dowiedzieć o Mrocznym Tacie Dexterze.

Wydawało się, że Rita rozumie moją potrzebę prywatności, chociaż na szczęście nie знаła jej powodów, i poświęciła swój pokój do szycia, zmieniając go w coś, co nazwała „gabinetem Dextera”. Miał się tam znaleźć mój komputer, nieliczne książki i płyty CD, a ponadto kasetka z drzewa różanego ze szkiełkami mikroskopowymi. Ale czy mógłbym ją tu trzymać? Potrafiłbym z łatwością wytłumaczyć wszystko Cody’emu i Astor – lecz co powiedzieć Ricie? Czy powinienem ukryć swoje rzeczy? Zbudować sekretne przejście zamaskowane półkami na książki, za którymi znajdowałyby się kręcone schody prowadzące do mrocznej kryjówki w podziemiach? A może umieścić kasetkę na dnie pojemnika z kremem do golenia? Był to trudny problem.

Jak dotychczas unikałem konieczności jego rozwiązania, gdyż zachowałem swoje stare mieszkanie. Mimo to trzymałem w gabinecie kilka prostych akcesoriów, jak noże do filetowania i taśma klejąca – łatwo mogłem to wytłumaczyć zamiłowaniem do wędkarstwa i klimatyzacji. Postanowiłem poszukać rozwiązania później. W tej chwili czułem na kręgosłupie łaskoczący dotyk lodowatych palców i koniecznie chciałem punktualnie

przybyć na spotkanie z zepsutym młodym człowiekiem.

Poszedłem do gabinetu poszukać granatowej nylonowej torby sportowej, której używam w uroczyste dni. Wyjąłem ją z szafy, czując na języku coraz ostrzejszy smak niecierpliwości, i schowałem swoje zabawki: nową rolkę taśmy klejącej, nóż do filetowania, rękawice, jedwabną maskę i zwój nylonowej linki na wypadek, gdyby zdarzyło się coś nieprzewidzianego. Wszystko przygotowane. Czuję, że moje żyły wypełnia stalowe podniecenie, w mojej głowie rozlegała się coraz głośniejsza, dzika muzyka i słyszałem mocne tętno Pasażera, który nakazywał mi wreszcie wyruszyć, zacząć, wziąć się do pracy. Odwróciłem się, by wyjść...

I zobaczyłem dobraną parę poważnych dzieci, które spoglądały na mnie wyczekująco.

– On chce iść – rzekła Astor, a Cody kiwnął głową, patrząc na mnie wielkimi, nieruchomymi oczyma.

Szczerze wierzę, że wszyscy ludzie, którzy mnie znają, uważają mnie za człowieka dowcipnego i obdarzonego darem wymowy, lecz gdy odtworzyłem w myśli słowa Astor i próbowałem nadać im sens inny niż to, co oznaczały, zdołałem wydać z siebie tylko kilka bardzo ludzkich dźwięków:

– Eee... Kto...? Gdzie...?

– Z tobą – stwierdziła cierpliwie Astor, jakby przemawiała do upośledzonej umysłowo pokojówki. – Cody chce iść z tobą dziś wieczorem.

Rozważając to z pewnej perspektywy, łatwo zauważyć, że problem musiał się prędzej czy później pojawić. Trzeba mi również oddać sprawiedliwość (jest to dla mnie bardzo ważne), że się tego spodziewałem – ale później. Nie teraz. Nie na progu mojej Nocy Potrzeby, nie w chwili, gdy zjeżyły mi się włosy na karku i czułem czysty, gwałtowny przymus, by wyślizgnąć się w noc, wypełniony lodowatą, stalową furją...

Było jasne, że sytuacja wymaga poważnego namysłu, lecz wszystkie moje nerwy głośno żądały, bym wyskoczył przez okno i uciekł w noc. Jednak Cody i Astor ciągle stali przede mną, toteż odetchnąłem głęboko i zacząłem się zastanawiać.

Ostrą, lśniącą, stalową duszę Dextera Mściciela wykuto z traumy doznanej w dzieciństwie, tak gwałtownej, że zupełnie o niej nie pamiętałem. To właśnie ona uczyniła mnie tym, czym jestem, i z pewnością byłbym z tego powodu rozżalony i nieszczęśliwy, gdybym potrafił cokolwiek odczuwać. Cody'ego i Astor skrzywdzono w podobny sposób – byli

bici i upokarzani przez ojca, narkomana skłonnego do przemocy, aż wreszcie oni również na zawsze zapomnieli o słońcu i lizakach. Mój mądry ojczym, który mnie wychował, zdawał sobie sprawę, że nie można tego cofnąć, że nie można wepchnąć węża z powrotem do jaja.

Ale można go wytresować. Harry właśnie to ze mną zrobił, ukształtował mnie w taki sposób, że polowałem tylko na inne mroczne drapieżniki, potwory i żywe trupy, które krążą po Miami w przebraniach z ludzkiej skóry w poszukiwaniu żeru. Odczuwałem niepowstrzymaną chęć zabijania, niezmienną, niemożliwą do wykorzenia, lecz Harry nauczył mnie tropić i likwidować tylko tych, którzy zgodnie z jego rygorystycznymi policyjnymi zasadami naprawdę na to zasługiwali.

Kiedy odkryłem, że Cody jest taki sam, przyrzekłem sobie, że podążę Drogą Harry'ego, przekażę chłopcu to, czego się nauczyłem, wychowam go w duchu Mrocznej Sprawiedliwości. Łączyło się z tym jednak mnóstwo problemów, wyjaśnień i nauk. Zanim Harry pozwolił mi się bawić z czymś bardziej skomplikowanym niż bezpieczeństwa zwierzęta, minęło niespełna dziesięć lat. Jak dotychczas nawet nie zacząłem uczyć Cody'ego i chociaż

czułem się trochę jak Mistrz Jedi, nie mogłem tego zrobić w tej chwili. Wiedziałem, że Cody będzie kiedyś musiał się zmierzyć z tym, że jest taki jak ja, i naprawdę chciałem mu pomóc – lecz nie tego wieczoru. Nie gdy za oknem rozlegała się wesoła muzyka księżyca, ciągnąc mnie niczym żółty pociąg towarowy przyczepiony do mojego mózgu.

– Ja przecież nie... – zacząłem, zamierzając wszystkiemu zaprzeczyć. Lecz patrzyli na mnie z takim słodkim wyrazem chłodnej pewności, że umilkłem. – Nie – rzekłem w końcu. – Cody jest stanowczo za mały.

Zerknęli na siebie szybko, nie wypowiadając ani słowa, ale miałem wrażenie, że odbyli długą rozmowę.

– Mówiłam mu, że to powiesz – zauważyła Astor.

– Miałaś rację – odparłem.

– Przecież obiecałeś, że wszystko nam pokażesz, Dexter – odezwała się.

– Pokażę, ale nie teraz – przyrzekłem, czując widmowe palce, które powoli posuwały się wzdłuż mojego kręgosłupa, próbując uzyskać nade mną kontrolę, wypychając mnie za drzwi.

– Kiedy? – spytała.

Popatrzyłem na dzieci i poczułem wyjątkowo dziwne połączenie emocji. Dzikiej

niecierpliwości – nie mogłem się już doczekać, by wyjść i kroić – towarzyszyło pragnienie okrycia Cody’ego i Astor miękkim kocem i zamordowania każdej istoty, jaka się do nich zbliży. Gdzieś w głębi, jako uzupełnienie, pojawiała się chęć rozbicia im tępych głów, trzasnąwszy nimi o siebie.

Czyżbym wreszcie stał się ojcem?

Cała powierzchnia mojego ciała płonęła chłodnym ogniem wywołanym pragnieniem wyjścia, rozpoczęcia, zrobienia tego, co potężne i bezimienne, lecz wziąłem bardzo głęboki oddech i zrobiłem obojętną minę.

– Jutro idziecie do szkoły i już prawie pora spać – odpowiedziałem.

Popatrzyli na mnie, jakbym ich oszukał, i przypuszczam, że rzeczywiście ich oszukałem, gdy zmieniłem reguły gry i zacząłem udawać Tatę Dextera, choć uważali, że rozmawiają z Demonem Dexterem. Mimo to miałem rację. Doprawdy, małych dzieci nie można zabierać późnym wieczorem na wypruwanie wnętrzości i spodziewać się, że następnego dnia będą pamiętać lekcje. Chociaż miałem nad nimi przewagę i mogłem wypić dowolną ilość kubańskiej kawy, pojawienie się rano w pracy po jednej z moich małych przygód przychodziło



mi z dużym trudem. Poza tym byli jeszcze zbyt mali.

– Teraz zachowujesz się jak dorosły – stwierdziła Astor z miażdżącą pogardą dziesięcioletniej dziewczynki.

– Przecież jestem dorosły – odrzekłem. – I próbuję postępować w sposób, jaki jest dla was dobry. – Wypowiadając te słowa, czułem ból zębów wywołany walką z narastającą potrzebą, lecz mówiłem poważnie, co jednak nie złagodziło wyrazu bezbrzeżnej pogardy, z jaką na mnie patrzyli.

– Myśleliśmy, że jesteś inny – oznajmiła Astor.

– Nie wiem, jak mógłbym być jeszcze bardziej inny i dalej wyglądać jak człowiek – odparłem.

– To niesprawiedliwe – stwierdził Cody. Spojrzeliśmy sobie w oczy i ujrzałem małą czarną bestię, która uniosła łeb i ryknęła na mnie.

– Tak, niesprawiedliwe – odrzekłem. – W życiu nic nie jest sprawiedliwe. „Sprawiedliwość” to brzydkie słowo i byłbym wdzięczny, gdybyście go nie używali w mojej obecności.

Cody spoglądał na mnie przez chwilę twardym wzrokiem z wyrazem zawodu i wyrachowania, jakiego nigdy wcześniej nie

widziałem w jego oczach. Nie miałem pojęcia, czy powinienem go zganić, czy pochwalić.

– To niesprawiedliwe – powtórzył.

– Posłuchajcie – odezwałem się. – Dobrze się na tym znam. To pierwsza lekcja. Normalne dzieci chodzą wcześniej spać, gdy mają rano iść do szkoły.

– Nie jesteśmy normalnymi dziećmi – odparł, wysuwając dolną wargę do przodu na niesamowitą odległość.

– Właśnie na tym polega problem – zauważyłem. – Dlatego zawsze musicie normalnie wyglądać, normalnie postępować, starać się, by wszyscy myśleli, że jesteście normalni. A poza tym powinniście słuchać moich poleceń, bo inaczej niczego was nie nauczę. – Nie wydawał się całkowicie przekonany, lecz wyraźnie miękł. – Musicie mi ufać i robić to, co każę, Cody – dorzuciłem.

– Musimy? – powtórzył.

– Tak, musicie – odpowiedziałem z naciskiem.

Wpatrywał się we mnie przez dłuższą chwilę, a następnie popatrzył na siostrę, która odwzajemniła jego spojrzenie. Był to cudowny przykład niemej komunikacji: wiedziałem, że prowadzą długą, bardzo skomplikowaną rozmowę, lecz nie wydali żadnego dźwięku, aż

w końcu Astor wzruszyła ramionami i odwróciła się z powrotem w moją stronę.

– Musisz przyrzec – powiedziała.

– W porządku – rzekłem. – Co mam przyrzec?

– Że zaczniesz nas uczyć – odparła, a Cody kiwnął głową. – Wkrótce.

Wzięłem głęboki oddech. W gruncie rzeczy nie mam żadnych szans na pójście do nieba, którego istnienie uważam za bardzo wątpliwe. Nie mogłem na to liczyć nawet przed zawarciem umowy z dziećmi. Ale teraz, gdy zgodziłam się zmienić te dwa małe, nieokrzese potwory w schludne, starannie wyszkolone małe potwory – cóż, miejmy nadzieję, że moje wątpliwości są uzasadnione.

– Przyrzekam – odpowiedziałem. Spojrzeli na siebie, potem na mnie i wyszli, a ja zostałem z torbą pełną akcesoriów, pilnym zadaniem do wykonania i poczuciem, że nie muszę się już tak bardzo śpieszyć.

Czy to tak wygląda normalne życie rodzinne? Skoro to prawda, jak można coś takiego wytrzymać? Po co ludziom więcej niż jedno dziecko, po co w ogóle dzieci? Czekало mnie ważne, satysfakcjonujące zadanie i nagle przeszkodziło mi coś, z czym nie musiała się nigdy zmagać żadna typowa amerykańska matka z klasy średniej. Miałem mętlik w głowie

i prawie nie pamiętałem, o czym myślałem zaledwie przed chwilą. Wziąłem się w garść dopiero po pewnym czasie, słysząc niecierpliwy pomruk Mrocznego Pasażera – dziwnie cichy, jakby on także był lekko oszołomiony. Przestałem być Zagubionym Tatańskim Dexterem i stałem się z powrotem Chłodnym Mścicielem, lecz nie odzyskałem lodowatego spokoju niezbędnego do stawiania czoła niebezpieczeństwu; w gruncie rzeczy nie pamiętałem, gdzie zostawiłem kluczyki od auta.

Jakoś je odnalazłem i opuściłem gabinet, chwiejąc się na nogach. Wymamrotałem do Rity kilka banalnych ciepłych słów i w końcu wyszedłem z domu w mrok.

## 4

Śledziłem Zandera dość długo, by poznać jego rozkład zajęć, a ponieważ był czwartkowy wieczór, dokładnie wiedziałem, gdzie go zastanę. Czwartkowe wieczory spędzał w Misji Boskiej Światłości Jednego Świata – zapewne doglądał inwentarza. Przez jakieś półtorej godziny uśmiechał się do personelu i brał udział w krótkim nabożeństwie, a potem wypisywał czek pastоровi, potężnemu Murzynowi, który kiedyś grał w NFL. Pastor dziękował z uśmiechem, a Zander chyłkiem wymykał się tylnymi drzwiami do swojej skromnej miejskiej terenówki i pokornie jechał do domu, opromieniony cnotliwym uczuciem, jakie płynie tylko z prawdziwie dobrych uczynków.

Ale dziś wieczorem nie będzie jechał sam.

Dziś wieczorem Dexter i jego Mroczny Pasażer dołączą do niego i zabiorą w podróż, jakiej jeszcze nie było.

Najpierw jednak zimne i ostrożne podchody, uwięnczenie tygodni dyskretnej obserwacji.

Zaparkowałem wóz zaledwie kilka kilometrów od domu Rity, przy dużym, starym

kompleksie handlowym Dadeland, i poszedłem pieszo na pobliską stację kolejki miejskiej. W pociągu rzadko panował tłok, nawet w godzinach szczytu, ale ludzi było akurat tyle, że nikt nie zwracał na mnie uwagi. Zwykły, uprzejmy człowiek w modnych, ciemnych ciuchach, z torbą sportową w ręku.

Wysiadłem jedną stację za centrum i przeszedłem sześć przecznic do misji, czując coraz ostrzejsze napięcie, które przywracało mi gotowość do działania. O Codym i Astor pomyślimy później. Teraz na ulicy, zapłonęło we mnie twarde, ukryte światło. Oślepiający, pomarańczoworóżowy blask specjalnych reflektorów mających odstraszać złodziei nie był w stanie rozproszyć mroku, który coraz szczelniej mnie spowijał.

Misja mieściła się na rogu średnio ruchliwej ulicy, w dawnych pomieszczeniach sklepu. Przed wejściem stał niewielki tłumek – nic dziwnego – rozdawano tu jedzenie i odzież, a zgłaszający się po pomoc musieli tylko przez chwilę udawać trzeźwych i słuchać pastora, który tłumaczył, dlaczego trafią do piekła. Wydawało się to dość dobrym interesem, nawet mnie, lecz nie byłem głodny. Minąłem czekających ludzi, okrążyłem budynek i poszedłem na parking.

Chociaż było tu nieco ciemniej, wydawał mi się stanowczo za jasny, zbyt jasny, by widzieć księżyc, choć czułem jego obecność na niebie, skąd śmiał się z naszego małego, nędznego, kruchego życia wśród potworów, które pragną je odbierać wielkimi, bolesnymi kęsami. Potworów takich jak ja i Zander. Ale po dzisiejszej nocy będzie o jednego potwora mniej.

Okrażyłem parking. Wyglądało na to, że nie ma niebezpieczeństwa. Nikogo nie zauważyłem, nikt nie siedział ani nie spał w żadnym z wozów. Jedyne okno z widokiem na parking było małe i znajdowało się wysoko na tylnej ścianie budynku misji. Miało matowe szyby – toaleta. Zbliżyłem się do samochodu Zandera, niebieskiego dodge'a durango stojącego obok tylnego wejścia. Nacisnąłem klamkę, lecz auto okazało się zamknięte. Obok parkował stary chrysler, czcigodny wóz pastora. Przyczałem się za chryslerem i zacząłem czekać.

Wyjąłem z torby sportowej białą jedwabną maskę i naciągnąłem na twarz, wygodnie ustawiając otwory na oczy we właściwych miejscach. Później wyjąłem pętlę z żyłki wędkarskiej o wytrzymałości dwudziestu pięciu kilogramów i byłem gotowy. Wkrótce zacznie się Mroczny Taniec. Nie wiedząc, co go czeka, Zander wkroczy w noc drapieżników, noc

ostrzych niespodzianek, w ostateczną, dziką ciemność wypełioną wściekłym spełnieniem. Już za chwilę opuści swoje życie i znajdzie się w moim. A wtedy...

Czy Cody pamiętał o umyciu zębów? Ostatnio o tym zapominał, a Rita nie lubiła zmuszać go do wstawania, gdy się już położył spać. Trzeba go uczyć dobrych nawyków, a mycie zębów to ważna rzecz.

Poruszyłem pętlą i położyłem ją na kolanach. Jutro w szkole fotograf będzie robić zdjęcia dzieciom z klasy Astor. Powinna włożyć wielkanocną sukienkę z zeszłego roku, by ładnie wyglądać. Czy ją przygotowała, by jutro rano nie zapomnieć się w nią ubrać? Oczywiście nie uśmiechnie się do obiektywu, lecz może przynajmniej mieć na sobie ładną sukienkę.

Czy rzeczywiście siedzę skulony w mroku z pętlą w dłoni, szykując się do skoku, i myślę o takich rzeczach? Jak to możliwe, że wypełniam czas, zastanawiając się nad takimi drobnostkami, zamiast ostrzyć kły i podsycać w sobie pragnienie, by Mroczny Pasażer zerwał się wreszcie ze smyczy i rzucił na nowego towarzysza zabaw, który tak bardzo na to zasługuje? Czy to przedsmak rozkosznego życia małżeńskiego Dextera?



Ostrożnie odetchnąłem, świetnie rozumiejąc W.C. Fieldsa; ja również nie mogłem pracować z dziećmi. Zamknąłem oczy, wypełniłem płuca ciemnym, nocnym powietrzem i poczułem, że znowu jestem gotów. Dexter powoli zniknął i władzę przejął Mroczny Pasażer.

W samą porę.

Tylne drzwi otworzyły się z piskiem i usłyszeliśmy straszliwe zwierzęce ryki dochodzące z wnętrza budynku, koszmarną interpretację pieśni *Just a Closer Walk with Thee*. Jej brzmienie z pewnością doprowadziłoby każdego do alkoholizmu. Nawet Zander czym prędzej opuścił misję. Zatrzymał się w drzwiach, odwrócił, z uśmiechem pomachał zebrany dłoń, po czym drzwi się zatrzasnęły. Obszedł samochód, stanął przy drzwiach koło siedzenia kierowcy i był nasz.

Wyjął kluczyki; szczęknął otwierany zamek. Okrążyliśmy samochód i znaleźliśmy się za nim. Nim zrozumiał, co się dzieje, świsnęła pętla i zacisnęła się na jego szyi. Szarpnęliśmy ją na tyle mocno, by stracił równowagę i upadł bez tchu na kolana. Jego twarz stała się fioletowa; podobało nam się to.

– Milcz! – rzekliśmy chłodno, dobitnie. – Rób dokładnie to, co każemy, bez jednego dźwięku albo słowa, a pożyczysz trochę dłużej! – Lekko

zacisnęliśmy pętlę, by wiedział, że należy do nas i że musi spełniać nasze rozkazy.

Zander zareagował w bardzo satysfakcjonujący sposób: upadł na twarz i przestał się uśmiechać. Z kącika warg ciekła mu ślina; próbował chwycić dłońmi pętlę, lecz zaciskaliśmy ją tak mocno, że nie był w stanie włożyć palca pod żyłkę. Kiedy prawie stracił przytomność, zmniejszyliśmy nacisk, by mógł raz zaczerpnąć powietrza. Zacharczał i wykrzywił się z bólu.

– Wstań! – rzekliśmy łagodnym tonem, pociągając pętlę, by wykonał polecenie. Zander powoli, posłusznie uniósł się na nogi, łapiąc się boku auta. – Dobrze – odezwaliśmy się. – Wsiadaj. – Przełożyliśmy pętlę do lewej ręki, otworzyliśmy drzwi i wepchnęliśmy go na przednie siedzenie. Później zajęliśmy miejsce z tyłu i z powrotem ujęliśmy żyłkę prawą dłonią. – Jedź! – rzuciliśmy mrocznym, lodowatym głosem.

– Dokąd? – spytał chrapliwym szeptem. Mocno zacisnęliśmy pętlę, by mu przypomnieć, że nie może się odzywać bez rozkazu. Kiedy uznaliśmy, że zrozumiał, znów zmniejszyliśmy nacisk.

– Na zachód – odparliśmy. – Milcz i jedź!

Uruchomił silnik i kilkoma lekkimi szarpnięciami żyłki skierowałem go na zachód, do wjazdu na autostradę Dolphin. Przez chwilę ściśle wykonywał nasze polecenia. Od czasu do czasu zerkał na nas w lusterku, lecz wówczas bardzo delikatnie zaciskaliśmy pętlę, by mu przypomnieć, że powinien być posłuszny. Wreszcie dotarliśmy do autostrady Palmetto i pojechaliśmy na północ.

– Posłuchaj – odezwał się nagle, gdy mijaliśmy port lotniczy. – Jestem bardzo bogaty, naprawdę. Dam ci wszystko, co zechcesz.

– Tak, dasz – odpowiedzieliśmy. Nie zrozumiął, czego chcemy, ponieważ trochę się odprężył.

– W porządku, więc ile? – spytał ochryple.

Popatrzyliśmy mu w oczy w lusterku i powoli, bardzo powoli zacisnęliśmy żyłkę na jego szyi, by zaczął rozumieć. Kiedy prawie nie mógł oddychać, trzymaliśmy ją mocno przez kilka sekund.

– Wszystko – odrzekliśmy. – Weźmiemy wszystko. – Poluzowaliśmy pętlę, lecz tylko odrobinę. – Jedź! – rozkazaliśmy.

Zander prowadził. Przez resztę drogi milczał, ale nie wydawał się tak przerażony, jak powinien być. Naturalnie musiał sądzić, że nie spotkało go to naprawdę, nie jego, żyjącego od

dzieciństwa w niemożliwym do przebicia kokonie pieniędzy. Wszystko miało swoją cenę i zawsze go było stać. Wkrótce przystąpi do negocjacji. Zapłaci i odzyska wolność.

Nie mylił się. W końcu zapłaci, ale nie pieniędzmi. Odzyska wolność, lecz na jego szyi pozostanie pętla.

Jazda nie trwała długo i nie odzywaliśmy się aż do zjazdu w Hialeah, który wybraliśmy. Kiedy Zander zwolnił przed skretem, zerknął na mnie w lusterku. W jego oczach pojawił się strach, rosnące przerażenie potwora schwytanego w pułapkę, gotowego odgryźć sobie nogę, by uciec, a wyczuwalna panika sprawiła przyjemność Mrocznemu Pasażerowi i poczuliśmy się bardzo zadowoleni i silni.

– Ty nie... Przecież tam... Gdzie jedziemy? – wymamrotał. Słaby, żaloszny, coraz bardziej ludzki. Rozgniewało nas to i szarpnęliśmy pętlę tak mocno, że na chwilę zjechał na pobocze, więc musieliśmy poluzować żyłkę. Wrócił na jezdnię na końcu zjazdu.

– Skreć w prawo – zakomenderowaliśmy. Spełnił polecenie, oddychając chrapliwie przez wyschnięte usta. Wykonywał nasze rozkazy, aż skreślił w lewo w wąski, ciemny zaułek, przy którym znajdowały się stare magazyny.

Zatrzymał samochód w miejscu, które mu wskazaliśmy, koło zardzewiałych drzwi ciemnego, opuszczonego budynku. Wisiał na nim częściowo przegniły szyld z ciągle widocznym napisem: JONE PLASTI.

– Stój – rozkazaliśmy. Nerwowo przestawił dźwignię zmiany biegów, a my wyszliśmy z samochodu i wyciągnęliśmy go na ziemię. Zacisnęliśmy pętlę i przez chwilę obserwowaliśmy, jak się rzuca niczym ryba wyjęta z wody, po czym postawiliśmy go na nogi. Wokół ust zaschła mu ślina, a w jego oczach pojawiła się iskierka zrozumienia. Stał brzydki i budzący niesmak w pięknym świetle księżyca, drżąc na myśl o tym, że popełniłem straszliwy błąd, rezygnując z jego pieniędzy. Wreszcie zaczęło doń docierać, że może się niczym nie różnić od ludzi, których potraktował dokładnie tak samo, i zrobiło mu się słabo. Pozwoliliśmy mu przez chwilę stać i oddychać, a potem pchnęliśmy w kierunku drzwi. Wyciągnął rękę i dotknął dłonią ściany z betonowych kostek.

– Posłuchaj – rzekł i jego głos zadrżał. – Dam ci mnóstwo pieniędzy! Ile zechcesz! – Milczeliśmy. Oblizął wargi. – W porządku – powiedział. Jego głos był teraz suchy, łamiący

się, pełen rozpaczy. – Więc czego ode mnie chcesz?!

– Dokładnie tego samego, co wzięłeś od tamtych – odparliśmy, bardzo mocno szarpiąc pętlą. – Z wyjątkiem buta.

Spojrzał na mnie wybałuszonymi oczyma, wykrzywił usta i zsikał się w spodnie.

– Ja tego nie... – wyjąkał. – To nie...

– Zrobiłeś to ty, właśnie ty – odrzekliśmy i mocno pociągnęliśmy za smycz, wpychając go przez drzwi do starannie przygotowanego pomieszczenia. Pod ścianami leżały stosy pogiętych rurek z PCW i, co ważniejsze, dwie dwustulitrowe beczki kwasu solnego, pozostawione przez zbankrutowaną firmę Jone Plasti.

Łatwo położyliśmy Zandera w przygotowanym miejscu i po kilku minutach był już obwiązany taśmą klejącą. Mieliśmy wielką ochotę wreszcie zacząć. Przecieliśmy pętlę i Zander jęknął, gdy ostrze skaleczyło go w szyję.

– Jezu! – wykrztusił. – Posłuchaj, popełniasz wielki błąd!

Milczeliśmy; czekała nas praca i musieliśmy się do niej przygotować. Powoli przecieliśmy ubranie Zandera i wrzuciliśmy je ostrożnie do jednej z beczek z kwasem solnym.

– O kurwa, proszę! – jęknął. – To nie to, co myślisz, naprawdę...! Nie wiesz, co robisz...!

Byliśmy gotowi. Unieśliśmy nóż, by zrozumiał, że doskonale wiemy, co robimy, i że za chwilę się zacznie.

– Proszę, człowieku... – szepnął. Ogarnął go potworny strach; wcześniej nigdy by nie uwierzył, że może się tak upokorzyć: błagać o życie, zsikać się w spodnie. Przekraczało to jego wyobraźnię.

Aż nagle stał się zdumiewająco spokojny. Popatrzył mi prosto w oczy i odezwał się dziwnie spokojnym głosem:

– On cię znajdzie.

Przerwaliśmy na chwilę, by się zastanowić, co to znaczy. Lecz byliśmy niemal pewni, że to jego ostatni, optymistyczny blef. Popsuło to rozkoszny smak przerażenia Zandera i ogarnęła nas złość – zakleiliśmy mu usta taśmą i wróciliśmy do pracy.

Kiedy skończyliśmy, został tylko jeden z jego butów. Zastanawialiśmy się, czy nie kazać go oprawić, ale wyglądałoby to nieestetycznie, więc trafił do beczki kwasu wraz z resztą Zandera.

\* \* \*

*Niedobrze*, pomyślał Patrzący. Zbyt długo siedzą w opuszczonym magazynie i wydawało się oczywiste, że nie prowadzą przyjacielskiej rozmowy.

Umówione spotkanie z Zanderem również nie miało być przyjacielskie. Zajmowali się wyłącznie interesami, choć Zander najwyraźniej traktował to inaczej. Fascynacja i lęk, jakie malowały się w tych rzadkich chwilach na twarzy tego głupca, bardzo wiele mówiły o jego uczuciach i myślach. Czuł niesłychaną dumę, że udziela niewielkiej pomocy – bardzo chciał być blisko chłodnej, ogromnej potęgi.

Patrzący nie odczuwał żalu z powodu tego, co mogło spotkać Zandera – łatwo dałoby się go zastąpić. Prawdziwą troskę wywoływała myśl, dlaczego dzieje się to właśnie tej nocy i co to oznacza.

Był zadowolony, że się nie wtrącał, tylko krążył w bezpiecznej odległości i obserwował. Mógł w każdej chwili interweniować, obezwładnić bezczelnego młodego człowieka, który porwał Zandera, i zniszczyć go. Nawet teraz czuł w sobie ogromną potęgę, która mogła się wyrwać z rykiem i zmieść wszystko na swojej drodze – lecz nie chciał z niej korzystać.

Patrzący odznaczał się ciepłością, co dawało mu siłę. Jeśli istota jest niebezpieczna,



należy czekać i obserwować. Kiedy pozna naturę zagrożenia, zaatakuje – błyskawicznie, przytłaczająco, ostatecznie.

Więc obserwował. Minęło kilka godzin, nim istota wyszła i wsiadła do auta Zandera. Patrzący jechał daleko z tyłu, na początku z wyłączonymi światłami, bez trudu śledząc niebieskie durango w wieczornym ruchu ulicznym. Kiedy istota zatrzymała samochód na parkingu koło stacji kolejki miejskiej i wsiadła do pociągu, podążył za nią. Wszedł do wagonu tuż przed zasunięciem się drzwi, usiadł na odległym krańcu i po raz pierwszy przyjrzał się odbiciu twarzy istoty.

Zaskakująco młoda, wręcz przystojna. Aura niewinności i uroku. Nie taka, jak można by się spodziewać, lecz tacy jak on zawsze wyglądają normalnie.

Kiedy istota wysiadła przy kompleksie handlowym Dadeland i podążyła w stronę jednego z zaparkowanych samochodów, Patrzący ruszył za nią. O tak późnej porze na parkingu nie było żywej duszy. Wiedział, że mógłby to zrobić teraz, bardzo łatwo, po prostu podkraść się od tyłu do istoty, pozwolić, by przepłynęła przez niego moc i wypełniła dłonie, a później cisnąć istotę w mrok. Zbliżał się, czując w sobie powolne, majestatyczne narastanie siły,

prawie czuł smak potężnego, bezgłośnego ryku w chwili śmierci ofiary...

I nagle się zatrzymał, powoli zawrócił i odszedł między autami.

Na desce rozdzielczej samochodu istoty leżała rzucająca się w oczy karta.

Zezwolenie na parkowanie wydawane funkcjonariuszom policji.

Był bardzo zadowolony, że zachował cierpliwość. Jeśli istota służy w policji... problem mógł się okazać znacznie poważniejszy, niż się spodziewał. To źle. Należało opracować staranny plan. I znacznie dłużej prowadzić obserwację.

I dlatego cicho rozplynął się w ciemności, by się przygotować i patrzeć.

## 5

Ktoś kiedyś powiedział, że nie mają pokoju bezbożni, i prawie na pewno mówił o mnie, ponieważ przez kilka dni po wysłaniu drogiego małego Zandera tam, gdzie czekała go sprawiedliwa nagroda, biedny Niestrudzony Dexter był wyjątkowo zajęty. Gorączkowe przygotowania Rity nabrały tempa, a mnie zawalono pracą. Miałem wrażenie, że nadszedł okres szaleństwa, jaki zdarza się niekiedy w Miami – zbrodnia wydaje się wówczas idealnym rozwiązaniem. Przez trzy dni tkwiłem po uszy wśród śladów krwi.

Czwartego dnia sytuacja jeszcze się pogorszyła. Przyniosłem pączki, jak mam to w zwyczaju robić od czasu do czasu – zwłaszcza nazajutrz po randce spędzonej na zabawie. Z jakiegoś powodu przez kilka dni po nocnym spotkaniu, w jakim uczestniczę wraz z Pasażerem, nie tylko czuję się bardziej odprężony, lecz również wzrasta mój apetyt. Jestem pewien, że ma to głęboki sens psychologiczny, ale znacznie bardziej interesuje mnie to, by zdążyć zjeść jeden lub dwa

nadziewane pączki, nim rozerwą je na strzepy wściekle drapieźniki z wydziału kryminologii. Sens może poczekać, ważniejsze są pączki.

Tego ranka ledwo udało mi się chwycić jeden pączek z malinowym nadzieniem – i miałem szczęście, że nie straciłem palca. Całe piętro gorączkowo szykowało się do wyjazdu na miejsce przestępstwa i z tonu rozmów wywnioskowałem, że popełniono wyjątkowo potworną zbrodnię, co bynajmniej mnie nie ucieszyło. Oznaczało to dłuższe godziny pracy, utknięcie gdzieś daleko od cywilizacji i kubańskich kanapek. Kto wie, co przyjdzie mi w końcu jeść na lunch? Ponieważ nie udało mi się z pączkami, lunch może się okazać niezwykle istotnym posiłkiem; poza tym sądziłem, że będę musiał jednocześnie jeść i pracować.

Chwyciłem leżący w pobliżu zestaw do analizy śladów krwi i wyszedłem z laboratorium z Vince'em Masuoką, który mimo niskiego wzrostu w jakiś sposób zdołał zdobyć dwa pączki z bardzo cennym nadzieniem, w tym jeden z kremem bawarskim i czekoladową polewą.

– Polowanie wyjątkowo dobrze ci się udało, dzielny łowco – odezwałem się kwaśnym tonem, kiwając głową w stronę jego łupów.

– Sprzyjały mi leśne bóstwa – powiedział i ugryzł wielki kęs. – W tym roku memu ludowi

nie grozi głód.

– Ale mnie grozi – odrzekłem.

Posłał mi swój koszmarny, sztuczny uśmiech, który wyglądał jak przykład z katalogu wyrazów twarzy wydanego przez jakąś instytucję rządową.

– Prawa dżungli są brutalne – stwierdził.

– Tak, wiem – odparłem. – Najpierw trzeba się nauczyć myśleć jak pączek.

– Ha, ha, ha! – Jego śmiech był jeszcze bardziej sztuczny niż uśmiech i brzmiał, jakby Masuoka odczytywał na głos transkrypcję fonetyczną. – Ha, ha, ha! – Wydawało się, że nieszczęśnik przez cały czas udaje ludzkie reakcje, podobnie jak ja. Lecz nie potrafił tego robić tak perfekcyjnie. Nic dziwnego, że dobrze się czułem w jego towarzystwie. Poza tym on także dość często przynosił pączki.

– Potrzebujesz lepszego kamuflażu – zauważył, kiwając głową w stronę mojej koszuli o jaskrawym różowo-zielonym deseniu złożonym z tancerek hula. – A przynajmniej lepszego gustu.

– Kupiłem ją na wyprzedaży.

– Ha, ha, ha! – Znów się roześmiał. – Cóż, już niedługo Rita będzie ci wybierać ubrania. – Nagle jego koszmarna sztuczna wesołość znikła jak

zdmuchnięta i rzekł: – Posłuchaj, zdaje się, że znalazłem idealnego kuchmistrza.

– Dostarcza pączki z nadzieniem? – spytałem z autentyczną nadzieją, że nie zaczniemy rozmawiać na temat szczęścia małżeńskiego, jakie miało się wkrótce stać moim udziałem. Poprosiłem Vince’a, by został moim świadkiem, i traktował swoje obowiązki wyjątkowo poważnie.

– To bardzo znany gość, artysta w swoim fachu – ciągnął. – Obsługiwał gale MTV, przyjęcia z udziałem gwiazd show-biznesu, ważne imprezy.

– Na pewno jest cholernie drogi.

– Ma wobec mnie dług wdzięczności – rzekł Vince. – Myślę, że uda się nam zbić cenę. Może do stu pięćdziesięciu dolarów od gościa.

– Cóż, Vince, miałem nadzieję, że stać mnie na więcej niż jednego gościa.

– Pisano o nim w magazynie „South Beach” – dodał nieco urażonym tonem. – Powinieneś przynajmniej z nim porozmawiać.

– Moim zdaniem Rita wolałaby coś prostego, na przykład szwedzki stół. Tak mi się przynajmniej zdawało, jeśli mam być szczery – odpowiedziałem, co oczywiście oznaczało, że kłamię.

Vince był coraz bardziej urażony.

– Przynajmniej z nim porozmawiaj – powtórzył.

– Zapytam Ritę – odparłem, mając nadzieję, że to zakończy temat. Podczas jazdy na miejsce przestępstwa Vince nie wspominał o moim weselu, więc może tak się stało.

Kiedy dojechaliśmy, praca okazała się znacznie łatwiejsza, niż się spodziewałem, i trochę poprawił mi się humor. Przede wszystkim zbrodnię popełniono na terenie kampusu Uniwersytetu Miami, mojej ukochanej Alma Mater z dawnych czasów. Przez całe życie próbuję naśladować człowieka i zawsze staram się pamiętać, że powinienem udawać, iż czuję szczególny, ciepły sentyment do tego miejsca. Po drugie, odnaleziono bardzo niewiele śladów krwi, co sugerowało, że skończę pracę w rozsądnym czasie. Oznaczało to również, że nie będę miał styczności z ohydną, wilgotną, czerwoną cieczą – naprawdę nie znoszę krwi. Może się to wydawać dziwne, lecz to prawda. Jednak czerpię ogromną satysfakcję z porządkowania jej na miejscu przestępstwa, zmuszania, by pasowała do rozsądnego schematu i grzecznie się zachowywała. W tym przypadku, jak się dowiedziałem podczas jazdy, nie powinno być większych problemów.

W doskonałym nastroju, z właściwą sobie beztrąską podążyłem w kierunku żółtej taśmy rozpiętej przez policję wokół miejsca zbrodni, pewien, że czeka mnie miłe interludium w gorączkowym dniu pracy...

I nagle stanąłem jak wryty, z jedną nogą po drugiej stronie taśmy.

Świat stał się na chwilę jaskrawożółty i miałem mdlące poczucie, że lecę bezwładnie przez pustkę. Oślepił mnie ostry blask. Na ciemnym tylnym siedzeniu rozległ się niedosłyszalny dźwięk – podświadome mdłości połączone ze ślepą paniką, pisk noża rzeźniczego na tablicy szkolnej. Później szybki bieg, zdenerwowanie, dzika pewność, że stało się coś bardzo złego, lecz żadnych wskazówek, co i gdzie.

Odzyskałem wzrok i rozejrzałem się. Nie zobaczyłem niczego, czego normalnie nie dostrzegłbym na miejscu przestępstwa: tłumek gapiów za żółtą taśmą, kilku umundurowanych funkcjonariuszy pilnujących ogrodzonego obszaru, paru inspektorów w tanich garniturach i mój zespół, technicy kryminalistyczni przedzierający się na czworakach przez zarośla. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało całkowicie normalnie. Dlatego poprosiłem



o wyjaśnienie nieomylnego towarzysza, swoje wewnętrzne oko.

O co chodzi? – spytałem w duchu, zamknąłem oczy i czekałem, aż Pasażer skomentuje moje bezprecedensowe zaniepokojenie. Byłem przyzwyczajony do uwag wygłaszanych przez swojego Mrocznego Wspólnika: kiedy oglądałem po raz pierwszy miejsce przestępstwa, dość często słyszałem w głowie złośliwe szeptu podziwu lub rozbawienia. Tym razem jednak Mroczny Pasażer wydawał dźwięki świadczące o niepokoju, toteż nie wiedziałem, co o tym myśleć.

O co chodzi? – powtórzyłem, lecz nie uzyskałem odpowiedzi. Rozległ się tylko niespokojny szelest niewidzialnych skrzydeł. Zignorowałem go i poszedłem do miejsca, gdzie znaleziono zwłoki.

Z pewnością spalono je w innym miejscu, ponieważ w pobliżu nie było śladów wielkiego ogniska, na którym można by całkowicie upiec dwie kobiety średniego wzrostu. Ciała znajdowały się na brzegu jeziora, które biegnie przez kampus uniwersytecki, tuż przy ścieżce, i znalazła je wczesnym rankiem para studentów uprawiających jogging. Dostrzegłem drobne

ślady krwi i doszedłem na ich podstawie do wniosku, że głowy odcięto po spaleniu zwłok.

Zaciekawiał mnie pewien szczegół. Ciała ułożono starannie, prawie z szacunkiem, ze zwęglonymi rękami skrzyżowanymi na piersiach. Na każdym z torsów, zamiast odciętej głowy, starannie umieszczono ceramiczny łeb byka.

Takie śliczne akcenty zawsze wywołują różnorodne reakcje Mrocznego Pasażera – najczęściej rozbawiony szept, cichy chichot, niekiedy nawet ukłucie zazdrości. Ale teraz, gdy Dexter rzekł w duchu: Ach, łeb byka! I co powinniśmy o tym sądzić? Pasażer w ogóle się nie odezwał. Zapadło głucho milczenie.

Nic?

Żadnego szeptu, westchnienia?

Zirytowany, natychmiast zażądałem odpowiedzi i usłyszałem tylko spłoszony szelest, jakby Pasażer chował się za czymś, co mogłoby go zasłonić, mając nadzieję, że przeczeka burzę w ukryciu.

Otworzyłem oczy, zaskoczony. Nie pamiętałem sytuacji, kiedy Pasażer nie miał nic do powiedzenia na nasz ulubiony temat, a teraz nie tylko milczał, lecz także się ukrył.

Popatrzyłem na dwa zwęglone trupy z nowym szacunkiem. Nie miałem pojęcia, o co

może chodzić, lecz skoro Pasażer nigdy wcześniej się tak nie zachował, musiał mieć ważne powody.

Angel Batista-Nie-Z-Rodziny-Dyktatora stał na czworakach na skraju ścieżki, bardzo uważnie oglądając ślady, których nie mogłem dostrzec i które w ogóle mnie nie interesowały.

– Znalazłeś? – spytałem.

– Co znalazłem? – odparł, nie podnosząc głowy.

– Nie mam pojęcia. Ale coś tu musi być.

Wyciągnął rękę i wyrwał pincetą źdźbło trawy. Obejrzał je uważnie i schował do plastikowej torebki na dowody rzeczowe.

– Po co ktoś miałby kłaść przy zwłokach ceramiczny łeb byka? – zastanawiał się.

– Bo czekoladę można roztopić – odrzekłem.

Kiwnął głową, nie patrząc na mnie.

– Twoja siostra sądzi, że to ma coś wspólnego z Santerią.

– Doprawdy? – spytałem. Jak dotąd nie przyszło mi to do głowy i byłem trochę zły na siebie z tego powodu. W końcu byliśmy w Miami, a kiedy pojawia się coś, co wygląda jak rytuał z użyciem zwierzęcych głów, Santeria powinna być pierwszą rzeczą, która się nasuwa. Ta afrochrześcijańska religia, łącząca animizm plemienia Joruba z katolicyzmem, miała

w Miami wielu wyznawców. Przywiązywali oni dużą wagę do ofiar ze zwierząt i symboliki animistycznej, co tłumaczyłoby obecność byczych łbów. I chociaż rytuały Santerii praktykowało względnie niewielu ludzi, w większości domów w Miami znajdowało się kilka poświęconych świeczek albo naszyjników z muszelek kauri kupionych w sklepie zielarskim. W mieście panowała opinia, że nawet jeśli ktoś nie wierzy w Santerię, warto okazywać jej szacunek.

Jak wspomniałem, Santeria powinna mi przyjść od razu do głowy. Jednak chociaż uchodziłem za inteligentnego człowieka, jako pierwsza pomyślała o niej moja przybrana siostra, obecnie sierżant z wydziału zabójstw.

Kiedy się dowiedziałem, że śledztwem ma kierować Deborah, poczułem ulgę, gdyż oznaczało to, iż męcząca głupota zostanie ograniczona do minimum. Miałem również nadzieję, że moja siostra zajmie się wreszcie czymś ciekawszym niż to, co robiła ostatnio. Spędzała całe dni i noce, opiekując się swoim okaleczonym narzeczonym, Kyle'em Chutskym, który stracił kilka niezbyt ważnych części ciała w trakcie spotkania z pewnym zwariowanym chirurgiem amatorem, krojącym ludzi jak kartofle. Był to ten sam nikczemnik, który

zrećźnie usunął tak wiele niepotrzebnych części sierżanta Doakesa. Nie zdążył skończyć z Kyle'em, lecz Debs potraktowała to w bardzo osobisty sposób – śmiertelnie postrzeliła sympatycznego lekarza i poświęciła się pielęgnowaniu Chutsky'ego, by odzyskał sprawność i energię.

Jestem pewien, że zdobyła wiele punktów w klasyfikacji moralnej, niezależnie od tego, kto ją prowadzi, ale, szczerze mówiąc, ciągle zwolnienia przysporzyły jej kłopotów w pracy i, co gorsza, biedny, samotny Dexter boleśnie odczuwał to, że jest zaniedbywany przez swego jedyne go żyjącego krewnego.

To, że sprawę przydzielono mojej siostrze, było bardzo dobrą wiadomością. Stała w tej chwili po drugiej stronie ścieżki, rozmawiając ze swoim szefem, kapitanem Matthewsem – niewątpliwie przekazywała mu amunicję niezbędną do prowadzenia nieustannej wojny z dziennikarzami, którzy nigdy nie chcieli go fotografować od właściwej strony.

Tymczasem podjeżdżały już wozy transmisyjne, z których wysypywali się kamerzyści i zaczęli filmować miejsce zbrodni. Kilku miejscowych reporterów trzymało mikrofony i wygłaszało ponure zdania o tragicznej śmierci dwóch młodych kobiet,

które padły ofiarą brutalnej zbrodni. Jak zawsze bardzo się cieszyłem, że żyję w wolnym kraju, gdzie telewizja ma uświęcone prawo pokazywać w wieczornych wiadomościach filmy przedstawiające martwe ciała.

Kapitan Matthews starannie pogładził dłonią włosy, i tak idealnie uczesane, poklepał Deborah w ramię i pomaszerował udzielać wywiadów. Ja zaś poszedłem do siostry.

Stała w miejscu, gdzie zostawił ją Matthews, i patrzyła na jego plecy, gdy zaczął rozmawiać z Rickiem Sangrem, miejscowym guru dziennikarstwa kryminalnego specjalizującym się w krwawych zbrodniach.

– Hej, witaj z powrotem w prawdziwym świecie, siostro! – rzekłem.

– Hip, hip, hurra! – odpowiedziała, kręcąc głową.

– Jak się miewa Kyle? – spytałem. Dzięki długoletniemu treningowi wiedziałem, że są to w tej sytuacji właściwe słowa.

– Fizycznie? – odparła. – Świetnie. Ale czuje się kompletnie niewykorzystany. A ci idioci z Waszyngtonu nie pozwalają mu wrócić do pracy.

Trudno mi było ocenić, czy Chutsky może wrócić do pracy, bo nikt mnie nigdy nie poinformował, na czym ona polega. Wiedziałem

tylko, że zajmuje się jakimiś tajnymi sprawami na zlecenie władz federalnych, lecz to wszystko.

– Cóż – rzekłem, szukając standardowego zwrotu pasującego do sytuacji. – Jestem pewien, że za jakiś czas wszystko się ułoży.

– Ja także – odpowiedziała i popatrzyła na dwa zwęglone trupy. – Tak czy inaczej, mogę się przynajmniej czymś zająć.

– Krążą plotki, że uważasz to za robotę Santerii – rzuciłem, a Deborah szybko obróciła głowę w moją stronę.

– Uważasz, że to nieprawda?

– O nie – zaprzeczyłem – to dość prawdopodobne.

– Ale? – spytała ostro.

– Nie ma żadnych ale – odrzekłem.

– Cholera, Dexter, wiesz coś na ten temat?! – odezwała się. Pytanie wydawało się zasadne. Jestem znany z tego, że od czasu do czasu miewam bardzo dobre pomysły dotyczące ponurych morderstw, nad którymi pracujemy. Wszyscy uważają, że potrafię się wczuć w sposób myślenia psychopatycznych morderców i zrozumieć sposoby ich działania. Trudno się temu dziwić, skoro sam jestem psychopatycznym mordercą, o czym nie wie nikt oprócz mojej siostry. Chociaż Deborah знаła moją prawdziwą naturę dopiero od niedawna,

wykorzystywała ją bez wahania w pracy. Nie miałem nic przeciwko temu – byłem zadowolony, że mogę pomóc. Po co ma się rodzinę? W gruncie rzeczy nie obchodziło mnie, że potwory takie jak ja spłacą swój dług wobec społeczeństwa na krześle elektrycznym – chyba że wołałem zachować jednego z nich przy życiu, by móc się oddawać swoim niewinnym rozrywkom.

Ale tym razem nie miałem siostrze nic do powiedzenia. W gruncie rzeczy liczyłem, że przekaże mi jakiś okruch informacji wyjaśniający dziwaczne zniknięcie Mrocznego Pasażera, przypominający wręcz numer cyrkowy. Oczywiście nie była to rzecz, o której chętnie rozmawiałbym z Deborah. Niezależnie od tego, co powiedziałbym o dwóch spalonych studentkach, nigdy by mi nie uwierzyła. Była pewna, że posiadam jakieś informacje i wskazówki, które wolę zachować dla siebie. Bardziej podejrzliwa od siostry jest tylko siostra pracująca w policji.

Naprawdę sądziła, że coś przed nią ukrywam.

– No już, Dexter – odezwała się. – Wykrztuś to wreszcie. Powiedz, co wiesz o tej sprawie.

– Droga siostrzo, zupełnie nie wiem, co o tym myśleć – odrzekłem.

– Nonsens! Coś przede mną ukrywasz.



– Nigdy w życiu! – odpowiedziałem. – Czy mógłbym okłamywać swoją jedyną siostrę?

Popatrzyła na mnie ze złością.

– Więc to nie Santeria?

– Nie mam pojęcia – odparłem, starając się mówić jak najbardziej uspokajającym tonem. – Wydaje się, że można to przyjąć za punkt wyjścia. Ale...

– Wiedziałaś! – rzuciła ostrym tonem. – Jakie ale?

– Cóż... – zacząłem. Przyszła mi do głowy pewna myśl, prawdopodobnie bez żadnego znaczenia, lecz postanowiłem ją wypowiedzieć. – Słyszałaś kiedyś, by *santero* wykorzystywali ceramikę? A poza tym byki... Zdaje się, że używają łbów kozłów, prawda?

Spoglądała na mnie przez chwilę twardym wzrokiem, po czym pokręciła głową.

– To wszystko? Nie masz nic więcej?

– Powiedziałem ci, Debs, nic nie mam. To tylko myśl, która mi przyszła do głowy.

– Cóż, jeżeli mówisz prawdę... – zaczęła.

– Naturalnie, że mówię prawdę! – oburzyłem się.

– W takim razie rzeczywiście masz tylko kacze gówno! – podsumowała i popatrzyła w stronę kapitana Matthews, który odpowiadał na pytania dziennikarzy, poważnie wysuwając

do przodu męską dolną szczękę. – W sumie jeszcze mniej niż psia kupa, którą udało mi się tu znaleźć.

Nigdy wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, że kacze gówno to mniej niż psia kupa, ale zawsze miło się czegoś nauczyć. Jednak nawet ta zdumiewająca rewelacja nie dawała odpowiedzi na najważniejsze pytanie: dlaczego Mroczny Pasażer postanowił się ukryć? Pracując i uprawiając swoje hobby, widywałem rzeczy, których większość ludzi nawet nie potrafi sobie wyobrazić, chyba że oglądali filmy instruktażowe wyświetlane na kursach dla kierowców, którzy stracili prawo jazdy za prowadzenie samochodu po pijanemu. Mój mroczny towarzysz zawsze wygłaszał zwięzłe komentarze na temat spraw, z jakimi miałem do czynienia, nawet najbardziej makabrycznych, choć czasem tylko ziewał.

Teraz jednak, gdy natknęliśmy się na dwa spalone trupy i amatorską ceramikę, Mroczny Pasażer postanowił dać drapaka jak spłoszony pajak. Nie mogłem liczyć na jego rady. Było to dla mnie zupełnie nowe doświadczenie i przekonałem się, jak bardzo jest frustrujące.

Cóż jednak mogłem zrobić? Nie znałem nikogo, z kim mógłbym porozmawiać o Mrocznym Pasażerze, przynajmniej jeśli

chciałem zachować wolność, na czym niezwykle mi zależało. Moim zdaniem byłem jedynym znawcą tego tematu. Ale co tak naprawdę wiedziałem o swoim bliskim przyjacielu? Czy rzeczywiście dobrze go poznałem tylko dlatego, że długo przebywaliśmy razem? To, że zdecydował się ukryć w jakiejś piwnicy, sprawiło, iż byłem krańcowo zdenerwowany, jakbym nagle się zorientował, że chodzę po swoim gabinecie bez spodni. W istocie rzeczy nie miałem pojęcia, czym jest Mroczny Pasażer ani skąd przybył; nigdy nie wydawało mi się to szczególnie ważne.

Z jakiegoś powodu teraz było inaczej.

\* \* \*

Przy żółtej taśmie rozpiętej przez policję zgromadził się niewielki tłumek gapiów. Wystarczająco duży, by Patrzący mógł stać w środku grupy i nie rzucać się w oczy.

Obserwował, trawiony lodowatym głodem, nieujawniającym się na jego twarzy – pozbawionej wyrazu masce, którą tymczasowo nosił, by ukryć skoncentrowaną potęgę tkwiącą w głębi. Mimo to ludzie stojący wokół zdawali się ją wyczuwać i od czasu do czasu zerkali

niepewnie w jego kierunku, jakby słyszeli w pobliżu warczenie tygrysa.

Ich niepokój sprawiał Patrzącemu przyjemność; podobało mu się, że gapią się z bezmyślnym strachem na to, co zrobił. Była to część rozkoszy z posiadanej potęgi, jedna z przyczyn, która sprawiała, że lubił patrzeć.

Lecz w tej chwili obserwował w konkretnym celu, uważnie, starannie. Kiedy patrzył na krzątających się jak mrówki ludzi, czuł narastającą, pulsującą siłę. *Chodzące mięso, pomyślał. Nędzniejsze od baranów, a my jesteśmy pasterzem.*

Sycił się żalostną reakcją ludzi na swój popis, gdy wtem jego zmysły drapieżnika zarejestrowały leciutkie muśnięcie świadczące o czyjejs obecności. Odwrócił powoli głowę i popatrzył wzdłuż żółtej taśmy...

Tam. To on, mężczyzna w jaskrawej hawajskiej koszuli. Naprawdę pracował w policji.

Patrzący ostrożnie wysunął długą mackę, a gdy dotarła do celu, istota stanęła jak wryta i przymknęła oczy, jakby zadawała nieme pytanie. Tak. Wszystko nabrało sensu. Istota poczuła delikatny dotyk zmysłów Patrzącego; była potężna, na pewno.

Ale jaki miała cel?

Patrzący obserwował, jak istota się prostuje, rozgląda wokół, a potem wraca za żółtą taśmę, najwyraźniej zapominając o tym, co się stało.

*Jesteśmy mocniejsi, pomyślał. Mocniejsi od nich wszystkich. Dowiedzą się o tym i czeka ich wielki smutek.*

Czuł narastający głód. Jednak powinien zdobyć więcej informacji i musi czekać na właściwy moment. Czekać i obserwować.

Na razie.

## 6

Miejsce zbrodni bez śladów krwi powinno być dla mnie jak miła wakacyjna wycieczka, lecz w jakiś sposób nie potrafiłem się wprawić w odpowiedni nastrój i beztrąsko się tym cieszyć. Przez pewien czas kręciłem się po okolicy, wchodząc na teren odgradzony taśmą i z niego wychodząc, lecz nie miałem prawie nic do roboty. Deborah najwyraźniej powiedziała mi wszystko, co zamierzała, a to sprawiło, że czułem się nieco samotny i pozbawiony zajęć.

Rozsądnej istocie można by wybaczyć, że jest trochę nie w sosie, lecz ja nigdy nie twierdziłem, że jestem rozsądny, co ograniczało możliwość wyboru. Zapewne najlepiej byłoby się skupić na bieżących sprawach i pomyśleć o wielu ważnych rzeczach, które wymagały mojej uwagi – dzieci, kuchmistrz, Paryż, lunch... Lista spraw, którymi musiałem się martwić, przypominała długi wykaz rzeczy oddanych do pralni, więc trudno się dziwić, że Pasażer stał się nieco małowówny.

Znów popatrzyłem na dwa zwęglone ciała. Nie robiły niczego złowrogiego, były po prostu martwe. Ale Mroczny Pasażer ciągle milczał.

Wróciłem do miejsca, gdzie stała Deborah, rozmawiając z Angelem-Nie-Z-Rodziny-Dyktatora. Popatrzyli na mnie wyczekująco, lecz nie przyszedł mi do głowy żaden żart, jakim mógłbym ich uraczyć, co było zupełnie nie w moim stylu. Na szczęście nie zdążyłem wpaść w naprawdę ponury nastrój, który rzuciłby cień na moją sławną na cały świat reputację pogodnego stoika, ponieważ Deborah spojrzała ponad moim ramieniem i prychnęła:

– W samą porę, kurwa!

Podążyłem za jej wzrokiem i zobaczyłem samochód policyjny, z którego wysiadł mężczyzna w białym ubraniu.

Przybył oficjalny *babalao* Miami.

Nasze piękne miasto słynie z korupcji, znacznie większej niż w Chicago za czasów Williama Mageara Tweeda, a także podejrzanych układów towarzyskich. Każdego roku wydajemy miliony dolarów na fikcyjne usługi konsultingowe i projekty, które nie mogą wejść w fazę realizacji, gdyż zlecono je czyjejs teściowej. Są również inne specjalne wydatki o wielkim znaczeniu dla społeczeństwa, na przykład nowe luksusowe auta dla przyjaciół politycznych. W tej sytuacji trudno się dziwić, że miasto zatrudnia kapłana Santerii, płacąc mu stałą pensję wraz z dodatkami.

Najdziwniejsze jest to, że uczciwie zarabia on swoje pieniądze.

Każdego ranka o wschodzie słońca *babalao* pojawia się przed gmachem sądu, gdzie zwykle znajduje kilka niewielkich zwierząt złożonych w ofierze przez ludzi prowadzących ważne procesy sądowe. Żaden zdrowy na umyśle obywatel Miami nie tknąłby tych ofiar, lecz naturalnie trudno tolerować obecność martwych zwierząt wokół naszej wspaniałej świątyni sprawiedliwości. Dlatego *babalao* usuwa ofiary, muszle kauri, pióra, paciorki, amulety i obrazki, robiąc to w sposób, który nie obraża oriszów, duchów opiekuńczych Santerii.

Od czasu do czasu bywa wzywany, by rzucać uroki w innych sprawach ważnych dla społeczeństwa – na przykład błogosławi nowy wiadukt zbudowany przez zwycięzcę przetargu albo rzuca klątwę na futbolistów z New York Jets. A tym razem wszystko wskazywało na to, że wezwała go moja siostra, Deborah.

Oficjalny *babalao* Miami był Murzynem w wieku około pięćdziesięciu lat. Miał sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, bardzo długie paznokcie i wielki brzuch. Nosił białe spodnie, białą koszulę typu *guayabera* i sandały. Po wyjściu z samochodu policyjnego ruszył w naszą stronę ze zirytowaną miną drobnego



urzędnika oderwanego od wypełniania ważnych formularzy. Idąc, czyścił połą koszuli okulary w czarnej rogowej oprawce. Zbliżywszy się do trupów, włożył okulary i natychmiast stanął jak wryty.

Przez dłuższą chwilę po prostu się przyglądał. Później zaczął się wycofywać, idąc tyłem i nie odrywając oczu od zwłok. Po przejściu około dziesięciu metrów odwrócił się, ruszył w stronę wozu policyjnego i wszedł do niego.

– Co jest, do cholery?! – powiedziała Deborah i moim zdaniem doskonale podsumowała sytuację. *Babalao* zatrzasnął drzwi i siedział na przednim siedzeniu, nieruchomy, spoglądając prosto przed siebie. Po chwili Deborah mruknęła: „Kurwa!” i podeszła do samochodu. Podążyłem za nią, bo mam dociekliwy umysł i lubię wiedzieć, co się dzieje.

Kiedy dotarłem do auta, moja siostra pukała w boczną szybę, a *babalao* w dalszym ciągu spoglądał prosto przed siebie; zaciskał zęby i z ponurą miną udawał, że jej nie widzi. Zastukała mocniej; pokręcił głową.

– Proszę otworzyć drzwi! – rzekła klasycznym policyjnym tonem, jakim każe się przestępcy rzucić broń. *Babalao* pokręcił głową z jeszcze większym zdecydowaniem. Zapukała jeszcze mocniej. – Otwierać! – wrzasnęła.

W końcu opuścił szybę.

– Nie mam z tym nic wspólnego – rzekł.

– Więc o co tu chodzi? – spytała.

– Muszę wracać do pracy – odparł, kręcąc głową.

– To Palo Mayombe? – zagadnąłem. Debs zerknęła na mnie ze złością, niezadowolona, że przerywam, lecz pytanie wydawało się rozsądne. Palo Mayombe było nieco mroczniejszą odmianą Santerii i choć prawie nic o niej nie wiedziałem, dotarły do mnie pogłoski o złowrogich rytuałach, które wzbudziły moją ciekawość.

*Babalao* pokręcił głową.

– Posłuchajcie, są rzeczy, o których nie macie pojęcia, i lepiej, żebyście nic o nich nie wiedzieli – odezwał się.

– To jedna z nich? – spytałem.

– Nie wiem – odrzekł. – Niewykluczone.

– Może nam pan coś o tym powiedzieć? – dopytywała się Deborah.

– Nie mogę nic powiedzieć, bo nic nie wiem – odparł. – Nie podoba mi się to i nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Mam ważne sprawy. Powiedzcie policjantowi, że muszę jechać. – Zamknął okno.

– Kurwa mać! – zaklęła Deborah i popatrzyła na mnie z oskarżycielskim wyrazem twarzy.

– Nie zrobiłem nic złego – obruszyłem się.  
– Kurwa mać! – powtórzyła. – Co to wszystko  
znaczy, do cholery?!

– Zupełnie nie wiem, o co chodzi – rzekłem.

– Aha – mruknęła Deborah. Nie wydawała się  
przekonana, co miało posmak ironii. Sęk w tym,  
że gdy nie mówię całej prawdy, ludzie zawsze  
biorą moje słowa za dobrą monetę, lecz oto moja  
własna przybrana siostra, członek najbliższej  
rodziny, nie chciała wierzyć, że naprawdę nie  
mam pojęcia, o co chodzi. Z drugiej strony  
*babalao* wydawał się reagować tak samo jak  
Pasażer – lecz jak powinienem to rozumieć?

Nim zdążyłem przeanalizować tę fascynującą  
myśl, zdałem sobie sprawę, że Deborah ciągle  
wpatruje się we mnie z bardzo nieprzyjemnym  
wyrazem twarzy.

– Znaleźliście głowy? – odezwałem się,  
uważając to za rozsądne pytanie. – Gdybyśmy  
wiedzieli, co sprawca z nimi zrobił, moglibyśmy  
lepiej zrozumieć cały rytuał.

– Nie, nie znaleźliśmy głów. Znalazłam tylko  
brata, który coś przede mną ukrywa.

– Deborah, doprawdy, ten niemiły wyraz  
podejrzliwości źle działa na mięśnie twojej  
twarzy. Porobią ci się zmarszczki.

– Niech się porobią, i tak złapię mordercę –  
odrzekła i wróciła do zwęglonych zwłok.

Wydawało się, że moja użyteczność się wyczerpała, przynajmniej z punktu widzenia siostry, i miałem niewiele do zrobienia na miejscu zbrodni. Zakończyłem badanie śladów krwi, pobierając niewielkie próbki suchej, czarnej substancji otaczającej szyje ofiar, po czym wróciłem do laboratorium i zostało mi jeszcze dużo czasu na późny lunch.

Niestety, biedny Dzielny Dexter miał tego dnia pecha, bo moje kłopoty dopiero się zaczęły. Porządkowałem biurko i szykowałem się do przejazdu przez Miami w radosnej, morderczej atmosferze godziny szczytu, gdy do mojego gabinetu wpadł Vince Masuoka.

– Rozmawiałem z Mannym – powiedział. – Umówił się z nami na jutro na dziesiątą rano.

– To fantastyczna wiadomość – odrzekłem. – Uznałbym ją za jeszcze lepszą, gdybym wiedział, kim jest Manny i dlaczego chce się z nami zobaczyć.

Vince wydawał się nieco urażony. Jeszcze nigdy nie widziałem, by na jego twarzy pojawił się równie autentyczny wyraz.

– Manny Borque. Kuchmistrz artysta – wyjaśnił.

– Ten od nagród MTV?

– Tak, owszem – odpowiedział Vince. – Zdobył mnóstwo nagród i pisali o nim w magazynie

„Gourmet”.

– Ach tak... – mruknąłem, grając na zwłokę w nadziei, że jakiś genialny przebłysk natchnienia pozwoli mi uniknąć straszliwego losu. – Kuchmistrz artysta, zdobywca wielu nagród...

– To sławny człowiek, Dexter. Może wam przygotować wesele.

– Cóż, Vince, myślę, że to fantastyczne, ale...

– Posłuchaj – rzekł rozkazującym tonem, jakiego nigdy wcześniej u niego nie słyszałem. – Obiecałeś porozmawiać z Ritą i pozwolić jej podjąć decyzję.

– Powiedziałem coś takiego?

– Tak, powiedziałeś. Nie chcę, byś zmarnował wyjątkową okazję, skoro wiem, że Rita byłaby zachwycona.

Nie miałem pojęcia, dlaczego jest tego taki pewny. Byłem z nią zaręczony, lecz nie wiedziałem, jaki mistrz kuchni wywołałby jej entuzjazm. Jednak uznałem, że nie jest to odpowiedni moment, by pytać Vince’a, skąd wie, co mogłoby sprawić Ricie przyjemność. A zresztą – człowiek, który przebiera się na Halloween za Carmen Mirandę, może doskonale rozumieć najskrytsze marzenia kulinarne mojej narzeczonej.

– Cóż, w takim razie pojedę do domu i porozmawiam z Ritą – rzekłem, doszedłszy do wniosku, że najlepszym rozwiązaniem jest dalsza gra na zwłokę.

– Zrób to – powiedział i wyszedł z mojej klitki. Gdyby mógł trzasnąć drzwiami, na pewno by to zrobił.

Skończyłem porządkować biurko i pojechałem do domu. Po drodze jakiś mężczyzna w średnim wieku prowadzący terenową toyotę zaczął jechać tuż za mną i naciskać klakson. Po pięciu, sześciu przecznicach wreszcie mnie wyprzedził, a kiedy mnie mijał, poruszył nieco kierownicą, by mnie przestraszyć i zmusić do zjechania na pobocze. Chociaż podziwiałem jego odwagę i chętnie sprawiłbym mu przyjemność, zostałem na jezdni. Próby zrozumienia kierowców z Miami nie mają najmniejszego sensu. Trzeba po prostu się odprężyć i cieszyć przemocą panującą na autostradach – oczywiście nigdy nie miałem z tym kłopotów. Dlatego uśmiechnąłem się i pomachałem ręką, a mężczyzna przyśpieszył i zniknął wśród samochodów, przekraczając dozwoloną prędkość o sto kilometrów na godzinę.

Normalnie zamęt panujący wieczorem na drogach to dla mnie idealne zakończenie dnia.

Obserwując rozwścieczonych kierowców pałających żądzą mordy, natychmiast się odprężam i czuję jedność ze swoim rodzinnym miastem oraz jego dzielnymi mieszkańcami. Ale tego dnia nie potrafiłem odczuwać optymizmu. Martwiłem się – nigdy w życiu nie sądziłem, że to możliwe.

Co gorsza, nie miałem pojęcia, czym tak właściwie się martwię, gdyż jedyną dziwną rzeczą było to, że Mroczny Pasażer milczał na miejscu niezwykłego zabójstwa. Zdarzyło się to po raz pierwszy i mogłem tylko przypuszczać, że powodem było coś nietypowego, być może zagrażającego Dexterowi. Tylko co? I jak mogłem być tego pewny, skoro nic nie wiedziałem o samym Pasażerze, z wyjątkiem tego, że zawsze chętnie wygłaszał wesołe uwagi i komentarze na temat różnych morderstw. Widzieliśmy już spalone ciała i mnóstwo ceramiki, a on nigdy się nie wzdrygał ani nie skarżył. Czyżby zareagował na specyficzne połączenie spalonych zwłok i ceramiki? Może te dwa trupy odznaczały się czymś szczególnym? A może milczenie Pasażera to czysty przypadek, który nie ma nic wspólnego z tym, co zobaczyliśmy?

Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym mniej z tego wszystkiego rozumiałem. Wokół

mnie trwał morderczy chaos ruchu ulicznego i gdy dotarłem do domu Rity, prawie zdołałem sobie wmówić, że w gruncie rzeczy nie ma się czym przejmować.

Kiedy przyjechałem, Rita, Cody i Astor byli już na miejscu. Rita pracowała znacznie bliżej domu ode mnie, a dzieci chodziły na zajęcia pozalekcyjne do pobliskiego parku, toteż musieli czekać przynajmniej pół godziny na okazję, by zacząć się nade mną znęcać i próbować mnie pozbawić z trudem osiągniętego spokoju ducha.

– Wszystko było w telewizji! – szepnęła Astor, gdy otworzyłem drzwi, a Cody kiwnął głową i rzekł cichym, ochrypłym głosem: „Ohyda!”.

– Co było w telewizji? – spytałem, usiłując ich ominąć i wejść do domu.

– Spaliłeś je! – syknęła Astor, a Cody spojrział na mnie z całkowicie obojętnym wyrazem twarzy, który w jakiś sposób wyrażał dezaprobatę.

– Co takiego...? Kogo spaliłem...?

– Dwie studentki, które znaleźli w college’u – odpowiedziała. – Nie chcemy się tego uczyć! – dodała z naciskiem, a Cody znów kiwnął głową.

– W college’u...? Masz na myśli uniwersytet? Ja nie...

– Uniwersytet czy college, na jedno wychodzi – stwierdziła Astor z pewnością siebie właściwą



dla dziesięcioletniej dziewczynki. – Uważamy, że palenie jest ohydne!

Zaczęło mi powoli świtać, co mogli zobaczyć w telewizji – reportaż z miejsca zbrodni, gdzie spędziłem ranek, pobierając próbki suchej, spieczonej krwi z dwóch zwęglonych trupów. A ponieważ wiedzieli, że niedawno wyszedłem z domu, by spędzić noc na zabawie, uznali, że właśnie tym się zajmowałem. Chociaż Mroczny Pasażer był dziwnie milczący, zgadzałem się, że to coś wyjątkowo ohydne, i ogarnęła mnie irytacja, iż uznali mnie za zdolnego do takich czynów.

– Posłuchajcie – rzekłem surowo. – Przecież nie...

– Dexter, to ty? – pisnęła Rita z kuchni.

– Nie jestem pewien! – zawołałem. – Zaraz zajrzę do dokumentów!

Wbiegła rozpromieniona i nim zdążyłem się odsunąć, otoczyła mnie ramionami, najwyraźniej zamierzając mnie udusić.

– Witaj, przystojniaku! – zaszczębiotała. – Jak ci się udał dzień?

– Ohyda! – mruknęła Astor.

– Było fantastycznie – odpowiedziałem, chwytając oddech. – Mnóstwo trupów. Musiałem je zbierać wacikami.

Rita się skrzywiła.

– No nie... Nie wiem, czy powinieneś opowiadać o tym przy dzieciach... A jeśli przyśnią im się koszmary?

Gdybym był absolutnie szczery, powiedziałbym Ricie, że to Cody i Astor prędzej spowodują, że innym przyśnią się koszmary, niż same zaczną je przeżywać, lecz nie krępuje mnie przymus mówienia prawdy, toteż po prostu pogładziłem ją po plecach i stwierdziłem:

– W kreskówkach można codziennie usłyszeć gorsze rzeczy, prawda, dzieci?

– Nie – odezwał się cicho Cody i popatrzyłem nań ze zdziwieniem. Odzywał się rzadko i to, że coś powiedział, a nawet się ze mną nie zgodził, wzbudziło we mnie niepokój. Cały dzień okazał się kompletnie zwariowany – rankiem uciekł w panice Mroczny Pasażer, później wysłuchałem tyrady Vince’a na temat kuchmistrza artysty, a teraz jeszcze to. Co się właściwie dzieje, w imię wszystkiego, co mroczne i przerażające?! Czy coś zaburzyło moją aurę? Może księżyc Jowisza znalazły się w niekorzystnym układzie w znaku Strzelca?

– Cody – zacząłem. Mam szczerą nadzieję, że w moim głosie zabrzmiała uraza. – Nie przyśnią ci się koszmary, prawda?

– Cody nie ma koszmarów – powiedziała Astor takim tonem, jakby wiedział to każdy, kto

nie jest kompletnym idiotą. – W ogóle nic mu się nie śni.

– Dobrze wiedzieć – odparłem, ponieważ mnie również nic się nie śni i z jakiegoś powodu zależało mi, by mieć jak najwięcej wspólnego z Codym. Lecz Rita zaczęła protestować.

– Doprawdy, Astor, nie bądź niemądra! Oczywiście, że Cody’emu śnią się różne rzeczy. Wszystkim coś się śni.

– Mnie nie – rzekł z naciskiem Cody. Nie tylko nie zgadzał się ze mną i Ritą, lecz jednocześnie pobił rekord gadatliwości. Chociaż moje serce to tylko organ służący do pompowania krwi, poczułem sympatię do chłopca i postanowiłem go poprzeć.

– Masz całkowitą rację. Postaraj się, by tak zostało. Sny nie są warte tego, co o nich mówią. Nie pozwalają wypocząć.

– Doprawdy, Dexter! – zaprotestowała Rita. – Nie powinniśmy uczyć Cody’ego takich rzeczy!

– Jasne, że powinniśmy – powiedziałem, mrugając do Cody’ego. – Ma w sobie ogień, odwagę i wyobraźnię.

– Nie mam – odrzekł i ogarnęło mnie absolutne zdumienie, że jest taki rozmowny.

– Naturalnie, że nie masz, lecz musimy mówić takie rzeczy twojej mamie, bo inaczej by się martwiła – wyjaśniłem cicho.

– Na litość boską, poddaję się! – zawołała Rita.  
– Idźcie się pobawić w ogrodzie, dzieci.

– Chcemy się bawić z Dexterem – rzekła Astor, wydymając wargi.

– Przyjdę za kilka minut – obiecałem.

– Lepiej dotrzymaj słowa – odparła ponuro, po czym ruszyła wraz z Codym w stronę tylnych drzwi. Kiedy wyszli z domu, odetchnąłem głęboko, czując ulgę, że przez pewien czas nie będę narażony na złośliwe, nieusprawiedliwione ataki. Naturalnie się myliłem.

– Chodź tu – rzekła Rita. Wzięła mnie za rękę i zaprowadziła na kanapę. – Kilka minut temu dzwonił Vince – dokończyła, kiedy usiedliśmy.

– Doprawdy? – Poczulem nagły dreszcz niepokoju na myśl o tym, co mógł powiedzieć Ricie. – Co mówił?

Pokręciła głową.

– Był bardzo tajemniczy. Prosił, by dać mu znać, jak wszystko omówimy. Spytałam, co mamy omówić, lecz nie chciał nic zdradzić. Powiedział tylko, że z tobą rozmawiał.

Niewiele brakowało, a popełniłbym okropny błąd konwersacyjny i powtórzył słowo: „Doprawdy?”. Na swoją obronę przyznaję, że ogarnęła mnie kompletna panika; przyszło mi do głowy, że muszę uciec i poszukać jakiejś bezpiecznej kryjówki, lecz wcześniej

powinienem znaleźć czas, by odwiedzić Vince'a z niewielką torbą akcesoriów. Ale nim zdążyłem wybrać w wyobraźni odpowiednie ostrze, Rita kontynuowała:

– Szczerze mówiąc, Dexter, szczęściarz z ciebie, że masz takiego przyjaciela jak Vince. Traktuje obowiązki świadka naprawdę poważnie i ma fantastyczny gust.

– A do tego fantastycznie kosztowny – dodałem. Wypowiedziawszy te słowa, natychmiast zdałem sobie sprawę, że nie powinienem tego mówić; może ciągle byłem wytrącony z równowagi tym, że o mało nie popełniłem gafy polegającej na powtórzeniu pytania „Doprawdy?”. I, faktycznie, Rita się rozpromieniła.

– Doprawdy? – powiedziała. – Cóż, chyba masz rację. Dobry gust prawie zawsze wymaga sporych wydatków, prawda? Dostajemy to, za co płacimy.

– Tak, ale jest jeszcze kwestia, ile trzeba zapłacić – zauważyłem.

– Zapłacić za co? – spytała Rita i znalazłem się w pułapce.

– Cóż – zacząłem bezradnie. – Vince wpadł na zwariowany pomysł, że powinniśmy wynająć kuchmistrza z South Beach, artystę, który jest

strasznie drogi i obsługuje przyjęcia z udziałem celebrytów.

Rita podparła dłońmi podbródek. Wydawała się absolutnie uszczęśliwiona.

– Masz na myśli Manny’ego Borque’a?! – zawołała. – Vince go zna?!

Oczywiście od tej chwili wszystko było przesądzone, lecz Nieustraszony Dexter nie poddaje się bez walki, choćby nie miał żadnych szans.

– Wspominałem, że jest bardzo drogi? – spytałem z nadzieją w głosie.

– Och, Dexter, w takich chwilach nie można się martwić o pieniądze!

– Można. I właśnie się martwię.

– Nie, jeśli mamy szansę wynająć Manny’ego Borque’a. – Głos Rity zabrzmiał zaskakująco mocno; słyszałem ją mówiącą takim tonem jedynie wtedy, gdy była wściekła na Cody’ego i Astor.

– Tak, ale nie ma sensu wydawać ogromnych pieniędzy tylko na jedzenie, Rito – zauważyłem.

– Sens nie ma z tym nic wspólnego – rzekła i przyznaję, że całkowicie się z nią zgadzałem. – Jeśli możemy wynająć Manny’ego Borque’a, szaleństwem byłoby tego nie zrobić.

– Ale... – zacząłem i umilkłem. Nie potrafiłem wymyślić żadnego argumentu poza tym, że

płacenie gigantycznej kwoty za pomalowane sokiem z rabarbaru ciastka z liśćmi endywii w kształcie Jennifer Lopez to kompletny idiotyzm. Czy nie przekonałoby to Rity? Najwyraźniej nie.

– Dexter, ile wesel ma się w życiu? – spytała. Miałem wielką ochotę odpowiedzieć: „Jeśli mówimy o tobie, co najmniej dwa”, lecz na szczęście zdołałem się powstrzymać, co prawdopodobnie było dość rozsądne i dobrze świadczy o moim opanowaniu.

Szybko zmieniłem podejście i zastosowałem taktykę, której nauczyłem się w ciągu wielu lat udawania człowieka.

– Rito, najważniejsza część dnia naszego ślubu to chwila, kiedy wkładam na twój palec obrączkę – powiedziałem. – Nie obchodzi mnie, co będziemy potem jeść.

– To cudownie! – odparła. – Więc nie masz nic przeciwko zaangażowaniu Manny’ego Borque’a?

Znów się okazało, że pokonano mnie w dyskusji, nim się zorientowałem, po której jestem stronie. Poczulem, że zaschło mi w ustach – niewątpliwie dlatego, że je otworzyłem. Jednocześnie usiłowałem zrozumieć, co się przed chwilą stało, i wymyślić jakąś inteligentną odpowiedź, która pozwoliłaby mi odzyskać poczucie równowagi.

Było już jednak za późno.

– Zadzwoń do Vince’a – rzekła Rita, pochyliła się i pocałowała mnie w policzek. – Och, jakie to ekscytujące! Dziękuję, Dexter!

Cóż, czy małżeństwo nie opiera się na kompromisach?



## 7

Jak należało się spodziewać, Manny Borque mieszkał w South Beach na najwyższym piętrze jednego z nowoczesnych wieżowców, które jak grzyby po deszczu wyrastają wokół Miami. Ten wznosił się na dawnej pustej plaży, gdzie Harry zabierał mnie i Debs w sobotnie ranki. Szukaliśmy przedmiotów wyrzuconych na brzeg i znajdowaliśmy stare kamizelki ratunkowe, dziwne drewniane fragmenty rozbitych łodzi, boje od koszy do połowu homarów i kawałki sieci rybackich. Pewnego ranka na falach przyboju kołysało się martwe ciało, co dostarczyło nam dreszczyku emocji. Było to jedno z moich najdroższych wspomnień z dzieciństwa i czułem złość na myśl, że ktoś zbudował w tym miejscu tandetną, lśniącą wieżę.

Nazajutrz rano o dziesiątej ja i Vince wyszliśmy razem z pracy i udaliśmy się do okropnego budynku, który stanął w miejscu, gdzie w dzieciństwie przeżyłem tyle radości. Pojechaliliśmy w milczeniu windą na najwyższe piętro, a ja obserwowałem, jak Vince wierci się

i mruga. Nie miałem pojęcia, dlaczego jest taki zdenerwowany przed rozmową z człowiekiem, który zajmuje się zawodowo przygotowywaniem potraw. Po policzku ściekała mu kropla potu i dwukrotnie konwulsyjnie przełknął ślinę.

– To tylko kuchmistrz, Vince – odezwałem się.  
– Nie jest niebezpieczny. Nie może ci nawet unieważnić legitymacji bibliotecznej.

Popatrzył na mnie i znów przełknął ślinę.

– Ma bardzo wybuchowy charakter – rzekł. – I potrafi stawiać żądania.

– Cóż, w takim razie poszukajmy kogoś rozsądniejszego – odpowiedziałem beztrzesko, z nadzieją w głosie.

Zacisnął zęby jak skazaniec stojący przed plutonem egzekucyjnym i pokręcił głową.

– Nie – odparł z odważną miną. – Poradzimy sobie. – W tej samej chwili rozsunęły się drzwi windy. Vince wyprostował się, skinął głową i rzekł: – Chodźmy.

Poszliśmy na koniec korytarza i Vince stanął przed ostatnimi drzwiami. Odetchnął głęboko, uniósł dłoń, zawahał się i zapukał. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Popatrzył na mnie i mrugnął, w dalszym ciągu nie opuszczając ręki.

– Może... – zaczął i nagle drzwi się otworzyły.

– Witaj, Vic! – odezwała się niziutka postać, która się w nich ukazała.

– Cześć, ja tylko... – wyjąkał Vince i się zarumienił. Przesząpił z nogi na nogę, wymamrotał coś, co zabrzmiało jak „Eee... cóż”, i cofnął się pół kroku.

Było to niezwykle, wyjątkowo ciekawe przedstawienie i nie byłem jedyną osobą, której się ono podobało. Na twarzy karzełka stojącego w drzwiach malował się uśmiech sugerujący, że uwielbia obserwować ludzkie cierpienia. Pozwolił, by Vince wiercił się przez kilka sekund, aż wreszcie powiedział:

– Cóż, zapraszam do środka!

Manny Borque, jeśli był to naprawdę on, a nie dziwaczny karzeł z *Gwiezdnych wojen*, miał mniej więcej sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i nosił srebrne haftowane buty na wysokich obcasach. Czubek jego krótko ostrzyżonej głowy był ufarbowany na pomarańczowo; czarna grzywka rozwidła się na czole i okalała wielkie okulary inkrustowane sztucznymi diamentami. Miał na sobie długą, luźną, jaskrawoczerwoną koszulę i najwyraźniej nic poza tym – zawirowała wokół niego, gdy odszedł od drzwi. Zaprosił nas do środka skinieniem dłoni, a później podążył szybkimi,

drobnymi krokami w stronę ogromnego okna z widokiem na morze.

– Wejdźcie, a potem porozmawiamy – rzekł, omijając postument, na którym stał wielki obiekt przypominający kulę zwierzęcych rzygowin pokrytych plastikiem i pomalowanych fluoryzującą farbą.

Zaprowadził nas do szklanego stolika koło okna, wokół którego stały cztery obiekty prawdopodobnie mające służyć jako stołki – przypominały odlane z brązu wielbłądzie siodła przyspawane do szczudeł.

– Siadajcie. – Skinął łaskawie ręką. Zająłem miejsce najbliżej okna. Vince zawahał się na moment i usiadł koło mnie, a Manny wskoczył na stołek naprzeciwko Masuoki. – Cóż, jak się miewasz, Vic? – zaczął. – Macie ochotę na kawę? – Nie czekając na odpowiedź, obrócił głowę w lewo i zawołał: – Eduardo!

Vince nabrał niepewnie powietrza w płuca, lecz nim zdążył coś powiedzieć, Manny obrócił się gwałtownie w moją stronę.

– To ty jesteś zawstydzonym panem młodym, prawda? – spytał.

– Dexter Morgan – odrzekłem. – Ale nie jestem zbyt zawstydzony.

– Ach, cóż, zdaje się, że to Vic jest najbardziej wstydlivy – stwierdził Manny. I faktycznie,

Vince natychmiast zaczerwienił się jak piwonია.

W dalszym ciągu byłem zirytowany, że muszę znosić tę torturę, toteż postanowiłem nie przychodzić mu z pomocą i nie robić żadnych złośliwych uwag pod adresem Manny'ego ani nawet nie prostować pomyłki w imieniu Masuoki, który nazywał się Vince, a nie Vic. Byłem pewien, że Manny dobrze zna prawdziwe imię mojego kolegi i po prostu się nad nim znęca. Wcale mi to nie przeszkadzało: niech Vince się męczy za to, że zwrócił się za moimi plecami do Rity i wplątał mnie w tę sprawę.

Do salonu wbiegł Eduardo z przezroczystą plastikową tacą, na której stał stary serwis do kawy Fiesta w kilku jaskrawych kolorach. Był tęгим młodym mężczyzną, dwukrotnie większym od Manny'ego, i z całych sił starał się sprawić przyjemność niziutkiemu człowieczkowi. Postawił przed Mannym żółtą filiżankę, a niebieską przed Vince'em, lecz nagle gospodarz zatrzymał go, kładąc mu palec na dłoni.

– Żółta, Eduardo? – spytał jedwabistym głosem i młody człowiek zeszywniał. – Nie pamiętasz? Manny zawsze pije kawę w niebieskiej filiżance.

Eduardo natychmiast zaczął poprawiać swój błąd i w pośpiechu o mało nie upuścił tacy.

Usłużnie zabrał sprzed Manny'ego obraźliwą żółtą filiżankę i postawił niebieską.

– Dziękuję, Eduardo – odezwał się Borque. Młody człowiek stał przez chwilę nieruchomo, najwyraźniej chcąc się przekonać, czy Manny mówi poważnie, czy znów popełnił jakiś błąd. Ale karzełek poklepał go po ramieniu i rzekł: – A teraz obsłuż naszych gości, proszę. – Eduardo kiwnął głową i obszedł stół.

Okazało się, że to mnie przypadła żółta filiżanka. Nie miałem nic przeciwko temu, choć zastanawiałem się, czy to znaczy, że mnie nie lubią. Eduardo nalał kawę, pośpieszył do kuchni i wrócił z niewielkim talerzykiem, na którym leżało sześć *pastelitos*. Chociaż nie miały kształtu tyłka Jennifer Lopez, równie dobrze mogłyby mieć. Przypominały niewielkie jeżozwierze wypełnione kremem – ciemnobrązowe bryłki ze sterczącymi czekoladowymi kolcami wyglądającymi jak czułki ukwiału. W środku znajdowała się pomarańczowa masa z zielonymi, niebieskimi lub brązowymi plamkami na szczycie.

Eduardo postawił talerzyk na środku stołu i przez chwilę wszyscy spoglądaliśmy w milczeniu na ciasteczka. Manny patrzył na nie z podziwem, a Vince wyglądał jak człowiek przeżywający religijne uniesienie: kilkakrotnie

przełknął ślinę i wydał z siebie urywany dźwięk wyrażający zachwyt. Jeśli chodzi o mnie, nie byłem pewien, czy mamy zjeść te obiekty, czy wykorzystać w jakimś niezwykłym, krwawym azteckim rytuale, toteż patrzyłem w milczeniu na talerz, mając nadzieję, że coś się wyjaśni.

W końcu odezwał się Vince.

– Mój Boże...! – wymamrotał.

Manny skinął głową.

– Cudowne, prawda? – spytał. – Ale tak bardzo passé. – Podniósł ciasteczko z niebieskim czubkiem i spojrzał na nie z wyniosłą sympatią. – Paleta kolorów jest już niemodna i zaczął je kopiować ten okropny stary hotel koło Indian Creek. Mimo to... – rzekł, wzruszając ramionami, i włożył ciasteczko do ust. Z ulgą spostrzegłem, że nie wywołało poważnego krwawienia. – Człowiek nabiera sentymentu do swoich starych sztuczek. – Odwrócił się i mrugnął do Eduarda. – Może czasem zbyt wielkiego sentymentu. – Młody człowiek zbladł i uciekł do kuchni, a Manny odwrócił się do nas, uśmiechając się szeroko jak krokodyl. – Częstujcie się, zapraszam.

– Boję się je wziąć do ust – powiedział Vince. – Są takie doskonałe...

– A ja się boję, że mogłyby ugryźć – zauważyłem.

Manny obnażył niezliczone zęby.

– Gdybym potrafił je tego nauczyć, nigdy nie byłbym samotny – stwierdził i przesunął talerz w moim kierunku. – Częstuj się! – rzekł.

– Chciałby pan to podać na moim weselu? – spytałem, doszedłszy do wniosku, że należy spróbować odnaleźć w tym wszystkim jakiś sens.

Vince mocno szturchnął mnie łokciem, lecz najwyraźniej za późno. Manny zmrużył oczy, aż zmieniły się w wąziutkie szparki, choć w dalszym ciągu pokazywał swoje wspaniałe zęby.

– Ja nie podaję, tylko prezentuję! – rzucił. – Prezentuję to, co uważam za najlepsze!

– Nie powinienem z góry wiedzieć, co to mniej więcej będzie? – spytałem niewinnie. – Panna młoda może być uczulona na galaretkę z wasabi i rukolą, prawda?

Manny tak mocno zacisnął pięści, że usłyszałem trzask stawów. Przez chwilę miałem cichą nadzieję, że może wreszcie się od niego uwolnię. Jednak zaraz się odprężył i uśmiechnął.

– Lubię twojego przyjaciela, Vic – rzekł. – Wyjątkowo odważny z niego człowiek...

Masuoka uśmiechnął się do nas i odetchnął, a Manny zaczął coś bazgrać w notatniku. I w ten oto sposób wielki Manny Borque zgodził się



przygotować potrawy na moje wesele ze specjalną bonifikatą, czyli zaledwie za dwieście pięćdziesiąt dolarów od gościa.

Miałem wrażenie, że to dość drogo. Jednak Rita jasno stwierdziła, że nie powinienem się martwić o pieniądze. Byłem pewien, że coś wymyśli – może po prostu zaprosi dwie, trzy osoby? Tak czy inaczej, nie miałem dużo czasu, by się martwić o przyziemne kwestie finansowe, gdyż prawie natychmiast moja komórka zaczęła wygrywać radosną pieśń żałobną i kiedy odebrałem telefon, usłyszałem głos Debs, która nawet nie próbowała odpowiedzieć na moje wesołe: „Halo?”:

– Potrzebuję cię tutaj, natychmiast!

– Jestem okropnie zajęty kanapkami – odpowiedziałem. – Możesz mi pożyczyć dwadzieścia tysięcy dolarów?

Odchrząknęła i rzekła:

– Nie mam czasu na kretynizmy, Dexter. Za dwadzieścia minut zaczyna się odprawa; minęły dwadzieścia cztery godziny od rozpoczęcia śledztwa. Chcę, żebyś tu przyjechał. – Istniał zwyczaj, że po upływie doby od zabójstwa organizowano odprawę z udziałem wszystkich osób uczestniczących w śledztwie, by miały aktualne informacje i działały w sposób zorganizowany. Debs najwyraźniej sądziła, że

mógłbym zasugerować jakieś ciekawe idee, co było miłe z jej strony, lecz się myliła. Mroczny Pasażer wciąż milczał, toteż nie mogłem liczyć na nagły przypływ inspiracji.

– Naprawdę nie mam żadnych pomysłów w związku z tą sprawą, Debs – powiedziałem.

– Po prostu przyjdź – warknęła i odłożyła słuchawkę.

## 8

Na autostradzie numer 836 tuż za miejscem, w którym wlewały się potoki aut z autostrady numer 395 z Miami Beach, utworzył się ośmiusetmetrowy korek. Posuwaliśmy się powoli między zjazdami z autostrady, nieustannie się zatrzymując, aż ujrzeliśmy przyczynę problemu: ładunek arbuź, który wysypał się z ciężarówki. Jezdnię pokrywała czerwono-zielona lepka masa o grubości piętnastu centymetrów; gdzieniegdzie tkwiły w niej w różnym stopniu rozbite samochody. Poboczem przejechała karetka, a za nią kawalkada wozów prowadzonych przez ludzi zbyt ważnych, by tkwić w korku. Wszystkie pojazdy stojące w kolejce trąbiły, kierowcy wrzeszczeli i wymachiwali pięściami; usłyszałem pojedynczy strzał gdzieś z przodu. Miło wrócić do normalnego życia.

Zanim przedarliśmy się przez korek i skręciliśmy w ulice miasta, straciliśmy kwadrans; powrót do pracy zajął kolejny kwadrans. Wjechaliśmy w milczeniu windą na

pierwsze piętro, lecz gdy drzwi się rozsunęły i wyszliśmy, Vince mnie zatrzymał.

– Postępujesz słusznie – rzekł.

– Tak, ale jak się nie pośpieszę, Deborah mnie zamorduje – odpowiedziałem.

Chwycił mnie za ramię.

– Mam na myśli Manny’ego. Spodoba ci się to, co robi. To naprawdę wszystko zmieni.

Byłem pewien, że zmieni stan mojego konta, bo poza tym nie widziałem w tym żadnego sensu. Czy goście naprawdę będą się lepiej bawić, jeśli zamiast wędlin otrzymają serię obiektów o nieznanym przeznaczeniu, wyglądających, jakby pochodziły z kosmosu? Nie rozumiem wielu rzeczy związanych z ludźmi, lecz to już przekraczało wszelkie granice – nie byłem nawet pewien, czy w ogóle będziemy mieć tort weselny.

Jednak bardzo dobrze rozumiałem jedną kwestię: poglądy Deborah na temat punktualności. Harry wbił nam do głowy, że spóźnianie się to oznaka braku szacunku i że nic tego nie usprawiedliwia. Oderwałem palce Vince’a od swojego ramienia i ucisnąłem mu rękę.

– Jestem pewien, że wszyscy będziemy zadowoleni z jedzenia – powiedziałem.

W dalszym ciągu trzymał moją dłoń.

– Chodzi o coś ważniejszego – odparł.

– Vince...

– To deklaracja na temat waszej przyszłości – rzekł. – Naprawdę pozytywna deklaracja, że twoje wspólne życie z Ritą...

– Jeśli natychmiast nie pójdę, moje życie znajdzie się w niebezpieczeństwie, Vince – przerwałem.

– Bardzo się cieszę, że to słyszę – zakończył. To, iż okazał autentyczne emocje, wytrąciło mnie z równowagi do tego stopnia, że w stanie bliskim paniki poszedłem korytarzem do sali konferencyjnej.

Wszystkie miejsca okazały się zajęte, ponieważ po doniesieniach w wieczornych wiadomościach telewizyjnych sprawa zaczęła budzić zainteresowanie. Informacje o znalezieniu spalonych, bezgłowych zwłok dwóch młodych kobiet brzmiały historycznie. Deborah popatrzyła na mnie ze złością, gdy wślizgnąłem się do sali, a ja uśmiechnąłem się do niej w rozbrajający sposób – przynajmniej mam taką nadzieję. Przerwała funkcjonariuszowi, który pojawił się przy zwłokach jako jeden z pierwszych.

– W porządku – rzekła. – Wiemy, że nie znajdziemy głów na miejscu zbrodni.

Myślałem, że moje spóźnione przyście i wściekłe spojrzenie, jakie posłała mi moja siostra, zagwarantują mi nagrodę za najbardziej dramatyczne wejście na scenę, lecz całkowicie się pomyliłem. Kiedy Debs przeszła do następnego punktu odprawy, zostałem przyćmiony jak świeczka w czasie bombardowania pociskami zapalającymi.

– A teraz przedstawcie swoje opinie – poprosiła moja siostra. – Czy macie jakieś pomysły?

– Moglibyśmy przeszukać dno jeziora – zasugerowała Camilla Figg. Miała trzydzieści pięć lat i pracowała jako technik kryminalistyczny. Zwykle siedziała cicho, toteż trochę się zdziwiłem, że się odezwała. Najwyraźniej niektórym z obecnych nie przypadło to do gustu, bo natychmiast zaatakował ją chudy, nerwowy policjant o nazwisku Corrigan.

– Nonsens! – wykrzyknął. – Głowy unoszą się na wodzie.

– W żadnym wypadku – zaprzeczyła Camilla. – To lita kość.

– U niektórych ludzi, owszem – zauważył Corrigan i rozległy się ciche śmiechy.

Deborah zmarszczyła brwi i zamierzała autorytatywnie rozstrzygnąć spór, gdy wtem na korytarzu rozległ się dziwny dźwięk.

BUM!

Nie był bardzo donośny, lecz natychmiast przykuł uwagę wszystkich uczestników odprawy.

BUM!

Blżej, trochę głośniej; miałem wrażenie, że zmierza ku nam istota z trzeciorzędnego horroru...

BUM!

Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu wszyscy obecni w sali wstrzymali oddechy i powoli obrócili głowy w stronę drzwi. Ponieważ nie chciałem zwracać na siebie uwagi, ja również zacząłem się obracać, by spojrzeć na korytarz, gdy nagle powstrzymało mnie niezmiernie delikatne wewnętrzne mrowienie, leciutkie drgnięcie, toteż zamknąłem oczy i zacząłem nasłuchiwać. Halo? – odezwałem się w duchu i po ułamku sekundy usłyszałem cichutki, niepewny dźwięk, jakby coś odchrząknęło w moim mózgu, a potem...

Ktoś obecny na sali mruknął: „Słodki Jezu!” z nabożnym lękiem, który zawsze zaostrza moją ciekawość, i w mojej głowie rozległ się delikatny pomruk, który po chwili ucichł. Otworzyłem oczy.

Byłem taki szczęśliwy, iż Pasażer poruszył się w mroku na tylnym siedzeniu, że na chwilę

przestałem zwracać uwagę na otoczenie. Imitacja człowieka taka jak ja nie powinna popełniać niebezpiecznych pomyłek tego rodzaju; kiedy otworzyłem oczy, przekonałem się o tym ze wstrząsającą siłą.

Był to naprawdę trzeciorzędny horror, *Noc żywych trupów*, lecz rozgrywający się w rzeczywistości, nie na ekranie. W drzwiach po mojej prawej stronie stał człowiek, który powinien być martwy, i wpatrywał się we mnie wściekłym wzrokiem.

Sierżant Doakes.

Doakes nigdy za mną nie przepadał. Wydawało się, że to jedyny policjant w Miami, który podejrzewa, że mogę być tym, czym faktycznie jestem. Zawsze uważałem, że nie nabiera się na mój kamuflaż, bo jest nieco podobny do mnie – ma naturę chłodnego zabójcy. Usiłował znaleźć dowody, że popełniłem najróżniejsze przestępstwa, i nigdy mu się to nie udało. To niepowodzenie sprawiło, że poczuł do mnie jeszcze większą antypatię.

Kiedy po raz ostatni widziałem Doakesa, sanitariusze wsadzali go do karetki pogotowia. Był nieprzytomny, częściowo w wyniku szoku i bólu wywołanego usunięciem języka, stóp i dłoni przez bardzo utalentowanego chirurga amatora, który uznał, że Doakes wyrządził mu



krzywdę. To prawda, dyskretnie utwierdzałem samozwańczego medyka w tym przekonaniu, lecz jednocześnie uczciwie zachęcałem Doakesa, by podjął działania mające na celu schwywanie niehumanoidalnego potwora. Niewiele brakowało, bym ocalił sierżanta, narażając swoje cenne życie i ryzykując utratę kilku części ciała. Niestety, nie udało mi się go brawurowo uratować w odpowiednim momencie, choć na pewno miał nadzieję, że to zrobię. Jednak podjąłem taką próbę i nie ponoszę winy za to, że gdy go odwożono, był bardziej martwy niż żywy.

Dlatego uważałem, że mogę liczyć na odrobinę wdzięczności za wielkie niebezpieczeństwo, na jakie się naraziłem. Nie oczekiwałem kwiatów, medalu ani nawet bombonierki, lecz raczej serdecznego poklepania po plecach i cichych słów w rodzaju „Dzięki, stary”. Doakes, pozbawiony języka, naturalnie nie mógłby ich wymówić w zrozumiały sposób, a uderzenie w plecy metalowym szponem mogłoby się okazać bolesne, ale powinien przynajmniej spróbować. Czy brzmi to nierozsądnie?

Chyba tak. Doakes spoglądał na mnie jak najbardziej wygłodzony pies na świecie gapiący się na ostatni stek. Niegdyś uważałem, że jad, z jakim na mnie patrzy, wystarczyłby do

wytrucia wszystkich zagrożonych gatunków na ziemi. Lecz w porównaniu z obecnym wyrazem jego oczu był to tylko dobroduszny uśmiech rozczochranego dziecka w słoneczny dzień. Zrozumiałem, dlaczego Pasażer odchrząknął – wyczuł znajomego drapieżnika. Powoli rozłożyły się we mnie wewnętrzne skrzydła i mój widmowy towarzysz powrócił z rykiem do życia, przyjmując wyzwanie malujące się w mrocznych oczach Doakesa. Przez dłuższą chwilę staliśmy naprzeciwko siebie, z pozoru tylko na siebie patrząc, lecz w naszych umysłach rzucały sobie wyzwanie dwa drapieżne cienie, warcząc na siebie i plując.

Ktoś coś mówił, ale na świecie pozostałem tylko ja, Doakes i dwa mroczne potwory nawołujące do walki; żaden z nas nie słyszał ani słowa, tylko irytujące brzęczenie rozmawiających ludzi.

W końcu mgłę przeciął głos Deborah.

– Sierżancie Doakes – rzekła z naciskiem. Odwrócił się w jej stronę i czar prysnął. Poczulem zadowolenie z potęgi Pasażera (ach, co za niesamowita rozkosz!) i niewielkiego zwycięstwa, które odniosłem, zmuszając Doakesa do odwrócenia oczu, po czym cofnąłem się o krok w stronę ściany i popatrzyłem na resztki swojego niegdyś potężnego przeciwnika.

Sierżant Doakes w dalszym ciągu był rekordzistą komendy w wyciskaniu sztangi w pozycji leżącej, lecz nie wyglądało na to, że mógłby powtórzyć swój wynik. Był bardzo chudy i wyglądał słabo, z wyjątkiem ognia płonącego w oczach. Stał sztywno na dwóch protezach, zwieszając ręce, a z jego nadgarstków sterczały lśniące srebrzyste szpony przypominające skomplikowane imadła.

Słyszałem oddechy ludzi zgromadzonych w sali, lecz poza tym panowała absolutna cisza. Wszyscy wpatrywali się w to, co niegdyś było Doakesem, a on patrzył na Deborah, która oblizwała wargi, najwyraźniej zastanawiając się, co powiedzieć.

– Siadaj, Doakes – rzuciła w końcu. – Chcesz poznać najświeższe informacje?

Spoglądał na nią przez dłuższy czas, po czym odwrócił się niezgrabnie, obrzucił mnie wściekłym wzrokiem i wyszedł, tupiąc, z sali. Przez chwilę na korytarzu rozlegał się dziwny, miarowy łoskot jego kroków, aż wreszcie ucichł.

Ogólnie rzecz biorąc, policjanci nie lubią okazywać, że coś wywarło na nich wrażenie lub ich przestraszyło. Wszyscy przez kilka sekund wstrzymywali oddech, próbując nie okazać jakichkolwiek uczuć. Nienaturalną ciszę przerwała w końcu Deborah.

– W porządku – rzekła, po czym wszyscy zaczęli nagle pokasływać i wiercić się na krzesłach. – W porządku – powtórzyła. – Więc na miejscu zbrodni nie ma głów.

– Głowy toną w wodzie – oświadczyła z pogardą Camilla Figg i wróciliśmy do tematu, który omawialiśmy przed niespodziewanym pojawieniem się tego, co zostało z sierżanta Doakesa. Paplali przez kolejne dziesięć minut; ich niestrudzona walka z przestępczością sprowadzała się do sporów, kto powinien się zajmować papierkową robotą. Nagle otworzyły się drzwi znajdujące się koło mnie i znów brutalnie nam przerwano.

– Przepraszam, że przeszkadzam – odezwał się kapitan Matthews. – Mam... ach, dobre nowiny. – Popatrzył po sali ze zmarszczonymi brwiami i nawet ja mógłbym mu powiedzieć, że nie jest to mina pasująca do dobrych nowin. – Chodzi o to, że... eee... Wrócił sierżant Doakes i jest... hm... Powinniście zdawać sobie sprawę, że doznał poważnych, hm, obrażeń. Zaledwie za dwa lata może przejść na pełną emeryturę, więc prawnicy... Doszliśmy do wniosku, że w tej sytuacji, eee... – Umilkł i rozejrzał się po sali. – Ktoś was już poinformował?

– Sierżant Doakes był tu przed chwilą – odpowiedziała Deborah.

– Och, a zatem... – rzekł Matthews i wzruszył ramionami. – Bardzo dobrze. W porządku. Kontynuujcie odprawę. Jakież meldunki?

– Nie posunęliśmy się jeszcze do przodu, panie kapitanie – odparła Deborah.

– Cóż, jestem pewien, że wszystko znajdzie się pod kontrolą, nim dziennikarze... To znaczy szybko i sprawnie.

– Tak jest, panie kapitanie.

– W porządku – powtórzył. Znów rozejrzał się po pomieszczeniu, wyprostował plecy i wyszedł.

– Głowy toną w wodzie – odezwał się ktoś i na sali rozległy się lekkie śmiechy.

– Jezu, czy moglibyśmy wreszcie się zabrać do pracy? – rzuciła Deborah. – Mamy dwa trupy!

I to nie koniec, pomyślałem, a Mroczny Pasażer zadygotał lekko, jakby miał ochotę uciec, lecz odważnie się powstrzymywał. Nic jednak nie powiedział i więcej się nad tym nie zastanawiałem.

## 9

Nie miewam marzeń sennych. Jestem w zasadzie pewien, że w trakcie normalnego snu w mojej podświadomości pojawiają się strzępy nonsensownych obrazów – podobno zdarza się to każdemu. Ale jeśli coś mi się śni, nigdy tego nie pamiętam, co podobno nie zdarza się nikomu. Z tego powodu zakładam, że nie mam marzeń sennych.

Dlatego przeżyłem wstrząs, gdy późno w nocy obudziłem się w ramionach Rity, wykrzykując jakieś niezrozumiałe słowa. W gęstym mroku rozległo się echo mojego zduszonego głosu i czułem na swoim czole jej chłodną dłoń.

– Już dobrze, kochany, nie opuszczę cię... – szepnęła.

– Bardzo dziękuję – rzekłem ochrypłym głosem. Odchrząknąłem i usiadłem.

– Miałeś zły sen – powiedziała.

– Naprawdę? Jaki? – Pamiętałem tylko, że krzyczałem i miałem niejasne poczucie narastającego zagrożenia.

– Nie wiem – odparła. – Krzyrzałeś: „Wróć! Nie zostawiaj mnie samego!”. – Przełknęła ślinę.  
– Dexter... Wiem, że się denerwujesz z powodu naszego ślubu...

– Bynajmniej – zaprzeczyłem.

– Chcę, żebyś wiedział, że cię nigdy nie opuszczę. – Znowu wyciągnęła rękę i dotknęła mojej dłoni. – Będę z tobą na zawsze, kochany. Nie zostawię cię. – Przysunęła się i oparła głowę na moim ramieniu. – Nie martw się. Nigdy cię nie opuszczę, Dexter.

Choć mam niewielkie doświadczenie w zakresie snów, byłem prawie pewny, że nie martwię się podświadomie tym, iż Rita mnie opuści. Nie przyszło mi nawet do głowy, że mogłaby to zrobić, lecz nie z powodu zaufania, jakie do niej czułem. Po prostu w ogóle się nad tym nie zastanawiałem. Szczerze mówiąc, zupełnie nie pojmowałem, dlaczego chce być ze mną, a możliwość odejścia wydawała się równie tajemnicza.

Nie, był to głos mojej podświadomości. Skoro krzyrzałem z bólu na myśl o tym, że mogę zostać sam, z pewnością obawiałem się utraty Mrocznego Pasażera. Najbliższego przyjaciela, wiernego towarzysza podróży przez smutki i ostre przyjemności życia. Na tym polegała istota strachu, który odczuwałem we śnie –

bałem się, że stracę to, co stanowi moją najistotniejszą część, co definiuje całe moje życie.

Kiedy na miejscu zbrodni na kampusie Uniwersytetu Miami Pasażer poczuł strach i uciekł, by się schować, wstrząsnęło to mną bardziej, niż wówczas sądziłem. Nagłe, przerażające pojawienie się sześćdziesięciu pięciu procent sierżanta Doakesa wywołało poczucie zagrożenia; reszta okazała się prosta. Włączyła się moja podświadomość i wytworzyła sen związany z tym tematem. Wszystko wydawało się oczywiste – podręcznikowy przypadek reakcji psychologicznej, nie ma się czym przejmować.

Więc dlaczego się przejmowałem?

Ponieważ Pasażer nigdy wcześniej się nie przestraszył i wciąż nie wiedziałem, czemu teraz tak się zachował. Czy Rita ma rację, że się denerwuję nadchodzącym ślubem? Czy Pasażera spłoszyły dwa bezgłowe ciała nad jeziorem na terenie kampusu?

Nie miałem pojęcia – a ponieważ Rita doszła do wniosku, że powinna zacząć mnie pocieszać w bardziej aktywny sposób, nie wydawało się, bym miał szansę szybko się tego dowiedzieć.

– Chodź do mnie, kochany – szepnęła.



Cóż, w małżeńskim łożu w gruncie rzeczy nie ma dokąd uciec, prawda?

\* \* \*

Następnego ranka Deborah zaczęła obsesyjnie poszukiwać brakujących głów dwóch studentek znalezionych na uniwersytecie. Jakimś sposobem do prasy przeciekła informacja, że policja chciałaby znaleźć dwie czaszki, które gdzieś się zawieruszyły. Ponieważ wszystko działo się w Miami, spodziewałem się, że brakująca głowa wzbudzi mniejsze zainteresowanie niż korek na autostradzie I-95, jednakże wywołało to dużą sensację – może dlatego, że chodziło o dwie głowy należące do młodych kobiet. Kapitan Matthews zdawał sobie sprawę z wartości wzmianek prasowych na swój temat, lecz nie podobała mu się ponura histeria otaczająca całą sprawę.

Wszyscy znaleźliśmy się pod presją z góry – kapitan zaczął wywierać nacisk na Deborah, a ona natychmiast wywarła nacisk na nas. Vince Masuoka był przekonany, że kluczem do rozwiązania zagadki jest ustalenie, która ezoteryczna sekta religijna zamordowała dziewczyny. W związku z tym tego ranka

wsadził nagle głowę do mojego gabinetu, uśmiechnął się sztucznie i rzekł głośno, bardzo dobitnie:

– Candomblé.

– Powinieneś się wstydić – odparłem. – Jak możesz używać takich brzydkich słów?

– Ha, ha, ha! – roześmiał się swoim straszliwie nienaturalnym śmiechem. – To wcale nie jest brzydkie słowo! Candomblé to coś w rodzaju Santerii, tyle że brazylijskiej.

– Nie wątpię, że masz rację, Vince. Jednak nie wiem, o czym ty właściwie gadasz, do licha!

Zrobił dwa kroki do przodu, lekko podskakując, jakby jego ciało chciało wzbić się w powietrze i nie był w stanie go powstrzymać.

– Wykorzystują zwierzęce głowy w swoich niektórych rytuałach – oznajmił. – Czytałem o tym w internecie.

– Doprawdy? – odrzekłem. – I czytałeś, że ta brazylijska sekta pali ludzkie zwłoki, obcina im głowy i zastępuje ceramicznymi łbami byków?

Vince stracił część entuzjazmu.

– Nie, ale wykorzystują zwierzęta – odparł, unosząc z nadzieją brwi.

– W jaki sposób, Vince? – spytałem.

– No cóż... – rzekł i rozejrzał się po mojej klitce, może szukając innego tematu do

rozmowy. – Czasami, wiesz, ofiarowują część bogom i zjadają resztę...

– Sugerujesz, że brakujące głowy ktoś zjadł, Vince?

– Nie – zaprzeczył i zrobił ponurą minę, jak niekiedy Cody i Astor. – Ale nie można tego wykluczyć.

– Byłyby pyszne, prawda?

– W porządku – odpowiedział, coraz bardziej ponury. – Staram się po prostu pomóc. – Odszedł, nawet bez sztucznego uśmiešku.

Chaos dopiero się zaczynał. Jak dowiodła moja niechciana podróż do krainy snów, miałem już dość kłopotów, nawet bez dodatkowej presji ze strony swojej rozszalałej siostry. I zaledwie po kilku minutach moja klitka znów przestała być oazą spokoju, gdyż wpadła do niej Debs, jakby ją gonił rój morderczych pszczół.

– Chodź! – warknęła do mnie.

– Dokąd mam iść? – spytałem. Wydawało się to rozsądnym pytaniem, lecz zareagowała, jakbym ją poprosił, by ogoliła sobie głowę i pomalowała ją na niebiesko.

– Zbieraj się i chodź! – powtórzyła. Usłuchałem i poszedłem za nią na parking do jej samochodu. – Przysięgam na Boga, że jeszcze nigdy nie widziałam Matthewsą tak wkurzonego! – mówiła, przedzierając się przez

ruch uliczny – I to moja wina! – Dla podkreślenia uderzyła dłonią w klakson i skręciła tuż przed furgonetką z napisem: PALMVIEW ASSISTED LIVING. – Wszystko z powodu jakiegoś dupka, który przekazał dziennikarzom informacje o głowach!

– Cóż, Debs, jestem pewien, że głowy się znajdą – odrzekłem rzeczowym, uspokajającym tonem.

– Masz całkowitą rację, znajdą się, do cholery!  
– odpowiedziała, o mało nie przejeżdżając grubego mężczyzny na rowerze z ogromnymi sakwami wypchanymi złomem. – Zamierzam się dowiedzieć, do jakiej sekty należy ten sukinsyn, a potem go złapię!

Chciałem dalej pocieszać Debs, lecz umilkłem. Wyglądało na to, że moja droga, zidiociała siostra doszła, podobnie jak Vince, do wniosku, że znalezienie właściwej alternatywnej religii pozwoli wytropić sprawcę zabójstwa.

– Ach, w porządku – odezwałem się. – Gdzie się dowiemy, o jaką sektę chodzi?

Nie odpowiedziała. Skręciła w Biscayne Boulevard, zatrzymała auto przy krawężniku i wysiadła. I w ten sposób cierpliwie podążyłem za nią do Centrum Doskonalenia Wewnętrzznego, gdzie sprzedawano najróżniejsze, absolutnie

niezbędne rzeczy, które mają w nazwach wyrazy „holistyczny”, „ziołowy” bądź „aura”.

Centrum mieściło się w niewielkim, obskurnym budynku w rejonie Biscayne Boulevard; jego okolica wyglądała jak specjalnie wydzielony rezerwat dla prostytutek i dealerów narkotyków. Okna wystawowe były wyposażone w potężne kraty, podobnie jak drzwi, które okazały się zamknięte. Deborah zaczęła walić w nie pięścią i po chwili rozległo się irytujące brzęczenie. Pchnęła drzwi, które szczęknęły i uchyliły się.

Weszliśmy do środka. Otoczył mnie duszący obłok mdlącego, słodkiego kadzidła i zrozumiałem, że moje doskonalenie wewnętrzne rozpocznie się od kapitalnego remontu płuc. Spojrzałem przez dym i zobaczyłem duży, żółty, jedwabny banner wiszący na ścianie; znajdował się na nim napis: „Wszyscy jesteśmy jednością”. Banner nie podawał, o co tu chodzi. W pomieszczeniu rozlegała się cicha muzyka; brzmiała ona tak, jakby ktoś usiłował walczyć ze skutkami przedawkowania środków uspokajających, od czasu do czasu dzwoniąc małymi dzwoneczkami. W tle szumiał wodospad i jestem pewien, że moja dusza stałaby się bogatsza,

gdybym ją miał. Ale ponieważ nie mam duszy, wszystko wydawało się lekko irytujące.

Lecz oczywiście nie przybyliśmy tu dla przyjemności ani nawet dla doskonalenia wewnętrznego. Moja siostra podeszła do sprawy bardzo rzeczowo. Podążyła do lady, za którą stała kobieta w średnim wieku ubrana w długą kolorową suknię, wyglądającą, jakby była uszyta ze starej krepiny. Miała rozczochrane siwiejące włosy i zmarszczone brwi. Naturalnie mógł to być radosny wyraz twarzy człowieka, który doznał oświecenia.

– Czym mogę państwu służyć? – spytała. Jej szorstki głos zdawał się sugerować, że nie da się nam pomóc.

Deborah uniosła odznakę. Zanim zdążyła coś powiedzieć, kobieta wyciągnęła rękę i wyrwała ją z jej palców.

– W porządku, sierżant Morgan – odezwała się i rzuciła odznakę na ladę. – Wygląda na autentyczną.

– Nie mogła się pani tego domyślić na podstawie aury? – zasugerowałem. Żadna z nich nie wydawała się skłonna docenić mojej uwagi w należyty sposób, toteż wzruszyłem ramionami i zacząłem słuchać, jak Deborah prowadzi brutalne przesłuchanie.

– Chciałabym zadać pani kilka pytań – rzekła, pochylając się i podnosząc odznakę.

– Na jaki temat? – spytała ostro kobieta. Jeszcze bardziej się zmarszczyła, a moja siostra zrobiła to samo. Miałem wrażenie, że obie uczestniczą w tradycyjnym wiejskim pojedynku, kto zrobi groźniejszą minę; zwycięzca mógłby liczyć na bezpłatną terapię botoksem, by utrwalić wściekły grymas.

– Popelniono kilka morderstw – oznajmiła Deborah.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Co to ma ze mną wspólnego? – odezwała się.

Zgadzałem się z jej tokiem myślenia, lecz od czasu do czasu trzeba wspierać własną rodzinę.

– Wszystko jest ze sobą związane – zauważyłem. – To podstawowa reguła pracy policji.

Obróciła zmarszczoną twarz w moim kierunku i zamrugła agresywnie.

– Kim pan właściwie jest, do cholery?! – rzuciła. – Proszę pokazać odznakę.

– Wspieram sierżant Morgan na wypadek ataku złej karmy – odpowiedziałem.

Kobieta prychnęła, lecz przynajmniej mnie nie zastrzeliła.

– Policja w Miami tapła się po uszy w zły karmie – rzekła. – Byłam na wiecu FTAA i dobrze was znam.

– Może rzeczywiście nie mamy dobrej karmy, ale druga strona jest jeszcze gorsza – stwierdziła Deborah. – Czy mogłaby pani odpowiedzieć na kilka pytań?

Kobieta znów spojrzała na moją siostrę, ciągle się marszcząc, i wzruszyła ramionami.

– W porządku – powiedziała. – Ale nie rozumiem, jak mogłabym wam pomóc. Jeśli będziecie próbować jakichś sztuczek, zatelefonuję do swojego adwokata.

– Doskonale – rzekła Deborah. – Poszukujemy informacji o kimś, kto może być związany z miejscową alternatywną grupą religijną, która fascynuje się bykami.

Przez sekundę myślałem, że kobieta się uśmiechnie, lecz w porę się zreflektowała.

– Bykami? Jezu, a kto się nimi nie fascynuje?! Zaczęło się dawno temu, w Sumerze, na Krecie, w kolebkach cywilizacji. Byki były czczone przez wiele ludów. Są bardzo silne, nie wspominając o ogromnych penisach.

Jeśli kobieta sądziła, że zawstydzi Debs, niewiele wiedziała o policjantkach z Miami. Moja siostra nawet nie mrugnęła.



– Zna pani jakąś miejscową grupę? – spytała Debs.

– Nie wiem – odrzekła. – Jaką grupę?

– Candomblé? – wtrąciłem, przez moment wdzięczny Vince’owi, że poddał mi to słowo. – Palo Mayombe? A nawet Wicca.

– O hiszpańskie kultury możecie spytać w Eleggua na Ósmej Ulicy. Nic o tym nie wiem. Sprzedajemy różne rzeczy ludziom z Wicca, ale nie zamierzam o tym mówić bez nakazu sądu. Tak czy owak, nie interesują się bykami. Stoją na golasa na bagnach Everglades i czekają, aż spłynie na nich moc – prychnęła.

– Jest ktoś jeszcze? – nalegała Debs.

Kobieta pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia. To znaczy znam większość grup w mieście i nie przychodzi mi nic do głowy. – Wzruszyła ramionami. – Może druidzi, zbliża się ich wiosenne święto. Dawniej składali ofiary z ludzi.

Zmarszczki Debs się pogłębiły.

– Kiedy? – spytała.

Tym razem kobieta naprawdę się uśmiechnęła, bardzo lekko, kątem warg.

– Dwa tysiące lat temu. Trochę się pani spóźniła, Sherlocku.

– Przychodzi pani do głowy coś jeszcze, co mogłoby się okazać pomocne? – nie ustępowała

Deborah.

Kobieta pokręciła głową.

– Pomocne? W czym? Może to jakiś przegrany świr, który się naczytał Aleistera Crowleya i mieszka na farmie, gdzie hodują krowy? Skąd mam wiedzieć?

Deborah spoglądała na nią przez chwilę, jakby się zastanawiała, czy kobieta zachowywała się wystarczająco agresywnie, by ją aresztować, lecz najwyraźniej doszła do wniosku, że nie.

– Dziękuję, że poświęciła nam pani trochę czasu – rzekła i rzuciła na ladę swoją wizytówkę.

– Jeśli przyjdzie pani do głowy coś, co mogłoby nam pomóc, proszę do mnie zatelefonować.

– Tak, jasne – odpowiedziała kobieta, nawet nie patrząc na wizytówkę. Deborah spoglądała na nią groźnie jeszcze chwilę, po czym odwróciła się i wyszła przez drzwi. Kobieta popatrzyła na mnie, a ja się uśmiechnąłem.

– Naprawdę lubię warzywa – wyznałem. Przekazałem kobiecie znak pokoju i podążyłem za siostrą.

– To był głupi pomysł – powiedziała Deborah, gdy szybko wracaliśmy do wozu.

– Och, tak bym tego nie nazwał – odparłem. Była to prawda; rzeczywiście tak bym tego nie nazwał. Naturalnie pomysł był głupi, ale gdybym się do tego przyznał, naraziłbym się na wściekłe

uderzenie w ramię. – Przynajmniej wyeliminowaliśmy kilka możliwości.

– Jasne – prychnęła z kwaśną miną. – Wiemy, że prawdopodobnie nie zrobiła tego banda gołych dzikusów. Nie żyjemy dwa tysiące lat temu.

Miała rację, lecz uważam za swoją misję pomagać otaczającym mnie ludziom zachować optymizm.

– Mimo to robimy postępy – rzekłem. – Pojedziemy na Ósmą Ulicę? Mogę tłumaczyć. – Debs, choć urodziła się w Miami, uczyła się w szkole francuskiego i potrafiła po hiszpańsku tylko zamówić lunch.

Pokręciła głową.

– To marnowanie czasu. Poślę Angela, by wypytał mieszkańców, ale to nic nie da.

Miała rację. Angel wrócił późnym popołudniem z bardzo ładną świeczką, na której znajdowała się napisana po hiszpańsku modlitwa do świętego Judy, lecz wyprawa na Ósmą Ulicę okazała się stratą czasu, jak przewidziała Deborah.

Nie mieliśmy nic oprócz dwóch ciał bez głów i bardzo złych przeczuć.

Wkrótce miało się to zmienić.

## 10

Następnego dnia nic się nie wydarzyło i nie zdobyliśmy żadnej wskazówki, która pozwoliłaby nam się zbliżyć do rozwiązania zagadki podwójnego morderstwa na uniwersytecie. A ponieważ życie jest z natury niesprawiedliwe i groteskowe, Deborah obarczyła mnie winą za brak postępów. Była ciągle przekonana, że posiadam wyjątkowe, magiczne zdolności i że natychmiast je wykorzystałem, by zgłębić mroczny sekret zabójstw studentek, a teraz ukrywam przed nią istotne informacje z małoszkowych, prywatnych powodów.

Bardzo pochlebne, lecz zupełnie nieprawdziwe. Moja jedyna intuicja polegała na tym, że coś w tej sprawie przeraziło Mrocznego Pasażera, i nie chciałem, by to się powtórzyło. Postanowiłem nie wtrącać się do śledztwa, a ponieważ nie było prawie żadnych badań krwi, w logicznym, uporządkowanym wszechświecie to powinno okazać się proste.

Ale niestety nie żyjemy w takiej krainie. Naszym wszechświatem rządzi kapryśny

przypadek, a jego mieszkańcy śmieją się z logiki. W tej chwili najlepszym tego przykładem była moja siostra. Następnego dnia przed południem dopadła mnie w mojej klitce i zabrała na lunch ze swoim narzeczonym, Kyle'em Chutskym. Tak naprawdę nic przeciwko niemu nie miałem, chociaż nieustannie pozował na człowieka, który wszystko wie najlepiej. Poza tym zachowywał się tak sympatycznie i przyjaźnie, jak potrafi chłodny morderca, lecz byłbym obłudnikiem, gdybym go krytykował z tego powodu. A ponieważ moja siostra najwyraźniej wydawała się szczęśliwa, nie miałem pretensji ani o to, ani o nic innego.

Dlatego pojechaliśmy razem na lunch. Po pierwsze dlatego, że Debs to moja siostra, a po drugie dlatego, że potężna machina, jaką jest moje ciało, prawie bez przerwy potrzebuje paliwa.

Paliwem, którego najczęściej łaknę, jest kanapka *medianoche* ze smażonymi *plátanos* i koktajlem mlecznym *mamey*. Nie mam pojęcia, dlaczego ten prosty, zdrowy posiłek wygrywa niebiańskie akordy na strunach mojego organizmu, lecz nic nie może się z nim równać. Jeśli jest właściwie przygotowany, wprawia mnie niemal w ekstazę. A nigdzie nie przygotowują go lepiej niż w Café Relampago, lokalu położonym

niedaleko komendy policji, gdzie Morganowie jadają od niepamiętnych czasów. Jest tak dobry, że nie może go zepsuć nawet wieczna gderliwość Debs.

– Niech to cholera! – odezwała się do mnie, jedząc kanapkę. Naturalnie nie był to nowy zwrot w jej repertuarze, lecz wypowiedziała go z taką złością, że aż obsypałem się okruszkami pieczywa. Wypiłem łyk znakomitego *batido de mamey* i czekałem, aż rozwinie swoją myśl, lecz zamiast tego powtórzyła: – Niech to cholera!

– Znowu ukrywasz swoje uczucia – rzekłem. – Jestem twoim bratem i wyczuwam, że coś cię gnębi.

Chutsky prychnął, krojąc kubański stek.

– Nie gadaj bzdur! – powiedział. Zamierzał kontynuować, ale przekręcił mu się widelec przymocowany do protezy lewej dłoni. – Niech to cholera! – zaklął i zdałem sobie sprawę, że on i Deborah mają więcej wspólnych cech, niż przypuszczałem. Moja siostra pochyliła się i pomogła mu wyprostować widelec. – Dziękuję – rzekł i włożył do ust duży kęs mięsa.

– Widzicie? Potrzebowaliście czegoś, co pozwoliłoby wam zapomnieć o kłopotach – zauważyłem pogodnie.

Siedzieliśmy przy stoliku, gdzie zjedliśmy już ze sto posiłków. Ale Deborah nie odznaczała się

sentymentalizmem: wyprostowała się i uderzyła dłonią w odrapany blat z laminatu, aż podskoczyła cukiernica.

– Chcę wiedzieć, kto rozmawiał z tym kretyńcem Rickiem Sangrem! – rzuciła. Sangre był reporterem miejscowej telewizji, który uważał, że wolna prasa ma obowiązek podawać społeczeństwu jak najwięcej makabrycznych szczegółów każdej krwawej zbrodni. Sądząc z tonu jej głosu, Deborah najwyraźniej podejrzewała, że Rick jest moim nowym najlepszym przyjacielem.

– Cóż, nie ja – odpowiedziałem. – I raczej nie Doakes.

– Auć! – mruknął Chutsky.

– Chcę znaleźć te pieprzone głowy! – warknęła Debs.

– Nie mam ich – odrzekłem. – Pytałaś w biurze rzeczy znalezionych?

– Ty coś wiesz, Dexter – rzuciła. – Daj spokój, dlaczego coś przede mną ukrywasz?

Chutsky uniósł wzrok i przełknął ślinę.

– Czemu miałby wiedzieć coś, czego ty nie wiesz? – spytał. – Było dużo śladów krwi?

– Żadnych – odparłem. – Zwłoki były pięknie spalone i suche jak pieprz.

Chutsky kiwnął głową i zdołał nabrać na widelec trochę ryżu i fasoli.

– Jesteś chorym sukinsynem, prawda?

– To coś gorszego – odrzekła Deborah. – On coś ukrywa.

– Och... – westchnął Chutsky z pełnymi ustami. – Czy znów chodzi o jego amatorskie zainteresowanie profilowaniem psychologicznym? – Była to zasłona dymna; powiedzieliśmy mu, że moje hobby ma charakter analityczny, a nie praktyczny.

– Tak – potwierdziła Deborah. – I nie chce zdradzić, co wymyślił.

– Może trudno w to uwierzyć, siostró, ale nic nie wiem. Po prostu... – Wzruszyłem ramionami, lecz natychmiast się odezwała:

– Co takiego?! Mów, proszę!

Znów się zawahałem. Nie mogłem jej powiedzieć, że Mroczny Pasażer zareagował na niedawne zabójstwa w zupełnie nowy, niepokojący sposób.

– To tylko przeczucie – powiedziałem. – Coś tu jest nie tak.

– Dwa spalone ciała bez głów, a on mi mówi, że coś jest nie tak! – prychnęła. – Podobno byłeś kiedyś inteligentny. A może tylko mi się zdawało?

Ugryzłem kanapkę, a Deborah zmarszczyła brwi, marnując cenny czas, który mogłaby wykorzystać na jedzenie.



– Zidentyfikowaliście już zwłoki? – zapytałem.

– Daj spokój, Dexter. Nie ma głów, więc nie możemy wykorzystać dokumentacji stomatologicznej. Ciało spalono, dlatego brak odcisków palców. Kurwa, nie wiemy nawet, jakiego koloru miały włosy. Co powinnam zrobić, jak sądzisz?

– Chyba mógłbym pomóc – odezwał się Chutsky. Dziabnął widelcem kawałek smażonego *maduras* i włożył do ust. – Mam źródła, które dałoby się wykorzystać.

– Nie potrzebuję twojej pomocy – odpowiedziała.

– Ale z pomocy Dextera korzystasz – rzekł Chutsky, wzruszając ramionami.

– To coś innego.

– Dlaczego? – spytał, dość rozsądnie.

– On tylko mi pomaga. Ty chciałbyś rozwiązać zagadkę za mnie.

Przez dłuższy czas patrzyli sobie w milczeniu w oczy. Widywałem już takie wymiany spojrzeń między nimi i w dziwny sposób przywodziły mi na myśl bezgłośne rozmowy Cody’ego i Astor. Miło było widzieć, że stanowią dobraną parę i są ze sobą tak mocno związani, chociaż przypominało mi to o zmartwieniach związanych z moim własnym ślubem

i luksusowym kuchmistrem, który wydawał się wariatem. Na szczęście, nim zacząłem zgrzytać zębami, Debs przerwała nienaturalną ciszę.

– Nie chcę być zależna od twojej pomocy – powiedziała.

– Mogę ci dostarczyć informacji, których nie jesteś w stanie uzyskać – odparł Chutsky, kładąc zdrową dłoń na jej ramieniu.

– Właściwie skąd? – spytałem. Przyznaję, że od jakiegoś czasu byłem ciekaw, czym zajmuje się Chutsky, a raczej czym się zajmował przed amputacjami, jakie go przypadkiem spotkały. Wiedziałem, że pracował w jakiejś agencji rządowej, którą nazywał IAF, lecz ciągle nie miałem pojęcia, co to znaczy.

Odwrócił się w moją stronę.

– Mam przyjaciół i źródła w wielu miejscach – oznajmił. – Taki zabójca mógł zostawić gdzieś podobne ślady. Mógłbym podzwonić tu i tam, popytać.

– Masz na myśli swoich kumpli z IAF? – spytałem.

Uśmiechnął się.

– Coś w tym guście.

– Na litość boską, Dexter! – odezwała się Deborah. – IAF to po prostu „inna agencja federalna”. Nie ma takiej agencji; to po prostu żart środowiskowy!

– Cieszę się, że się znalazłem w miłym środowisku – odpowiedziałem. – I ciągle masz dostęp do archiwum?

Chutsky wzruszył ramionami.

– Oficjalnie jestem na urlopie zdrowotnym.

– A czym się zajmowałeś przed urlopem?

Uśmiechnął się sztucznie.

– Tak naprawdę nie powinieneś tego wiedzieć – odparł. – Problem polega na tym, że jeszcze nie podjęli decyzji, czy mogę wrócić do pracy. – Popatrzył na widelec przymocowany do stalowej dłoni i obrócił na próbę ramię, by nim poruszyć. – Kurwa mać! – zaklął.

Poczułem, że atmosfera staje się niezręczna, i postanowiłem znów zacząć mówić o normalnych rzeczach.

– Znaleźliście coś w piecu? – spytałem. – Biżuterię lub coś takiego?

– O czym ty gadasz, do cholery?! – zawołała gniewnie Deborah.

– O piecu, gdzie spalono zwłoki – wyjaśniłem.

– Chyba w ogóle mnie nie słuchasz! Nie wiemy, gdzie spalono zwłoki.

– Och, zakładałem, że na terenie kampusu, w pracowni ceramicznej – odrzekłem.

Twarz mojej siostry nagle stężała i zdałem sobie sprawę, że albo ma atak ciężkiej

niestrawności, albo nic nie wie o pracowni ceramicznej.

– Piec znajduje się osiemset metrów od miejsca na brzegu jeziora, gdzie znaleziono zwłoki – powiedziałem. – Wypalają w nim ceramikę.

Deborah patrzyła na mnie jeszcze przez chwilę, a następnie zerwała się na równe nogi i wybiegła. Uznałem to za bardzo oryginalny i dramatyczny sposób zakończenia rozmowy, więc spoglądałem na siostrę, mrugając powiekami.

– Chyba nic o tym nie wiedziała – zauważył Chutsky.

– Ja też tak sędzę – odrzekłem. – Idziemy za nią?

Wzruszył ramionami i nadział na widelec ostatni kawałek steku.

– Skoro nie mam prawa pomagać, zjem babeczkę i wypiję *cafecito*, a potem złapię taksówkę – rzucił. Nabrał trochę ryżu i fasoli, po czym skinął głową w moją stronę. – Idź już, jeśli nie chcesz wracać pieszo do pracy.

Przyznaję, że nie miałem ochoty wracać pieszo do pracy. Z drugiej strony zostało mi jeszcze prawie pół koktajlu mlecznego i nie chciałem z niego zrezygnować. Wstałem i podążyłem za siostrą, lecz zabrałem połowę jej

niedojezionej kanapki, by złagodzić ból rozstania z koktajlem.

Wyszedłem z restauracji i wkrótce wjechaliśmy przez bramę na teren kampusu. W trakcie jazdy Deborah zaczęła rozmawiać przez radio; poleciła funkcjonariuszom, by czekali na nas przy piecach. Przez resztę drogi zaciskała zęby i mamrotała.

Za bramą skręciliśmy w lewo i wjechaliśmy na krętą drogę prowadzącą do warsztatów ceramicznych. Na trzecim roku studiów zapisałem się na zajęcia z ceramiki, by poszerzyć swoje horyzonty, i okazało się, że potrafię formować wazony o regularnych kształtach, lecz nie umiem tworzyć oryginalnych dzieł sztuki, przynajmniej nie w tym materiale. Pochlebiam sobie, że w swojej specjalności posiadam zdolności artystyczne, jak niedawno dowiodłem na przykładzie Zandera.

Czekał już na nas Angel-Nie-Z-Rodziny-Dyktatora, który ostrożnie i cierpliwie przeszukiwał pierwszy piec, szukając jakichkolwiek śladów. Deborah podeszła i przykucnęła obok niego, a ja zostałem z trzema ostatnimi kęsami kanapki. Odgryzłem pierwszy. Koło żółtej taśmy zaczęli się zbierać ludzie. Może mieli nadzieję, że zobaczą coś okropnego? Nigdy

nie wiedziałem, dlaczego tłoczą się przy taśmie, lecz zawsze to robili.

Deborah usiadła na ziemi obok Angela, który wsunął głowę do pierwszego pieca. Wydawało się, że będę musiał długo czekać.

Kiedy włożyłem do ust ostatni kawałek kanapki, nagle zdałem sobie sprawę, że ktoś mnie obserwuje. Oczywiście gapili się na mnie ludzie stojący za taśmą, podobnie jak na wszystkich funkcjonariuszy policji pracujących na miejscu przestępstwa – to się dzieje zawsze. Lecz nie chodziło tylko o patrzenie: Mroczny Pasażer zwracał mi głośno uwagę, że ktoś przejawia niezdrowe zainteresowanie właśnie mną, jako kimś specjalnym i niezwykłym, i bardzo mi się to nie podobało. Przełknąłem resztę kanapki i odwróciłem się, by popatrzeć, gdy wtem Pasażer szepnął kilka słów, w których zabrzmiało oszołomienie... i umilkł.

Poczułem przyływ mdlącej paniki, przed moimi oczami eksplodowało żółte światło i zachwiałem się na nogach. Wszystkie moje zmysły ostrzegały, że grozi mi niebezpieczeństwo, lecz nie byłem w stanie nic zrobić. Trwało to tylko sekundę. Skoncentrowałem się z wysiłkiem i rozejrzałem bacznie po otoczeniu – wyglądało tak samo. Grupka ludzi stała i patrzyła, słońce jasno

świeciło, łagodny wiatr poruszał koronami drzew. Kolejny piękny dzień w Miami, lecz gdzieś w raju wąż uniósł łeb. Zamknąłem oczy i zacząłem nasłuchiwać w nadziei, że znajdę jakąś wskazówkę, która pozwoli mi zrozumieć naturę niebezpieczeństwa, ale słyszałem tylko oddalający się tupot stóp zakończonych szponami.

Otworzyłem oczy i znów się rozejrzałem. Tłumek gapiów składał się z około piętnastu osób, które udawały, że nie są zafascynowane perspektywą zobaczenia zakrwawionych zwłok, lecz żadna niczym się nie wyróżniała. Nikt się nie kulił, nie patrzył złym wzrokiem ani nie próbował ukryć bazooki pod koszulą. Normalnie oczekiwałbym, że mój Pasażer zobaczy mroczny cień wokół kogoś, kto musiał być drapieżnikiem, ale teraz nie mogłem liczyć na taką pomoc. Nie widziałem w tłumie nikogo o złowrogim wyglądzie. Co zatem uruchomiło alarm przeciwpożarowy Pasażera? Wiedziałem o nim bardzo niewiele; po prostu istniał, złośliwie rozbawiony i robiący cięte uwagi. Po raz pierwszy okazał zmieszanie, gdy ujrzał dwa ciała nad jeziorem. A teraz, niespełna kilometr od tamtego miejsca, znowu zachowywał się niepewnie.

Czy coś jest w wodzie? A może istnieje jakiś związek z dwoma spalonymi ciałami?

Podszedłem do miejsca, gdzie pracowali Deborah i Angel-Nie-Z-Rodziny-Dyktatora. Nie wydawało się, by znaleźli coś szczególnie niepokojącego; między piecami a miejscem, gdzie się ukrył Mroczny Pasażer, nie przebiegła błyskawica paniki.

Jeśli drugiej ucieczki Pasażera nie wywołało coś, co znajdowało się przede mną, co było jej przyczyną? Może jakaś dziwna wewnętrzna erozja? Czyżby Pasażera przytłaczało zbliżające się małżeństwo i mój status ojczyrna? A może stawałem się zbyt sympatyczny, by się nadawać na gospodarza? Byłoby to gorsze niż cudza śmierć.

Zdałem sobie sprawę, że stoję tuż przy żółtej taśmie zabezpieczającej miejsce przestępstwa i że wznosi się nade mną ogromny kształt.

– Hm, cześć! – powiedział. Był to wysoki, umięśniony młody człowiek z dość długimi, prostymi włosami; miał lekko rozchylone usta, co nadawało jego twarzy tępy wyraz.

– W czym mogę pomóc, kolego? – spytałem.

– Jest pan... eee... gliną? – wybąkał.

– Coś w tym rodzaju – odpowiedziałem.

Kiwnął głową i zastanawiał się przez chwilę, rozglądając się, jakby szukał czegoś do zjedzenia.



Miał na karku jeden z tych nieszczęsnych tatuaży, jakie ostatnio stały się modne: jakiś chiński ideogram, prawdopodobnie oznaczający „tępak”. Potarł się po tatuażu, jakby czytał w moich myślach, po czym odwrócił się w moją stronę i wykrztusił:

– Cały czas myślę o Jessice.

– Trudno się dziwić – odrzekłem. – Kto by o niej nie myślał?

– Wiadomo, czy to ona? – spytał. – Jestem jej, no... chłopakiem.

Młody dżentelmen natychmiast zainteresował mnie z zawodowego punktu widzenia.

– Jessica zaginęła? – zwróciłem się z pytaniem.

Skinął głową.

– Umówiła się ze mną na bieżni, jak co rano, wie pan. Najpierw mieliśmy biegać, a potem ćwiczyć mięśnie brzucha. Ale wczoraj się nie pokazała, dziś rano też nie. Więc zacząłem myśleć, że... – Zmarszczył brwi, najwyraźniej z wysiłku niezbędnego do myślenia, i umilkł.

– Jak się nazywasz? – spytałem.

– Kurt – odpowiedział. – Kurt Wagner. A pan?

– Dexter – przedstawiłem się. – Zaczekaj tu chwilę, Kurt. – Pośpieszyłem do siostry, by nie narażać go na dalszy wysiłek związany

z myśleniem. – Chyba coś się pojawiło, Debs – rzekłem.

– Cóż, twoje piece do ceramiki odpadają! – burknęła. – Są za małe.

– Nie o to chodzi – odparłem. – Jest tu młody człowiek, któremu zaginęła dziewczyna.

Uniosła głowę i wyprostowała się prawie jak pies gończy, który złapał trop. Popatrzyła na chłopaka Jessiki, który odwzajemnił jej spojrzenie i przestąpił z nogi na nogę.

– Najwyższy czas, cholera! – powiedziała i podążyła w jego kierunku.

Popatrzyłem na Angela. Wzruszył ramionami i wstał. Przez chwilę wydawało się, że się odezwie. Lecz potem pokręcił głową, otrzepał ręce z kurzu i ruszył za Debs, by posłuchać, co ma do powiedzenia Kurt, a ja zostałem zupełnie sam ze swymi mrocznymi myślami.

\* \* \*

Tylko obserwować – czasami to wystarczało. Naturalnie istniała absolutna pewność, że patrzenie nieuchronnie wywoła eksplozję płomieni i cudowny rozlew krwi, przytłaczający rytm emocji pulsujących w ofiarach, coraz głośniejszą muzykę uporządkowanego

szaleństwa, gdy ofiary lecą w otchłań pięknej śmierci... Lecz to miało dopiero nadejść. Na razie Patrzącemu wystarczała obserwacja i upajanie się rozkosznym poczuciem anonimowej, ostatecznej władzy. Wiedział, że istota się niepokoi. Jej niepokój będzie narastał, wznosząc się jak crescendo – najpierw strach, potem panika i wreszcie trwoga, jej pełny rozkwit. Wszystko w swoim czasie.

Patrzący widział, jak istota obserwuje twarze ludzi w tłumie, gorączkowo szukając wyjaśnienia, co jest źródłem narastającego poczucia zagrożenia rejestrowanego przez zmysły. Naturalnie nie mogła niczego odkryć. Na razie. Aż do chwili, gdy Patrzący uzna, że nadszedł właściwy czas. Aż do chwili, gdy doprowadzi istotę do ślepej, obłądnej paniki. Dopiero wtedy przestanie patrzeć i rozpocznie ostatnie działania.

A tymczasem – pora, by istota zaczęła słyszeć muzykę strachu.

Nazywała się Jessica Ortega. Była studentką trzeciego roku i mieszkała w jednym z pobliskich akademików. Dostaliśmy od Kurta numer jej pokoju i Deborah zostawiła Angela przy piecach, by czekał na samochód patrolowy z policjantami, którzy mieli go zluzować.

Nigdy nie rozumiałem, czemu się mówi „akademiki”, a nie „bursy studenckie”. Może dlatego, że obecnie tak bardzo przypominają hotele. Nie ma już szacownych budynków o murach porośniętych bluszczem, tylko przeszklone lobby, rośliny doniczkowe i czyste, nowoczesne korytarze pokryte wykładzinami.

Zatrzymaliśmy się przed drzwiami pokoju Jessiki. Na wysokości oczu przyklejono niewielką, schludną wizytówkę z nazwiskami: ARIEL GOLDMAN i JESSICA ORTEGA. Niżej znajdował się napis mniejszymi, drukowanymi literami: BEZ ŚRODKÓW ODURZAJĄCYCH WSTĘP WZBRONIONY. Ktoś podkreślił słowo „wstęp” i nabazgrał pod nim: „Doprawdy?”.

Deborah popatrzyła na mnie z uniesionymi brwiami.

– Rozrywkowe dziewczyny – zauważyła.

– Ktoś musi być rozrywkowy – odparłem.

Prychnęła i zastukała w drzwi. Nikt nie odpowiedział. Odczekała trzy sekundy i znów zapukała, mocniej.

Usłyszałem, że za moimi plecami otwierają się drzwi, odwróciłem się i zobaczyłem obserwującą nas bardzo chudą dziewczynę w okularach, z krótkimi jasnymi włosami.

– Nie ma ich – oznajmiła z nieukrywaną niechęcią. – Już od kilku dni. Pierwszy raz w całym semestrze jest cicho.

– Wiesz, gdzie pojechały? – spytała Deborah.

Dziewczyna zaczęła przewracać oczyma.

– Gdzieś musi być niezła impreza – odrzekła.

– Kiedy je ostatnio widziałas? – dopytywała się moja siostra.

Studentka wzruszyła ramionami.

– Ich się nie widzi, tylko słyszy. Głośna muzyka i śmiechy przez całą noc, jasne? To koszmar dla kogoś, kto naprawdę się uczy i chodzi na zajęcia. – Pokręciła głową i wokół jej twarzy zafalowały krótkie włosy. – Trudno to wytrzymać.

– Więc kiedy je ostatnio słyszałaś? – odezwałem się.

Popatrzyła na mnie.

– Jesteście z policji czy jak? Co tym razem spsociły?

– A co spsociły wcześniej? – spytała Debs.

Dziewczyna westchnęła.

– Dostawały mandaty za złe parkowanie. Całe mnóstwo. Raz prowadziły samochód po alkoholu. Hej, nie chcę, żeby to brzmiało jak donoszenie.

– Czy ich nieobecność to coś nietypowego? – zagadnąłem.

– Nietypowa jest ich obecność na zajęciach. Nie mam pojęcia, jak dostają zaliczenia. – Uśmiechnęła się krzywo. – To znaczy chyba mogę się domyślić, ale... – Wzruszyła ramionami. Nie podzieliła się z nami swoimi domysłami, jeśli nie liczyć krzywego uśmiechu.

– Na które zajęcia chodzą razem? – spytała Deborah.

Studentka znów wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

– Musicie sprawdzić w dziekanacie – odpowiedziała.

Do dziekanatu nie szło się długo, zwłaszcza w tempie, jakie narzuciła moja siostra. Zdołałem dotrzymać jej kroku i nie byłem zbyt zdyszany, by zadać kilka dociekliwych pytań.

– Dlaczego chcesz wiedzieć, na które zajęcia chodziły razem?

Deborah machnęła niecierpliwie ręką.

– Jeśli ta dziewczyna się nie myli, Jessica i jej współlokatorka...

– Ariel Goldman – wtrąciłem.

– Zgadza się. Jeśli kupują zaliczenia za seks, mam ochotę porozmawiać z ich profesorami.

Brzmiało to sensownie. Seks to jeden z najpospolitszych motywów zbrodni, co niezbyt pasuje do rozpowszechnionych pogłosek, że jest związany z miłością. Była jednak pewna drobnostka, która się nie zgadzała.

– Dlaczego profesor miałby palić zwłoki i obcinać głowy? Dlaczego ich po prostu nie udusił i nie wrzucił zwłok do kontenera na śmieci?

Deborah pokręciła głową.

– To, jak to zrobił, nie ma znaczenia. Ważne, czy to zrobił.

– W porządku – powiedziałem. – A jaką mamy pewność, że ofiary to właśnie te dwie studentki?

– Wystarczającą, by porozmawiać z ich wykładowcami, na początek – odpowiedziała.

Przybyliśmy do dziekanatu, a kiedy Debs pokazała odznakę, natychmiast udzielono nam pomocy. Przez następne pół godziny moja siostra chodziła tam i z powrotem, mrużąc pod nosem, a ja siedziałem przy komputerze

z sekretarką i przeglądałem listy studentów. Jessica i Ariel uczestniczyły razem w wielu zajęciach; wydrukowałem nazwiska, numery gabinetów i adresy domowe wykładowców. Deborah zerknęła na listę i skinęła głową.

– Ci dwaj, Bukovich i Halpern, mają w tej chwili dyżury. Możemy zacząć od nich.

Wyszliśmy razem z dziekanatu i ruszyliśmy przez kampus, pocąc się w parnym powietrzu.

– Miło znów chodzić po uniwersytecie, prawda? – odezwałem się, próbując prowadzić uprzejmą konwersację, co zawsze kończy się fiaskiem.

– Miło byłoby, gdybyśmy zidentyfikowali zwłoki i zbliżyli się do schwytania mordercy! – prychnęła Deborah.

Nie uważałem, że identyfikacja zwłok naprawdę zbliży nas do aresztowania mordercy, lecz nie jestem nieomylny, a praca policji opiera się na rutynie i procedurach. Jedną z chwalebnych tradycji naszego fachu głosi, że dobrze znać nazwisko zamordowanego. Dlatego chętnie poszedłem z Debs do budynku biurowego, gdzie dyżurowali dwaj profesorowie.

Gabinet Halperna znajdował się na parterze, tuż przy głównym wejściu, i Debs zapukała do jego drzwi natychmiast po przekroczeniu progu. Nikt nie odpowiedział. Spróbowała przekreślić



gałkę. Drzwi okazały się zamknięte, toteż znów w nie uderzyła, również bez efektu.

Korytarzem nadszedł jakiś mężczyzna. Zatrzymał się przy sąsiednim gabinecie i zerknął na nas, unosząc brwi.

– Szukają państwo Jerry’ego Halperna? – spytał. – Chyba dziś go nie ma.

– Wie pan, gdzie jest? – odezwała się Deborah. Uśmiechnął się lekko.

– Domyślam się, że skoro nie ma go na uniwersytecie, jest w swoim mieszkaniu. Czemu państwo pytają?

Debs wyjęła odznakę i pokazała mu ją. Nie zrobiło to na nim wrażenia.

– Rozumiem – powiedział. – Czy to ma coś wspólnego z dwoma trupami znalezionymi na terenie kampusu?

– Ma pan jakiś powód, by tak przypuszczać? – spytała Deborah.

– Nnnie... – odparł. – Raczej nie.

Spoglądała na niego i czekała, lecz milczał.

– Czy moglibyśmy wiedzieć, jak pan się nazywa? – rzekła w końcu.

– Doktor Wilkins. – Kiwnął głową w stronę drzwi, przed którymi stał. – To mój gabinet.

– Doktorze Wilkins, czy mógłby mi pan wytłumaczyć, co znaczyła pańska uwaga o profesorze Halpernie? – spytała Deborah.

Wilkins wydał wargi.

– Cóż... – powiedział z wahaniem. – Jerry to miły facet, ale skoro prowadzą państwo śledztwo w sprawie morderstwa... – Przez chwilę milczał znacząco. Deborah również. – Hm... – mruknął wreszcie. – Zdaje się, że w zeszłą środę słyszałem hałasy w jego gabinecie. – Pokręcił głową. – Ściany nie są zbyt grube.

– Jakie hałasy? – chciała wiedzieć Deborah.

– Krzyki – wyjaśnił. – Może także odgłosy szamotaniny. Wyjrzałem na korytarz i zobaczyłem studentkę, młodą kobietę, która wybiegła z gabinetu Halperna i uciekła. Była... ach... Miała podartą koszulę.

– Rozpoznał ją pan? – spytała Deborah.

– Tak – odpowiedział Wilkins. – Miałem z nią zajęcia w zeszłym semestrze. Nazywa się Ariel Goldman. Śliczna dziewczyna, ale kiepska studentka.

Deborah zerknęła na mnie i skinąłem zachęcająco głową.

– Myśli pan, że Halpern próbował się narzucać pannie Goldman?

Wilkins przekrzywił głowę i uniósł dłoń.

– Nie mogę tego powiedzieć na pewno. Ale tak to wyglądało.

Deborah popatrzyła na Wilkinsa, lecz nie miał nic do dodania, toteż skinęła głową i rzekła:

– Dziękuję, doktorze. Bardzo nam pan pomógł.

– Mam nadzieję – odparł, odwrócił się i otworzył drzwi do swojego gabinetu. Debs już spoglądała na wydruk z dziekanatu.

– Halpern mieszka coś około dwóch kilometrów stąd – stwierdziła i podążyła w stronę wyjścia. Znow musiałem ją gonić.

– Którą hipotezę odrzucamy? – zapytałem. – Że Ariel usiłowała uwieść Halperna? Czy że próbował ją zgwałcić?

– Niczego nie odrzucamy – odparła. – Najpierw porozmawiajmy z Halpernem.

## 12

Doktor Jerry Halpern mieszkał trzy kilometry od kampusu, w dwukondygnacyjnym domu, który przed czterdziestu laty musiał być bardzo ładny. Otworzył drzwi, gdy tylko Deborah zastukała, i zatrzepotał powiekami, oślepiiony promieniami słońca. Wyglądał na trzydzieści pięć lat, był chudy, lecz nie wysportowany, i nie golił się od kilku dni.

– Tak? – spytał rozdrażnionym tonem osiemdziesięcioletniego profesora. Odchrząknął i znów się odezwał: – O co chodzi?

Deborah uniosła odznakę i powiedziała:

– Czy moglibyśmy wejść?

Halpern popatrzył na odznakę wybałuszonymi oczyma. Stracił nieco rezon.

– Ja nie... Po co państwo chcą wejść?

– Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań – odparła Deborah. – O Ariel Goldman.

Halpern zemdlał.

Rzadko zdarza mi się widzieć, że moja siostra jest zaskoczona – zbyt dobrze nad sobą panuje. Dlatego z przyjemnością patrzyłem, jak opadła jej szczęka, gdy Halpern runął na podłogę.

Nadałem twarzy zatroskany wyraz i pochyliłem się, by zbadać puls.

– Serce ciągle bije – zauważyłem.

– Wnieśmy go do środka – rzekła Deborah i zawlokłem go do mieszkania.

Prawdopodobnie nie było ono tak małe, na jakie wyglądało, lecz ściany pokrywały półki z książkami, a na stole piętrzyły się stosy papierów i książek. Resztę wolnego miejsca zajmowała podniszczona, obskurna dwuosobowa kanapa, wyściełany fotel i stojąca za nim lampa. Posadziłem Halperna na kanapie, która zaskrzypiała i niepokojąco się pod nim ugięła.

Wstałem i o mało nie wpadłem na Deborah, spoglądającą groźnie na uczonego.

– Zaczekaj, aż odzyska przytomność, nim zaczniesz go straszyć – rzekłem.

– Ten sukinsyn coś wie – odpowiedziała. – Inaczej dlaczego zemdłał?

– Może źle się odżywia? – zasugerowałem.

– Obudź go – rozkazała.

Popatrzyłem na nią, by się przekonać, czy żartuje, lecz oczywiście mówiła śmiertelnie poważnie.

– Co proponujesz? – spytałem. – Zapomniałem zabrać soli trzeźwiących.

– Nie możemy po prostu stać i czekać. – Pochyliła się do przodu, jakby zamierzała nim potrząsnąć, a może walnąć go pięścią w nos.

Na szczęście w tej samej chwili Halpern odzyskał przytomność. Zatrzepotał powiekami, a potem spojrzał na nas i jego ciało zeszywniało.

– Czego chcecie? – wykrztusił.

– Obiecuje pan więcej nie mdleć? – spytałem. Deborah odsunęła mnie na bok szturchnięciem łokcia.

– Chodzi o Ariel Goldman – powiedziała.

– O Boże! – jęknął Halpern. – Wiedziałem, że to się tak skończy!

– Miał pan rację – wtrąciłem.

– To nie moja wina! Musicie mi uwierzyć! – rzekł, próbując usiąść.

– W porządku – odezwała się Debs. – Wobec tego kto to zrobił?

– Ona sama – odpowiedział.

Deborah zerknęła na mnie, może chcąc się przekonać, czy potrafię wyjaśnić, dlaczego Halpern kompletnie zwariował. Niestety, nie byłem w stanie tego wytłumaczyć, toteż znów spojrzała na naukowca.

– Ona sama? – powtórzyła z powątpiewaniem.

– Tak! – upierał się. – Chciała mnie zmusić, żebym jej wystawił dobry stopień, więc wszystko

upozorowała!

– Sama się spaliła – odezwała się bardzo wyraźnie Deborah, jakby mówiła do trzylatka. – A potem obcięła sobie głowę. Żeby dostać dobry stopień...

– Mam nadzieję, że dał jej pan przynajmniej czwórkę za duży wkład pracy – wtrąciłem.

Halpern wybałuszał na nas oczy. Szczęka opadła mu ze zdumienia i drgała spazmatycznie, jakby przecięto mu ścięgna.

– Co takiego? – wyjąkał. – O czym wy mówicie?

– O Ariel Goldman – wyjaśniła Debs. – I jej współlokatorce, Jessice Ortedze. Obie spalono i ucięto im głowy. Wie pan coś na ten temat?

Halpern zachnął się i długo milczał.

– Ja, ja... Nie żyją? – szepnął wreszcie.

– Ucięto im głowy – powtórzyła Deborah. – Sądzi pan, że mogą żyć?

Obserwowałem z wielkim zainteresowaniem, jak na twarzy Halperna pojawiają się różne emocje, aż wreszcie, gdy dotarło do niego znaczenie słów mojej siostry, znowu opadła mu szczęka.

– Myślicie, że ja... Nie możecie...

– Przykro mi, Jerry, możemy – rzekła Deborah. – Chyba że wyjaśnisz, dlaczego nie powinniśmy.

– Ale to... Ja nigdy... – wymamrotał.  
– Ktoś je zabił – rzuciłem.  
– Tak, ale... Mój Boże...!  
– Myślałeś, że o co chcemy cię spytać, Jerry? – odezwała się Debs.

– O gwałt! O to, że jej nie zgwałciłem!  
Gdzieś istnieje świat, w którym wszystko ma sens, lecz znajdowaliśmy się w jakimś innym miejscu.

– Że jej nie zgwałciłeś? – powtórzyła Deborah.  
– Tak. Chciała, żebym to zrobił.  
– Chciała, żebyś ją zgwałcił? – zdziwiłem się.  
– Ona, ona... – rzekł i oblał się rumieńcem. – Proponowała mi... eee... seks. Za zaliczenie – dodał, patrząc w podłogę. – Odmówiłem.

– I wtedy poprosiła, żebyś ją zgwałcił? – odezwałem się. Deborah szturchnęła mnie łokciem.

– Odmówiłeś, Jerry? – spytała. – Takiej ładnej dziewczynie?

– Wtedy ona... ona powiedziała, że tak czy inaczej dostanie piątkę. Rozdarła sobie koszulę i zaczęła krzyczeć. – Przełknął ślinę, lecz nie spojrzał na nas.

– Mów dalej – poprosiła Deborah.  
– Pomachała mi ręką na pożegnanie. – Uniósł rękę i zademonstrował gest dziewczyny. – A potem wybiegła na korytarz. – Wreszcie



popatrzył na nas. – W tym roku ubiegam się o stały etat – rzekł. – Gdyby rozeszły się o tym plotki, moja kariera byłaby skończona.

– Jasne – powiedziała ze zrozumieniem Debs.

– Czyli zabiłeś ją, by ratować swoją karierę?

– Co takiego? Nie! – wykrztusił. – Nie zabiłem jej!

– Więc kto ją zabił, Jerry? – spytała Deborah.

– Nie mam pojęcia! – zawołał. W jego głosie zabrzmiała irytacja, jakbyśmy oskarżyli go o kradzież ciastka. Deborah patrzyła na niego w milczeniu, a on spoglądał to na nią, to na mnie. – Ja tego nie zrobiłem! – rzekł z naciskiem.

– Chciałabym ci wierzyć, Jerry – odezwała się Deborah. – Ale to nie zależy ode mnie.

– Co to znaczy? – spytał.

– Muszę cię prosić, żebyś ze mną pojechał – odparła.

– Aresztujecie mnie?! – zawołał.

– Zabiorę cię na komendę, gdzie odpowiesz na kilka pytań, to wszystko – rzekła uspokajającym tonem.

– O mój Boże! – wymamrotał. – Aresztujecie mnie! To... nie... Nie!

– Załatwmy to w kulturalny sposób, profesoro – rzuciła Deborah. – Kajdanki nie będą potrzebne, prawda?

Spoglądał na nią przez dłuższą chwilę, po czym nagle zerwał się z miejsca i popędził w stronę drzwi. Niestety, jego mistrzowski plan ucieczki miał jedną wadę: Halpern musiał przebiec obok mnie, a Dexter jest powszechnie znany z błyskawicznego refleksu. Podstawiłem mu nogę, po czym runął na podłogę i uderzył głową w drzwi.

– Auć! – wykrzyknął.

Uśmiechnąłem się do Deborah.

– Chyba jednak przydadzą się kajdanki – powiedziałem.

## 13

Nie jestem paranoikiem. Nie uważam, że jestem otoczony przez tajemniczych wrogów, którzy chcą mnie wciągnąć w pułapkę, torturować i zabić. Naturalnie, świetnie zdaję sobie sprawę, że jeśli odsłonię przed ludźmi swoje prawdziwe oblicze, całe społeczeństwo zacznie się domagać, bym zginął, cierpiąc powolne, straszliwe męki. Lecz to nie paranoja – po prostu spokojny, jasny osąd sytuacji. Nie budzi on we mnie lęku. Staram się jednak postępować ostrożnie, by coś takiego się nie zdarzyło.

Duża część mojej ostrożności polegała na słuchaniu cichych szeptów Mrocznego Pasażera, który w tej chwili nie chciał się ze mną dzielić swoimi przemyśleniami. W moim mózgu panowała dziwna, niepokojąca cisza; bardzo mnie to denerwowało i wręcz wyprowadzało z równowagi. Już przy piecach poczułem, że ktoś mnie obserwuje, wręcz tropi. A potem, gdy wracaliśmy na komendę, przez cały czas miałem wrażenie, że ktoś za nami jedzie. Czy to prawda? Czy miał złe zamiary? A jeśli tak, czy wobec

mnie, czy Deborah? A może był to po prostu przypadkowy wariat?

Obserwowałem auto, białą toyotę avalon, w bocznym lusterku. Jechała za nami przez całą drogę, aż Deborah skręciła na parking, a wtedy toyota po prostu nas minęła i ruszyła dalej, nie zwalniając. Kierowca nawet na nas nie popatrzył, lecz nie mogłem się uwolnić od śmiesznej myśli, że rzeczywiście nas śledził. Jednak pewność mógłbym uzyskać jedynie wtedy, gdyby powiedział mi to Pasażer, który uparcie milczał – wydał z siebie tylko coś w rodzaju cichego syku połączonego z przełknięciem śliny, toteż mówienie czegokolwiek Debs wydało mi się kompletnym idiotyzmem.

Później, gdy wyszedłem z budynku i wsiałem do swojego wozu, by wrócić na noc do domu, znów miałem to samo uczucie, że ktoś lub coś na mnie patrzy – lecz było to tylko uczucie. Nie ostrzeżenie, nie wewnętrzny szept dobiegający z mroku, nie trzepot niewidzialnych czarnych skrzydeł każących się przygotować – po prostu uczucie. Zdenerwowałem się. Kiedy Pasażer mówi, słucham i działam. Teraz nie mówił, tylko się wiercił, a ja nie miałem pojęcia, co to znaczy. Nie przyszedł mi do głowy żaden konkretny pomysł i ruszyłem na południe

w stronę domu, spoglądając w lusterko wsteczne.

Czy to tak właśnie się czuje człowiek? Kroczy przez życie, mając ciągle wrażenie, że jest zwierzyną łowną ściganą przez tygrysy podążające jego tropem? Jeśli tak, bardzo pomaga to wyjaśnić ludzkie zachowania. Jestem drapieżnikiem i doskonale znam poczucie mocy, które pojawia się, gdy spaceruję w przebraniu wśród stad potencjalnych ofiar, wiedząc, że w każdej chwili mogę porwać jedną z nich. Jednak bez pomocy Pasażera nie tylko wtapiałem się w stado, lecz także stawałem się jego częścią. Byłem bezbronną zwierzyną łowną i bardzo mi się to nie podobało. Nieustannie miałem się na baczności.

Kiedy zjechałem z autostrady, zauważyłem, że śledzi mnie biała toyota avalon.

Oczywiście na świecie jest mnóstwo białych toyot avalon. Japończycy przegrali wojnę i daje im to prawo do dominacji na amerykańskim rynku motoryzacyjnym. Zatłoczoną autostradą, którą jechałem, mogło zmierzać do domu wiele takich toyot. Logicznie rzecz biorąc, liczba dróg jest ograniczona i biała toyota avalon mogła się pojawić na każdej z nich. Przyjęcie, że ktoś chciałby mnie śledzić, nie wydawało się logiczne.

Co takiego zrobiłem? Czy ktokolwiek mógłby mi coś udowodnić?

Z tego powodu wrażenie, że jestem obserwowany, również wydawało się całkowicie nielogiczne, co nie wyjaśnia, dlaczego raptownie skręciłem w prawo z autostrady U.S. 1 i pojechałem jedną z bocznych ulic.

Nie wyjaśnia również, dlaczego biała toyota podążyła za mną.

Trzymała się daleko z tyłu, jak każdy drapieżnik, który nie chce spłoszyć ofiary – albo normalny człowiek jadący przez przypadek tą samą trasą. Dlatego, wbrew logice, zupełnie inaczej, niż mam w zwyczaju, znowu skręciłem, tym razem w lewo, w wąski zaułek biegnący przez osiedle mieszkaniowe.

Po chwili biała toyota pojechała za mną.

Jak już wspomniałem, Drapieżny Dexter nie wie, czym jest strach. Mimo to waliło mi serce, zaschło mi w ustach i miałem spocone ręce. Może były to po prostu objawy silnego niepokoju?

Nie podobało mi się to uczucie. Nie byłem już Rycerzem Noża. Mój miecz i zbroja pozostały w piwnicach zamku, a ja znalazłem się bez nich na polu bitwy – bezbronna ofiara, smaczny kąsek tropiony przez coś, co podążało moim śladem, rozdmывая nozdrza. Nie wiedziałem,

dlaczego tak się dzieje, lecz nie miałem już wątpliwości, że stałem się tropioną zwierzyną.

Znowu skręciłem w prawo – i zauważyłem znak drogowy oznaczający ślepą uliczkę.

Koniec. Znalazłem się w pułapce.

Z jakiegoś powodu zwolniłem i zacząłem czekać na pojawienie się toyoty. Chyba po prostu chciałem mieć pewność, że biały avalon naprawdę się zbliża. Pojawił się. Dotarłem do końca uliczki, gdzie znajdował się niewielki okrągły placyk pozwalający zawrócić. Na podjeździe domu na końcu placyku nie stał żaden samochód. Zatrzymałem się i wyłączyłem silnik, zdumiony, że tak mocno wali mi serce i że mogę tylko czekać, aż to, co mnie ściga, wbije we mnie swoje szpony i zęby, a potem...

Biała toyota była coraz bliżej. Kiedy dotarła do placyku, zwolniła i ruszyła w moim kierunku...

Minęła mnie, zawróciła, ruszyła w przeciwną stronę i rozplynęła się w promieniach słońca zachodzącego nad Miami.

Obserwowałem, jak odjeżdża, i kiedy tylne światła znikły za zakrętem, nagle odzyskałem zdolność oddychania. Wykorzystanie tej umiejętności okazało się bardzo przyjemne. Kiedy zawartość tlenu w moim mózgu wróciła do normy i znów stałem się sobą, poczułem się

bardzo głupio. Co tak naprawdę się wydarzyło? Miałem wrażenie, że śledzi mnie jakiś wóz, lecz później odjechał. Mógł wybrać tę samą trasę z miliona różnych powodów i większość z nich dawało się podsumować jednym określeniem – zbieg okoliczności. Kiedy biedny Niezdecydowany Dexter siedział spocony za kierownicą, co zrobił wielki, zły samochód? Pojechał dalej. Kierowca nie zatrzymał się, by się na mnie gapić, warknąć lub rzucić granat ręczny. Pojechał dalej i zostawił mnie w kałuży absurdałnego strachu.

Coś zapukało w moją szybę i uderzyłem głową w sufit auta.

Odwrociłem się i spojrzałem. Pochylał się nade mną wąsaty mężczyzna w średnim wieku z brzydkimi bliznami po trądziku. Wcześniej go nie zauważyłem, co stanowiło jeszcze jeden dowód, że jestem sam i nikt mnie nie chroni.

Opuściłem szybę.

– Mógłbym panu jakoś pomóc? – spytał.

– Nie, dziękuję – odrzekłem, trochę zdziwiony, jaką pomoc ma na myśli. Szybko wyjaśnił, o co chodzi.

– Stoi pan na moim podjeździe – oznajmił.

– Och... – westchnąłem i przyszło mi do głowy, że powinienem podać jakieś wyjaśnienie.

– Szukałem Vinny'ego – rzuciłem. Niezbyt



błyskotliwe, lecz nadające się do wykorzystania w tej sytuacji.

– Pomylił pan adres – rzekł mężczyzna tonem złośliwego triumfu, który trochę mnie rozweselił.

– Przepraszam – powiedziałem. Zamknąłem okno i wyjechałem z podjazdu na biegu wstecznym, a mężczyzna stał i spoglądał za mną, prawdopodobnie chcąc się upewnić, czy nagle nie wyskoczę z samochodu i nie zaatakuję go maczetą. Po chwili znów znalazłem się w krwiożerczym chaosie autostrady U.S. 1. Rutynowa przemoc panująca na drodze otoczyła mnie niczym ciepły koc – poczułem, że znów powoli wracam do siebie. Z powrotem w domu, za zrujnowanymi murami Zamku Dextera z pustym lochem.

Nigdy jeszcze nie było mi tak głupio – czułem się niemal jak prawdziwa istota ludzka, na tyle, na ile to możliwe. Co ja sobie właściwie myślę, do licha?! Szczerze mówiąc, w ogóle nie myślę, po prostu reaguję na dziwaczne przypiły paniki. Wydawało się to zbyt ludzkie, śmiechu warte. Gdybym był prawdziwym człowiekiem, na pewno wybuchnąłbym śmiechem. Tak czy inaczej, byłem śmieszny.

Przejechałem ostatnie kilometry, wymyślając sobie w duchu, że zareagowałem tak lękliwie

i przesadnie, i kiedy skręciłem w podjazd przed domem Rity, byłem już kompletnie zmieszany z błotem, co sprawiło, że poczułem się znacznie lepiej. Wsiadłem z auta, prawie się uśmiechając, rozbawiony głębią swojej głupoty. Kiedy zrobiłem pierwszy krok w stronę domu, powoli przejechał obok mnie samochód.

Biały avalon, oczywiście.

Jeśli na świecie istnieje sprawiedliwość, z pewnością był to moment, który specjalnie dla mnie zaaranżowała. Wielokrotnie obserwowałem z rozbawieniem ludzi stojących z otwartymi ustami, kompletnie sparaliżowanych przez zaskoczenie i strach, a teraz przyjąłem tę samą idiotyczną pozę. Zastygłem w miejscu, nie będąc w stanie nawet otrzeć śliny ciekącej mi z ust, spoglądając na przejeżdżający samochód i myśląc tylko, że muszę wyglądać bardzo, bardzo głupio.

Naturalnie, wyglądałbym jeszcze głupiej, gdyby kierowca białego samochodu zrobił coś więcej, niż tylko wolno koło mnie przejechał, lecz na szczęście dla wielu osób, które mnie znają i kochają – co najmniej dwóch, ze mną włącznie – nie zatrzymał się. Przez chwilę wydawało mi się, że widzę twarz mężczyzny patrzącego na mnie z fotela kierowcy. Później samochód przyśpieszył i skręcił w kierunku

środku ulicy; przed ułamek sekundy światło odbijało się od srebrnego łba byka, logo toyoty, i wóz zniknął.

W końcu zamknąłem usta, podrapałem się po głowie i chwiejnie wszedłem do domu. Nie przyszło mi do głowy nic innego, co mógłbym zrobić.

\* \* \*

Usłyszałem ciche, lecz bardzo głębokie i potężne dudnienie bębnów i poczułem przypływ radości wynikającej z ulgi oraz oczekiwania na to, co ma nadejść. Następnie rozległ się dźwięk rogów; to się zbliżało, miało się pojawić już za chwilę. Zadowolenie narastało, muzyka stawała się coraz głośniejsza, aż zdawała się dobiegać ze wszystkich stron. Stopy niosły mnie tam, skąd dochodziły głosy obiecujące szczęście; wszystko zmieniło się w radość, wszechogarniającą rozkosz, obietnicę wiecznej ekstazy...

Obudziłem się z mocno bijącym sercem i poczuciem ulgi, które z pewnością nie było uzasadnione i którego nie pojmowałem. Nie przypominało to wypicia łyku wody, by

zaspokoić pragnienie, ani odpoczynku w chwili zmęczenia, chociaż z tym się kojarzyło.

Ale – nie było to zaskakujące, lecz bardzo niepokojące – poczułem ulgę, jaka ogarnia mnie po nocy spędzonej na zabawie z potworami; ulgę, która sugeruje, że zaspokoilem swoje najgłębsze pragnienia, toteż mogę się odprężyć i przez pewien czas nic nie robić.

Uznałem to za niemożliwe. Wykluczone, bym przeżywał we śnie swoje najbardziej prywatne i osobiste uczucia.

Popatrzyłem na zegar koło łóżka: pięć po północy. O tej porze Dexter powinien spać, szczególnie w nocy, którą zamierzał przeznaczyć na odpoczynek.

Po drugiej stronie łóżka Rita cicho pochrapywała, podrygując lekko jak pies, który śni, że ściga królika.

Po mojej stronie łóżka leżał straszliwie oszołomiony Dexter. Coś wkroczyło do mojego snu i zburzyło jego bezduszny spokój. Nie wiedziałem, co to takiego, lecz z niewiadomego powodu sprawiło mi to wielką przyjemność i bardzo mi się to nie podobało. Moje księżycowe hobby dawało mi zadowolenie w beznamiętny sposób, to wszystko. Nic innego nie miało jak dotychczas wstępu do mrocznych zakamarków lochów Dextera. Chciałem, aby tak zostało.

Miałem własne, ściśle strzeżone miejsce, oznaczone i zamknięte, gdzie czułem prywatną, szczególną radość – tylko w te noce, nigdy więcej. Nic innego nie miało dla mnie sensu.

Co zatem mnie napadło, wyważyło drzwi, zalało piwnicę niepotrzebnym, niechcianym uczuciem? Co na całym świecie mogło wejść do środka z taką przytłaczającą łatwością?

Położyłem się, postanowiwszy zasnąć i udowodnić sobie, że ciągle panuję nad sytuacją, że nic się nie wydarzyło i z pewnością się nie wydarzy. Znajdowałem się w Dexterlandzie, którego byłem królem. Nikt nie miał tu prawa wstępu. Zamknąłem oczy i poprosiłem o potwierdzenie władczy głos Mrocznego Pasażera, niekwestionowanego pana ciemnych zakamarków mojego umysłu, i czekałem, aż przytaknie i wysyczy kilka kojących zwrotów, które uspokoją hałaśliwą muzykę oraz rozedrgane emocje. Czekałem, by coś powiedział, lecz się nie odezwał.

Po chwili pomyślałem z irytacją: Obudź się! Pokaż kły!

Milczał.

W pośpiechu obejrzałem wszystkie kąty swojego mózgu, krzycząc z narastającym niepokojem, wołając Mrocznego Pasażera, lecz

znalazłem tylko pustkę, pokój do wynajęcia opróżniony z mebli. Jakby nigdy go nie było.

W miejscu, gdzie kiedyś się znajdował, ciągle słyszałem echo muzyki. Odbijało się od litych ścian nieumeblowanego mieszkania, niosąc bolesne poczucie pustki.

Mroczny Pasażer zniknął.

Spędziłem następny dzień w rozterce, licząc, że Pasażer powróci, choć jednocześnie odczuwałem dziwną pewność, że tak się nie stanie. W miarę upływu czasu to przekonanie stawało się coraz silniejsze i coraz bardziej przygnębiające.

Miałem w sobie wielkie puste miejsce i nie wiedziałem, jak sobie poradzić z tym zupełnie nowym uczuciem. Z pewnością nie cierpiałem mąk, co zawsze wydawało mi się zajęciem zanadto egoistycznym, lecz byłem bardzo zdenerwowany i przez cały dzień prześladował mnie lęk, który chwilami zmieniał się w trwogę.

Dokąd odszedł Pasażer i dlaczego? Czy wróci? Pytania te nieuchronnie prowadziły do jeszcze bardziej niepokojących rozważań: czym jest Pasażer i skąd się we mnie wziął?

Trochę mnie otrzeźwiło, gdy zdałem sobie sprawę, jak mocno zdefiniowałem samego siebie poprzez coś, co w istocie rzeczy nie jest mną. A może jednak jest? Czy postać Mrocznego Pasażera to chory wytwór uszkodzonego umysłu, sieć chwytająca przebłyki

przefiltrowanej rzeczywistości i chroniąca mnie przed straszliwą prawdą o tym, kim naprawdę jestem? Nie można tego wykluczyć. Dobrze się orientuję w podstawach psychologii i od pewnego czasu rozumiem, że nie pasuję do żadnych ustalonych reguł. Nie mam nic przeciwko temu – doskonale sobie radzę bez odrobiny normalnego człowieczeństwa.

Przynajmniej do tej pory. Nagle zostałem zupełnie sam, a wszystko przestało być jasne i pewne. Po raz pierwszy musiałem się dowiedzieć, czym naprawdę jestem.

Naturalnie, w niewielu zawodach można liczyć na płatny urlop na introspekcję, nawet jeśli chodzi o tak ważny problem jak znikanie Mrocznych Pasażerów. Nie, Dexter w dalszym ciągu musiał ciężko pracować. Zwłaszcza że Deborah natarczywie domagała się rezultatów.

Na szczęście prawie wszystko sprowadzało się do rutyny. Spędziłem rano wraz z resztą techników kryminalistycznych, szukając w mieszkaniu Halperna konkretnych dowodów winy. Ku mojemu wielkiemu zadowoleniu okazało się, że jest ich tak dużo, iż nie muszę się zbytnio wysilać.

W głębi garderoby znaleźliśmy skarpetkę z niewielkimi śladami krwi. Pod kanapą znajdował się biały płócienny but z plamą krwi,



która pasowała do zabrudzeń na skarpetce. W plastikowym worku w łazience natrafiliśmy na spodnie z opalonym mankietem i kolejnymi śladami krwi – niewielkie rozbryzgi szerniały pod wpływem wysokiej temperatury.

To dobrze, że wszystko znajdowało się na widoku, gdyż tego dnia nie czułem się najlepiej i brakowało mi normalnej ochoty do pracy. Dręczył mnie niepokój i miałem wrażenie, że płynę w szarej mgle. Zastanawiałem się, czy Pasażer wróci, i nagle wracałem do rzeczywistości – stałem w garderobie Halperna, trzymając w ręku brudną, zakrwawioną skarpetkę. Gdyby śledztwo wymagało prawdziwej staranności, nie wiem, czy potrafiłbym pracować na odpowiednim poziomie.

Na szczęście nie było to konieczne. Jeszcze nigdy nie widziałem tylu oczywistych dowodów winy w domu człowieka, który miał parę dni na to, by posprzątać. Kiedy zajmuję się swoim hobby, działam w sposób schludny i porządkny; w ciągu kilku minut usuwam wszystkie obciążające ślady, które mogłyby zostać znalezione przez techników kryminalistycznych. Halpern przez parę dni nie przedsięwziął nawet najbardziej elementarnych środków ostrożności. Było to prawie zbyt proste, a gdy sprawdziliśmy

jego samochód, odrzuciłem słowo „prawie”. Na oparciu przedniego fotela znajdował się ślad zakrwawionego kciuka.

Naturalnie nie dawało się wykluczyć, że po badaniach laboratoryjnych okaże się, iż jest to krew kurcząt, a Halpern zajmował się po prostu niewinnym hobby, na przykład amatorskim uprawianiem drobiu. Jednak jakoś w to wątpiłem. Wydawało się oczywiste, że naukowiec zrobił komuś coś naprawdę złego.

Lecz mimo to dręczyła mnie natrętna myśl, że to wszystko okazało się stanowczo zbyt proste. Coś tu się nie zgadzało. Ponieważ nie miałem Pasażera, by mi wskazał właściwy kierunek, zachowałem te przemyślenia dla siebie. Postąpiłbym okrutnie, gdybym próbował oblać Debs zimną wodą i zgasić jej entuzjazm. Promieniała z zadowolenia, kiedy otrzymaliśmy wyniki badań laboratoryjnych i zaczęło się wydawać, że dowody winy Halperna są niepodważalne.

Moja siostra nuciła pod nosem, ciągnąc mnie ze sobą na przesłuchanie Halperna, co sprawiło, że mój niepokój znacznie wzrósł. Obserwowałem ją, gdy weszliśmy do pomieszczenia, w którym czekał profesor. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio wydawała się taka szczęśliwa. Zapomniała nawet zrobić swojej

zwykłej miny wyrażającej ciągle niezadowolenie. Wytrącało mnie to z równowagi, całkowicie naruszało naturalny porządek rzeczy, jakby wszyscy kierowcy korzystający z autostrady I-95 nagle postanowili jechać powoli i ostrożnie.

– Cóż, Jerry – rzekła pogodnym tonem, gdy zajęliśmy miejsca naprzeciwko Halperna. – Chciałbyś porozmawiać o tych dwóch studentkach?

– Nie ma o czym rozmawiać – odpowiedział. Był bardzo blady, prawie zielonkawy, lecz wyglądał na bardziej zdeterminowanego niż w chwili, gdy go przywieźliśmy. – Popełniliście błąd – dodał. – Nikogo nie zabiłem.

Deborah popatrzyła na mnie z uśmiechem i pokiwała głową.

– Nikogo nie zabił – powtórzyła uszczęśliwionym tonem.

– Nie można tego wykluczyć – zauważyłem. – Ktoś mógł podrzucić zakrwawioną odzież do jego mieszkania, gdy oglądał talk-show Davida Lettermana.

– Czy tak właśnie było, Jerry? – spytała. – Ktoś podrzucił do twojego mieszkania zakrwawioną odzież?

Stał się jeszcze bardziej zielony, jeśli to w ogóle było możliwe.

– Jaką zakrwawioną... O czym wy właściwie mówicie?!

Moja siostra uśmiechnęła się do Halperna.

– Znaleźliśmy na twoich spodniach plamy krwi, Jerry. Po zbadaniu okazało się, że należała do ofiar. Znaleźliśmy but i skarpetkę ze śladami krwi, a także odcisk zakrwawionego palca w twoim samochodzie. Twój odcisk, krew ofiar. – Odchyliła się do tyłu w fotelu i skrzyżowała ręce na piersiach. – Czy teraz zaczynasz sobie wszystko przypominać, Jerry?

Halpern zaczął kręcić głową, gdy moja siostra wciąż mówiła. Później robił to dalej, jakby to był jakiś dziwaczny, nieświadomy odruch.

– Nie... – rzekł. – Nie... To nawet... Nie.

– Nie, Jerry? – spytała Deborah. – Co znaczy to „nie”?

W dalszym ciągu kręcił głową. Na blat stołu upadła kropla jego potu. Ciężko oddychał.

– Proszę... – wyjąkał. – To szaleństwo... Jestem niewinny... Dlaczego... To sytuacja jak z Kafki, przecież nic nie zrobiłem...

Deborah obróciła się w moją stronę i uniosła brew.

– Kafki?

– Uważa się za karalucha – odpowiedziałem.

– Jestem po prostu głupią policjantką, Jerry – rzekła moja siostra. – Nic nie wiem o Kafce. Ale

rozumiem, co znaczą niepodważalne dowody. Wiesz co, Jerry? Widzę je w całym twoim mieszkaniu.

– Przecież nic nie zrobiłem! – powtórzył błagalnie.

– W porządku – odparła Deborah i wzruszyła ramionami. – W takim razie spróbuj mi pomóc. W jaki sposób te wszystkie rzeczy znalazły się w twoim mieszkaniu?

– To robota Wilkinsa – oświadczył i zrobił zdziwioną minę, jakby to nie on wypowiedział to oskarżenie.

– Wilkinsa? – spytała Deborah, zerkając na mnie.

– Profesora z sąsiedniego gabinetu? – wtrąciłem.

– Tak, owszem – rzekł Halpern. Nagle nabrał pewności siebie i pochylił się do przodu. – To Wilkins...! Nie ma innej możliwości!

– Więc to wszystko robota Wilkinsa – ciągnęła Deborah. – Przebrał się za ciebie, zamordował dziewczyny, a potem odniósł ubranie do twojego mieszkania?

– Tak, zgadza się.

– Dlaczego miały to zrobić?

– Obaj staramy się o stały etat – odpowiedział.

– Może go otrzymać tylko jeden z nas.

Deborah popatrzyła na niego, jakby jej zaproponował taniec nago.

– Stały etat? – powtórzyła ze zdziwieniem.

– Owszem – odrzekł niepewnie. – To najważniejszy moment w karierze każdego uczonego.

– Tak ważny, by popełnić morderstwo? – spytałem.

– To Wilkins! – upierał się, wbijając wzrok w blat stołu.

Deborah obserwowała go przez całą minutę z miną cioci patrzącej z czułością na ulubionego siostrzeńca. Spoglądał na nią przez kilka sekund, mrugnął, zerknął na blat stołu, potem na mnie i znów na stół. Kiedy cisza się przeciągała, w końcu popatrzył na moją siostrę.

– W porządku, Jerry – odezwała się. – Jeśli to wszystko, co masz do powiedzenia, myślę, że powinieneś zatelefonować do swojego adwokata.

Spojrzał na nią wybałuszonymi oczyma, lecz nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Deborah wstała i ruszyła w stronę drzwi. Podążyłem za nią.

– Mamy go! – wykrzyknęła na korytarzu. – Sukinsyn jest ugotowany! Gem, set i mecz!

Była taka zadowolona, że nie mogłem się powstrzymać od wtrącenia:

– Jeśli rzeczywiście to zrobił.

Spojrzała na mnie z rozpromienioną miną.

– Jasne, że zrobił, Dex! Jezu, nie krytykuj sam siebie! Wykonałeś mnóstwo dobrej roboty i przynajmniej raz szybko złapaliśmy sprawcę!

– Chyba tak – powiedziałem.

Przekrzywiła głowę i spojrzała na mnie, ciągle uśmiechając się z zadowoleniem.

– Co się dzieje, Dex? – spytała. – Denerwujesz się przed ślubem?

– Nic się nie dzieje – odpowiedziałem. – Życie na ziemskim padole jeszcze nigdy nie było równie harmonijne i szczęśliwe. Po prostu... – Zawahałem się, bo w gruncie rzeczy nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Miałem nieodparte, absurdalne wrażenie, że coś jest nie tak.

– Rozumiem, Dex – odezwała się. Jej łagodny ton sprawił, że z jakiegoś powodu poczułem się jeszcze gorzej. – Wszystko wydaje się zbyt proste, prawda? Ale pomyśl, z jakim głównym mamy codziennie do czynienia w innych sprawach. To, że od czasu do czasu trafia się nam łatwe śledztwo, wydaje się rozsądne, prawda?

– Nie wiem – odrzekłem. – Po prostu coś się w tym wszystkim nie zgadza.

– Mamy tak dużo twardych dowodów, że nikt się nie będzie przejmował jakimiś nonsensami,

że coś się może nie zgadzać! – prychnęła. – Odpręż się i bądź zadowolony, że odwaliliśmy kawał dobrej roboty!

Z pewnością była to bardzo dobra rada, lecz nie mogłem jej przyjąć. Chociaż w moim mózgu nie odzywał się znajomy szept, który podsuwałby mi różne pomysły, musiałem coś powiedzieć.

– Nie wygląda na to, że Halpern kłamie – zauważyłem. Moje słowa zabrzmiały dość słabo.

Deborah wzruszyła ramionami.

– To świr. Nie mój problem. Zamordował te dziewczyny.

– Ale jeśli cierpi na jakąś chorobę psychiczną, dlaczego miałyby nagle zacząć zabijać? Ma trzydzieści kilka lat i pierwszy raz kogoś zamordował? Nic tu się nie zgadza.

Poklepała mnie po ramieniu i znowu się uśmiechnęła.

– Trafna uwaga, Dex. Czy mógłbyś usiąść do komputera i sprawdzić jego przeszłość? Założę się, że coś znajdziemy. – Zerknęła na zegarek. – Zrób to po konferencji prasowej, dobrze? Chodź, nie możemy się spóźnić.

Poszedłem posłusznie za siostrą, zastanawiając się, dlaczego zawsze zgłaszam się na ochotnika, by wykonywać dodatkową pracę.



Rzeczywiście, Deborah otrzymała bezcenny dar w postaci konferencji prasowej – kapitan Matthews obdarzał tym dobrem tylko wybrańców. Był to jej pierwszy występ przed dziennikarzami w charakterze funkcjonariuszki kierującej ważnym śledztwem, o którym szeroko informowały media, toteż starannie się przygotowała, by dobrze wypaść w wieczornych wiadomościach. Nie uśmiechała się, nie okazywała żadnych śladów emocji, beznamiętnie wypowiadała zdania, posługując się fachową terminologią policyjną. Tylko ktoś, kto znał ją tak dobrze jak ja, mógł zauważyć, że mimo kamiennego wyrazu twarzy jest bardzo szczęśliwa.

Stałem z tyłu sali i obserwowałem siostrę, która wygłosiła serię mechanicznych deklaracji, z których wynikało, że jest przekonana, iż aresztowała człowieka podejrzanego o dokonanie makabrycznych zbrodni na uniwersytecie. Kiedy tylko doszła do wniosku, że jest winny, postanowiła się podzielić tą informacją ze swoimi drogimi przyjaciółmi z mediów. Było oczywiste, że jest dumna i szczęśliwa – samo sugerowanie, iż z winą Halperna coś jest nie tak, wydawało się podłością z mojej strony, zwłaszcza że nie miałem pojęcia, co właściwie budzi moje zastrzeżenia.

Prawie na pewno się nie myliła – Halpern był winny, a ja plotłem bzdury, straciwszy zdolność rozsądnego myślenia z powodu zniknięcia Pasażera. To jego nieobecność wytrąciła mnie z równowagi, a nie wątpliwości co do winy podejrzanego w sprawie, która tak czy inaczej kompletnie mnie nie obchodziła. Prawie na pewno...

Znowu to „prawie”. Przez całe życie, aż do teraz, miałem do czynienia z aksjomatami – nigdy nie stykałem się z „prawie”. Byłem zdenerwowany i głęboko zaniepokojony, że nie słyszę już głosu, który powiedziałby mi wszystko w sposób jednoznaczny, bez wahań i wątpliwości. Zacząłem rozumieć, jak bezradny jestem bez Mrocznego Pasażera. Nawet w pracy wszystko przestało być proste.

Znalazłszy się z powrotem w swojej klitce, usiadłem wygodnie w fotelu i zamknąłem oczy. Jest tam kto? – spytałem z nadzieją. Nie było nikogo. Po prostu puste miejsce, które zaczęło boleć, gdy minęło odrętwiałe zdziwienie. Nie miałem żadnego zajęcia mogącego mnie powstrzymać od litowania się nad sobą. Byłem sam w mrocznym, złym świecie pełnym straszliwych istot takich jak ja. A przynajmniej takich, jaki sam niegdyś byłem.

Dokąd uciekł Pasażer i dlaczego? Jeśli coś go naprawdę przestraszyło, co to mogło być? Co mogło przerazić istotę, która karmiła się ciemnością i budziła do życia, gdy wyjmowałem nóż?

Nagle przyszła mi do głowy zupełnie nowa, bardzo nieprzyjemna myśl: Jeśli Pasażera przestraszyło jakieś hipotetyczne coś, czy podążyło jego śladem? A może w dalszym ciągu mnie tropiło? Czy znalazłem się w niebezpieczeństwie, przed którym nie mogę się bronić? Czy nigdy się nie zorientuję, że ściga mnie morderczy drapieżnik, dopóki nie poczuję na karku jego oddechu?

Zawsze słyszałem, że nowe doświadczenia to coś pozytywnego, lecz to było straszliwą torturą. Im więcej o tym myślałem, tym mniej rozumiałem, co się ze mną dzieje, i tym większy czułem ból.

Cóż, istnieje jedno doskonałe lekarstwo na cierpienie: ciężka praca nad czymś zupełnie bezsensownym. Obróciłem fotel w stronę komputera i zabrałem się do roboty.

W ciągu zaledwie kilku minut zdobyłem kompletne informacje na temat życia doktora Geralda Halperna. Naturalnie było to trochę trudniejsze niż wyszukanie o nim informacji w Google. Pojawił się na przykład problem

dotarcia do niejawnych akt sądowych, co zajęło mi niespełna pięć minut. Kiedy to zrobiłem, okazało się to warte włożonego wysiłku. Pomyślałem: No, no, no... A ponieważ byłem w tej chwili tragicznie samotny i nikt nie chciał słuchać moich melancholijnych uwag, wypowiedziałem te słowa również na głos.

– No, no, no...

Akta poświęcone pobytowi w domach dziecka okazały się dość interesujące – lecz nie dlatego, że czułem jakąś więź z Halpernem, który podobnie jak ja był sierotą. Dzięki Harry’emu, Doris i Deborah miałem dom i rodzinę, natomiast Halpern spędził dzieciństwo w różnych zakładach, aż wreszcie wylądował na Uniwersytecie Syracuse.

Jednak znacznie ciekawsze okazały się akta, których nikomu nie wolno było otwierać bez nakazu prokuratora, zezwolenia sądu i kamiennej tablicy zesłanej przez Boga. Kiedy przeczytałem je po raz drugi, zrobiły na mnie jeszcze większe wrażenie.

– Ho, ho, ho... – odezwałem się i poczułem nieswojo, słysząc echo swoich słów odbijające się od ścian pustego małego gabinetu. Objawienia zawsze brzmią bardziej dramatycznie w obecności audytorium, toteż sięgnąłem po telefon i zadzwoniłem do siostry.

Po kilku minutach weszła do mojej klitki i usiadła na składanym krześle.

– Co znalazłeś? – spytała.

– Doktor Gerald Halpern ma ciekawą przeszłość – odparłem, kładąc nacisk na dwa ostatnie wyrazy. Miałem nadzieję, że Deborah nie przeskoczy przez biurko i nie zacznie mnie ścisnąć.

– Domyślam się – rzekła. – Co zrobił?

– Nie chodzi o to, co zrobił, tylko co jemu zrobiono – powiedziałem.

– Czy mógłbyś wreszcie przejść do rzeczy?! – burknęła. – O co właściwie chodzi?!

– Przede wszystkim wygląda na to, że jest sierotą.

– Do licha, Dex, zacznij w końcu mówić na temat!

Uniosłem rękę, próbując ją uspokoić, lecz nie odniosło to pożądanego skutku, ponieważ zaczęła stukać w blat biurka.

– Staram się przedstawić skomplikowane tło całej sprawy – odparłem.

– Przedstawiaj szybciej! – rzuciła.

– W porządku. Halpern trafił do domu dziecka w stanie Nowy Jork, gdy okazało się, że mieszka w skrzyni pod wiaduktem na autostradzie. Policja ustaliła personalia jego rodziców; krótko wcześniej zostali zamordowani

w nieprzyjemnych okolicznościach. I wydaje się, że na to zasłużyli.

– Co to znaczy, do cholery?!

– Stręczyli Halperna pedofilom – wyjaśniłem.

– Jezu...! – westchnęła Deborah, najwyraźniej lekko wstrząśnięta. Brzmiało to dość koszmarnie nawet jak na standardy Miami.

– Halpern nic nie pamiętał. Z akt wynika, że ma zaniki pamięci w chwilach stresu. Brzmi to rozsądnie. Zaniki pamięci to zapewne odruchowa reakcja na powtarzającą się traumę. To się zdarza.

– O kurwa! – zakląła Deborah i przyznałem w duchu, że elegancko podsumowała sytuację. – Więc wszystko zapomina! To się idealnie zgadza, musisz przyznać! Studentka próbowała go wrobić w gwałt, martwił się o etat, więc zabił dziewczynę w ciężkim stresie, nie zdając sobie z tego sprawy.

– Jest jeszcze kilka innych szczegółów – powiedziałem i przyznaję, że ich dramatyzm sprawiał mi większą przyjemność, niż było konieczne. – Po pierwsze, śmierć jego rodziców.

– O co chodzi? – spytała rzeczowo. Teatralne aspekty sytuacji wyraźnie jej nie interesowały.

– Rodzicom Halperna obcięto głowy, a dom spalono.

Deborah wyprostowała się na krześle.

- O kurwa! – zaklęła znowu.
- Mnie również przyszło do głowy to słowo – powiedziałem.
- Do diabła, to fantastyczne, Dex! – zawołała.
- Mamy go na widelcu!
- Cóż, wszystko się układa w logiczną całość – odrzekłem.
- Jak cholera! Więc zabił swoich rodziców? Wzruszyłem ramionami.
- Nie można było niczego udowodnić. Gdyby to im się udało, Halpern trafiłby do zakładu poprawczego. Zabójstwo było wyjątkowo brutalne i nikt nie wierzył, że mogło je popełnić dziecko. Ale prawie na pewno znajdował się na miejscu i widział, co się wydarzyło.
- Popatrzyła na mnie twardo.
- Więc co ci się w tym nie podoba? Ciągłe myślisz, że tego nie zrobił? Znowu masz jedno ze swoich przeczuć?
- Słowa Debs sprawiły mi znacznie większą przykrość, niż powinny, i zamknąłem na chwilę oczy. W dalszym ciągu widziałem tylko ciemność i pustkę. Moja słynna intuicja opierała się na szeptach Mrocznego Pasażera, a z powodu jego nieobecności nie miałem z czego korzystać.
- Ostatnio nie mam przeczuć – przyznałem. – Coś mi się po prostu w tym wszystkim nie podoba. To...

Otworzyłem oczy i zobaczyłem wpatrzoną we mnie Debs. Tego dnia na jej twarzy pojawiło się coś więcej niż głupawe zadowolenie; przez chwilę miałem wrażenie, że zaraz spyta, o co chodzi i czy dobrze się czuję. Nie miałem pojęcia, co bym odpowiedział, ponieważ nigdy z nikim nie rozmawiałem o Mrocznym Pasażerze; myśl o tym, że mógłbym mówić o czymś tak intymnym, wydała mi się bardzo niepokojąca.

– Nie wiem – odezwałem się słabym głosem. – Coś się w tym wszystkim nie zgadza.

Deborah uśmiechnęła się łagodnie. Czułbym się swobodniej, gdyby na mnie warknęła i kazała się odpieprzyć, lecz uśmiechnęła się, wyciągnęła rękę nad biurkiem i poklepała mnie po dłoni.

– Dex, znaleźliśmy mnóstwo twardych dowodów – rzekła cicho. – Przeszłość pasuje. Halpern ma dobry motyw. Przyznajesz, że twoja intuicja... ostatnio cię zawodzi... – Przekrzywiła głowę, w dalszym ciągu się uśmiechając, co jeszcze bardziej wytrąciło mnie z równowagi. – Sprawa jest czysta, bracie. Jeśli coś cię męczy, nie szukaj związku z tymi morderstwami. Halpern zabił te dziewczyny, złapaliśmy go i to wszystko. – Puściła moją rękę, nim zdążyliśmy wybuchnąć płaczem. – Ale trochę się o ciebie martwię.



– Czuję się świetnie – odparłem i zabrzmiało to fałszywie nawet dla mnie.

Spoglądała na mnie przez dłuższą chwilę, po czym wstała.

– W porządku. Zawsze tu jestem, gdybyś mnie potrzebował.

Powiedziała to, odwróciła się i wyszła.

W jakiś sposób udało mi się przebrnąć przez szarą zupę reszty dnia. W końcu wróciłem do domu i do Rity, gdzie zupa zgęstniała i zmieniła się w galaretę deprywacji sensorycznej. Nie wiem, co jedliśmy na kolację ani o czym rozmawialiśmy. Skupiałem się tylko na jednym – chciałem usłyszeć szelest skrzydeł powracającego Pasażera, jednak ten dźwięk się nie pojawił. Przez resztę wieczoru leciałem na autopilocie i wreszcie poszedłem do łóżka: Głupi, Pusty Dexter.

Okazało się, że sen nie jest dla ludzi czymś automatycznym – bardzo mnie to zaskoczyło, gdy się o tym przekonałem. Dawny ja, Mroczny Dexter, zasypiał doskonale, z niesłychaną łatwością: kładł się do łóżka, zamykał oczy i myślał: Raz, dwa, trzy, już! Przypominało to sztuczkę wykonaną przez iluzjonistę.

Ale Dexter Nowego Wzoru nie miał takiego szczęścia.

Przewracałem się z boku na bok, użalałem się nad sobą, nakazywałem sobie natychmiastowe zaśnięcie, bez skutku. Sen nie przychodził. Mogłem tylko leżeć z szeroko otwartymi oczyma i zastanawiać się dlaczego.

Noc ciągnęła się bez końca, a wraz z nią straszliwa, nużąca introspekcja. Czy przez całe życie wprowadzam się w błąd? A jeśli nie jestem Przystojnym Dexterem Nożownikiem, któremu towarzyszy Sprytny Pomocnik Pasażer, tylko Mrocznym Szoferem, któremu pozwolono na zamieszkanie w małym pokoiku w wielkim domu w zamian za wożenie swojego pana w wyznaczone miejsca? Skoro moje usługi nie są już potrzebne i szef odszedł, czym teraz jestem? W co się zmienię, skoro przestałem być sobą?

Nie były to radosne myśli i nie wprawiły mnie w radosny nastrój. Nie mogłem zasnąć. Ponieważ przez długi czas przewracałem się z boku na bok i wciąż nie byłem zmęczony, dla odmiany zacząłem się kołysać i wiercić. Rezultat był mniej więcej taki sam. Ale w końcu, około wpół do czwartej nad ranem musiałem przypadkiem natrafić na właściwą kombinację bezsensownych ruchów, bo zapadłem w płytki, niespokojny sen.

Obudził mnie zapach smażonego boczku. Zerknąłem na zegar – wskazywał ósmą

trzydzieści dwie. Zwykle wstawałem znacznie wcześniej, lecz tego dnia była sobota i Rita nie wyrwała mnie z ponurej drzemki. A teraz zamierzała nagrodzić obfitym śniadaniem mój powrót do krainy jawy. Super!

Śniadanie faktycznie trochę poprawiło mi nastrój. Trudno doznawać autentycznej, głębokiej depresji i poczucia zupełnego braku własnej wartości, gdy człowiek jest przyjemnie najedzony. Zrezygnowałem z dalszych prób w połowie znakomitego omletu.

Cody i Astor oczywiście nie spali już od kilku godzin – w sobotę rano mogli bez ograniczeń oglądać telewizję i wykorzystywali ten przywilej, by gapić się na filmy rysunkowe, które z pewnością nie mogłyby powstać przed odkryciem LSD. Nawet mnie nie zauważyli, gdy przeszedłem obok nich do kuchni, i z fascynacją obserwowali mówiące akcesoria kuchenne. Tymczasem ja skończyłem śniadanie, wypilem drugą kawę i postanowiłem dać życiu jeszcze jeden dzień na powrót do normalności.

– Lepiej się czujesz? – zapytała Rita, gdy odstawiłem kubek po kawie.

– Omlet był pyszny – odpowiedziałem. – Dziękuję.

Uśmiechnęła się, wstała z krzesła, cmoknęła mnie w policzek, po czym wrzuciła naczynia do

zlewu i zaczęła zmywać.

– Pamiętasz, że obiecałeś zabrać dziś gdzieś Cody’ego i Astor? – rzekła w szumie płynącej wody.

– Naprawdę?

– Dexter, wiesz, że dziś rano mam przymiarzkę sukni ślubnej. Mówiłam ci o tym kilka tygodni temu, a ty powiedziałeś, że wszystko w porządku, że popilnujesz dzieci, kiedy pójdę na przymiarzkę do Susan. Później koniecznie muszę pojechać do kwaciarni i załatwić kilka spraw. Vince zaproponował, że mi w tym pomoże, podobno ma jakiegoś przyjaciela?

– Wątpię – odpowiedziałem, myśląc o Mannym Borque’u. – Nie Vince.

– Ale mu podziękowałam. Mam nadzieję, że nic złego się nie stało?

– Skądże – zaprzeczyłem. – Mamy tylko jeden dom do sprzedania, by opłacić rachunki.

– Nie chciałam mu robić przykrości. Jestem pewna, że jego przyjaciel jest znakomity, ale zawsze kupuję u Hansa i byłby kompletnie załamany, gdybym kwiaty na swój ślub zamówiła u kogoś innego.

– W porządku – powiedziałem. – Zajmę się dziećmi.

Miałem nadzieję, że znajdę trochę czasu, by poważnie się zastanowić nad swoimi nieszczęściami i wymyślić jakiś sposób, by zmierzyć się z problemem zniknięcia Pasażera. A gdyby nic z tego nie wyszło, miło byłoby choć trochę się zrelaksować, może nawet się przespać po poprzedniej nocy. Miałem do tego święte prawo.

Była przecież sobota. Wiele znanych religii i związków zawodowych uważa, że jest to dzień, który należy poświęcić na odpoczynek i rozwój osobisty – zapomnieć o krzątaniu dnia codziennego, odprężyć się, zająć rekreacją. Ale teraz Dexter został ojcem rodziny, co, jak się okazało, wszystko zmienia. Rita niczym tornado z blond grzywką gorączkowo zajmowała się przygotowaniami do ślubu, a ja musiałem zabrać gdzieś Cody'ego i Astor, by znaleźli się daleko od pandemonium i zaczęli robić coś, co społeczeństwo uznaje za odpowiednie dla dzieci i dorosłych, którzy chcą ze sobą nawiązać lepszy kontakt.

Starannie przestudiowałem dostępne możliwości, po czym wybrałem Muzeum Nauki i planetarium. Przychodziło tam wielu rodziców z dziećmi, co ułatwiłoby mi wtopienie się w tłum – i nauczyło dzieci robienia tego samego. Skoro zamierzały podążyć Mroczną Ścieżką, powinny

natychmiast zrozumieć, że im bardziej ktoś jest nienormalny, tym bardziej powinien się starać wydawać normalny.

Wizyta w muzeum z Kochającym Tata Dexterem wyglądała absolutnie normalnie. Dodatkowa, ogromna zaleta polegała na tym, że miała oficjalne Walory Wychowawcze, niezależnie od tego, jak wielkie obrzydzenie mogło budzić to pojęcie w Codym i Astor.

Dlatego wpakowałem dzieci do swojego samochodu i pojechałem na północ autostradą U.S. 1, obiecawszy podekscytowanej Ricie, że bezpiecznie wrócimy na kolację. Minąłem Coconut Grove i tuż przed Rickenbacker Causeway skręciłem na parking muzeum. Jednak nie weszliśmy do gmachu bez oporów. Na parkingu Cody wysiadł z samochodu i stanął bez ruchu. Astor spoglądała na niego przez chwilę, a potem odwróciła się w moją stronę.

- Po co mamy tam iść? – spytała.
- W celach edukacyjnych – powiedziałem.
- Faj! – prychnęła, a Cody skinął głową.
- Powinniśmy spędzać ze sobą czas – zauważyłem.
- W muzeum? – zdumiała się. – To żałosne.
- Śliczne określenie – odparłem. – Gdzie się tego nauczyłaś?

– Nie chcemy iść do muzeum – oznajmiła. –  
Wolimy coś robić.

– Byłaś tam kiedyś?

– Nie – odpowiedziała z bezbrzeżną pogardą  
dziesięcioletniej dziewczynki, rozciągając to  
słowo do trzech głosek.

– Cóż, w takim razie możesz się zdziwić –  
rzekłem. – Naprawdę nauczysz się tam różnych  
ciekawych rzeczy.

– Chcemy się uczyć czegoś innego – odrzekła.  
– Nie w muzeum.

– A czego waszym zdaniem powinniście się  
uczyć? – spytałem tonem cierpliwego dorosłego.  
Sam byłem pod wrażeniem, jak dobrze mi to  
wyszło.

Astor się skrzywiła.

– Mówiłeś, że nam coś pokażesz.

– Skąd wiesz, że tego nie zrobię? –  
odparowałem.

Przez chwilę spoglądała na mnie niepewnie,  
po czym popatrzyła na Cody'ego. Cokolwiek  
sobie powiedzieli, porozumiewali się bez słów.  
Kiedy po chwili Astor odwróciła się w moją  
stronę, była całkowicie spokojna i pewna siebie.

– Nie ma mowy – rzekła.

– Wiecie coś o tym, co powinienem wam  
pokazać?

– Dexter, gdybyśmy wiedzieli, przecież byśmy cię nie prosili – odparła.

– Nie macie o tym pojęcia, a ja się na tym znam.

– Aha.

– Wasza nauka rozpocznie się w tym budynku – oznajmiłem z bardzo poważną miną.

– Chodźcie za mną i uczcie się.

Spoglądałem na nich przez chwilę, widząc na ich twarzach narastającą niepewność, po czym odwróciłem się i ruszyłem w kierunku muzeum. Byłem w złym humorze z powodu nieprzespanej nocy i nie miałem pewności, czy za mną pójdą, lecz podstawowe zasady należało ustalić na samym początku. Musieli mnie słuchać. Dawno temu ja również zrozumiałem, że muszę słuchać Harry'ego i przestrzegać reguł, które wyznaczył.



Bycie czternastolatkiem nigdy nie jest łatwe, nawet dla sztucznych ludzi. To wiek, gdy władzę przejmuje biologia, i nawet jeśli nastolatek bardziej się interesuje biologią kliniczną niż zagadnieniami, które pochłaniają jego kolegów z klasy w gimnazjum Ponce de Leon, rządzi ona żelazną ręką.

Jedno z uniwersalnych prawideł okresu dojrzewania, odnoszące się nawet do młodych potworów, polega na tym, że wszyscy ludzie, którzy skończyli dwadzieścia lat, nie mają o niczym pojęcia. Ponieważ Harry przekroczył ten wiek, zacząłem się buntować przeciwko absurdalnym ograniczeniom, jakie nałożył na moje naturalne i zdrowe pragnienie, by pokroić na kawałki kolegów ze szkoły.

Harry opracował cudownie logiczny plan, jak mnie „ociosać” – określał w ten sposób działania mające mnie uczynić schludnym i porządnym. Jednak nie ma niczego logicznego w nowo narodzonym Mrocznym Pasażerze, który po raz pierwszy rozpościera skrzydła i tłucze nimi w kraty klatki, marząc o locie w przestworzach

i ataku na ofiarę niczym ostra, stalowa błyskawica.

Harry wiedział mnóstwo rzeczy, których potrzebowałem się nauczyć, by bezpiecznie i w sekrecie stać się sobą; by przekształcić się z dzikiego, kielkującego potwora w Mrocznego Mściciela – postępować jak człowiek, zachowywać niezbędne środki ostrożności i zacierać ślady. Znał się na tych sprawach jak stary, doświadczony policjant. Rozumiałem to nawet wtedy – lecz wydawało mi się to nudne i niepotrzebne.

Poza tym Harry nie mógł naprawdę wiedzieć wszystkiego. Na przykład nie słyszał o nastolatku o nazwisku Steve Gonzalez, wyjątkowo uroczym chłopcu w wieku dojrzewania, który zasłużył na moje zainteresowanie.

Steve był wyższy ode mnie i rok, dwa lata starszy; nad jego górną wargą znajdował się meszek, który nazywał wąsami. Chodziliśmy razem na zajęcia z wychowania fizycznego i uważał za swój święty obowiązek nieustannie mi dokuczać. Jeśli rzeczywiście miało to coś wspólnego ze świętością, Bóg musiał być bardzo zadowolony, że Steve z taką determinacją kroczy drogą cnoty.

Działo się to na długo przed tym, nim Dexter stał się Żywą Bryłą Lodu, i zebrało się we mnie

wiele nieprzyjemnych uczuć. Wydawało się to sprawiać wielką przyjemność Steve'owi i stawał się coraz bardziej twórczy w prześladowaniu młodego, rozwścieczonego Dextera. Obaj rozumieliśmy, że może się to skończyć tylko w jeden sposób, lecz niestety Steve planował inny rozwój wypadków.

Któregoś popołudnia pewien przesadnie dociekliwy woźny wszedł do laboratorium biologicznego gimnazjum Ponce de Leon, gdzie Dexter i Steve omawiali swoje konflikty osobiste. Nie była to klasyczna szkolna bójka, której towarzyszą wulgarne wyzwiska, choć sądzę, że Steve liczył właśnie na taki scenariusz. Jednak nie spodziewał się, że spotka się z młodym Mrocznym Pasażerem, toteż woźny zobaczył Steve'a mocno przywiązanego do stołu taśmą klejącą; stał nad nim Dexter, który trzymał skalpel i usiłował sobie przypomnieć, czego nauczył się na biologii, gdy w klasie przeprowadzano sekcję żaby.

Harry przyjechał po mnie policyjnym samochodem patrolowym, ubrany w mundur. Wysłuchał wicedyrektora, który opisał całą scenę, zacytował szkolny regulamin i spytał, co mój ojczym zamierza z tym zrobić. Harry spoglądał na niego, aż mężczyzna stopniowo umilkł. Patrzył jeszcze przez chwilę, dla efektu,

po czym skierował chłodne, błękitne oczy na mnie.

– Czy zrobiłeś to, o czym mówił pan dyrektor, Dexter? – spytał.

Kiedy się we mnie wpatrywał, nie mogłem kręcić ani kłamać.

– Tak – przyznałem, a Harry kiwnął głową.

– Widzi pan? – odezwał się wicedyrektor. Chyba zamierzał powiedzieć coś jeszcze, lecz Harry znów obrzucił go wzrokiem i mężczyzna zamilkł.

– Dlaczego? – spytał Harry, spoglądając na mnie.

– Bo mi dokuczał. – Zabrzmiało to dość słabo, nawet dla mnie, więc dodałem: – Stale. Przez cały czas.

– I dlatego przykleiłeś go taśmą do stołu – odezwał się głosem prawie bez intonacji.

– Aha.

– I wzięłeś skalpel.

– Chciałem, żeby to się skończyło – odrzekłem.

– Dlaczego nikomu nie powiedziałaś, że ci dokucza? – spytał Harry.

Wzruszyłem ramionami, co w tamtych czasach stanowiło jedną z moich głównych form komunikacji.

– Dlaczego o niczym mi nie powiedziałeś? – dopytywał się.

– Potrafię sam to załatwić – odparłem.

– Wygląda na to, że jednak nie załatwiłeś tego dobrze – zauważył.

Siedząc w gabinecie wicedyrektora, nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, więc naturalnie zacząłem się gapić na swoje stopy. Jednak ich widok okazał się nieciekawym, toteż znów uniosłem wzrok. Harry w dalszym ciągu mnie obserwował i zupełnie przestał mrugać. Nie wydawał się rozgniewany, a ja w gruncie rzeczy wcale się go nie bałem, co sprawiało, że czułem się jeszcze niezręcznie.

– Bardzo mi przykro – odezwałem się w końcu. Nie byłem pewien, czy mówię szczerze; zresztą ciągle nie jestem pewien, czy rzeczywiście może mi być przykro z powodu czegoś, co zrobiłem. Lecz wydawało się to rozsądną uwagą, a w moim nastoletnim mózgu, wypełnionym gęstą papką złożoną z hormonów i niepokoju, nie pojawiły się inne pomysły. I choć jestem pewien, że Harry nie uwierzył w mój żal, znowu skinął głową.

– Chodźmy – rzekł.

– Chwileczkę – wtrącił wicedyrektor. – Musimy omówić jeszcze kilka spraw.

– Ma pan na myśli to, że wskutek braku odpowiedniego nadzoru nad podopiecznymi pozwoliliście, by chłopiec znany z terroryzowania innych zmusił mojego syna do takiej konfrontacji? Ile razy ukaraliście dyscyplinarnie tamtego ucznia?

– Przecież nie o to chodzi... – odparł wicedyrektor.

– A może powinniśmy porozmawiać o tym, że zostawiliście skalpele i inne niebezpieczne przedmioty w niezamkniętej, niepilnowanej sali, do której uczniowie mieli swobodny dostęp?

– Ależ, panie sierżancie...

– Proszę posłuchać – rzekł Harry. – Jeśli obieca pan, że takie zaniedbania więcej się nie powtórzą, ja obiecuję nie nadawać tej sprawie biegu służbowego.

– Przecież to Dexter... – zaczął wicedyrektor.

– Zajmę się nim – przerwał mu Harry. – A pan powinien podjąć odpowiednie działania na terenie szkoły, bym nie musiał zawiadamiać inspektoratu oświaty.

Na tym rozmowa się zakończyła. Nikt nie był w stanie sprzeciwić się Harry'emu – ani podejrzany o morderstwo, ani przewodniczący Klubu Rotariańskiego, ani młody potwór, który popełnił błąd. Wicedyrektor kilka razy otworzył i zamknął usta, lecz więcej się nie odezwał –

z jego gardła wydobyło się tylko coś w rodzaju stłumionego kaszlnięcia. Harry spoglądał nań jeszcze przez chwilę, po czym odwrócił się w moją stronę.

– Idziemy – rzekł.

Milczał, gdy szliśmy do samochodu, i nie było to przyjazne milczenie. Nie odzywał się również, gdy odjechaliśmy spod szkoły i skręciliśmy na północ, na autostradę Dixie – normalnie powinniśmy ruszyć w przeciwnym kierunku, minąć Granadę i Hardee, a potem dotrzeć do naszego niewielkiego domu w Grove. Popatrzyłem na Harry’ego, gdy skręcał, lecz ciągle nie miał nic do powiedzenia, a jego mina nie zachęcała do rozmowy. Spoglądał prosto przed siebie i jechał szybko, ale nie tak szybko, by włączyć syrenę.

Skręcił w lewo w Siedemnastą Aleję i przyszła mi do głowy irracjonalna myśl, że wiezie mnie na stadion Sun Life, gdzie odbywają się rozgrywki Orange Bowl. Ale minęliśmy zjazd na stadion i pojechaliśmy dalej, na drugi brzeg rzeki Miami. Skręciliśmy w prawo w North River Drive i zrozumiałem, dokąd mnie zabiera, lecz nie miałem pojęcia dlaczego. Harry przez cały czas nie wypowiedział ani jednego słowa i nie spojrzał w moją stronę. Zacząłem czuć się nieswojo w popołudniowym skwarze, lecz nie

miało to nic wspólnego z chmurami burzowymi, które zaczęły się zbierać na horyzoncie.

Harry zatrzymał samochód i w końcu się odezwał.

– Chodź – rzekł. – Do środka. – Popatrzyłem na niego, lecz już wysiadał z auta, więc poszedłem za jego przykładem i potulnie ruszyłem za nim w stronę aresztu.

Harry był tu dobrze znany; wszędzie ceniono go jako świetnego policjanta. Kiedy minęliśmy dyżurkę i ruszyliśmy w stronę cel, podążały za nim okrzyki: „Harry!” i „Hej, sierżancie!”. Dreptałem z tyłu, mając coraz gorsze przeczucia. Dlaczego Harry przywiózł mnie do aresztu? Dlaczego nie krzyczał, dlaczego nie mówił, jak bardzo go rozczarowałem, dlaczego nie wymyślił jakiejś surowej, sprawiedliwej kary?

Słowa i zachowanie ojczyrna nie pozwalały mi się domyślić, o co chodzi, więc po prostu włokłem się za nim. W końcu zatrzymał nas jeden ze strażników. Harry wziął go na bok i zaczął z nim rozmawiać cichym głosem; mężczyzna popatrzył na mnie, kiwnął głową i zaprowadził nas na koniec korytarza.

– To on – rzekł. – Bawcie się dobrze. – Skinął głową w stronę człowieka siedzącego w celi, zerknął na mnie przelotnie i odszedł. Harry i ja zostaliśmy sami; zapadło niezręczne milczenie.



Na początku Harry się nie odzywał. Odwrócił się i zajął do celi, a błąd cień znajdujący się w środku poruszył się, wstał i podszedł do krat.

– Ach, sierżant Harry! – zawołał uszczęśliwionym tonem. – Jak się masz, Harry? Bardzo miło, że wpadłeś!

– Cześć, Carl! – odezwał się Harry. Odwrócił się w moją stronę i powiedział: – To Carl, Dexter.

– Ładny z ciebie chłopiec, Dexter – zauważył Carl. – Bardzo się cieszę, że mogę cię poznać.

Oczy Carla były jasne i puste, lecz intuicyjnie dostrzegłem w nich ogromny czarny cień. Coś poruszyło się we mnie z lękiem i zaczęło się cofać na widok wielkiej, groźnej istoty uwięzionej za kratami. Sam Carl nie był szczególnie wysoki ani nie wyglądał groźnie – na pozór wydawał się nawet sympatyczny. Miał schludne, jasne włosy i regularne rysy twarzy, lecz jego widok dziwnie wytrącił mnie z równowagi.

– Carl trafił tu wczoraj – rzekł Harry. – Zabił jedenastu ludzi.

– Och, w przybliżeniu – odparł skromnie Carl.

Na dworze huknął piorun i lunął deszcz. Patrzyłem na Carla z prawdziwym zainteresowaniem; teraz już wiedziałem, co zaniepokoiło Mrocznego Pasażera. My dopiero zaczynaliśmy, a oto stał przed nami ktoś, kto

odbył wędrowkę tam i z powrotem jedenaście razy – w przybliżeniu. Po raz pierwszy zrozumiałem, co mogliby czuć moi koledzy z gimnazjum Ponce, gdyby stanęli twarzą w twarz z zawodowym napastnikiem z National Football League.

– Carl uwielbia zabijać ludzi – oznajmił rzeczowo Harry. – Prawda, Carl?

– Mam przynajmniej jakieś zajęcie – odpowiedział wesoło.

– Ale cię złapaliśmy – rzekł brutalnie Harry.

– Cóż, owszem, zgadza się, oczywiście. – Carl wzruszył ramionami i uśmiechnął się do Harry’ego w bardzo sztuczny sposób. – Ale zabawa była dobra.

– Stałeś się nieostrożny – zauważył Harry.

– Tak – odparł Carl. – Skąd miałem wiedzieć, że policja okaże się taka metodyczna?

– Jak pan to robi? – wykrztusiłem.

– To niezbyt trudne – odpowiedział Carl.

– Nie, chodzi mi o... Ale właściwie jak?

Carl spojrzał na mnie uważnie i wręcz usłyszałem mruczenie dochodzące z ciemności tuż za jego żrenicami. Przez chwilę patrzyliśmy sobie prosto w oczy i świat wypełnił się mrocznym dźwiękiem dwóch drapieżników pochylonych nad małą, bezbronną ofiarą.

– No, no... – rzekł w końcu. – Czy to możliwe?  
– Odwrócił się w stronę Harry’ego dokładnie w chwili, gdy zacząłem się wiercić. – A zatem jestem tematem lekcji pogładowej, prawda, sierzancie? Nastraszyć chłopca, by wrócił na trudną drogę cnoty i uczciwości?

Harry spojrział na Carla. Miał twarz bez wyrazu, milczał.

– Cóż, przykro mi, ale muszę stwierdzić, że z tej drogi nie można zejść, mój biedny Harry. Kto nią podąży, będzie nią kroczył do końca życia, może dłużej. Ani pan, ani ja, ani ten kochany chłopiec nie możemy tego zmienić.

– Jest pewien problem – odezwał się Harry.

– Doprawdy? – spytał Carl i miałem wrażenie, że powoli unosi się wokół niego czarna chmura. Zastygła na jego zębach, gdy się uśmiechał, a później rozpostarła skrzydła w stronę Harry’ego i mnie. – Jaki problem? Czy pan sierżant zechciałby łaskawie zdradzić nam, o co chodzi?

– Nie dać się złapać.

Czarna chmura zastygła na chwilę, a potem odpłynęła i znikła.

– O mój Boże... – powiedział Carl. – Szkoda, że nie potrafię się śmiać. – Pokręcił powoli głową. – Mówi pan poważnie, prawda? O mój Boże... Jest

pan wspaniałym ojcem, sierżancie. – Jego szeroki uśmiech wydawał się prawie szczery.

Harry spojrzał na mnie lodowatymi, błękitnymi oczyma.

– Złapali go, bo nie wiedział, co robi – rzekł. – A teraz pójdzie na krzesło elektryczne. Bo nie wiedział, jak pracuje policja. Bo nie został przeszkolony. – Harry mówił cichym głosem i nie mrugał.

Popatrzyłem na Carla, który spoglądał na nas przez grube kraty jasnymi, martwymi, pustymi oczyma. Złapany. Zerknąłem z powrotem na Harry'ego.

– Rozumiem – odpowiedziałem.

Była to prawda.

I przestałem się buntować.

\* \* \*

Teraz, po tylu latach – cudownych latach, wypełnionych krojeniem, piłowaniem i wymykaniem się policji – doskonale zdawałem sobie sprawę, ile ryzykował Harry, przedstawiając mnie Carlowi. Nigdy mu nie dorównam – Harry kierował się emocjami, a ja tego nie potrafię – lecz mogłem zmusić Cody'ego

i Astor do posłuszeństwa, idąc za jego przykładem. Podejmę ryzyko, jak niegdyś Harry. Albo mnie posłuchają, albo nie.

Posłuchali.

W muzeum roilo się od poszukiwaczy wiedzy, a przynajmniej toalet. Większość miała od dwóch do dziesięciu lat; na każde siedmioro dzieci przypadał jeden dorosły. Przywodzili na myśl wielkie stado kolorowych papug – biegali między eksponatami, wydając głośne okrzyki w co najmniej trzech językach, lecz słowa brzmiały zdumiewająco podobnie. Międzynarodowe narzecze dzieci.

Cody i Astor wydawali się nieco onieśmieleni tłokiem i trzymali się blisko mnie. Zazwyczaj chętnie się oddalali, by szukać przygód na własną rękę, toteż postanowiłem to wykorzystać i zaprowadziłem ich prosto do piranii.

– Jak wyglądają? – zapytałem.

– Okrutnie – odpowiedział cicho Cody, spoglądając nieruchomym wzrokiem na zębate paszcze ryb.

– To piranie – zauważyła Astor. – Mogą pożreć krowę.

– Co byście zrobili, gdybyście pływali w rzece i zobaczyli gromadę piranii?

– Pozabijałbym je – odparł Cody.

– Byłoby ich za dużo – zauważyła Astor. – W takich sytuacjach trzeba jak najszybciej uciekać.

– Więc kiedy zobaczycie groźne ryby, spróbujecie je pozabijać albo uciec? – spytałem. Kiwnęli głowami. – A gdyby piranie były równie inteligentne jak ludzie, co by zrobiły?

– Chodziłyby w przebraniu. – Astor zachichotała.

– Masz całkowitą rację – odrzekłem i nawet Cody się uśmiechnął. – Jakie przebrania byście im polecili? Peruki i brody?

– Przecież to ryby, Dexter – odpowiedziała Astor. – Ryby nie mają bród.

– Och, więc chciałyby wyglądać jak ryby? – spytałem.

– Naturalnie – odparła, jakbym był za głupi, by cokolwiek rozumieć.

– Jakie ryby? Wielkie jak rekiny?

– Normalne – wtrącił Cody. Siostra spoglądała nań przez chwilę, a następnie kiwnęła głową.

– Takie, jakich jest dużo w okolicy – wyjaśniła. – By nie straszyć tego, co chcą pożreć.

– Aha – mruknąłem.

Przez chwilę wpatrywali się w milczeniu w piranie. Pierwszy zrozumiał Cody. Zmarszczył brwi i popatrzył na mnie. Uśmiechnąłem się

zachęcająco. Szepnął coś do siostry, która wydawała się zdziwiona. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz tylko westchnęła:

– Och...

– Tak – potwierdziłem. – Och.

Spojrzała na Cody'ego, który uniósł wzrok i popatrzył jej w oczy. Znów nie powiedzieli niczego na głos, lecz była to długa rozmowa. Pozwoliłem im ją dokończyć, aż wreszcie spojrzeli na mnie.

– Czego możemy się nauczyć od piranii? – spytałem.

– Nie wolno wyglądać okrutnie – odparł Cody.

– Trzeba wyglądać normalnie – rzekła niechętnie Astor. – Ale ryby to nie ludzie, Dexter.

– Zgadza się – powiedziałem. – Ludzie unikają niebezpieczeństw, bo rozpoznają ludzi i zwierzęta o niebezpiecznym wyglądzie. A ryby dają się złapać. My nie chcemy dać się złapać. – Popatrzyli na mnie z namaszczaniem, a potem znów spojrzeli na piranie. – Więc czego jeszcze się dzisiaj nauczyliśmy? – zapytałem po chwili.

– Nie wolno dać się złapać – stwierdziła Astor.

Westchnąłem. Był to przynajmniej jakiś początek, lecz czekało nas jeszcze mnóstwo pracy.

– Chodźcie – rzekłem. – Zobaczmy trochę pozostałych eksponatów.



Nie znałem dokładnie rozkładu muzeum, zapewne dlatego, że do niedawna nie miałem dzieci, by je tam zabierać. Z tego powodu improwizowałem, szukając zwierząt, które skierowałyby myśli Cody'ego i Astor na właściwe tory i pozwoliły im czegoś się nauczyć. Przyznaję, że piranie były szczęśliwym zbiegiem okoliczności – nagle je zauważyłem i mój genialny umysł na oczekaniu wymyślił odpowiednią lekcję. Przypadkowe znalezienie następnego użytecznego zwierzęcia okazało się znacznie trudniejsze i przez pół godziny przepychaliśmy się ponuro przez mordercze tłumy dzieci i ich złośliwych rodziców, aż wreszcie dotarliśmy do panoramicznej ekspozycji przedstawiającej scenę z życia lwów.

Groźny wygląd i reputacja drapieżników znów przykuły uwagę Cody'ego i Astor, którzy zatrzymali się przed ekspozycją, nie mogąc się od tego powstrzymać. Nad ciałem martwej gazeli stał z dumną miną wypchany lew; miał szeroko otwartą paszczę i lśniące kły. Obok znajdowały się dwie lwice i lwiatko. Koło ekspozycji wisiał dwustronicowy tekst informacyjny i w połowie drugiej strony znalazłem to, czego potrzebowałem.

– Powinniśmy się cieszyć, że nie jesteśmy lwami, prawda? – spytałem beztróska.

– Nie – odpowiedział Cody.  
– Tu jest informacja, że kiedy lew samiec zostaje głową lwiej rodziny...  
– Stada, Dexter – wtrąciła Astor. – Pamiętam z *Króla Lwa*.

– W porządku, niech będzie stada – odrzekłem. – Kiedy lew zostaje nowym przywódcą stada, zabija wszystkie młode.

– Straszne – powiedziała Astor.

Uśmiechnąłem się, pokazując ostre zęby.

– Nie, zupełnie naturalne – zaprzeczyłem. – Chroni swoje dzieci i sprawia, że to one będą rządziły w stadzie. Wiele drapieżników postępuje tak samo.

– Co to ma wspólnego z nami? – dopytywała się Astor. – Nie zabijesz nas po ślubie z mamą, prawda?

– Jasne, że nie – odparłem. – Teraz jesteście moimi dziećmi.

– I co z tego? – spytała.

Rozchyliłem wargi, by wytłumaczyć, i nagle poczułem, jak uchodzi ze mnie powietrze. Miałem otwarte usta, lecz nie byłem w stanie wykrztusić słowa, ponieważ w mojej głowie wirowała niezwykła myśl, której nie chciałem z góry odrzucać. Słyszałem swoje słowa: Wiele drapieżników postępuje tak samo. Chroni swoje dzieci.

Cokolwiek sprawiło, że stałem się drapieżnikiem, miało swoje źródło w Mrocznym Pasażerze. A teraz coś przeraziło Pasażera. Czy to możliwe, że...

Że co? Mojemu Pasażerowi zagraża nowy ojciec Pasażer? Spotkałem w życiu wielu ludzi, nad którymi wisiał cień podobny do mojego, i nic się nigdy nie stało – cienie po prostu się poznawały i bezgłośnie warczały. To zbyt głupie, by w ogóle się nad tym zastanawiać – Pasażerowie nie mają ojców.

Czy rzeczywiście?

– Dexter – odezwała się Astor. – Przerażasz nas.

Przyznaję, że ja również czułem przerażenie. Myśl, że Pasażer może mieć rodzica, który go tropi i chce zamordować, wydawała się niewiarygodnie idiotyczna – a jednak, z drugiej strony, skąd właściwie się wziął mój Pasażer? Miałem względną pewność, iż nie jest to tylko wytwór mojej wyobraźni, skutek choroby psychicznej. Nie byłem schizofrenikiem – obaj mieliśmy co do tego absolutną pewność. Zniknięcie Pasażera dowiodło, że jest niezależnym bytem.

To znaczyło, że Pasażer skądś przybył. Istniał przede mną. Miał źródło – można je nazwać rodzicem lub w inny sposób.

– Ziemia do Dextera, halo! – rzekła Astor i zdałem sobie sprawę, że w dalszym ciągu stoję w kompletnym bezruchu z idiotycznie otwartymi ustami niczym pedantyczny zombi.

– Tak – odpowiedziałem głupkowato. – Zamyśliłem się.

– Czy to bolało? – spytała.

Zamknąłem usta i popatrzyłem na nią. Spoglądała na mnie ze zde gustowaną miną dziesięciolatki, która nie może się nadziwić, jakimi kretynami bywają dorośli. Tym razem całkowicie się z nią zgadzałem. Zawsze uważałem obecność Pasażera za coś tak oczywistego, że w gruncie rzeczy w ogóle się nie zastanawiałem, skąd się wziął ani jak powstał. Czułem głupawe zadowolenie, cieszyłem się, że jest ze mną, że jestem sobą, a nie innym, pustym śmiertelnikiem. Teraz, gdy przydałoby mi się trochę samoświadomości, miałem kompletną pustkę w głowie. Dlaczego nigdy wcześniej nie myślałem o Pasażerze? I dlaczego musiałem to robić właśnie teraz, w obecności sarkastycznej dziewczynki? Należało poświęcić tej sprawie trochę czasu i namysłu – lecz, oczywiście, nie był to właściwy moment ani właściwe miejsce.

– Przepraszam – rzekłem. – Chodźmy zobaczyć planetarium.

– Miałeś nam powiedzieć, dlaczego lwy są ważne – przypomniała Astor.

Szczerze mówiąc, już nie pamiętałem, dlaczego lwy są ważne. Lecz na szczęście dla mojego wizerunku nie zdążyłem się do tego przyznać, bo zadzwoniła moja komórka.

– Chwileczkę – odpowiedziałem i wyjąłem ją z futerału. Popatrzyłem na wyświetlacz i okazało się, że to Deborah. Rodzina to w końcu rodzina, więc odebrałem telefon.

– Znaleźli głowy – powiedziała.

Dopiero po chwili zrozumiałem, co ma na myśli. Syczała mi do ucha i zdałem sobie sprawę, że powinienem coś odpowiedzieć.

– Głowy? Od dwóch ciał z kampusu? – spytałem.

Znów zasyczała nerwowo i powiedziała:

– Jezu, Dex, w Miami nie ma aż tylu brakujących głów!

– Tym z ratusza chyba jednak ich brakuje – stwierdziłem.

– Natychmiast przyjeżdżaj, Dexter, kurwa mać! Potrzebuję cię!

– Ależ, Deborah, jest sobota, i w tej chwili...

– Natychmiast! – powtórzyła i przerwała połączenie.

Popatrzyłem na Cody'ego i Astor, zastanawiając się, jak rozwiązać problem.

Gdybym ich odwiózł do domu, dotarłbym do Debs dopiero za godzinę, a poza tym stracilibyśmy całą sobotę, którą mogliśmy pożytecznie spędzić razem. Z drugiej strony nawet ja zdawałem sobie sprawę, że zabieranie dzieci na miejsce zbrodni może się wydawać nieco zbyt ekscentryczne.

Jednak miałyby to również walory wychowawcze. Powinni rozumieć, jak starannie pracuje policja, gdy pojawiają się zwłoki; była to doskonała okazja, by im to uświadomić. Rozważywszy sytuację, nawet uwzględniając fakt, że moja droga siostra może dostać szau, doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie wsadzić dzieciaki do auta i zawieźć na pierwsze dochodzenie w ich życiu.

– W porządku – powiedziałem, chowając komórkę. – Musimy jechać.

– Dokąd? – spytał Cody.

– Pomóc mojej siostrze. Będziecie pamiętać, czego się dziś nauczyliśmy?

– Tak, ale to tylko muzeum – zauważyła Astor. – Chcemy się uczyć czegoś innego.

– Jeszcze nie. Musicie mi ufać i robić to, co każę. Inaczej nie będę was uczył. – Pochyliłem się i spojrzałem im w oczy. – Nic wam nie powiem.

Astor zmarszczyła brwi.

– Dexter... – mruknęła.

– Mówię poważnie. Musicie mnie słuchać.

Znów wymienili spojrzenia. Po chwili Cody skinął głową, a Astor odwróciła się w moją stronę.

– Zgoda, dajemy słowo.

– Poczekamy – rzekł Cody.

– Rozumiemy, o co chodzi – dodała Astor. – Kiedy zaczniemy robić ciekawe rzeczy?

– Jak powiem – odrzekłem. – Tak czy inaczej, teraz musimy jechać.

– Właściwie dokąd jechać? – spytała zadziornym tonem dziesięciolatki.

– Muszę wpaść do pracy, więc wezmę was ze sobą.

– Zobaczymy trupa? – W jej głosie słychać było nadzieję.

– Nie, tylko głowy – odrzekłem, robiąc przeczący gest.

Zerknęła na Cody'ego i wzruszyła ramionami.

– Mama nie będzie zadowolona.

– Możecie poczekać w samochodzie.

– Jedźmy – zdecydował Cody, zwięzły jak zawsze. Pojechaliśmy.

Deborah czekała przed skromną, wartą dwa miliony dolarów willą na terenie prywatnego osiedla w dzielnicy Coconut Grove. Ulicę zamknięto między budką strażniczą a domem, położonym pośrodku osiedla po lewej stronie, a na wypielęgnowanych trawnikach i ścieżkach stały grupki oburzonych mieszkańców, spoglądając z wściekłością na hordy policjantów o niskim statusie społecznym, którzy wdarli się do ich rajskiego zakątka. Deborah wskazywała operatorowi wideo, co filmować i pod jakimi kątami. Szybko podszedłem do niej; za mną podążali Cody i Astor.

– Kto to jest, do cholery?! – warknęła, patrząc na moich podopiecznych.

– Tak zwane dzieci – odpowiedziałem. – Częsty produkt uboczny małżeństwa. Podejrzewam, że jako panna nie jesteś do nich przyzwyczajona.

– Po co je tu przywiozłeś, kurwa?! – rzuciła. – Zgłupiałeś do reszty?!

– Nie wolno kłąć – upomniała ją Astor, patrząc groźnie na Debs. – Jesteś mi winna pół



dolara.

Deborah otworzyła usta, poczerwieniała i zacisnęła wargi.

– Musisz je stąd zabrać – rzekła w końcu. – Nie powinny tego oglądać.

– Ale my bardzo chcemy to zobaczyć! – powiedziała z naciskiem Astor.

– Cicho! Nie odzywajcie się! – zwróciłem się do dzieci.

– Jezu Chryste, Dexter! – prychnęła Deborah.

– Kazałaś mi natychmiast przyjechać, więc to zrobiłem – odparłem.

– Nie mogę się zajmować niańczeniem dwojga dzieci – rzekła moja siostra.

– Nie musisz – odpowiedziałem. – Nic im się nie stanie.

Debs popatrzyła na Cody’ego i Astor, którzy odwzajemnili jej spojrzenie. Nikt nie mrugał i przez chwilę myślałem, że moja droga siostra odgryzie sobie dolną wargę. W końcu otrząsnęła się z zamyślenia.

– Pieprzę to! – zaklęła. – Nie mam czasu na handryczenie się! Zaczekajcie w samochodzie. – Wskazała swój wóz, zaparkowany po przeciwnej stronie ulicy, chwyciła mnie za ramię i pociągnęła w kierunku domu, wokół którego trwała gorączkowa krzątanina. – Popatrz! – rzekła i wyciągnęła rękę.

Powiedziała mi przez telefon, że znaleziono głowy, lecz, szczerze mówiąc, trudno byłoby ich nie zauważyć. Przed domem znajdował się krótki kręty podjazd zakończony bramą z wapienia koralowego, który prowadził na niewielki dziedziniec z fontanną pośrodku. Na szczycie słupów bramy wisiały ozdobne lampy. Między słupkami narysowano kredą na drodze znak przypominający skrót MLK, napisany dziwnym pismem, którego nie rozpoznałem. Aby nikt zbyt długo nie zastanawiał się nad napisem, na szczycie każdej z lamp na bramie...

Cóż, chociaż muszę przyznać, że kompozycja odznaczała się pewnym prymitywnym wigorem i dramatyczną siłą ekspresji, była zbyt prostacka jak na mój gust. Głowy starannie oczyszczono, usuwając powieki, a usta, wykrzywione od gorąca, wydawały się groteskowo uśmiechnięte, jednak całość nie wyglądała przyjemnie. Oczywiście morderca nie prosił mnie o opinię; zawsze uważałem, że nie powinno być żadnych resztek. Świadczy to o bałaganie i braku dokładności w pracy. To, że głowy pozostawiono w tak widocznym miejscu, sugerowało próbę popisania się i brak finezji w podejściu do problemu. Z drugiej strony bywają różne gusta. Chętnie przyznaję, że moja technika nie musi być najlepszą z możliwych. Jak zawsze, gdy

w grę wchodzi kwestie estetyczne, czekałem na cichy syk zgody Mrocznego Pasażera – lecz oczywiście nic takiego nie nastąpiło.

Ani jednego pomruku, poruszenia skrzydłami, zerknięcia. Mój przewodnik zniknął i znalazłem się w bardzo niepokojącej sytuacji, gdy musiałem sam sobą kierować.

Oczywiście nie byłem zupełnie sam, gdyż obok mnie stała Deborah. Kiedy zastanawiałem się nad zniknięciem swojego mrocznego towarzysza, nagle zdałem sobie sprawę, że moja siostra do mnie mówi.

– Byli dziś rano na pogrzebie i zobaczyli głowy po powrocie – rzekła.

– Oni, czyli kto? – spytałem, kiwając głową w stronę domu.

Boleśnie uderzyła mnie łokciem w żebra.

– Rodzina, idioto! Rodzina Ortegi. Dlaczego mnie nie słuchasz?!

– Więc podłożono je tutaj w biały dzień? – Z jakiegoś powodu wydało mi się to jeszcze bardziej niepokojące.

– Większość sąsiadów również poszła na pogrzeb, ale szukamy kogoś, kto coś widział – odparła i wzruszyła ramionami. – Może będziemy mieć szczęście, kto wie?

Z jakiegoś niejasnego powodu nie uważałem, by cokolwiek związanego z tą sprawą mogło

nam przynieść szczęście.

– Domyślam się, że powstają teraz pewne wątpliwości co do winy Halperna – zauważyłem.

– W żadnym wypadku, do cholery! – zaprzeczyła. – Ten dupek jest winny.

– Ach, więc sądzisz, że ktoś inny znalazł głowy, a potem...

– Sama nie wiem, kurwa! – zaklęła. – Musi mieć współnika.

Pokręciłem w milczeniu głową. Nie miało to żadnego sensu i oboje o tym wiedzieliśmy. Ktoś, kto potrafi zaplanować i popełnić dwa morderstwa rytualne, prawie na pewno działa samotnie. Takie działania są zbyt osobiste, każdy czyn wynika z wewnętrznej potrzeby o niepowtarzalnym charakterze – myśl o tym, że dwóch ludzi mogłoby mieć identyczną wizję, wydawała się czystym nonsensem. Ceremonialne umieszczenie głów na widoku w dziwny sposób pasowało do sposobu pozbycia się ciał – to były dwa elementy tego samego rytuału.

– To się nie zgadza – stwierdziłem.

– Cóż, a co się w tym wszystkim zgadza?

Popatrzyłem na głowy starannie ustawione na lampach. Naturalnie spaliły się w ogniu wraz z resztą ciał i nie zauważyłem śladów krwi. Szyje wydawały się ucięte bardzo czysto. Poza tym

moja intuicja milczała na temat tego, co się stało – a jednak Deborah spoglądała na mnie wyczekująco. Trudno mieć opinię człowieka umiejącego rozwikłać każdą tajemniczą zagadkę kryminalną, gdy wszystko opiera się na widmowych szeptach wewnętrznego głosu, który chwilowo umilkł. Czułem się jak lalka bruchomówcy, której nagle kazano wystąpić samodzielnie.

– Obie głowy są w tym miejscu – rzekłem, ponieważ musiałem coś powiedzieć. – Czemu nie w domu drugiej dziewczyny? Tej, która miała narzeczonego?

– Jej rodzina mieszka w Massachusetts – odpowiedziała Deborah. – Najprościej było zostawić je tutaj.

– Sprawdziłaś go, prawda?

– Kogo?

– Narzeczonego zamordowanej dziewczyny – wyjaśniłem powoli i wyraźnie. – Chłopaka z tatuażem na karku.

– Jezu Chryste, Dexter, oczywiście, że go sprawdzamy, podobnie jak każdego, kto zbliżył się do nich na kilometr w całym ich pieprzonym, nędznym życiu, a ty... – Odetchnęła głęboko, lecz nie wydawała się uspokojona. – Posłuchaj: tak naprawdę nie potrzebuję pomocy związanej z rutynowymi czynnościami policyjnymi, jasne?

Potrzebuję pomocy w związku z tym dziwnym, mrożącym krew w żyłach gównem, na którym się znasz.

Ucieszyłem się, że potwierdza, iż jestem Królem Dziwnego, Mrożącego Krew w Żyłach Gówna, lecz nie mogłem się nie zastanawiać, jak długo nim pozostanę bez swojej Mrocznej Korony. Ponieważ moja reputacja była zagrożona, musiałem zaryzykować wypowiedzenie jakiejś opinii, toteż podjąłem nieśmiałą próbę.

– W porządku – rzekłem. – Z punktu widzenia dziwnego, mrożącego krew w żyłach gówna istnienie dwóch sprawców stosujących ten sam rytuał nie ma absolutnie żadnego sensu. Czyli albo mordercą jest Halpern, a potem ktoś znalazł głowy i pomyślał: do licha, mogę je położyć na lampach, albo aresztowaliśmy niewłaściwą osobę.

– Chrzanię to! – rzuciła.

– Co?

– Wszystko, kurwa! – zakląła. – Jedno jest głupsze od drugiego!

– Cóż, w takim razie mamy gówno – odrzekłem, zaskakując nas oboje. Ponieważ miałem już dość Deborah, siebie i spalonych ciał bez głów, postąpiłem zgodnie z logiką i zdrowym rozsądkiem. Kopnąłem orzech kokosowy.

Znacznie lepiej. Teraz na dodatek bolała mnie noga.

– Sprawdzam przeszłość Goldmana – odezwała się nagle Deborah, kiwając głową w stronę domu. – Na razie wiemy tyle, że to dentysta. Jest właścicielem biurowca w Davie. Ale to wszystko... pachnie kokainą. To też nie ma sensu. Cholera jasna, Dexter! – prychnęła. – Powiedz mi coś!

Popatrzyłem na nią ze zdziwieniem. W jakiś sposób odwróciła sytuację i sprawiła, że to ja stałem się za wszystko odpowiedzialny. Tymczasem nie miałem absolutnie nic prócz nadziei, że Goldman okaże się szefem mafii narkotykowej udającym dentystę.

– Nic mi nie przychodzi go głowy – rzekłem. Było to smutne, lecz prawdziwe.

– O kurwa! – zakląła Deborah. Spojrzała poza moje plecy, na zbierający się tłum. Przyjechał pierwszy wóz transmisyjny i nim zdążył się zatrzymać, wyskoczył z niego dziennikarz i zaczął szturchać kamerzystę, by zajął miejsce do szerokiego ujęcia. – Cholerna jasna! – mruknęła i pobiegła się nimi zająć.

– Dexter, przestraszył nas tamten pan – rozległ się cichy głos za moimi plecami i szybko się obróciłem. Cody i Astor znów podkradli się do mnie niepostrzeżenie. Stali obok siebie,

a Cody skinął głową w stronę niewielkiego tłumu po drugiej stronie żółtej taśmy.

– Kto was przestraszył? – spytałem.

– Tamten człowiek w pomarańczowej koszuli – odpowiedziała Astor. – Nie każ mi go pokazywać, patrzy na nas.

Rozejrzałem się, szukając w tłumie pomarańczowej koszuli, i zobaczyłem ją na moment w ślepej uliczce. Nieznajomy dał nurka do samochodu, małego niebieskiego auta, nie białej toyoty avalon, jednak zauważyłem znajomą barwną plamę koło lusterka wstecznego, gdy wyjechał na główną drogę. I chociaż nie mogłem mieć absolutnej pewności, wydawało mi się, że to karta parkingowa wykładowcy Uniwersytetu Miami.

Odwróciłem się z powrotem w stronę Astor.

– Cóż, odjechał – rzekłem. – Dlaczego powiedziałaś, że was przestraszył?

– To Cody tak powiedział – odparła, wskazując brata, który kiwnął głową.

– Tak – prawie szepnął. – Miał wielki cień.

– Przykro mi, że was przestraszył – odezwałem się. – Ale już odjechał.

Cody skinął głową.

– Możemy popatrzeć na głowy?

Dzieci są takie interesujące, prawda? Cody przestraszył się czegoś tak ulotnego jak cień,



a jednak miał wielką ochotę popatrzeć z bliska na ludzkie szczątki – symbol zbrodni, grozy i śmiertelności. Naturalnie nie winiłem go za to, że chce zerknąć na głowy, lecz nie mogłem otwarcie na to pozwolić. Z drugiej strony nie miałem pojęcia, jak im to wszystko wytłumaczyć. Podobno język turecki może wyrażać subtelności, które przekraczają granice wyobraźni; angielski zdecydowanie nie wystarczał, by właściwie zareagować.

Na szczęście w tej samej chwili wróciła Deborah i mruknęła:

– Nigdy więcej nie będę się skarżyć na kapitana. – Wydawało się to wysoce nieprawdopodobne, ale niegrzecznie byłoby kwestionować jej słowa. – Dobrze, że się zajmuje tymi sukinsynami z prasy!

– Może po prostu masz trudności w kontaktach z ludźmi? – spytałem.

– Te dupki to nie ludzie! – odrzekła. – Zależy im tylko na tym, by zdobyć swoje fotografie, jak stoją z pięknymi fryzurami na tle uciętych głów, a potem wysłać je do telewizji! Jakie by było chciałoby oglądać coś takiego?!

W istocie rzeczy znałem odpowiedź na to pytanie, bo miałem w tej chwili pod opieką dwie takie osoby, a poza tym, szczerze mówiąc, sam byłem do nich podobny. Doszedłem jednak do

wniosku, że lepiej nie dyskutować na ten temat – należało się skupić na problemie, wobec którego stanęliśmy. Zastanawiałem się, dlaczego Cody uznał, że tamten człowiek jest przerażający; drugą kwestią było to, dlaczego dziwny nieznajomy dysponował kartą parkingową wykładowcy uniwersyteckiego.

– Mam pewien pomysł – odezwałem się, a Deborah błyskawicznie odwróciła głowę w moją stronę, jakbym powiedział, że nadepnęła na pytona. – Ale raczej nie pasuje on do twojej teorii o dentyście handlującym narkotykami – ostrzegłem.

– Mów! – rzuciła przez zęby.

– Ktoś tu był i przeraził dzieci. Odjechał samochodem z kartą parkingową wykładowcy uniwersyteckiego.

Popatrzyła na mnie twardym wzrokiem. Nie potrafiłem niczego wyczytać z jej oczu.

– O kurwa! – zaklęła wreszcie. – Jak się nazywał ten gość, o którym mówił Halpern?!

– Wilkins – odpowiedziałem.

– Nie, to wykluczone! – zaprzeczyła. – Dzieciaki twierdzą, że ktoś je przestraszył, owszem, ale to za mało. Nie.

– Ma motyw – stwierdziłem.

– Stały etat, na litość boską?! – spytała, kręcąc głową. – Daj spokój, Dexter!

– My nie musimy tego uważać za ważne, ale Cody i Astor tak sądzą – powiedziałem.

– Chce dostać etat, więc się włamuje do Halperna, kradnie jego ubrania, zabija dwie studentki? – Pokręciła głową.

– A potem rzuca podejrzenie na Halperna – dodałem, przypomniawszy sobie, jak stał na korytarzu i zaczął coś takiego sugerować.

Deborah gwałtownie obróciła głowę i popatrzyła na mnie.

– O kurwa! – prychnęła. – Rzeczywiście, zrobił coś takiego, prawda? Kazał nam iść do Halperna.

– Stały etat może się wydawać słabym motywem, ale taka hipoteza ma chyba większy sens niż to, że Danny Rolling i Ted Bundy, dwaj seryjni mordercy, zaczęli realizować wspólny projekt, prawda?

Deborah pogładziła się po włosach: zadziwiająco kobiecy gest jak na kogoś, kogo nazywałem Granitowym Sierżantem.

– W porządku, nie mogę tego wykluczyć – rzekła w końcu. – Za mało znam Wilkinsa, by coś powiedzieć.

– Pojedziemy z nim porozmawiać?

Pokręciła głową.

– Najpierw chcę się znów spotkać z Halpernem – odparła.

– Przyprawdzą Cody’ego i Astor – powiedziałem.

Oczywiście nie było ich tam, gdzie powinni się znajdować. Ale dość łatwo ich odnalazłem: przyglądali się uciętym głowom. Może był to tylko wytwór mojej wyobraźni, lecz miałem wrażenie, że w oczach Cody’ego pojawił się błysk fachowego uznania.

– Chodźcie – rzekłem. – Musimy jechać.

Odwrócili się i z ociąganiem podążyli za mną, lecz usłyszałem, jak Astor mruczy pod nosem:

– To i tak lepsze niż głupie muzeum...

\* \* \*

Patrzący obserwował z drugiego końca grupy, która się zebrała, by oglądać widowisko. Starał się nie wyróżniać z tłumu gapiów, upodobnić się do nich, nie zwracać na siebie uwagi. Pojawiając się tutaj, narażał się na niebezpieczeństwo – mógł zostać rozpoznany – lecz postanowił zaryzykować. Poza tym, naturalnie, przyjemnie było widzieć reakcję na swoją pracę; pozwalał sobie na odrobinę próżności.

Ponadto był zaciekawiony, czy rozumieją jedyną prostą wskazówkę, którą pozostawił.

Istota odznaczała się inteligencją, lecz jak dotąd ją zignorowała; przechodziła obok niej, pozwalając ją fotografować i badać swoim współpracownikom. Może Patrzący powinien bardziej otwarcie zasygnalizować to, co miał na myśli – ale jeszcze zdąży zrobić wszystko porządnie. Nie należało się śpieszyć – najważniejsze to przygotować istotę i zabrać ją we właściwym momencie.

Trochę się zbliżył, by przyjrzeć się istocie; miał nadzieję, że zauważy jej reakcję. Ciekawe, że przywiozła ze sobą dzieci. Widok dwóch głów najwyraźniej nie robił na nich większego wrażenia. Może były przyzwyczajone do takich rzeczy albo...

Nie, wykluczone.

Zachowując najwyższą ostrożność, podszedł bliżej, usiłując się wtopić w naturalny ruch gapiów, aż wreszcie dotarł do żółtej taśmy w miejscu położonym najbliżej dzieci.

Kiedy chłopiec uniósł głowę i ich spojrzenia się spotkały, wszystko stało się jasne – pomyłka była wykluczona.

Przez chwilę nie odrywali od siebie wzroku i czas zatrzymał się wśród trzepotu widmowych skrzydeł. Chłopiec stał i patrzył, jakby wiedział, kogo widzi – nie kogo, lecz co – i jego małe czarne skrzydła zatrzepotały ze strachem

i wściekłością. Patrzący nie mógł się powstrzymać; podszedł bliżej, by chłopiec mógł go zobaczyć i dostrzec otaczającą go aureolę mrocznej potęgi. Dziecko nie okazało strachu – odwzajemniło spojrzenie Patrzącego i zademonstrowało własną moc. Później chłopiec się odwrócił, ujął dłoń siostry i razem ruszyli w stronę istoty.

Pora odejść. Dzieci na pewno go wskażą, a Patrzący nie chciał, by ktoś zobaczył jego twarz, jeszcze nie. Pośpieszył z powrotem do samochodu i odjechał, zupełnie się nie martwiąc. Wcale nie. W istocie rzeczy był bardziej zadowolony, niż powinien.

Naturalnie z powodu dzieci. Nie tylko dlatego, że powiedzą wszystko istocie i wzbudzą w niej jeszcze większy strach, lecz po prostu dlatego, że Patrzący szczerze lubił dzieci. Cudownie się z nimi pracowało, ich emocje były tak potężne, że energia ofiary osiągała wyższy poziom.

Dzieci – cudownie.

To naprawdę zaczynało być przyjemne.

\* \* \*

*Przez pewien czas wystarczało podróżować w małopoludach i pomagać im w zabijaniu. Ale*

ciągłe powtórzenia sprawiły, że stało się to nudne, i od czasu do czasu TO znowu zaczęło myśleć, że musi istnieć coś więcej. W chwili śmierci ofiary poruszało się konwulsyjnie coś nieokreślonego, pojawiało się przeczucie, że coś za chwilę się zbudzi, po czym z powrotem zapadał spokój. TO chciało się dowiedzieć, co to takiego.

Ale TO nigdy nie potrafiło sprecyzować tego doznania, dotrzeć do jego istoty. Z tego powodu poczuło się zaintrygowane.

Minęło mnóstwo czasu i TO stawało się coraz bardziej rozgoryczone. Istoty podobne do małych były zbyt proste i TO nie czuło się usatysfakcjonowane tym, co mogło z nimi zrobić. Zaczęło gardzić ich głupią, bezcelową egzystencją, która w nieskończoność powtarzała te same schematy. Kilkakrotnie wpadało we wściekłość i chciało je ukarać za ich tępe, pozbawione wyobraźni cierpienie; skłoniło swojego gospodarza, by zabijał całe rodziny i plemiona. Kiedy umierały, gdzieś tuż poza zasięgiem pojawiała się nieuchwytna obietnica czegoś cudownego, po czym znów zapadała w sen.

Było to szalenie frustrujące. Musiał istnieć sposób, by się przebić, dowiedzieć się, czym jest to nieuchwytnie coś, i sprawić, by zaczęło istnieć.

*A potem – nareszcie! – małpoludy zaczęły się zmieniać. Na początku bardzo powoli, tak powoli, że TO spostrzegło, że coś się dzieje, dopiero gdy proces był już bardzo zaawansowany. Aż pewnego cudownego dnia, kiedy TO ulokowało się w ciele nowego gospodarza, stanął on nagle na tylnych łapach i spytał: „Kim jesteś?”.*

*Z początku TO nie wiedziało, o co chodzi. Przeżyło szok, lecz po chwili ogarnęła je rozkosz.*

*Nie było już samotne.*



Jazda do aresztu przebiegła gładko, lecz ponieważ prowadziła Deborah, oznaczało to tylko, że nikt nie został ciężko ranny. Śpieszyła się i kierowała samochodem jak typowa policjantka z Miami, nauczona tej sztuki przez innych policjantów z Miami. Uważała ruch uliczny za zjawisko z natury płynne – przecinała potoki aut jak rozgrzany nóż masło i wślizgiwała się w luki, których w istocie nie było, dając do zrozumienia innym kierowcom, że albo ustąpią, albo zginą.

Cody i Astor byli oczywiście zachwyceni. Siedzieli bezpiecznie przypięci pasami na tylnym siedzeniu i wyciągali szyje, by jak najwięcej widzieć. W pewnej chwili, gdy o mało nie wpadliśmy na stu pięćdziesięciokilogramowego grubasa jadącego na małym motocyklu, Cody nawet uśmiechnął się przelotnie, co zdarzało się wyjątkowo rzadko.

– Włącz syrenę – zażądała Astor.

– To nie jakaś cholerna gra komputerowa! – warknęła Deborah.

– Czy syren używa się tylko w cholernych grach komputerowych? – odparowała Astor. Deborah spurpurowiała i mocno szarpnęła kierownicą, by zjechać z autostrady U.S. 1. Ledwo uniknęła kolizji z poobijaną hondą na łąsych kołach.

– Nie używaj brzydkich słów, Astor – poprosiłem.

– Ciocia bez przerwy ich używa – odparła dziewczynka.

– W jej wieku też będziesz mogła ich używać, jeśli zechcesz. Ale nie teraz, gdy masz dziesięć lat.

– To głupie – stwierdziła. – Słowa są brzydkie niezależnie od wieku.

– To prawda, ale Deborah jest sierżantem i nie mogę jej niczego zakazać – odpowiedziałem.

– To głupie – powtórzyła Astor i zmieniła temat. – Naprawdę jest sierżantem? Czy to coś więcej niż zwykły policjant?

– To znaczy, że jest szefową policjantów – wyjaśniłem.

– Może rozkazywać policjantom?

– Tak – odrzekłem.

– I nosi broń?

– Tak.

Astor pochyliła się do przodu na tyle, na ile pozwalał pas bezpieczeństwa, i popatrzyła na Deborah z czymś w rodzaju szacunku. Rzadko widywałem na jej twarzy taki wyraz.

– Nie wiedziałam, że dziewczyny mogą nosić broń i rozkazywać policjantom – powiedziała.

– Dziewczyny mogą robić wszystko to, co robią chłopcy – rzuciła Deborah. – I zwykle są w tym lepsze.

Astor popatrzyła na Cody’ego, a później na mnie.

– Wszystko? – spytała.

– Prawie – odpowiedziałem. – Zawodowy futbol raczej odpada.

– Strzelasz do ludzi? – zwróciła się do Debs.

– Dexter, na litość boską... – jęknęła Deborah.

– Czasem strzela, ale nie lubi o tym opowiadać – wyjaśniłem Astor.

– Dlaczego?

– Strzelanie do ludzi to bardzo prywatna sprawa. Chyba uważa, że nikomu nic do tego.

– Przestańcie o mnie mówić, jakbym była lampą, na miłość boską! – warknęła Deborah. – Przecież tu siedzę.

– Wiem – odezwała się Astor. – Powiesz nam, do kogo strzelasz?

Deborah nie odpowiedziała. Skręciła z piskiem opon na parking i zatrzymała

samochód przed aresztem.

– Jesteśmy na miejscu – rzekła i wyskoczyła z samochodu, jakby uciekała przed chmurą czerwonych mrówek. Pośpieszyła do budynku, ja zaś rozpiąłem Cody’emu i Astor pasy bezpieczeństwa i ruszyliśmy za nią wolniejszym krokiem.

Deborah rozmawiała z sierżantem dyżurnym, a ja posadziłem dzieci na odrapanych krzesłach.

– Zaczekajcie tu – powiedziałem. – Wrócę za pięć minut.

– Mamy czekać?! – spytała Astor. W jej głosie drżało oburzenie.

– Tak – odrzekłem. – Muszę porozmawiać ze złym człowiekiem.

– Dlaczego nie możemy z tobą iść? – dopytywała się Astor.

– To niezgodne z przepisami – odparłem. – Poczekajcie tu, proszę, jak powiedziałem.

Nie mieli entuzjastycznych min, lecz przynajmniej nie zerwali się z krzeseł i nie pobiegli z wrzaskiem korytarzem. Wykorzystałem ich spokój i dołączyłem do Deborah.

– Chodźmy – odezwała się i poszliśmy do jednej z sal przesłuchań w głębi korytarza. Po kilku minutach strażnik przyprowadził

Halperna. Uczony nosił kajdanki i wyglądał jeszcze gorzej niż wtedy, gdy go przywieźliśmy. Był nieogolony, miał zmierzwiłone włosy, a w jego oczach malowała się udręka – wiem, że brzmi to melodramatycznie, lecz tylko tak mogę to opisać. Usiadł na skraju krzesła, popchnięty przez strażnika, i wbił wzrok w swoje dłonie spoczywające na blacie stołu.

Deborah skinęła głową w stronę strażnika, który wyszedł z sali i stanął na korytarzu. Odczekała, aż zatrzasną się drzwi, po czym popatrzyła na Halperna.

– Cóż, Jerry, mam nadzieję, że miałeś spokojną noc – odezwała się.

Gwałtownie uniósł głowę, jakby podciągnięto ją na linie, i wytrzeszczył na nią oczy.

– Co... co pani ma na myśli? – spytał.

– Nic szczególnego, Jerry – odpowiedziała łagodnie, unosząc brwi.. – Staram się po prostu być uprzejma.

Spoglądał na nią przez chwilę, po czym znowu opuścił głowę.

– Chcę wrócić do domu – rzekł cichym, drżącym głosem.

– Z pewnością, Jerry – odparła Deborah. – Ale nie mogę cię w tej chwili zwolnić.

Pokręcił głową i wymamrotał coś niezrozumiałego.

– Co mówisz, Jerry? – spytała tym samym łagodnym, cierpliwym tonem.

– Nie przypuszczam, żebym popełnił jakieś przestępstwo – odparł, ciągle nie podnosząc oczu.

– Nie przypuszczasz? – wtrąciłem. – A czy my nie powinniśmy być tego pewni, nim cię wypuścimy?

Bardzo powoli uniósł głowę i popatrzył na moją siostrę.

– Zeszłej nocy... – zaczął. – Atmosfera tego budynku... – Pokręcił głową. – Nie wiem, sam nie wiem...

– Byłeś już w podobnym miejscu, prawda, Jerry? Jako mały chłopiec – zasugerowała Deborah, a Halpern przytaknął. – I coś ci się przypomniało?

Zachnął się, jakby splunęła mu w twarz.

– Nie... To nie wspomnienie – odrzekł. – To tylko sen, na pewno.

Deborah popatrzyła nań ze zrozumieniem.

– Co ci się przyśniło, Jerry? – spytała, a Halpern znów pokręcił głową i spojrział na nią z otwartymi ustami. – Jeśli nam wszystko opowiesz, może poczujesz się lepiej – ciągnęła. – Skoro to tylko sen, co to komu szkodzi? – W dalszym ciągu kręcił głową. – Co ci się

przyśniło, Jerry? – powtórzyła z nieco większym naciskiem, lecz ciągle bardzo łagodnie.

– Wielki posąg – rzekł. Przestał kręcić głową i wydawał się zdumiony, że wypowiedział te słowa.

– Posąg, jasne – powiedziała Deborah.

– Wielki... naprawdę ogromny... W jego brzuchu... płonął ogień.

– Miał brzuch? – spytała. – Jak wyglądał ten posąg?

– Był gigantyczny – ciągnął Halpern. – Postać odlana z brązu, z wyciągniętymi ramionami, które się opuściły, żeby... żeby... – Umilkł, a później wymamrotał kilka słów.

– Co takiego, Jerry? Nie dosłyszałam.

– Że posąg miał łeb byka – wtrąciłem i poczułem, jak jeżą mi się włosy na karku.

– Ramiona się opuściły, a ja byłem... naprawdę szczęśliwy. Nie wiem dlaczego. Śpiewy. Położyłem na dłoniach posągu dwie dziewczynki. Pociąłem je nożem, a posąg uniósł je i wsadził sobie do ust. W ogień...

– Jerry, na twoim ubraniu była krew i ślady ognia – rzekła jeszcze łagodniej Deborah. Milczał, więc kontynuowała: – Wiemy, że w chwilach napięcia miewasz zaniki pamięci. – Dalej się nie odzywał. – Czy to możliwe, Jerry, że miałeś zanik pamięci, zamordowałeś te

studentki i wróciłeś do domu? Nie zdając sobie z tego sprawy?

Znowu zaczął kręcić głową, powoli, jak maszyna.

– Masz jakąś lepszą hipotezę? – spytała.

– Gdzie bym znalazł taki posąg? – odezwał się.

– To znaczy... Jak mógłbym, no nie, znaleźć posąg, rozpalić ogień, zaprowadzić tam dwie dziewczyny i... Czy to możliwe? Jak mógłbym to zrobić i o niczym nie wiedzieć?

Deborah popatrzyła na mnie, a ja wzruszyłem ramionami. To, co mówił, brzmiało rozsądnie. Muszą w końcu istnieć jakieś praktyczne granice tego, co może zrobić lunatyk, a to faktycznie je przekraczało.

– Skąd się wziął ten sen, Jerry? – spytała Deborah.

– Wszystkim coś się śni – odpowiedział.

– Więc skąd się wzięła krew na twoim ubraniu?

– To robota Wilkinsa, na pewno – rzekł. – Nie ma innej możliwości.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł sierżant. Pochylił się i zaczął coś mówić na ucho mojej siostrze. Wyciągnąłem szyję, by się dowiedzieć, o co chodzi.

– Adwokat tego gościa zaczął się awanturować – powiedział sierżant. – Mówi, że



jego klient przebywał w areszcie, gdy odnaleziono głowy, co dowodzi, że jest niewinny. – Policjant wzruszył ramionami. – Trzeba będzie go zwolnić.

– W porządku – rzekła Debs. – Dzięki, Dave. – Sierżant znów wzruszył ramionami, wyprostował się i wyszedł.

Deborah popatrzyła na mnie.

– Cóż, przynajmniej sprawa przestała być prosta – odezwałem się.

Odwróciła się w stronę Halperna.

– W porządku, Jerry – rzekła. – Porozmawiamy później. – Wstała i wyszła z sali przesłuchań. Podążyłem za nią.

– Co o tym wszystkim sądzisz? – spytałem.

Pokręciła głową.

– Jezu, Dex, nie mam pojęcia. Potrzebuję przełomu. – Zatrzymała się i odwróciła w moją stronę. – Jeśli to zrobił w czasie jednego ze swoich zaników pamięci, musiał zaplanować wszystko nieświadomie, a to przecież niemożliwe.

– Chyba tak – zgodziłem się.

– Albo ktoś zadał sobie mnóstwo trudu, by wszystko przygotować i go wrobić, a potem skorelował akcję w czasie z jego zanikiem pamięci.

– Co również nie wchodzi w rachubę – zauważyłem grzecznie.

– Tak, wiem – odparła Debs.

– A posąg z głową byka i ogniem w brzuchu?

– Pieprzone bzdury! To po prostu sen. Nie może być inaczej.

– Więc gdzie spalono dziewczyny?

– Widziałeś kiedyś wielki posąg z łbem byka i wbudowanym piecem? Gdzie ukryć coś takiego? Znajdź go, a wtedy uwierzę, że naprawdę istnieje.

– Czyli musimy wypuścić Halperna? – spytałem.

– Nie, do cholery! – warknęła. – Ma zarzut stawiania oporu podczas aresztowania. – Odwróciła się i ruszyła z powrotem w stronę dyżurki.

Kiedy dotarliśmy do wyjścia, Cody i Astor siedzieli z sierżantem. Choć nie zostali tam, gdzie kazałem, byłem zadowolony, że niczego nie podpalili, toteż się ich nie czepiałem. Deborah obserwowała niecierpliwie, jak odbieram dzieci, i wyszliśmy razem na dwór.

– I co teraz? – spytałem.

– Oczywiście musimy porozmawiać z Wilkinsem – odparła Deborah.

– Spytamy, czy ma na tyłach domu posąg z łbem byka?

– Nie! – prychnęła. – To pieprzony nonsens!

– Zaklęłaś! – wtrąciła Astor. – Jesteś mi winna następne pół dolara.

– Robi się późno – odezwałem się. – Muszę odwieźć dzieci do domu, nim Rita upiecze mnie na rożnie.

Deborah spoglądała przez dłuższą chwilę na Cody'ego i Astor, a później popatrzyła na mnie.

– W porządku – rzekła.

Zdołałem odwieźć dzieci do domu, nim Rita wpadła w szal, choć była tego bliska, a kiedy się dowiedziała, że oglądali odcięte głowy, jej humor bynajmniej się nie poprawił. Jednak Cody i Astor wydawali się spokojni, wręcz podekscytowani tym, co widzieli w ciągu dnia; niedawne postanowienie Astora, by zostać moim miniaturowym odpowiednikiem u boku mojej siostry Debs, tak bardzo przykuło uwagę Rity, że zapomniała o autentycznym gniewie. W końcu szybki wybór drogi kariery może oszczędzić mnóstwo czasu i kłopotów w późniejszym okresie.

Było jasne, że Rita jest roztrzęsiona i że czeka nas festiwal paplaniny. Normalnie po prostu bym się uśmiechał, kiwał głową i pozwolił jej gadać. Lecz nie byłem w nastroju do czegokolwiek, co miało posmak normalności. Przez ostatnie dwa dni marzyłem tylko o spokojnym, cichym miejscu, by się zastanowić, gdzie się podział mój Pasażer, lecz zamiast tego moja uwaga była nieustannie odciągana we wszystkich kierunkach przez Deborah, Ritę,

dzieci, a nawet, o ironio, pracę. Moja maska przejęła pewne cechy istoty, którą ukrywałem, i budziło to moją niechęć. Ale gdybym się zdołał przekraść obok Rity i wyjść z domu, w końcu miałbym trochę czasu dla siebie.

Dlatego pod pretekstem ważnego śledztwa, które nie mogło czekać do poniedziałku rano, wymknąłem się chyłkiem z domu i pojechałem do laboratorium, rozkoszując się względnym spokojem ruchu ulicznego w Miami w sobotni wieczór.

Przez pierwsze piętnaście minut jazdy miałem dziwne poczucie, że jestem śledzony. Śmiechu warte, wiem, ale nie przywykłem do samotności w ciągu nocy i czułem się bezbronny. Bez Pasażera byłem tygrysem pozbawionym powonienia i kłów. Miałem wrażenie, że jestem powolny i głupi; po plecach przebiegały mi ciarki. Czułem, że podąża za mną coś złego, że powinienem zawrócić i sprawdzić trasę, którą przebyłem, bo coś się tam czai, obserwując mnie głodnym wzrokiem. Poza tym w mojej głowie rozlegało się echo dziwnej muzyki ze snu; moje nogi mimowolnie podrygiwały, jakby chciały gdzieś iść.

Było to koszmarnie uczucie i gdybym tylko posiadał zdolność empatii, z pewnością doznałbym straszliwego objawienia – uniósłbym

dłoń do czoła, upadł na ziemię i zaczął opowiadać zbolonym głosem, jak bardzo żałuję, że wielokrotnie tropiłem innych ludzi, wywołując w nich te same okropne uczucia. Ale nie jestem stworzony do cierpienia – przynajmniej nie własnego cierpienia – toteż mogłem myśleć tylko o swoim poważnym problemie. Pasażer zniknął, a ja czułem się pusty; jeśli ktoś rzeczywiście mnie śledził, byłem bezbronny.

Prawdopodobnie to tylko moja wyobraźnia. Kto tropiłby Dziwaka Dextera, prowadzącego najzupełniej normalne, sztuczne życie ze szczęśliwym uśmiechem, dwojgiem dzieci i nowym kredytem hipotecznym na zapłacenie rachunku kuchmistrza wynajętego na wesele? Aby się upewnić, zerknąłem w lusterko wsteczne.

Naturalnie nikogo nie zauważyłem; nikt się nie czał z siekierą i glinianym garnkiem z wypisanym na nim moim imieniem. Samotność sprawia, że głupieję.

Na poboczu drogi ekspresowej Palmetto palił się samochód, a większość kierowców radziła sobie z korkiem, wymijając go lewym poboczem albo naciskając klaksony i wrzeszcząc. Zjechałem z tej drogi i pojechałem obok magazynów w pobliżu portu lotniczego. Na

Sześćdziesiątej Dziewiątej Alei na ścianie jednego z magazynów wył alarm przeciwwłamaniowy, a trzech mężczyźni bez pośpiechu ładowali pudła do ciężarówki. Uśmiechnąłem się i pomachałem im ręką; nie zwrócili na mnie uwagi.

Zacząłem się przyzwyczajać, że ostatnio wszyscy ignorują biednego pustego Dextera, z wyjątkiem, oczywiście, osoby, która albo mnie śledziła, albo nie śledziła.

Skoro już mówimy o pustce – dość gładko uniknąłem konfrontacji z Ritą, lecz nie zjadłem kolacji, a nie jest to coś, co jestem w stanie wytrzymać. Byłem straszliwie głodny i potrzebowałem jedzenia niemal jak powietrza.

Zatrzymałem się przy restauracji sieci Pollo Tropical i kupiłem połówkę pieczonego kurczaka na wynos. Zapach natychmiast wypełnił samochód i przejechałem ostatnie trzy kilometry dzielące mnie od komendy, marząc, by stanąć z piskiem hamulców i rozszarpać kurczaka zębami.

W końcu zatrzymałem się na parkingu i pokusa okazała się zbyt silna. Wszedłszy do budynku, wyjąłem zatłuszczonymi palcami legitymację i o mało nie upuściłem fasolki. Kiedy w końcu usiadłem przed komputerem, byłem

w znacznie lepszym nastroju, a z kurczaka pozostała tylko torba kości i miłe wspomnienie.

Jak zwykle z pełnym żołądkiem i czystym sumieniem znacznie łatwiej skłoniłem swój potężny mózg do intensywnej pracy i zacząłem się zastanawiać nad problemem. Mroczny Pasażer zniknął, co zdawało się wskazywać, że istniał niezależnie ode mnie. Oznaczało to, że musi skądś pochodzić; bardzo możliwe, że tam powrócił. Dlatego najważniejszy problem polegał na tym, by się dowiedzieć czegoś o miejscu, skąd przybył.

Doskonale wiedziałem, że mój Pasażer nie jest jedyny na świecie. W czasie swojej długiej, owocnej kariery spotkałem kilkunastu innych drapieżników otoczonych niewidzialną czarną chmurą świadcząca, że w ich umysłach mieszka autostopowicz podobny do mojego. Można było rozsądnie przyjąć, że istoty te gdzieś kiedyś powstały; nie tylko we mnie i za mojego życia. Muszę ze wstydem przyznać, że nigdy się nie zastanawiałem, dlaczego tak się dzieje ani skąd pochodzą wewnętrzne głosy. Teraz, gdy czekała mnie perspektywa spędzenia całej nocy w cichym, spokojnym laboratorium, mogłem naprawić to tragiczne niedopatrzenie.

Nie zastanawiając się nad swoim osobistym bezpieczeństwem, odważnie zapuściłem się



w otchłań internetu. Naturalnie gdy wpisałem do wyszukiwarki słowa „Mroczny Pasażer”, nie pojawiły się żadne pomocne wyniki. Był to w końcu mój prywatny termin. Sprawdziłem go jednak na wszelki wypadek i nie znalazłem niczego oprócz kilku gier sieciowych i dwóch blogów, którymi powinny się zainteresować odpowiednie agendy rządowe zajmujące się monitorowaniem nastolatków dręczonych przez poczucie winy.

Wpisałem zwroty: „wewnętrzny towarzysz”, „wewnętrzny przyjaciel”, a nawet „przewodnik duchowy”. Znowu pojawiło się trochę bardzo interesujących wyników, które sprawiały, że nie mogłem się nadziwić, co się dzieje z naszym starym, zmęczonym światem, lecz nie znalazłem niczego, co rzuciłoby światło na mój problem. O ile wiem, nic nie istnieje w jednostkowej postaci i prawdopodobnie po prostu wpisywałem do wyszukiwarki niewłaściwe zwroty.

W porządku: „wewnętrzny przewodnik”, „wewnętrzny doradca”, „ukryty pomocnik”. Sprawdziłem wszystkie kombinacje wyrazów, jakie zdołałem wymyślić, zmieniałem przymiotniki, wykorzystałem listy synonimów i przez cały czas czułem zdumienie, jak bardzo pseudofilozofia New Age opanowała internet. I w

dalszym ciągu nie znalazłem niczego groźniejszego niż opisy sposobów, jak wykorzystać potęgę podświadomości, by zrobić fantastyczny interes na handlu nieruchomościami.

Natknąłem się jednak na bardzo interesującą wzmiankę o biblijnym Salomonie, z której wynikało, że stary mędrzec w tajemnicy opowiadał o jakimś królu wewnętrznym. Zacząłem szukać informacji o Salomonie. Kto by się domyślał, że w Biblii może być coś interesującego i istotnego? Wydaje się, że kiedy wyobrażamy sobie Salomona jako mądrego, wesołego staruszka z brodą, który dla zabawy zaproponował przecięcie dziecka na pół, pomijamy to, co najważniejsze.

Na przykład zbudował świątynię ku czci istoty zwanej Molochem, będącej najwyraźniej jednym ze złych starych bogów, i zabił swojego brata, bo odkryto w nim „złość”. Doskonale rozumiałem, że z perspektywy biblijnej wewnętrzna złość to bardzo dobry opis Mrocznego Pasażera. Ale jeśli miało to związek ze mną, czy ktoś posiadający „wewnętrznego króla” zabiłby kogoś zamieszkanego przez złość?

Kręciło mi się od tego w głowie. Czy miałem uwierzyć, że król Salomon miał swojego własnego Mrocznego Pasażera? A może, skoro

jest uznawany za jedną z pozytywnych postaci Biblii, powinienem to rozumieć tak, że odkrył Pasażera w swoim bracie i z tego powodu go uśmiercił? A może, wbrew temu, w co wierzymy, naprawdę zamierzał przeciąć dziecko na pół?

Co najważniejsze, czy to, co się wydarzyło kilka tysięcy lat temu na drugim końcu świata, może mieć naprawdę jakieś znaczenie? Nawet gdyby przyjąć, że w królu Salomonie mieszkał jeden z pierwotnych Mrocznych Pasażerów, jak mogło mi to pomóc stać się z powrotem ślicznym, morderczym potworem? Czy mam cokolwiek wspólnego z tymi fascynującymi opowieściami? Nie ma w nich żadnych informacji, skąd pochodzi Pasażer, czym jest i jak go skłonić do powrotu.

Nie wiedziałem, co robić. W porządku, najwyraźniej trzeba się poddać, pogodzić z losem, poprosić sąd o łagodny wymiar kary, wcielić się w rolę Dextera spokojnego ojca rodziny, byłego Mrocznego Mściciela. Zaakceptować fakt, że nigdy więcej nie poczuję twardego, zimnego dotyku światła księżyca na wrażliwych komórkach czuciowych, skradając się w ciemności niczym wcielenie chłodnej, ostrej stali.

Usiłowałem wymyślić coś, co by mnie zachęciło do wspięcia się na jeszcze większe wyżyny wysiłku umysłowego, lecz przyszedł mi do głowy jedynie fragment wiersza Rudyarda Kiplinga: „Jeśli potrafisz zachować zimną krew, gdy wszyscy wpadają w panikę” lub coś podobnego. Nie wydawało się to wystarczające. Może Ariel Goldman i Jessica Ortega powinny nauczyć się na pamięć Kiplinga? Tak czy inaczej, moje poszukiwania w internecie nie doprowadziły do znalezienia żadnych pomocnych stron.

Świetnie. Jak jeszcze można nazwać Pasażera? „Ironiczny komentator”, „system ostrzegawczy”, „wewnętrzny kibic”. Sprawdziłem wszystkie warianty. Niektóre rezultaty wyszukiwania frazy „wewnętrzny kibic” okazały się doprawdy zdumiewające, lecz nie miały nic wspólnego z moim śledztwem.

Wypróbowałem zwroty: „obserwator”, „wewnętrzny obserwator”, „mroczny obserwator”, „ukryty obserwator”.

Ostatnia próba, mogąca mieć jakiś związek z tym, że znowu zacząłem myśleć o jedzeniu, lecz mimo wszystko uzasadniona: „głodny obserwator”.

Wyniki wyszukiwania znowu okazały się bełkotem w stylu New Age. Ale moją uwagę

zwrócił jeden blog i kliknąłem w link. Przeczytałem pierwszy paragraf i chociaż nie powiedziałem: „Bingo!”, do tego mniej więcej sprowadzały się moje myśli.

„Znowu wyruszam w noc z Głodnym Obserwatorem”, brzmiało pierwsze zdanie. „Krążymy mrocznymi ulicami, na których roi się od zwierzyny, jedziemy powoli przez scenę zbliżającej się uczyty i czujemy przypływ krwi, która wkrótce wytryśnie, by nas skąpać w radości...”.

Cóż, proza w nieco barokowym stylu. A fragment o krwi wydał mi się nieprzyjemny. Ale pomijając to wszystko, był to dość dobry opis tego, co czułem, gdy przemierzałem miasto przed jedną z moich przygód. Najwyraźniej znalazłem bratnią duszę.

Czytałem dalej. Wszystko pokrywało się z moimi doświadczeniami, gdy krążyłem nocą po Miami, czując głód, wyczekując na dogodny moment, słuchając syczącego szeptu Mrocznego Pasażera, który udzielał mi wskazówek. Jednak kiedy narrator doszedł do miejsca, gdy skoczyłbym na ofiarę, by ją obezwładnić, wspomniał o „innych”, po czym następowały trzy litery pochodzące z alfabetu, którego nigdy wcześniej nie widziałem.

Czy rzeczywiście nie widziałem?

Gorączkowo podniosłem z blatu biurka teczkę z aktami śledztwa w sprawie dwóch dziewcząt bez głów. Wyjąłem plik fotografii, przejrzałem je i odnalazłem to, czego szukałem.

Na podjeździe domu doktora Goldmana wypisano kredą takie same trzy litery, przypominające koślawe M, L i K.

Zerknąłem na ekran komputera: były identyczne, nie ulegało wątpliwości.

Nie wydawało się to przypadkiem, tylko czymś bardzo istotnym, może nawet kluczem do rozwikłania zagadki. Tak, to musiało coś oznaczać, z jednym drobnym znakiem zapytania: co oznaczać? O co w tym wszystkim chodzi?

Dlaczego miało to jakiś związek ze mną? Przyjechałem do laboratorium zająć się zniknięciem Mrocznego Pasażera, czyli swoim osobistym problemem – pojawiłem się tu późnym wieczorem, by nie rozpraszała mnie siostra i obowiązki zawodowe. A teraz wyglądało na to, że jeśli chcę rozwiązać swój problem, będę musiał zacząć pracować nad śledztwem Debs. Czy to sprawiedliwe?

Cóż, jeżeli narzekanie przynosi jakieś autentyczne korzyści, nigdy ich dotąd nie widziałem w życiu pełnym cierpienia i gładkich słówek. Dlatego mogłem się zająć tym, co

znalazłem, i zobaczyć, gdzie mnie to doprowadzi.

Przede wszystkim: co to za pismo? Byłem pewien, że nie chińskie ani japońskie – lecz może jakiś azjatycki alfabet, o którym nic nie wiedziałem? Znalazłem w internecie atlas i zacząłem eliminować kolejne kraje: Korea, Kambodża, Tajlandia. W żadnym nie używano podobnego pisma. Co pozostało? Cyrylica? Łatwo sprawdzić. Wyszukałem stronę z kompletnym alfabetem. Musiałem długo się na nią gapić; niektóre litery wydawały się podobne, lecz w końcu doszedłem do wniosku, że nie pasują.

Co dalej? Co jeszcze? Co teraz zrobiłby ktoś naprawdę inteligentny, taki jak niegdyś ja albo największy mędrzec wszech czasów, król Salomon?

W mojej głowie rozległo się ciche popiskiwanie. Słuchałem go przez chwilę i wreszcie odebrałem telefon. Tak, owszem, powiedziałem „król Salomon”. Gość z Biblii, który miał wewnętrznego króla. Słucham? Ach, doprawdy? Związek, powiadasz? Tak uważasz?

Bardzo daleki strzał, lecz łatwo sprawdzić. Oczywiście Salomon posługiwał się starożytnym językiem hebrajskim, który bez trudu wyszukałem w sieci. Zupełnie nie przypominał znaków, które znalazłem. A więc nie istniał

żaden związek: *ipso facto* lub podobny mądry łaciński zwrot.

Ale chwileczkę. Zdaje się, że autorzy Biblii nie mówili po hebrajsku, tylko w jakimś innym języku. Brutalnie zapędziłem do pracy swój mózg i w końcu udzielił mi odpowiedzi. Tak, wspominało o tym niepodważalne źródło naukowe, *Poszukiwacze zaginionej Arki*. Szukałem języka aramejskiego.

Znów z łatwością znalazłem stronę internetową pragnącą nauczyć wszystkich pisania po aramejsku. Kiedy ją otworzyłem, poczułem wielką chęć do nauki – nie ulegało wątpliwości, że trzy litery idealnie pasują. Były to aramejskie odpowiedniki skrótu MLK, tak jak sądziłem na podstawie wyglądu.

Czytałem dalej. W piśmie aramejskim, podobnie jak w hebrajskim, nie występują samogłoski. Trzeba je uzupełnić samodzielnie. Bardzo trudne, doprawdy; przed przeczytaniem słowa należy je znać. MLK może oznaczać słowa „mleko”, „milik”, „malik” lub dowolną inną kombinację liter; żadna z nich nie miała sensu, przynajmniej dla mnie, co wydawało się ważne. W dalszym ciągu pisałem na kartce, tworząc nowe wyrazy. Milok. Molak. Molek...

W moim mózgu znów zapaliło się światełko. Chwyciłem myśl, która przyszła mi do głowy,



i zacząłem ją analizować. Kolejny raz chodziło o króla Salomona. Tuż przed uśmierceniem brata z powodu jego złości zbudował świątynię Molocha. A imię Molocha, złowrogiego bóstwa Ammonitów, zapisywano również jako Molek; ta forma była uznawana za poprawniejszą.

Tym razem wpisałem do wyszukiwarki zwrot „kult Molocha” i przejrzałem kilkanaście nieciekawych stron, nim odnalazłem kilka, które podawały te same informacje: uczestnicy ceremonii związanych z kultem Molocha wpadali w ekstazę i tracili panowanie nad sobą; uroczystości kończyły się składaniem ofiar z ludzi. Wyglądało na to, że czciciele Molocha ogarniał prawdziwy szal i w końcu nie zdawali sobie sprawy, że mały Jimmy został zabity i spalony, niekoniecznie w tej kolejności.

Cóż, tak naprawdę nie rozumiem, co oznacza ekstaza i utrata panowania nad sobą, chociaż chodzę na mecze futbolowe Orange Bowl. Przyznaję, że ogarnęła mnie ciekawość: Na czym właściwie polegała sztuczka? Znalazłem trochę więcej informacji i odkryłem, że czciciele Molocha wpadali w trans pod wpływem muzyki, która odznaczała się taką siłą oddziaływania, że niemal automatycznie wywoływała stan podobny do szaleństwa. Nie było całkowicie jasne, jak to się działo – najbardziej konkretne

wyjaśnienie, jakie udało mi się odnaleźć, pochodziło z aramejskiego tekstu przetłumaczonego na angielski i opatrzonego mnóstwem przypisów, gdzie znajdowało się zdanie: „Moloch zsyłał im muzykę”. Domyślałem się, że grupa kapłanów maszerowała ulicami z bębnami i trąbami...

Dlaczego z bębnami i trąbami, Dexterze?

Bo to właśnie słyszałem we śnie. Bębny i trąby, a później narastający chór szczęśliwych głosów i uczucie, że tuż za progiem czeka czysta, wiekuista radość.

Wydaje się to dość dobrą roboczą definicją ekstazy i utraty panowania nad sobą, prawda?

W porządku, zacząłem analizować sytuację. Przyjmijmy hipotetycznie, że Moloch wrócił. Może nigdy nie odszedł? Czy złowrogie biblijne bóstwo liczące trzy tysiące lat prześladuje mnie muzyką, żeby, hm... właściwie co? Ukraść mojego Mrocznego Pasażera? Mordować młode kobiety w Miami, współczesnej Gomorze? Przypomniał mi się nawet mój domysł z muzeum i próbowałem go dopasować do układanki – Salomon miał pierwotnego Mrocznego Pasażera, który teraz pojawił się w Miami i, jak lew przejmujący władzę nad stadem, usiłuje zabijać miejscowych Pasażerów, bo, hm... Właściwie dlaczego? Czy naprawdę

miałem wierzyć, że nagle postanowiło mnie dopaść ponure bóstwo ze Starego Testamentu? Czy nie rozsądniej byłoby od razu zgłosić się z tą historią do psychiatrii?

Rozwazałem to wszystko z różnych punktów widzenia i nie znalazłem rozwiązania. Moje życie się rozsypało, więc może mój mózg również zaczął szwankować? Może po prostu jestem przemęczony? Tak czy inaczej, nic nie miało sensu. Powinienem czegoś się dowiedzieć o Molochu. Zastanawiałem się, czy ma własną stronę internetową.

Sprawdzenie zajęło mi tylko chwilę. Wpisałem do wyszukiwarki słowo „Moloch” i przed moimi oczyma ukazała się lista pretensjonalnych, żalonych blogów, gier sieciowych w konwencji RPG i wyszukanych, paranoidalnych fantazji. Po chwili znalazłem stronę, która wydawała się pasować. Kiedy kliknąłem w link, bardzo powoli zaczął się pojawiać jakiś obraz i jednocześnie...

Rozległo się głębokie, potężne dudnienie bębnów, natarczywy, narastający dźwięk rogów, a później usłyszałem chór śpiewających głosów zapowiadających niepojęte szczęście – właśnie tę muzykę słyszałem we śnie.

Na środku ekranu powoli ukazał się płonący łeb byka i dwie wzniesione ręce. Na górze

znajdowały się trzy litery alfabetu aramejskiego.

Siedziałem, patrzyłem i mrugałem w rytmie kursora, w dalszym ciągu czując pulsującą we mnie muzykę, która niosła mnie daleko, ku niebotycznym szczytom, ku wspaniałej, niepojętej ekstazie skupiającej w sobie całą rozkosz świata, ku tajemnej radości niemożliwej do wyrażenia słowami. Kiedy przeżywałem te dziwne, pełne namiętności emocje, które najpierw narastały, a później stopniowo opadły, po raz pierwszy, odkąd pamiętam, poczułem coś nowego, niezwykłego i nieprzyjemnego.

Strach.

Nie wiedziałem, czego się boję ani z jakiego powodu, co znacznie pogarszało sytuację – wypełniała mnie przeraźliwa, niepojęta panika, która przenikała mój umysł, odbijała się echem w pustce i odpędzała wszystko oprócz wizerunku byczego łba i trwogi.

To nic, Dexter; obraz zwierzęcia i kilka taktów wiejskiej muzyki, pomyślałem. Całkowicie się ze sobą zgadzałem, lecz nie potrafiłem skłonić swoich rąk do posłuchania głosu rozsądku i zsunienia się z moich kolan. Przedziwne połączenie snu i jawy sprawiło, że stały się one nierozróżnialne; obrazy ze snu nagle pojawiły się na ekranie mojego komputera w pracy. Nie byłem w stanie

oprzeć się potędze tego, co widziałem; nie potrafiłem z tym walczyć i patrzyłem bezsilnie, jak tajemnicza moc ciągnie mnie w dół, w płomienie.

W moim umyśle nie odzywał się mroczny, potężny głos, który dałby mi siłę do walki z nieznanym zagrożeniem. Byłem sam, zaleźniony i bezradny; nie wiedziałem, co się dzieje; znalazłem się w mroku, a pod łóżkiem czaił się potwór i jego sekretni pomocnicy, którzy zamierzali mnie porwać z tego świata do krainy bólu, ognia i trwogi.

Konwulsyjnie wyciągnąłem rękę nad biurkiem i szarpnąłem kabel zasilania komputera, wyrywając wtyczkę z gniazdka. Miałem przyśpieszony oddech i wyglądałem jak człowiek poddany elektrowstrząsom; gwałtownie odchyliłem się do tyłu, tak szybko i niezręcznie, że wtyczka na końcu przewodu uderzyła mnie w czoło tuż nad lewą brwią.

Przez kilka minut trwałem w bezruchu – oddychałem i obserwowałem krople potu kapiące z mojej twarzy na blat biurka. Nie miałem pojęcia, dlaczego podskoczyłem jak barakuda przebita harpunem i wyrwałem przewód ze ściany – wiedziałem tylko, że z jakiegoś powodu muszę to zrobić, bo inaczej zginę. Nie miałem pojęcia, skąd się wzięła ta

myśl, jednak się pojawiła, zrodzona z mroku panującego w moim umyśle, brutalnie oczywista.

Siedziałem w swoim cichym gabinecie, gapiąc się w martwy ekran, i zastanawiałem się, kim jestem i co się przed chwilą wydarzyło.

Nigdy nie odczuwam strachu. Strach to emocja, a Dexter nie przeżywa emocji. Lęk przed stroną internetową to kompletny idiotyzm, trudno o większy nonsens. Nie zachowuję się w sposób irracjonalny, chyba że naśladuję istoty ludzkie.

Dlaczego zatem wyrwałem wtyczkę? Dlaczego głupawa melodyjka i rysunek przedstawiający krowę z komiksu sprawiły, że zaczęły drżeć mi ręce?

Nie znałem odpowiedzi na te pytania i nie byłem pewien, czy chcę ją poznać.

Pojechałem do domu, przekonany, że ktoś mnie śledzi, chociaż przez całą drogę nikogo nie widziałem w lusterku wstecznym.

\* \* \*

Istota była naprawdę wyjątkowa, odznaczała się taką odpornością, jakiej Patrzący od dawna nie widział. Sprawa zaczęła się okazywać

znacznie ciekawsza niż niektóre historie z przeszłości. Chwilami Patrzący odczuwał nawet coś w rodzaju pokrewieństwa z istotą. Smutne, doprawdy. Gdyby tylko wszystko potoczyło się inaczej... Jednak nieuniknione przeznaczenie istoty miało w sobie jakieś piękno i to także było dobre.

Nawet jadąc daleko z tyłu, widział, że istota ma rozstrojone nerwy: przyśpieszała i hamowała, manipulowała przy lusterkach. Dobrze. Zdenerwowanie to dopiero początek. Chciał doprowadzić istotę do stanu gorszego niż nerwowość – zrealizuje ten plan. Ale przede wszystkim należało sprawić, by istota wiedziała, co nastąpi. Wydawało się, że jak dotąd, mimo wszystkich podpowiedzi, jeszcze się tego nie domyśliła.

Bardzo dobrze. Patrzący będzie po prostu powtarzać rutynowe czynności, aż istota zrozumie, jaka potęga ją ściga. Potem nie będzie miała wyboru. Pójdzie, zachwycona, jak baran na rzeź.

Do tego czasu nawet patrzenie miało cel. Niech wie, że jest obserwowana. Nawet gdyby zobaczyła oblicze obserwatora, nic by jej to nie dało.

Oblicza mogą się zmieniać, lecz nie patrzenie.

Naturalnie tej nocy nie spałem. Następnego dnia, niedziela, upłynął we mgle zmęczenia i niepokoju. Zabrałem Cody'ego i Astor do pobliskiego parku, usiadłem na ławce i próbowałem wyłuskać jakiś sens z masy surowych informacji, które do tej pory zgromadziłem. Fragmenty łamigłówek nie dawały się ułożyć w sensowną całość. Nawet gdybym stworzył jakąś w miarę rozsądną teorię, nie pomogłaby mi ona zrozumieć, jak odnaleźć Pasażera.

Najlepsze, co potrafiłem wymyślić, to niejasne przypuszczenie, że Mroczny Pasażer i inne podobne do niego istoty snują się po świecie od co najmniej trzech tysięcy lat. Ale nie pojmowałem, dlaczego mój Pasażer miałby uciec – zwłaszcza że wcześniej już ich spotykałem i jedyną reakcją było zjeżenie sierści. W parku oświetlonym miłymi promieniami słońca, wśród dzieci wykrzykujących piskliwymi głosami groźby pod swoim adresem, moja teoria o nowym lwie ojcu wydawała się wyjątkowo naciągana.



Statystycznie rzecz biorąc, z uwagi na liczbę rozwodów, mniej więcej połowa dzieci miała nowych ojców i wyglądało, że doskonale się czują.

Pozwoliłem, by ogarnęła mnie rozpacz, uczucie, które w piękne popołudnie w Miami wydawało się nieco absurdalne. Pasażer zniknął, byłem sam i przychodziło mi do głowy tylko jedno rozwiązanie problemu – muszę nauczyć się aramejskiego. Mogłem mieć nadzieję, że z przelatującego samolotu spadnie bryła lodu, uderzy mnie w głowę i uwolni od cierpień. Popatrzyłem w niebo, lecz znów miałem pecha – księżyc był niewidoczny.

Kolejna noc, gdy źle spałem, przerwana tylko przez dziwną muzykę, która rozległa się w moim śnie. Obudziłem się, usiadłem na łóżku i miałem zamiar podążać w stronę źródła dźwięków. Nie miałem pojęcia, dlaczego wydawało mi się to dobrym pomysłem ani dokąd bym trafił; po prostu postanowiłem iść za muzyką. Najwyraźniej byłem bliski kompletnego załamania, błyskawicznie staczałem się w szarą pustkę szaleństwa.

W poniedziałek rano oszołomiony, zmęczony Dexter wszedł do kuchni, gdzie natychmiast brutalnie mnie zaatakował huragan o imieniu Rita. Moja narzeczona podeszła do mnie,

wymachując wielkim naręczem papierów i płyt CD.

– Chcę wiedzieć, co myślisz – rzekła. Jej słowa zwróciły moją uwagę, gdyż tego właśnie nie powinna wiedzieć, mając w pamięci, jakie ponure rozważania ostatnio snułem. Lecz nim zdążyłem wyrazić choćby łagodny sprzeciw, zmusiła mnie do zajęcia miejsca na krześle kuchennym i zaczęła wokół rozkładać papiery. – To kompozycje z kwiatów zaprojektowane przez Hansa – podjęła. Pokazała mi serię fotografii, na których znajdowały się kwiaty. – Ta na ołtarz. Może jest trochę... och, sama nie wiem – dodała z desperacją. – Czy ludzie będą żartować z nadmiaru bieli?

Choć jestem znany z wyjątkowo subtelnego poczucia humoru, nie przychodziły mi do głowy żadne żarty z nadmiaru bieli, lecz nim zdołałem uspokoić Ritę, zaczęła przewracać kartki.

– Tak wygląda aranżacja nakryć dla gości – ciągnęła. – Miejmy nadzieję, że będzie pasować do arcydzieł Manny’ego Borque’a. Może powinniśmy poprosić Vince’a, żeby mu to pokazał?

– Cóż... – mruknąłem.

– Wielki Boże, popatrz na zegar! – wykrzyknęła i nim zdołałem wypowiedzieć choćby jedną sylabę, rzuciła mi na kolana stos

płyty CD. – Wybrałam sześć zespołów – rzekła. – Mógłbyś ich dziś posłuchać i powiedzieć, co myślisz? Dzięki, Dex. – Pochyliła się, pocałowała mnie w policzek i podążyła w stronę drzwi, by się zająć następnym punktem programu. – Cody! – zawołała. – Pora na nas, Kochany! Chodź!

Przez trzy minuty panowało zamieszanie, którego apogeum nastąpiło, gdy Cody i Astor wsadzili głowy do kuchni, by się pożegnać. Później trzasnęły drzwi wejściowe i zapadła cisza.

Miałem wrażenie, że w tej ciszy rozlega się słabe echo muzyki, którą słyszałem w nocy. Wiedziałem, że powinienem się zerwać z krzesła i wybiec na dwór z nożem między zębami – stanąć w jasnym świetle dnia, znaleźć to coś, czymkolwiek było, osaczyć je w jego legowisku i zabić – ale nie potrafiłem.

Strona internetowa Molocha zasiała we mnie strach i choć wiedziałem, że to głupie, złe, bezproduktywne i pod każdym względem kompletnie nie w stylu Dextera, nie mogłem z tym walczyć. Moloch. Po prostu głupie starożytne imię. Stary mit, który tysiące lat temu popadł w zapomnienie, zniszczony po zburzeniu świątyni Salomona. Nonsens, prehistoryczny wytwór wyobraźni, mniej niż nic – a jednak się go bałem.

Mogłem tylko brnąć przez dzień ze spuszczoną głową w nadziei, że Moloch mnie nie dopadnie. Byłem śmiertelnie zmęczony i może to zwiększało moje poczucie bezradności. Jednak wiedziałem, że to nieprawda. Miałem wrażenie, że zbliża się do mnie coś bardzo złego, i czułem już ostre zęby na swojej szyi. Mógłbym tylko mieć nadzieję, że uda mi się przedłużyć opór; prędzej czy później chwyci mnie w swoje szpony, a wtedy zacznę jęczeć, uderzać nogami w ziemię i umrę. Straciłem wolę walki; w istocie rzeczy nie zostało we mnie już nic oprócz ludzkiego odruchu, który powiedział, że pora jechać do pracy.

Wziąłem stos płyt CD Rity i wyszedłem z domu. Kiedy stałem pod drzwiami i przekręcałem klucz w zamku, na ulicy powoli ruszył z miejsca biały avalon, zaparkowany przy krawężniku. Jego leniwa bezczelność sprawiła, że zapomniałem o zmęczeniu i rozpacz i nagle przeszył mnie ogromny strach. Zachwiałem się, oparłem o drzwi i wypuściłem z ręki płyty CD, które upadły na ziemię.

Samochód powoli pojechał ulicą do znaku stopu. Obserwowałem go, pusty i odrętwiały. Kiedy kierowca puścił hamulec i ruszył przez skrzyżowanie, niewielka część Dextera obudziła się i ogarnął ją gniew.

Może przyczyną był absolutny, zuchwały, lekceważący brak szacunku ze strony kierowcy toyoty, a może potrzebowałem zastrzyku adrenaliny, by uzupełnić poranną kawę. Tak czy inaczej, wypełniło mnie sprawiedliwe oburzenie i bez chwili namysłu popędziłem do swojego auta i wskoczyłem za kierownicę. Włożyłem kluczyk do stacyjki, uruchomiłem silnik i ruszyłem za avalonem.

Zignorowałem znak stopu, przejechałem pędem przez skrzyżowanie i zauważyłem białe auto, które skręcało w prawo kilka przecznic dalej. Jechałem znacznie szybciej, niż powinienem, i zobaczyłem, że avalon skręca w stronę autostrady U.S. 1. Zmniejszyłem dzielący nas dystans i przyśpieszyłem, by go dogonić, nim zniknie w potokach samochodów wypełniających ulice w czasie porannej godziny szczytu.

Znajdowałem się zaledwie w odległości przecznicy, gdy skręcił na północ i wjechał na U.S. 1. Pojechałem za nim, nie zważając na pisk hamulców i ogłuszający chór klaksonów innych aut. Avalon znajdował się teraz mniej więcej dziesięć samochodów z przodu i wykorzystałem wszystkie umiejętności jeżdżenia po Miami, by się do niego zbliżyć, koncentrując się na drodze i ignorując linie dzielące pasy ruchu. Nie bawiły

mnie nawet cudowne wiązanki przekleństw miotanych przez kierowców sąsiednich samochodów. Wreszcie się zbuntowałem i chociaż czułem się słabo, byłem gotowy do bitwy. Rozgniewałem się – kolejna nowość. Usunięto ze mnie mrok i wepchnięto do jasnego, brudnego, ciasnego kąta, lecz wreszcie powiedziałem – dosyć! Pora, by Dexter podjął walkę. Chociaż nie wiedziałem, co zrobię, gdy dogonię avalona, absolutnie zamierzałem coś zrobić.

Znajdowałem się jakieś pół przecznicy z tyłu, kiedy kierowca toyoty zorientował się, że go ścigam, i natychmiast przyśpieszył. Zjechał na zewnętrzny lewy pas, wciskając się w lukę tak małą, że wóz jadący za nim zahamował, wpadł w poślizg i obrócił się bokiem. Uderzyły w niego dwa auta jadące z tyłu; usłyszałem straszliwy ryk klaksonów i pisk hamulców. Udało mi się przemknąć obok miejsca kraksy przez wąziutką lukę, po czym znów skręciłem w lewo, wracając na wolny pas ruchu na skraju. Avalon znajdował się przecznicę dalej i przyśpieszał, lecz wcisnąłem pedał gazu i podążyłem za nim.

Przez kilka przecznic jechaliśmy mniej więcej w tej samej odległości. Później avalon dotarł do samochodów, które znajdowały się z przodu, i trochę się do niego zbliżyłem. W końcu

znalazłem się w odległości dwóch aut, na tyle blisko, by zauważyć w bocznym lusterku duże okulary przeciwsłoneczne kierowcy, który na mnie patrzył. Kiedy pomknąłem do przodu i od tylnego zderzaka toyoty dzielił mnie dystans zaledwie kilku metrów, nagle gwałtownie obrócił kierownicę w lewo, skręcił na pas trawy dzielący autostradę na połowy i pojechał w przeciwnym kierunku. Minąłem go; nawet nie zdążyłem zareagować. Wręcz słyszałem szyderczy śmiech kierowcy białego samochodu, który ruszył w kierunku Homestead.

Nie poddałem się. Nie chodziło o to, że doścignięcie białego wozu mogłoby mi coś wyjaśnić, choć wydawało się to prawdopodobne. Nie myślałem o sprawiedliwości ani innych abstrakcyjnych pojęciach. Nie, odczuwałem czysty, wszechogarniający gniew, rodzący się w jakimś ciemnym zakamarku mego jaszczurczego mózgu i przepływający prosto do zaciśniętych pięści. Tak naprawdę chciałem wyciągnąć tego gościa z nędznego, małego samochodu i dać mu w mordę. Myśl o zadaniu komuś w gniewie obrażeń cielesnych była całkowicie nowym doznaniem, od którego zakręciło mi się w głowie. Zapomniałem o logice i rzuciłem się w pościg za avalonem, skręcając ostro na pas trawy.

Mój samochód podskoczył ze straszliwym zgrzytem i znalazłem się po drugiej stronie autostrady. Niewiele brakowało, by uderzyła we mnie wielka betoniarka – minęła mnie w odległości zaledwie dziesięciu centymetrów. Jednak udało mi się zawrócić i pojechałem za avalonem w przeciwnym kierunku, na południe, po mniej zatłoczonej nitce autostrady.

Daleko przede mną znajdowało się kilka poruszających się białych plam; każda z nich mogła być avalonem. Nacisnąłem pedał gazu i ruszyłem w pościg.

Bóstwa ruchu ulicznego były dla mnie łaskawe i przez prawie kilometr pędziłem wśród wolniej jadących pojazdów, aż napotkałem pierwsze czerwone światła. Na każdym pasie znajdowało się po kilka samochodów, które posłusznie się zatrzymały, więc nie mogłem ich ominąć – chyba żebym powtórzył karkołomną sztuczkę i przejechał po trawie dzielącej dwie nitki autostrady. Zrobiłem to. Kiedy wjechałem na skrzyżowanie, o mało nie uderzyłem w jaskrawożółtego hummera, który niemądrze usiłował korzystać z drogi zgodnie z zasadami zdrowego rozsądku. Gwałtownie skręcił, by uniknąć kolizji, i prawie mu się udało – rozległ się tylko leciutki huk, gdy odbiłem się zgrabnie od jego przedniego zderzaka. Przejechałem



przez skrzyżowanie, ścigany przez klaksony i wrzaski.

Jeśli avalon w dalszym ciągu jechał autostradą U.S. 1, musiał się znajdować czterysta, pięćset metrów przede mną. Nie czekałem, by odległość się zwiększyła. Pojechałem do przodu swoim wiernym, poobijanym samochodem i zaledwie po pół minucie ujrzałem bezpośrednio przed sobą dwa białe samochody – SUV-a marki Chevrolet i minivana. Nigdzie nie było śladu avalona.

Zwolniłem tylko na chwilę – i kątem oka zauważyłem go po prawej stronie, jadącego przez parking za sklepem spożywczym w pasażu handlowym. Natychmiast wcisnąłem pedał gazu, przeciąłem dwa pasy ruchu i skręciłem na parking. Kierowca toyoty mnie spostrzegł; przyśpieszył i ruszył ulicą biegnącą prostopadle do autostrady U.S. 1, a następnie popędził na wschód. Przejechałem szybko przez parking i podążyłem za nim.

Przez około półtora kilometra pędziliśmy przez osiedle mieszkaniowe; później avalon skręcił i minął park, w którym bawiły się przedszkolaki. Trochę się do niego zbliżyłem – i nagle zobaczyłem przed nami wchodzącą na jezdnię kobietę z dzieckiem na ręku, której towarzyszyło dwoje innych dzieci.

Avalon przyśpieszył i wpadł na chodnik, a kobieta w dalszym ciągu wolno przechodziła przez ulicę, spoglądając na mnie jak na billboard, którego nie potrafiła odczytać. Skręciłem, by przejechać za jej plecami, lecz jedno z dzieci nagle popędziło do tyłu. Zahamowałem gwałtownie, a samochód wpadł w poślizg i przez chwilę wydawało się, że wjadę prosto na nich, gdy stali na jezdni, obserwując mnie bez oznak zainteresowania. Jednak opony w końcu chwyciły asfalt i zdołałem obrócić kierownicą, dodać gazu i okrążyć ich po trawniku przed domem naprzeciwko parku. Wróciłem na drogę w chmurze żdźbeł trawy i pojechałem za avalonem, który zdążył się już ode mnie oddalić.

Przez kilka następnych przecznic odległość między nami prawie się nie zmieniała, aż wreszcie dopisało mi szczęście. Avalon przejechał pędem koło kolejnego znaku nakazującego zatrzymanie się, lecz tym razem ruszył za nim policyjny wóz patrolowy z włączoną syreną. Nie wiedziałem, czy powinienem się cieszyć z towarzystwa, czy zazdrościć konkurencji, lecz tak czy owak znacznie łatwiej było podążać za błyskającymi światłami i syreną. W dalszym ciągu jechałem z tyłu.

Dwa samochody kilkakrotnie skręciły i miałem wrażenie, że trochę się do nich zbliżam, gdy nagle avalon zniknął, a wóz patrolowy stanął. Po kilku sekundach znalazłem się obok niego i wysiadłem z samochodu.

Przedemną policjant biegł przez krótko przystrzyżony trawnik ze śladami opon, które prowadziły wokół domu i do kanału. Avalon powoli tonął blisko przeciwległego brzegu i zobaczyłem mężczyznę, który wydostał się przez okno samochodu i przepłynął kilka metrów dzielących go od brzegu. Policjant zawahał się, po czym wskoczył do wody i popłynął do tonącego auta. W tej samej chwili usłyszałem za plecami odgłos hamowania ciężkiego samochodu. Odwróciłem się i popatrzyłem.

Za moim wozem zatrzymał się żółty hummer, z którego wyskoczył mężczyzna o piaskowych włosach i zaczął na mnie wrzeszczeć.

– Ty skurwysynu! – ryknął. – Uszkodziłeś mój samochód! Co ty sobie właściwie myślisz, do jasnej cholery?!

Nim zdążyłem odpowiedzieć, zadzwoniła moja komórka.

– Przepraszam – odezwałem się i ku mojemu zdziwieniu jasnowłosa mężczyzna umilkł

i pozwolił mi odebrać telefon.

– Gdzie jesteś, kurwa?! – spytała ostro Deborah.

– W Cutler Ridge, patrzę na kanał – wyjaśniłem.

Milczała przez całą sekundę, a później powiedziała:

– Cóż, wytrzymaj się i przyjeźdź do kampusu. Mamy kolejne zwłoki.

Uwolnienie się od kierowcy żółtego hummera zajęło mi kilka minut. Mógłbym tam tkwić do tej pory, gdyby nie policjant, który wskoczył do kanału. W końcu wydostał się z wody i podszedł do mnie, gdy słuchałem niekończącego się potoku gróźb i przekleństw; żadne z nich nie miało w sobie nic oryginalnego. Staralem się być grzeczny – najwyraźniej musiał sobie ulżyć i nie chciałem, by tłumienie emocji wyrządziło szkody jego psychice – lecz zajmowałem się pilnymi sprawami w związku ze śledztwem prowadzonym przez policję. Usiłowałem zwrócić mu na to uwagę, jednak wydawał się jedną z tych osób, które nie potrafią słuchać rozsądnych argumentów i jednocześnie krzyczeć.

Nasza rozmowa stawała się coraz bardziej nużąca i jednostronna. Pojawienie się niezadowolonego, przemoczonego policjanta pozwoliło mi ją zakończyć.

– Chciałbym wiedzieć, co pan ustalił na temat kierowcy tego auta – odezwałem się do gliniarza.

– Wcale się nie dziwię – odpowiedział. – Czy mógłbym obejrzeć pana dokumenty?

– Jadę na miejsce przestępstwa – odparłem.

– Już pan jest na miejscu przestępstwa – zauważył. Pokazałem mu legitymację, którą bardzo dokładnie przestudiował. Na laminowane zdjęcie kapąła woda z kanału. W końcu kiwnął głową i powiedział: – W porządku, proszę się stąd zabierać, Morgan.

Kierowca hummera zareagował w taki sposób, jakby gliniarz zasugerował spalenie papieża.

– Nie możecie tak po prostu puścić tego sukinsyna! – krzyknął piskliwie. – Ten cholerny dupek uszkodził mój samochód!

Ociekający wodą policjant, niechaj go Bóg błogosławi, popatrzył w milczeniu na mężczyznę i rzekł:

– Czy mógłbym obejrzeć pańskie prawo jazdy i dowód rejestracyjny wozu? – Uznałem, że nadszedł doskonały moment, by zejść ze sceny, więc czym prędzej się oddaliłem.

Mój biedny poobijany samochód wydawał bardzo niepokojące dźwięki, mimo to pojechałem na uniwersytet – nie miałem innego wyboru. Musiał mnie tam dowieźć niezależnie od tego, jakie odniósł uszkodzenia. Poczułem, że ja i mój wóz mamy ze sobą bardzo wiele

wspólnego. Byliśmy dwiema wspaniale skonstruowanymi, pięknymi maszynami zniszczonymi przez okoliczności, na które nie mieliśmy żadnego wpływu. Przez jakiś czas litowałem się nad samym sobą, wzruszony tym porównaniem. Gniew, który czułem zaledwie kilka minut wcześniej, stopniowo mnie opuścił – zniknął kropla po kropli jak woda z kanału ściekająca z policjanta. Kiedy obserwowałem kierowcę avalona, który popłynął na drugi brzeg, wygramolił się z wody i odszedł, odczuwałem frustrację, jaka ostatnio nieustannie mi towarzyszyła – najpierw wydawało się, że się zbliżam do rozwiązania zagadki, a później wszystko okazywało się złudzeniem.

A teraz pojawiły się kolejne zwłoki, choć jak dotąd śledztwo nie posunęło się do przodu w sprawie pierwszych dwóch. Przypominaliśmy charty na wyścigach – goniliśmy sztucznego królika, który zawsze jest w pewnej odległości i oddala się, gdy biedny pies myśli, że za chwilę zatopi w nim zęby.

Do kampusu przyjechały przede mną dwa samochody policyjne; czterech policjantów odgrodziło teren wokół Lowe Art Museum, nie dopuszczając gęstniejącego tłumu. Wszedł mi

na spotkanie krępy, muskularny gliniarz z ogoloną głową i wskazał na tyły budynku.

Trupa znaleziono w kępie zarośli za galerią. Deborah rozmawiała z młodym człowiekiem, który wyglądał na studenta, a Vince Masuoka przykucnął przy lewej nodze zwłok i ostrożnie dotykał długopisem okolicy kostki. Ciało nie było widoczne z drogi, lecz nic nie wskazywało, że je ukryto. Zostało spalone jak dwa poprzednie – leżało w sztywnej, oficjalnej pozycji, a na miejscu głowy znajdował się ceramiczny łeb byka. Spoglądałem na zwłoki, instynktownie czekając na jakąś reakcję Pasażera, lecz usłyszałem tylko łagodny tropikalny wiatr wiejący w moim mózgu. Ciągle byłem sam.

Kiedy stałem pogrążony w ponurych myślach, podbiegła do mnie Deborah.

– Długo cię nie było! – wrzasnęła ze złością. – Gdzie się podziewałeś?!

– Miałem zajęcia z makramy – odrzekłem. – To samo co poprzednio?

– Na to wygląda – powiedziała. – Znalazłeś coś, Masuoka?

– Moim zdaniem tym razem wreszcie coś mamy – odparł Vince.

– Najwyższy czas, cholera! – zakłęła Deborah.

– Na kostce jest platynowa bransoletka, która się nie stopiła – ciągnął Masuoka. Spojrzał na



Deborah i uśmiechnął się do niej sztucznie. – Znajduje się na niej napis: „Tammy”.

Debs zmarszczyła brwi i popatrzyła na boczne drzwi galerii. Stał tam mężczyzna w marynarce z marszczoną bawełną i muszce, spoglądając na nią wylęknionym wzrokiem. Towarzyszył mu jeden z policjantów.

– Co to za facet? – zwróciła się do Vince’a.

– Profesor Keller – odpowiedział. – Wykładowca historii sztuki. Znalazł zwłoki.

Deborah wstała, ciągle marszcząc brwi, i skinęła w stronę funkcjonariusza, by przyprowadził naukowca.

– Pan profesor...? – zaczęła.

– Keller. Gus Keller – przedstawił się. Był przystojnym mężczyzną w wieku sześćdziesięciu kilku lat i miał na lewym policzku bliznę, która wyglądała jak ślad po pojedynku. Nie sprawiał wrażenia, jakby miał zemdleć na widok spalonych zwłok.

– A zatem to pan znalazł ciało? – spytała Deborah.

– Zgadza się – odrzekł. – Szedłem obejrzeć jeden z nowych eksponatów związanych ze sztuką Mezopotamii, nawiasem mówiąc, bardzo ciekawy... i zobaczyłem je w zaroślach. – Zmarszczył brwi. – Mniej więcej godzinę temu.

Deborah kiwnęła głową, jakby już o wszystkim wiedziała, nawet o Mezopotamii, co było standardową policyjną sztuczką mającą na celu skłonienie świadków, by podali więcej szczegółów, zwłaszcza jeśli zachowywali się podejrzanie. Keller nie zareagował. Stał w milczeniu, czekając na następne pytanie, a Deborah próbowała je wymyślić. Jestem słusznie dumny ze swoich umiejętności towarzyskich, zdobytych z wielkim trudem, i nie chciałem, by cisza stała się niezręczna, toteż odchrząknąłem i Keller popatrzył na mnie.

– Co może nam pan powiedzieć o ceramicznym łbie byka? – spytałem. – Z artystycznego punktu widzenia.

Debs spojrzała na mnie ze złością, lecz może była po prostu zazdrosna, że to ja wymyśliłem to pytanie.

– Z artystycznego punktu widzenia? Niewiele – odrzekł, zerkając na przedmiot leżący przy zwłokach. – Wydaje się, że rzeźbę wykonano w formie, a później wypalono w dość prymitywnym piecu. Może po prostu w dużym piekarniku? Jednak ma ona bardzo ciekawe konotacje historyczne.

– Jakie? – chciała wiedzieć Deborah.

– Cóż, wykonanie nie jest doskonałe, ale ktoś próbował odtworzyć bardzo stary wzór –

odpowiedział uczoney, wzruszając ramionami.

– Jak stary? – dopytywała się. Keller uniósł brew i znów wzruszył ramionami, jakby zadała niewłaściwe pytanie.

– Trzy, cztery tysiące lat – odrzekł.

– Faktycznie, bardzo stary – zauważyłem i oboje popatrzyli na mnie, co sprawiło, że doszedłem do wniosku, iż powinienem powiedzieć coś bardziej inteligentnego. – Z której części świata?

Keller kiwnął głową. Zadałem rozsądne pytanie.

– Z Bliskiego Wschodu – odparł. – Znamy podobne motywy z Babilonii, a wcześniej z okolic Jerozolimy. Łeb byka wydaje się związany z kultem jednego z dawnych bóstw. Wyjątkowo nieprzyjemnego.

– Molocha – powiedziałem. Kiedy wymawiałem to imię, poczułem ból gardła.

Deborah popatrzyła na mnie, absolutnie pewna, że coś przed nią ukrywałem, lecz po chwili znowu spojrzała na Kellera.

– Tak, zgadza się – potwierdził naukowiec. – Moloch lubił ofiary z ludzi, zwłaszcza dzieci. Było to coś w rodzaju standardowej umowy: złóż w ofierze swoje dziecko, a bóstwo gwarantuje obfite zbiory albo zwycięstwo nad wrogami.

– Cóż, myślę, że w tym roku możemy się spodziewać znakomitych zbiorów – wtrąciłem, lecz ani Debs, ani Keller nie zareagowali na moje słowa choćby leciutkim uśmiechem. Ach, człowiek stara się jakoś rozweselić ten ponury świat, lecz skoro ludzie tego nie doceniają, to ich strata.

– Jaki jest sens palenia ciał? – spytała moja siostra.

Keller uśmiechnął się jak profesor wdzięczny za zadanie pytania.

– To podstawa całego rytuału – odpowiedział.  
– Istniał wielki posąg Molocha z łbem byka i paleniskiem w brzuchu.

Pomyślałem o Halpernie i jego śnie. Czy słyszał wcześniej o Molochu, czy zobaczył go w wyobraźni w taki sam sposób, jak ja usłyszałem muzykę? A może Deborah przez cały czas miała rację: czyżby Halpern naprawdę widział podobny posąg i zabił dziewczyny, choć wydawało się to zupełnie nieprawdopodobne?

– Palenisko... – powtórzyła Deborah, a Keller kiwnął głową. – I wrzucano do niego zwłoki? – Wyraz jej twarzy świadczył, że nie jest w stanie w to uwierzyć i że to wina Kellera.

– Ach, jeszcze lepiej – odparł profesor. – Wszystko wyglądało jak najprawdziwszy cud. Było to bardzo skomplikowane oszustwo,

przekonujące i budzące wielkie emocje. Właśnie dlatego Moloch przez długi czas cieszył się taką popularnością. Posąg miał ręce wyciągnięte w stronę widzów. Kiedy kładziono na nich ofiarę, Moloch wydawał się ożywać i pożerać ją; ręce powoli się unosiły i wkładał sobie człowieka do ust.

– I wrzucał do paleniska – wtrąciłem, nie mogąc się powstrzymać. – Przy dźwiękach muzyki.

Deborah spojrzała na mnie dziwnym wzrokiem i zdałem sobie sprawę, że nikt wcześniej nie wspominał o muzyce. Jednak Keller wzruszył ramionami i mówił dalej:

– Tak, zgadza się. Trąby, bębny, śpiewy, hipnotyczny nastrój. Apogeum następowało w chwili, gdy bóstwo unosiło ofiarę do ust i wrzucało do paleniska. Nieszczęśnik na pewno nie czuł się przyjemnie.

Wierzyłem w to, co powiedział: słyszałem w dali ciche dudnienie bębnów i ja również nie czułem się przyjemnie.

– Czy ktoś jeszcze czci tego boga? – spytała Debs.

Keller pokręcił głową.

– Nie. Kult wygasł dwa tysiące lat temu, jeśli moje informacje są ścisłe – odparł.

– Więc kto to zrobił, do cholery?! – rzuciła.

– Szczegóły kultu Molocha nie są żadną tajemnicą – powiedział. – Wszystko jest dość dobrze opisane w źródłach historycznych. Każdy mógł przeprowadzić odpowiednie studia i zacząć naśladować te rytuały.

– Tylko po co? – spytała Deborah.

– Nie mam pojęcia – odrzekł, uśmiechając się uprzejmie.

– Więc po cholere mi te wszystkie informacje?! – odezwała się tonem, który sugerował, że Keller ma obowiązek wyjaśnić zagadkę.

– Wiedza zawsze jest użyteczna – odparł z życzliwym profesorskim uśmiechem.

– Na przykład teraz wiemy, że gdzieś powinien istnieć duży posąg byka z paleniskiem w brzuchu – wtrąciłem. Deborah szybko odwróciła głowę w moją stronę, a ja pochyliłem się ku niej i rzekłem cicho: – Halpern. – Mrugnęła i zorientowałem się, że jeszcze o tym nie pomyślała.

– Myślisz, że to nie sen? – spytała.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziałem. – Ale jeśli ktoś próbuje rekonstruować kult Molocha, dlaczego nie miałyby użyć odpowiedniego wyposażenia?

– Gdzie można coś takiego ukryć, do cholery?! – prychnęła.

Keller dyskretnie zakasłał.

– Obawiam się, że jest jeszcze jeden problem – powiedział.

– Jaki? – zainteresowała się Debs.

– Cóż, poza posągiem trzeba również ukryć smród – odparł. – Zapach spalonego mięsa. Długo się utrzymuje i jest bardzo charakterystyczny. – Mówił z lekkim zażenowaniem i wzruszył ramionami.

– A zatem szukamy gigantycznego, śmierdzącego posągu z paleniskiem w środku – zauważyłem beztrzesko. – Znalezienie takiego obiektu nie powinno nastroczać trudności.

Deborah spojrzała na mnie ze złością i znów ogarnął mnie lekki zawód, że tak poważnie podchodzi do życia – tym bardziej że jeśli Mroczny Pasażer nie zacznie grzecznie się zachowywać i nie opuści kryjówki, prawie na pewno stanę się stałym mieszkańcem Krainy Śmiertelnej Powagi, podobnie jak ona.

– Profesorze Keller – powiedziała i odwróciła się ode mnie, ostatecznie zostawiając swojego biednego brata na pastwę losu. – Czy w tych byczych kretynizmach o Molochu jest coś jeszcze, co mogłoby nam pomóc?

Było to na tyle dowcipne, że dodało mi otuchy. Wręcz żałowałem, że sam nie wypowiedziałem tej uwagi, lecz nie zrobiła ona

żadnego wrażenia na Kellerze. Nawet Deborah wyglądała, jakby nie zdawała sobie sprawy, że powiedziała coś ciekawego. Profesor pokręcił głową.

– Obawiam się, że to nie moja dziedzina – rzekł. – Znam tylko pewne szczegóły związane z historią sztuki. Powinna pani zasięgnąć informacji u specjalisty w zakresie filozofii lub religioznawstwa porównawczego.

– Na przykład profesora Halperna – szepnąłem znowu, a moja siostra skinęła głową z kwaśną miną.

Odwróciła się, by odejść, i na szczęście przypomniała sobie o zasadach grzeczności. Spojrzała z powrotem na Kellera.

– Dziękujemy za pomoc, doktorze – powiedziała. – Proszę się ze mną skontaktować, jeśli przyjdzie panu do głowy coś nowego.

– Naturalnie – odrzekł, a Debs chwyciła mnie za ramię i poprowadziła w stronę wyjścia.

– Wracamy do dziekanatu? – spytałem uprzejmie, choć zdrętwiała mi ręka.

– Tak. Jeśli wśród studentek Halperna jest jakaś dziewczyna o imieniu Tammy, nie wiem, co zrobić.

– A jeśli nie? – warknąłem i wyrwałem obolałą rękę.

– Chodź – odrzekła, kręcąc głową.



Kiedy mijalem zwłoki, coś chwyciło mnie za nogawkę spodni. Popatrzyłem w dół.

– Eee... – mruknął Vince i odchrząknął. – Dexter – odezwał się. Uniosłem pytająco brwi. Zarumienił się i puścił moje spodnie. – Muszę z tobą pogadać.

– Jasne – odpowiedziałem. – Czy to pilne?

Pokiwał głową.

– To dość ważna sprawa.

– Cóż, w porządku. – Cofnąłem się do miejsca, gdzie kucał obok zwłok. – O co chodzi?

Spojrzał w bok i jeszcze bardziej się zaczerwienił, choć wydawało się to niemożliwe, podobnie jak to, że mógłby okazać prawdziwe uczucia.

– Rozmawiałem z Mannym – rzekł.

– Cudownie. A jednak ciągle żyjesz – zauważyłem.

– On, hm... – Vince odchrząknął. – Chce wprowadzić kilka zmian. Do menu. Twojego menu. Weselnego.

– Ach tak... – Nie mogłem się powstrzymać od wypowiedzenia tych słów, choć zdawałem sobie sprawę, że brzmią wyjątkowo głupio, gdy stoimy obok trupa. – Czy te zmiany przypadkiem nie wywołają wzrostu ceny?

Vince unikał mojego wzroku. Skinął głową.

– Tak – odpowiedział. – Mówi, że miał przyływ inspiracji. Coś absolutnie niezwykłego, nowatorskiego.

– Moim zdaniem to cudownie, ale chyba nie stać mnie na inspirację – stwierdziłem. – Będziemy musieli odmówić.

Masuoka pokręcił głową.

– Nic nie rozumiesz. Zatelefonował tylko dlatego, że cię lubi. Mówi, że zgodnie z umową ma pełną swobodę.

– I może swobodnie podnieść cenę?

Vince oblał się rumieńcem. Wymamrotał kilka sylab i z całych sił usiłował nie patrzeć mi w oczy.

– Co powiedziałaś? – spytałem. – Nie dosłyszałem.

– Mniej więcej dwa razy – rzekł bardzo cicho, lecz przynajmniej zdołałem go usłyszeć.

– Dwa razy... – powtórzyłem.

– Tak.

– Pięćset dolarów od gościa – podsumowałem.

– Na pewno wszystko będzie wyjątkowo piękne – wyszeptał Vince, czerwony jak burak.

– Za pięćset dolarów od gościa piękno to za mało. Trzeba podwozić gości samochodami, myć podłogi i masować plecy.

– Mamy do czynienia z wielką sztuką, Dexter. Twoje wesele prawdopodobnie opiszą w gazetach.

– Owszem, w kronice o bankructwach. Musimy porozmawiać z Mannym, Vince.

Pokręcił głową i w dalszym ciągu spoglądał na trawę.

– Nie mogę – rzekł.

Ludzie to cudowne połączenie śmieszności, ignorancji i głupoty, prawda? Nawet tacy, którzy prawie cały czas udają, jak Vince. Oto nieustraszony technik kryminalistyczny – zwłoki człowieka zamordowanego w makabryczny sposób nie robią na nim absolutnie żadnego wrażenia, lecz jest sparaliżowany strachem na myśl o rozmowie z niziutkim mężczyzną zajmującym się wykonywaniem rzeźb w czekoladzie.

– W porządku – powiedziałem. – Sam z nim pomówię.

W końcu uniósł na mnie oczy.

– Bądź ostrożny, Dexter – rzekł.

Dogoniłem Deborah, gdy zawracała samochód, i na szczęście przystanęła na moment, toteż zdążyłem wsiąść i pojechać z nią do dziekanatu. W trakcie krótkiej jazdy nie odezwała się ani słowem, a ja byłem zaprzątnięty własnymi problemami i nie zwracałem na to uwagi.

Moja nowa znajoma z dziekanatu pomogła mi przejrzeć listy studentów i okazało się, że w żadnej z grup Halperna nie ma dziewczyny o imieniu Tammy. Jednak Deborah, która czekała na wynik kwerendy, spacerując tam i z powrotem, była na to przygotowana.

– Sprawdźcie poprzedni semestr – powiedziała. Spełniłem jej polecenie, lecz znów bez rezultatu. – W porządku – rzekła, marszcząc brwi. – W takim razie przejrzyjcie listy grup Wilkinsa.

Był to doskonały pomysł i natychmiast znalazłem pannę Connor, która uczęszczała na seminarium Wilkinsa z etyki sytuacyjnej.

– Dobrze – odezwała się Deborah. – Znajdź jej adres.

Tammy Connor mieszkała w akademiku niedaleko dziekanatu. Deborah niezwłocznie nas tam zawiozła i wbrew przepisom zaparkowała przed budynkiem. Wsiadła z samochodu i ruszyła w stronę wejścia, nim zdążyłem otworzyć drzwi, więc szybko podążyłem za nią.

Pokój znajdował się na drugim piętrze. Deborah postanowiła nie marnować czasu na wzywanie windy i wbiegła na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Byłem zbyt zdyszany, by się skarżyć, zatem się nie skarżyłem. Kiedy znalazłem się na drugim piętrze, zobaczyłem otwierające się drzwi pokoju Tammy i ukazała się w nich tęga, ciemnowłosa dziewczyna w okularach.

– Tak? – odezwała się, spoglądając ze zmarszczonym czołem na Deborah.

Moja siostra pokazała odznakę.

– Tammy Connor? – spytała.

Dziewczyna, której zapało dech w piersiach, uniosła dłoń do szyi.

– O Boże, wiedziałam! – wyjąkała.

Deborah kiwnęła głową.

– Nazywasz się Tammy Connor, panienko?

– Nie. Jasne, że nie – odpowiedziała dziewczyna. – Mam na imię Allison. Mieszkamy w jednym pokoju.

– Wiesz, gdzie jest Tammy, Allison?

Studentka odetchnęła głęboko i przygryzła dolną wargę, kręcąc energicznie głową.

– Nie – odrzekła.

– Od jak dawna jej nie ma? – spytała Deborah.

– Od dwóch dni.

– Dwóch dni? – zdziwiła się Deborah, unosząc brwi. – To dziwne?

Allison wyglądała, jakby miała zamiar odgryźć sobie wargę, lecz nie przestała miażdżyć jej zębami. Przerwała tylko na krótko, by wypalić:

– Nie wolno mi nic mówić!

Deborah przypatrywała się jej przez dłuższą chwilę, aż w końcu rzekła:

– Myślę, że będziesz musiała wreszcie coś powiedzieć, Allison. Podejrzewamy, że Tammy wpadła w poważne kłopoty.

Wydało mi się to bardzo oględnym sposobem przekazania informacji, że uważamy ją za martwą, lecz pominąłem to milczeniem, ponieważ słowa Debs wywarły na Alison głębokie wrażenie.

– Och! – westchnęła i zaczęła podskakiwać w miejscu. – Och, och, wiedziałam, że to się stanie!

– Co miało się według ciebie stać? – spytałem.

– Że ktoś ich nakryje! – odpowiedziała. – Mówiłam jej!

– Na pewno – rzuciłem. – Nie mogłabyś nam też powiedzieć?

Przez chwilę podskakiwała nieco szybciej.

– Och! – znów westchnęła, po czym zapisała: – Tammy ma romans z profesorem! O Boże, ona mnie za to zabije!

Osobiście nie podejrzewałem, by Tammy mogła kogoś zabić, lecz dla pewności spytałem:

– Czy Tammy nosiła biżuterię?

Popatrzyła na mnie jak na wariata.

– Biżuterię? – powtórzyła, jakbym wypowiedział wyraz w obcym języku, może po aramejsku.

– Tak, zgadza się – potwierdziłem, próbując ją zachęcić. – Pierścionki, bransoletki, coś w tym rodzaju?

– Nosiła na kostce platynowy łańcuszek – odrzekła Allison. – Czy o to panu chodzi?

– Tak, właśnie. Były na nim jakieś napisy, oznaczenia? – spytałem, zadowolony, że tak chętnie udziela informacji.

– Owszem, jej imię – odparła. – O Boże, strasznie się na mnie wkurzy!

– Czy wiesz, z którym profesorem miała romans? – zagadnęła Deborah.

Studentka znów zaczęła kręcić głową.

– Naprawdę nie powinnam mówić...

– Z profesorem Wilkinsem? – podsunąłem. Deborah popatrzyła na mnie wściekłym wzrokiem, lecz reakcja Allison sprawiła nam wielką satysfakcję.

– O Boże, przysięgam, że nikomu o tym nie powiedziałam! – zawołała.

\* \* \*

Jedna rozmowa przez komórkę pozwoliła nam ustalić adres w Coconut Grove, gdzie mieściła się skromna willa profesora Wilkinsa. Znajdowała się na terenie osiedla Moorings, co znaczyło, że albo moja Alma Mater płaci profesorom znacznie więcej niż dawniej, albo Wilkins ma prywatny majątek. Kiedy skręciliśmy w jego ulicę, lunął popołudniowy deszcz, który najpierw gwałtownie zacinał, przesłaniając drogę, potem prawie ustał, aż wreszcie znów się rozpadał.

Łatwo znaleźliśmy willę. Na otaczającym ją żółtym, dwumetrowym murze wisiała tabliczka z numerem; w murze znajdowała się brama z kutego żelaza, a za nią podjazd. Deborah zatrzymała auto, wysiedliśmy i popatrzyliśmy przez bramę. Dom wydawał się dość skromny, miał nie więcej niż trzysta siedemdziesiąt



metrów kwadratowych i stał co najmniej siedemdziesiąt metrów od morza, więc może Wilkins nie był aż taki bogaty.

Kiedy zaglądaliśmy do środka i szukaliśmy sposobu, by dać sygnał, że przyjechaliśmy i że chcemy wejść, otworzyły się drzwi frontowe i wyszedł nimi mężczyzna w jasnożółtym płaszczu od deszczu. Podążył w stronę niebieskiego lexusa zaparkowanego na podjeździe.

– Panie profesorze! – zawołała głośno Deborah. – Profesorze Wilkins!

Mężczyzna zerknął na nas spod kaptura płaszcza.

– Tak?

– Moglibyśmy chwilę z panem porozmawiać?  
– spytała.

Ruszył powoli w naszą stronę, obserwując Deborah z lekko przekrzywioną głową.

– To zależy. My, to znaczy kto?

Deborah włożyła rękę do kieszeni, by wyjąć odznakę, i profesor Wilkins przystanął ostrożnie, niewątpliwie czując niepokój, że wyciągnie granat.

– Jesteśmy z policji – rzekłem uspokajająco.

– Doprawdy? – Odwrócił się z uśmiechem w moim kierunku, po czym znieruchomiał, zachnął się i na jego twarzy znów pojawił się

bardzo kiepski sztuczny uśmiech. Ponieważ jestem ekspertem od fałszowania emocji i mimiki, nie miałem absolutnie żadnych wątpliwości, że widok małego kochanego Dextera wytrącił go z równowagi i że stara się zamaskować zmieszanie, udając, że się uśmiecha. Tylko dlaczego? Jeżeli był winny, pojawienie się policji przed bramą willi powinno zrobić na nim większe wrażenie niż widok mojej skromnej osoby. Jednak Wilkins popatrzył na Deborah i powiedział: – Ach tak, już się kiedyś spotkaliśmy przed moim gabinetem.

– Zgadza się – potwierdziła Debs i w końcu wyjęła odznakę.

– Przepraszam, czy to długo potrwa? Śpieszę się – dodał.

– Mamy tylko kilka pytań, panie profesorze – odparła Deborah. – Zajmie to zaledwie chwilę.

– Cóż, w porządku – rzekł, oderwał wzrok od odznaki, popatrzył na mnie i szybko odwrócił oczy. Otworzył szeroko bramę. – Chcieliby państwo wejść?

Przemokliśmy do suchej nitki i schronienie się przed deszczem wydawało się rozsądnym pomysłem. Przekroczyliśmy bramę, ruszyliśmy po podjeździe za Wilkinsem i weszliśmy do domu.

Willę urządzono w klasycznym, swobodnym stylu domów bogaczy mieszkających w Coconut Grove. Nie widziałem podobnego przykładu od dzieciństwa, gdy modna stała się nowoczesność w stylu filmu *Policjanci z Miami*, stając się dominującą formą dekoracji wnętrz. To była jednak stara szkoła, przywodząca na myśl czasy, kiedy dzielnica, nazywana Nut Grove, była znana ze swobody typowej dla cyganerii artystycznej.

Podłogi wyłożono czerwono-brązowymi kafelkami, które lśniły jak lustro, a po prawej stronie salonu, koło dużego panoramicznego okna stała skórzana kanapa i dwa skórzane fotele. W pobliżu okna znajdował się duży barek z przeszkloną, chłodzoną szafką na wino; wisiał nad nim na ścianie abstrakcyjny obraz przedstawiający nagą kobietę.

Wilkins poprowadził nas w stronę kanapy. Minął dwie rośliny doniczkowe i nagle się zatrzymał.

– Ach, jesteśmy trochę za mokrzy na skórzane meble – rzekł, zdejmując z głowy kaptur płaszcz przeciwdeszczowego. – Możemy usiąść na stołkach? – Skinął dłonią w stronę barku.

Popatrzyłem na Deborah, która wzruszyła ramionami.

– Postoimy – odrzekła. – Potrwa to tylko chwilę.

– W porządku – powiedział Wilkins. Skrzyżował ramiona na piersi i uśmiechnął się do Deborah. – Co jest takie ważne, że przysłali panią w taką ulewę?

Deborah lekko się zarumieniła; nie wiedziałem, czy z irytacji, czy z innego powodu.

– Kiedy zaczął pan sypiać z Tammy Connor? – spytała.

Z twarzy Wilkinsa zniknęła uszczęśliwiona mina i przez chwilę spoglądał na nas bardzo chłodnym, nieprzyjemnym wzrokiem.

– Kto państwu powiedział, że z nią sypiam?

Widziałem, że Deborah usiłuje go wytrącić z równowagi. Ponieważ jest to jedna z moich specjalności, natychmiast się wtrąciłem.

– Czy będzie pan musiał sprzedać ten dom, jeśli nie dostanie pan stałego etatu? – rzuciłem.

Szybko popatrzył mi prosto w oczy niezbyt miłym wzrokiem. Niestety, nie dał się sprowokować.

– Powinienem był się domyślić – odparł. – To zeznania Halperna złożone w więzieniu, prawda? Zaczął mnie oskarżać?

– Więc nie miał pan romansu z Tammy Connor? – spytała Deborah.

Wilkins popatrzył na nią i z wyraźnym wysiłkiem znów swobodnie się uśmiechnął. Pokręcił przecząco głową.

– Przykro mi – odezwał się. – Nie mogę się przyzwyczaić, że odgrywa pani rolę złego policjanta. To bardzo skuteczna technika, prawda?

– Jak dotychczas nie bardzo – odrzekłem. – Nie odpowiedział pan na ani jedno pytanie.

– W porządku – rzekł, kiwając głową. – Czy Halpern was poinformował, że włamał się do mojego gabinetu? Znalazłem go siedzącego pod biurkiem. Bóg jeden wie, co tam robił.

– Dlaczego to zrobił, jak pan myśli? – spytała Deborah.

Wilkins wzruszył ramionami.

– Mówił, że sabotuję jego artykuł.

– Tak było?

Spojrzał na Debs, później przez krótką, nieprzyjemną chwilę na mnie, a następnie z powrotem na moją siostrę.

– Bardzo się staram z wami współpracować, pani sierżant – odezwał się. – Ale wysuwacie pod moim adresem tyle różnych oskarżeń, że nie bardzo wiem, na które odpowiedzieć.

– Czy dlatego nie odpowiedział pan na żadne? – spytałem.

Wilkins mnie zignorował.

– Jeśli powiecie, jaki jest związek artykułu Halperna z Tammy Connor, w miarę swoich możliwości bardzo chętnie wam pomogę. W przeciwnym razie muszę iść.

Deborah spojrzała na mnie. Nie miałem pojęcia, czy oczekuje rady, czy znużyło ją patrzenie na Wilkinsa, toteż zaprezentowałem bardzo przekonujące wzruszenie ramion i znów przeniosła wzrok na profesora.

– Tammy Connor nie żyje – oznajmiła.

– O rety! – rzekł Wilkins. – Jak to się stało?

– Zginęła tak samo jak Ariel Goldman – odpowiedziała Debs.

– Znał pan obie – dodałem znacząco.

– Wyobrażam sobie, że znały je dziesiątki osób. W tym Jerry Halpern – zauważył.

– Czy to Halpern zabił Tammy Connor, profesorze? – odezwała się Deborah. – Przebywając w areszcie?

Wzruszył ramionami.

– Twierdzą tylko, że również ją znał.

– I z nią także miał romans? – spytałem.

Wilkins krzywo się uśmiechnął.

– Prawdopodobnie nie. Nie z Tammy.

– Co to znaczy, profesorze? – rzekła Deborah.

Wilkins znów wzruszył ramionami.

– Zwykle plotki, sami wiecie. Studenci opowiadają różne rzeczy. Niektórzy twierdzą, że

Halpern to gej.

– Mniejsza konkurencja – zauważyłem. – Jak z Tammy Connor.

Wilkins popatrzył na mnie groźnie i jestem pewien, że gdybym był na drugim roku, łatwo by mnie zastraszył.

– Musicie się zdecydować, czy zabiłem swoje studentki, czy je pieprzyłem – powiedział.

– Dlaczego nie jedno i drugie?

– Skończył pan studia? – spytał ostro.

– Słucham? Ależ tak, oczywiście – odparłem.

– W takim razie powinien pan zdawać sobie sprawę, że pewien typ dziewcząt próbuje uwodzić wykładowców. Tammy skończyła osiemnaście lat, a ja nie jestem żonaty.

– Czy uprawianie seksu ze studentką nie jest nieco nieetyczne?

– Byłą studentką! – warknął. – Zacząłem się z nią widywać po zakończeniu seminarium w zeszłym semestrze. Nie ma prawa zabraniającego się spotykać z byłą studentką. Zwłaszcza jeśli sama się narzuca.

– Niezła zdobycz – zauważyłem.

– Czy sabotował pan artykuł profesora Halperna? – spytała Deborah.

Wilkins spojrział na nią i znowu się uśmiechnął. Cudownie obserwować człowieka, który jest prawie równie dobry jak ja

w błyskawicznym przeskakiwaniu między emocjami.

– Pani inspektor, czy dostrzega w tym pani pewien schemat? Proszę posłuchać: Jerry Halpern to błyskotliwy umysł, ale... może nie jest zupełnie zrównoważony? Znalazł się pod presją i po prostu uznał, że zmontowałem przeciwko niemu wielki spisek. – Wzruszył ramionami. – Nie sądzę, żebym był taki dobry – dodał z uśmiechem. – Przynajmniej nie w spiskowaniu.

– Więc uważa pan, że Halpern zamordował Tammy Connor, podobnie jak inne ofiary? – spytała Deborah.

– Tego nie powiedziałem – odrzekł. – Ale to on jest świrem, nie ja. – Zrobił krok w stronę drzwi i popatrzył na Debs z uniesionymi brwiami. – Teraz, jeśli nie mają państwo nic przeciwko temu, naprawdę muszę jechać.

Moja siostra wręczyła mu wizytówkę.

– Dziękujemy, że poświęcił nam pan swój cenny czas, profesorze. Jeśli przyjdzie panu do głowy coś, co mogłoby nam pomóc, proszę do mnie zatelefonować.

– Może pani na mnie liczyć – rzekł, uśmiechając się do niej w morderczy sposób, i położył rękę na jej ramieniu. Z trudem powstrzymała się od wzdrygnięcia. – Doprawdy,



ogromnie mi przykro, że wyrzucam państwa na deszcz, ale...

Deborah podążyła w stronę drzwi, z wyraźną ulgą uwalniając się od dłoni Wilkinsa. Ruszyłem za nią. Naukowiec wyprowadził nas przez drzwi i za bramę, wszedł do swojego samochodu, cofnął wóz na biegu wstecznym i odjechał. Debs stała na deszczu i patrzyła, jak się oddala. Jestem pewien, że chciała go wytrącić z równowagi i sprawić, by nagle wyskoczył z auta i do wszystkiego się przyznał, lecz ze względu na pogodę uznałem to za nadgorliwość. Wsiadłem do samochodu i czekałem na nią.

Kiedy niebieski lexus zniknął, Deborah wreszcie zajęła miejsce na sąsiednim fotelu.

– Niedobrze mi się robi, jak na niego patrzę – rzekła.

– Uważasz, że to morderca? – spytałem. Czuję się dziwnie: nie wiedziałem, czy to prawda, i zastanawiałem się, czy ktoś inny przejrzał maskę potwora.

Z irytacją pokręciła głową. Poczułem na twarzy krople wody z jej włosów.

– Moim zdaniem to cholerne bydlę. Co o tym sądzisz?

– Chyba masz rację – odparłem.

– Przyznał, że romansował z Tammy Connor, więc czemu kłamał, że miał z nią zajęcia

w zeszłym semestrze?

– Odruch? – zasugerowałem. – Bo liczy na pełny etat?

Stukała palcami w kierownicę, a następnie pochyliła się do przodu i zapaliła silnik.

– Każę go obserwować.

Kiedy w końcu dotarłem do pracy, na moim biurku leżała kopia protokołu na temat wypadku i zdałem sobie sprawę, że ktoś oczekuje, bym tego dnia mimo wszystko normalnie pracował. W ciągu ostatnich kilku godzin tyle się wydarzyło, że trudno mi było się pogodzić z myślą, iż czeka mnie cały dzień harówki, toteż przed jej rozpoczęciem poszedłem po kawę. Miałem cichą nadzieję, że ktoś przyniósł pączki lub ciastka, lecz spotkało mnie rozczarowanie. Znalazłem tylko półtora kubka przypalonej, bardzo ciemnej kawy. Nalałem trochę do filiżanki, zostawiając resztę dla kogoś naprawdę zdesperowanego, po czym wróciłem do swojego biurka.

Wziąłem protokół i zacząłem czytać. Wynikało z niego, że ktoś jechał samochodem należącym do niejakiego Dariusa Starzaka, wpadł do kanału, a następnie uciekł z miejsca wypadku. Samego Starzaka nie udało się jak dotąd przesłuchać. Przez dłuższy czas mrugałem i popijałem obrzydliwą kawę, aż w końcu zdałem sobie sprawę, że to opis porannego

zdarzenia, w którym sam uczestniczyłem. Po chwili zacząłem się zastanawiać, co z tym zrobić.

Nazwisko właściciela samochodu nie dawało wystarczającego punktu zaczepienia – właściwie żadnego, bo auto prawdopodobnie skradziono. Jednak jeszcze gorzej było przyjąć, że nic się nie da zrobić. Należało przynajmniej spróbować odnaleźć jakieś informacje, toteż znów usiadłem przed ekranem komputera.

Najpierw zająłem się standardowymi sprawami: numer rejestracyjny samochodu doprowadził mnie do adresu przy Old Cutler Road w dość drogiej dzielnicy. Później przejrzałem archiwa policji: mandaty, wykroczenia, alimenty. Nic. Wydawało się, że Starzak to wzorowy obywatel, który nigdy nie miał do czynienia z wymiarem sprawiedliwości.

W porządku, a samo nazwisko Darius Starzak? Darius nie jest pospolitym imieniem, przynajmniej w Stanach Zjednoczonych. Sprawdziłem archiwa urzędu imigracyjnego. I ku swojemu zaskoczeniu natychmiast znalazłem coś ciekawego.

Okazało się, że Starzak ma tytuł doktora. Obronił doktorat z filozofii religii na Uniwersytecie w Heidelbergu i przed kilku laty był profesorem zwyczajnym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. W trakcie dalszych

poszukiwań ustaliłem, że został wyrzucony z uczelni w związku z jakimś niejasnym skandalem. Nie znam zbyt dobrze języka polskiego, chociaż potrafię wymówić słowo „kiełbasa”, gdy robię zakupy w delikatesach. Jeśli tłumaczenie nie było całkowicie błędne, Starzaka zwolniono za przynależność do nielegalnego stowarzyszenia.

Akta nie wyjaśniały, dlaczego europejski naukowiec, który stracił posadę z tak nietypowego powodu, mógłby mnie śledzić, a potem wjechać autem do kanału. Wydawało się to poważną luką w dokumentacji. Mimo to wydrukowałem fotografię Starzaka znajdującą się w aktach urzędu imigracyjnego. Popatrzyłem na nią, usiłując wyobrazić sobie twarz uczonego częściowo zasłoniętą dużymi okularami przeciwsłonecznymi, które widziałem w bocznym lusterku avalona. Równie dobrze mógł to być Elvis Presley. Z tego, co wiedziałem, Elvis miał równie dobre motywy, by mnie śledzić.

Zacząłem szukać trochę głębiej. Technik kryminalistyczny, nawet czarujący i inteligentny, nie może łatwo uzyskać dostępu do akt Interpolu, jeśli nie poda oficjalnej przyczyny. Ale po kilku minutach skomplikowanej żonglerki przed ekranem

komputera wszedłem do centralnej kartoteki i dowiedziałem się interesujących rzeczy.

Doktor Dariusz Starzak figurował na specjalnych listach niepożądanych cudzoziemców w czterech krajach – lecz nie w Stanach Zjednoczonych, co wyjaśniało, dlaczego przebywał w Ameryce. Choć brakowało dowodów, że popełnił jakieś przestępstwo, istniały podejrzenia, iż był zamieszany w handel dziećmi osieroconymi w czasie wojny w Bośni. Dokument wspominał mimochodem, że nie da się ustalić ich obecnego miejsca pobytu. W języku raportów policyjnych oznaczało to, że ktoś podejrzewał Starzaka o zamordowanie tych dzieci.

Czytając te informacje, powinienem poczuć dreszczyk lodowatej radości i przypływ nadziei na złowrogą przygodę, lecz nie pojawiło się nic – ani stłumione echo, ani blada iskierka. Zamiast tego znowu ogarnął mnie lekki ludzki gniew, podobnie jak rankiem, gdy zauważyłem, że Starzak mnie śledzi. Nie wydawało się to wystarczającą rekompensatą za mroczną, dziką pewność Pasażera, do której się przyzwyczailem, ale było to przynajmniej coś konkretnego.

Starzak krzywdził dzieci, a teraz próbował skrzywdzić mnie – jeśli nie był to ktoś używający jego auta. W porządku. Jak dotychczas

otrzymywałem ciosy z różnych stron, latając tam i z powrotem niczym piłeczka pingpongowa, i biernie się z tym godziłem, na nic się nie skarżąc, wessany w próżnię przygnębiającej uległości z powodu ucieczki Mrocznego Pasażera. Teraz pojawiło się coś, co rozumiałem i mogłem wykorzystać.

Z kartotek Interpolu wynikało, że Starzak to zły człowiek; a właśnie takich ludzi szukałem, zajmując się swoim hobby. Śledził mnie swoim samochodem, a później posunął się do wjechania do kanału, by uciec. Możliwe, że auto ktoś ukradł, a Starzak był zupełnie niewinny. Uważałem to za mało prawdopodobne, zwłaszcza w świetle danych Interpolu. Jednak dla pewności sprawdziłem rejestr skradzionych samochodów. Nie było w nim wzmianki o Starzaku ani jego wozie.

W porządku, nie ulegało wątpliwości, że to on, co potwierdzało jego winę. Wiedziałem, co powinienem zrobić. W środku byłem samotny, lecz czy musiało to oznaczać, że mam nie uprawiać swojego hobby?

W dalszym ciągu targała mną złość, lecz teraz poczułem przyjemne ciepło wynikające z poczucia pewności. Różniło się ono od absolutnego przekonania, jakie uzyskiwałem dzięki pomocy Pasażera, lecz było czymś więcej

niż przeczucie. Było to słuszne, na pewno. Jeśli nie posiadałem równie niezbitych dowodów jak zwykle, należy się z tym pogodzić. Starzak doprowadził do tak wielkiej eskalacji napięcia, że nie miałem żadnych wątpliwości, iż trafił na pierwsze miejsce mojej listy. Znajdę go, wyeliminuję i zachowam tylko złe wspomnienie oraz kroplę zakrzepłej krwi w swojej kasetce z drzewa różanego.

Ponieważ po raz pierwszy w życiu kierowały mną emocje, pozwoliłem sobie na promyk nadziei. Niewykluczone, że gdy się rozprawię ze Starzakiem, Mroczny Pasażer wróci. Wcześniej nigdy nie robiłem takich rzeczy samodzielnie i nie wiedziałem, jak to jest, lecz miałoby to pewien sens, prawda? Pasażer zawsze dodawał mi otuchy – może się pojawi, gdy stworzę sytuację, jakiej potrzebuje? Czyż nie miałem Starzaka na widelcu i czy sam się nie prosił, bym się z nim rozprawił?

Jeżeli Pasażer nie wróci, może powinienem zacząć żyć samotnie? To ja wykonywałem najcięższą część pracy – czy nie mógłbym realizować swojego powołania bez niczyjej pomocy?

Odpowiedzią na każde z tych pytań było „tak” i miałem wrażenie, że w moim mózgu zapalił się rząd gniewnych czerwonych światełek. Przez



moment odruchowo czekałem na znajomy syk zadowolenia dochodzący z mrocznego zakamarka mojego mózgu, lecz naturalnie Pasażer się nie odezwał.

Nieważne. Zrobię to samodzielnie.

Ostatnio dużo pracowałem w nocy, więc Rita nie okazała żadnego zdziwienia, gdy oświadczyłem, że po kolacji muszę wrócić do laboratorium. Naturalnie nie uwolniłem się jeszcze od Cody'ego i Astor, którzy chcieli mi towarzyszyć i zająć się czymś ciekawym, a przynajmniej zostać w domu i bawić się ze mną w chowanego. Jednak po krótkiej dyskusji i kilku niejasnych groźbach w końcu się ode mnie odczepili i wymknąłem się w noc. Moją noc, ostatniego przyjaciela, jaki mi został, z niewyraźnym różkiem Księżycy w pierwszej kwadrze migocącym na chmurnym, wilgotnym niebie.

Starzak mieszkał na zamkniętym osiedlu, lecz kiepsko opłacany strażnik, którego rola sprowadza się do podnoszenia wartości nieruchomości, nie jest w stanie powstrzymać kogoś tak doświadczonego i zdeterminowanego jak Dexter. Oznaczało to konieczność odbycia krótkiego spaceru po zaparkowaniu samochodu przy szosie prowadzącej do bramy osiedla, ale uznałem, że trochę ruchu dobrze mi zrobi.

Ostatnio zbyt często zarywałem noce i budziłem się niewyspany; perspektywa spaceru na świeżym powietrzu, by wykonać pożyteczne zadanie, wydawała się miła.

Powoli okrążyłem osiedle, znalazłem adres Starzaka i poszedłem dalej, jakbym był sąsiadem odbywającym wieczorny spacer. W pokoju od frontu paliło się światło, a na podjeździe stał samochód z tablicami rejestracyjnymi z Florydy; w dolnej części znajdował się napis: „Hrabstwo Manatee”. W hrabstwie Manatee mieszka zaledwie trzysta tysięcy osób, lecz zarejestrowano tam co najmniej dwa razy więcej aut. To sztuczka związana z wypożyczaniem samochodów – stosuje się ją, aby ukryć fakt, że samochód jest wynajęty i że kierowca to turysta stanowiący łatwy cel dla każdego drapieżnika spragnionego zdobyczy.

Poczułem przypływ podniecenia. Starzak był u siebie, a to, że wypożyczył auto, czyniło bardziej prawdopodobną hipotezę, iż wjechał samochodem do kanału. Przeszedłem koło domu, wypatrując jakichkolwiek oznak, że ktoś mnie spostrzegł. Nic nie zauważyłem i słyszałem tylko cichy dźwięk telewizora grającego gdzieś w pobliżu.

Okrążyłem ulicę i znalazłem dom ze zgaszonymi światłami i zamkniętymi

okiennicami, co sugerowało, że jest pusty. Przeszedłem przez ciemne podwórko i zbliżyłem się do wysokiego żywopłotu, za którym znajdował się ogród Starzaka. Wślizgnąłem się w lukę w krzakach, po czym włożyłem czystą maskę i rękawice. Zacząłem czekać, aż mój wzrok przywyknie do ciemności; nasłuchiwałem. Nagle przyszło mi do głowy, że gdyby ktoś mnie teraz zauważył, z pewnością wybuchnąłby śmiechem. Nigdy wcześniej się tym nie martwiłem; Pasażer miał znakomite wyczucie i zawsze ostrzegał mnie przed niepożądanymi gapiami. Teraz, bez pomocy swojego wewnętrznego towarzysza, czułem się nagi. Kiedy to zrozumiałem, ogarnęło mnie poczucie, że jestem beznadziejnie głupi.

Co ja właściwie wyczyniam? Przyszedłem tu spontanicznie, bez zwykłych starannych przygotowań, bez konkretnych dowodów, bez Pasażera, i złamałem w ten sposób wszystkie zasady, których zawsze przestrzegałem. Było to szaleństwo. Sam się prosiłem, by mnie odkryto, aresztowano, by Starzak porąbał mnie na kawałki.

Zamknąłem oczy i przeżywałem wzbierające we mnie nowe emocje. Uczucia – typowo ludzka zabawa. Wkrótce zapiszę się do drużyny kręglarzy. Znajdę w internecie forum

dyskusyjne, gdzie będę wymieniał opinie na temat metod rozwoju osobowości zgodnych z zasadami New Age i alternatywnych leków ziołowych na hemoroidy. Witaj wśród ludzi, Dexter, w nieskończenie bezsensownej, bezużytecznej rasie ludzkiej. Mamy nadzieję, że twój krótki, bolesny pobyt okaże się przyjemny.

Otworzyłem oczy. Mogłem zrezygnować, uznać, że dziś nic więcej nie zrobię. Albo iść do samego końca, bez względu na ryzyko, i udowodnić, że ciągle jestem sobą. Zrobić coś, co skłoni Mrocznego Pasażera do powrotu albo pozwoli mi rozpocząć nowe życie bez niego. Nawet jeśli nie miałem stuprocentowych dowodów dotyczących Starzaka, sytuacja stała się krytyczna, a ja znajdowałem się przed jego domem.

Przynajmniej musiałem dokonać jasnego wyboru, czego od dawna nie robiłem. Odetchnąłem głęboko i jak najciszej przeszedłem przez żywopłot do ogrodu Starzaka.

Trzymając się w cieniu, dotarłem do bocznej ściany domu, gdzie znajdowały się drzwi do garażu. Były zamknięte, lecz Dexter śmieje się z zamków i nie potrzebuje pomocy Pasażera, by je sforsować. Wszedłem do ciemnego garażu i cicho zamknąłem drzwi. Przy przeciwległej ścianie stał rower, a obok znajdował się warsztat,

koło którego wisiał bardzo ładny zestaw narzędzi. Zanotowałem to w pamięci i przeszedłem przez garaż do drzwi prowadzących do domu. Zatrzymałem się przy nich i przyłożyłem ucho do drewna.

Słyszałem cichy szum klimatyzacji, grający telewizor i nic więcej. Nasłuchiwałem jeszcze przez chwilę, by się upewnić, że w środku nikogo nie ma, po czym bardzo ostrożnie nacisnąłem klamkę. Drzwi okazały się niezamknięte; otworzyły się płynnie i cicho. Wszedłem do domu Starzaka, poruszając się bezszelestnie jak mroczne widmo.

Ruszyłem korytarzem w stronę niebieskiej poświaty telewizora, trzymając się jak najbliżej ściany, zdając sobie z niepokojem sprawę, że jeśli Starzak z jakiegoś powodu znajduje się za moimi plecami, zobaczy mnie na tle światła. Ale kiedy ujrzałem telewizor, dostrzegłem nad oparciem kanapy męską głowę i wiedziałem, że go mam.

Trzymałem w ręku gotową pętlę z żyłki wędkarskiej o wytrzymałości dwudziestu pięciu kilogramów. Zrobiłem krok do przodu. Na ekranie telewizora pojawiła się reklama i głowa lekko się poruszyła. Zastygłem, lecz głowa mężczyzny znów znalazła się w centrum ekranu. Skoczyłem w jego stronę; pętla świsnęła

i zacisnęła się na jego szyi tuż nad jabłkiem Adama.

Przez chwilę rzucał się w bardzo zabawny sposób, co jeszcze mocniej zaciskało pętlę. Obserwowałem, jak się szarpie, chwytając za gardło i chociaż sprawiało mi to przyjemność, nie odczuwałem tej samej lodowatej, dzikiej satysfakcji, jaka niegdyś się pojawiała w takich momentach. Jednak było to lepsze niż oglądanie reklamy, więc pozwoliłem mu się szamotać, aż jego twarz stała się sina. Po chwili przestał się rzucać i zaczął bezradnie dygotać.

– Nie ruszaj się i milcz! – rzekłem. – Wtedy pozwolę ci oddychać.

Trzeba przyznać, że natychmiast zrozumiał i przestał stawiać opór. Poluzowałem nieco pętlę i słuchałem, jak wciąga powietrze. Tylko jeden raz – później znowu zacisnąłem żyłkę i zmusiłem go do wstania.

– Chodź – odezwałem się. Spełnił polecenie. Stałem za jego plecami i zaciskałem pętlę w taki sposób, by mógł oddychać, jeśli naprawdę bardzo się starał. Zaprowadziłem go korytarzem na tyły domu, do garażu. Kiedy go popchnąłem w stronę warsztatu, upadł na jedno kolano – albo się potknął, albo podjął idiotyczną próbę ucieczki. Tak czy inaczej, byłem w zbyt kiepskim nastroju, by to tolerować, toteż zacisnąłem pętlę

tak mocno, że oczy wyszły mu z orbit. Przez chwilę obserwowałem, jak ciemnieje mu twarz, a po chwili runął nieprzytomny na podłogę.

Ułatwiło mi to działanie. Ułożyłem jego bezwładne ciało na warsztacie i mocno przymocowałem taśmą klejącą; cały czas leżał nieprzytomny, z otwartymi ustami. Z kącika warg ciekła mu wąska strużka śliny; oddychał chrapliwie, nawet gdy poluzowałem pętlę. Popatrzyłem na Starzaka, brzydkiego, z szeroko otwartymi ustami, przyczepionego do stołu, i pomyślałem, że właśnie tacy jesteśmy. Do tego wszystko się sprowadza. Oddychająca kupa mięsa, a gdy oddech ustaje, tylko gnijące resztki.

Zaczął kaszleć i z ust wyciekło mu jeszcze więcej śliny. Napiął taśmę klejącą, zrozumiał, że nie może się poruszać, i otworzył oczy. Wybełkotał coś niezrozumiałego, złożonego ze zbyt wielu spółgłosek, poruszył oczyma i nagle mnie zobaczył. Naturalnie nie mógł widzieć mojej twarzy, ukrytej pod maską, jednak miałem niepokojące wrażenie, że i tak mnie rozpoznał. Poruszył kilkakrotnie wargami, lecz nic nie powiedział, aż wreszcie wbił wzrok w swoje stopy i odezwał się suchym, chrapliwym głosem ze środkowoeuropejskim akcentem, prawie bez śladu spodziewanej emocji:

– Robisz bardzo wielki błąd.

Nie przyszła mi automatycznie do głowy żadna złowroga odpowiedź.

– Przekonasz się, że i tak cię dopadnie, nawet beze mnie – ciągnął straszonym, monotonnym, zachrypniętym głosem. – Nic nie zrobisz. Już za późno.

I oto udało mi się uzyskać coś w rodzaju przyznania się, że mnie śledził, planując coś złego. Lecz nie przyszło mi do głowy nic, co mógłbym powiedzieć, i zapytałem tylko:

– Kto to jest?

Zapomniał, że jest przywiązany do blatu taśmą klejącą, i usiłował pokręcić głową. Nie udało mu się, lecz najwyraźniej nie zrobiło to na nim większego wrażenia.

– Znajdą cię – powtórzył. – Już wkrótce. – Szarpnął się lekko, jakby próbował machnąć ręką. – No już, zabij mnie. Znajdą cię.

Popatrzyłem na niego z góry. Leżał nieruchomo, oklejony taśmą i gotowy, bym się nim zajął, a ja powinienem czuć lodowatą rozkosz na myśl o pracy, którą za chwilę wykonam – lecz tak się nie stało. Wypełniała mnie tylko pustka, to samo uczucie kompletnej beznadziejności co w czasie oczekiwania przed domem.



Otrząsnąłem się z paniki i zakleiliśmy Starzakowi usta. Wzdrygnął się lekko, lecz w dalszym ciągu spoglądał prosto przed siebie, nie okazując żadnych uczuć.

Uniosłem nóż i popatrzyłem na nieruchomą, niewzruszoną ofiarę. W dalszym ciągu słyszałem okropny, wilgotny, świszczący oddech wydobywający się z nosa Starzaka. Pragnąłem go zniszczyć, pozbawić przytomności, uciszyć ten złośliwy świst, pokroić ciało na kawałki i zapakować do suchych, czystych worków na śmieci. Nieruchome bryły mięsa przestaną stanowić zagrożenie, przestaną być istotą, która jadła, wydalą i miotała się w bezsensownym labiryncie ludzkiego życia...

Nie byłem w stanie.

Poprosiłem w duchu, by rozległ się znajomy szelest czarnych skrzydeł, przeleciał między mną a nożem i rozjaśnił go złowrogim błyskiem dzikiej celowości. Nic się nie stało. Myśl o tym, co ostre i konieczne, co robiłem tyle razy z taką radością, nie wywoływała żadnych uczuć. Wypełniała mnie tylko pustka.

Opuściłem nóż, odwróciłem się i wyszedłem w noc.

Nazajutrz rano w jakiś sposób zdołałem wygrzebać się z łóżka i pojechać do pracy, choć przepęlała mnie czarna rozpacz, która rozkwitła we mnie niczym ogród pełen suchych cierni. Tępy ból, jaki odczuwałem, niczemu nie służył i przypominał tylko, że wszystkie rutynowe poranne czynności – jedzenie śniadania, długa, powolna jazda na komendę – również nie mają żadnego sensu. Mimo to je wykonałem, aż w końcu machinalnie usiadłem na fotelu przy swoim biurku, włączyłem komputer i zająłem się codzienną, monotonną pracą.

Poniosłem klęskę w sprawie Starzaka. Przestałem być sobą; nie miałem pojęcia, kim ani czym jestem.

Kiedy wróciłem do domu, przy drzwiach czekała na mnie Rita z zaniepokojoną, zirytowaną miną.

– Musimy wybrać zespół muzyczny – rzekła.

– Może się okazać, że jest już zarezerwowany.

– W porządku – odpowiedziałem. Dlaczego nie wybrać zespołu muzycznego? Zajęcie równie

sensowne jak inne.

– Zebrałam płyty, które wczoraj upuściłeś, i posortowałam według cen.

– Dziś ich posłucham – obiecałem i chociaż Rita w dalszym ciągu wydawała się zirytowana, w końcu zajęła się zwykłymi wieczornymi czynnościami, co trochę ją uspokoiło. Wzięła się do gotowania i sprzątania, a ja zacząłem słuchać zespołów rockowych grających *Chicken Dance* i *Electric Slide*. Jestem pewien, że w normalnych okolicznościach byłoby to równie zabawne jak ból zęba, lecz ponieważ nie przychodziło mi do głowy żadne inne zajęcie, któremu warto by się poświęcić, pracowicie wysłuchałem całego stosu płyt i wkrótce nadeszła pora, by iść spać.

O pierwszej w nocy znów usłyszałem muzykę i nie był to *Chicken Dance*, tylko bębny, trąby i chór głosów. Dziwna melodia wypełniła mój sen i uniosła mnie do nieba. Obudziłem się na dywanie, wciąż słysząc w głowie jej echa.

Długi czas leżałem na podłodze, nie potrafiąc sformułować żadnej sensownej hipotezy, co to wszystko może oznaczać. Bałem się znów zasnąć z obawy, że muzyka powróci. W końcu wróciłem do łóżka i chyba nawet się zdrzemnąłem, ponieważ gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem słońce i usłyszałem dźwięki dochodzące z kuchni.

\* \* \*

Była sobota rano i Rita przyrządziła naleśniki z jagodami, co w miły sposób przypomniało mi o codziennym życiu. Cody i Astor zaczęli je z entuzjazmem pałaszować. W normalny poranek zrobiłbym to samo; nie był to jednak normalny poranek.

Fakt, że straciłem apetyt, najlepiej świadczy o tym, w jakim musiałem być szoku – i jak bardzo trudne jest to do opisanie. Dexter ma niewiarygodnie szybką przemianę materii i potrzebuje ciągłego dopływu paliwa, by podtrzymać funkcjonowanie cudownego urządzenia, jakim jest jego organizm, a naleśniki Rity to odpowiednik najlepszej benzyny bezołowiowej. Jednak od czasu do czasu zastygałem i wpatrywałem się w widelec drżący w połowie drogi między talerzem a moimi ustami, nie znajdując w sobie niezbędnego entuzjazmu, by włożyć do nich jedzenie.

Wszyscy wkrótce skończyli posiłek, a ja ciągle spoglądałem na do połowy pełny talerz. Nawet Rita zauważyła, że w Świecie Dextera nie wszystko jest w porządku.

– Prawie nie tknąłeś jedzenia – rzekła. – Coś się stało?

– Męczy mnie sprawa, którą się zajmuję – odpowiedziałem, częściowo zgodnie z prawdą. – Nie potrafię się od tego uwolnić.

– Och... – westchnęła. – Jesteś pewien, że... Coś naprawdę okropnego?

– Nie o to chodzi – odrzekłem, zastanawiając się, co Rita chciałaby usłyszeć. – To wszystko jest... bardzo dziwne.

Kiwnęła głową.

– Niekiedy warto przestać o czymś myśleć na jakiś czas – powiedziała. – Później odpowiedź przychodzi sama.

– Może masz rację – odparłem, niezupełnie zgodnie z prawdą.

– Skończysz śniadanie? – spytała.

Popatrzyłem na swój talerz, na którym leżał stos napoczętych naleśników pokrytych zastygłym syropem. Z naukowego punktu widzenia rozumiałem, że ciągle są pyszne, lecz w tej chwili wydawały się równie apetycznie jak stara, mokra gazeta.

– Nie – powiedziałem.

Popatrzyła na mnie z zaniepokojeniem. Kiedy Dexter nie kończy śniadania, wszystko jest możliwe.

– Dlaczego nie wybierzesz się popływać łodzią? – zasugerowała. – To zawsze pomaga ci się odprężyć. – Podeszła do mnie i pogładziła

mnie po twarzy z matczyną troską, a Cody i Astor popatrzyli na mnie z nadzieją, że zabiorę ich na rejs łodzią. Nagle poczułem się jak człowiek stąpający po ruchomych piaskach.

Wstałem. Nie mogłem już dłużej wytrzymać. Nie potrafiłem sprostać własnym oczekiwaniom i wręcz dusiłem się na myśl, że musiałbym zadowolić resztę rodziny. Nie wiedziałem, czy przyczyną kłopotów jest moje niepowodzenie ze Starzakiem, natrętna muzyka czy życie rodzinne, które powoli mnie wsysało. A może połączenie tych wszystkich rzeczy – ciągnęły mnie w przeciwnych kierunkach, rozszarpały na kawałki, a resztki mnie wpadały w wir normalności. Miałem ochotę krzyczeć, lecz jednocześnie nie byłem w stanie nawet skomleć. Musiałem wyjść z domu.

– Mam coś ważnego do załatwienia – odezwałem się. Wszyscy popatrzyli na mnie ze zdziwieniem i niezadowoleniem.

– Naprawdę? – spytała Rita. – Co takiego?

– To sprawa związana z naszym ślubem – odparłem, nie mając pojęcia, co za chwilę powiem, ślepo wierząc, że pokieruje mną instynkt. Na szczęście dla mnie przynajmniej to się udało, ponieważ przypomniałem sobie rozmowę z zaczerwienionym, zaleknionym

Vince'em Masuoką. – Muszę porozmawiać z kuchmistrem.

Rita się rozpromieniła.

– Jedziesz na spotkanie z Mannym Borkiem?  
– spytała. – Och, to doprawdy...

– Tak, właśnie z nim – zapewniłem. – Wrócę później.

I w ten sposób, o rozsądnej godzinie, za kwadrans dziesiąta w sobotni rano, pożegnałem się z brudnymi talerzami i życiem rodzinnym, po czym wsiadłem do samochodu. Na ulicach panował niezwykły spokój i jadąc do South Beach, nie zauważyłem żadnych aktów przemocy ani przestępstw – zjawisko równie niecodzienne jak obfity opad śniegu w Fontainebleau. Pamiętając o niedawnych wydarzeniach, od czasu do czasu zerkałem w lusterko wsteczne. Przez minutę miałem wrażenie, że śledzi mnie niewielki czerwony samochód podobny do jeepa, lecz kiedy zwolniłem, natychmiast mnie wyprzedził. Ruch uliczny był niewielki i gdy zaparkowałem auto, wjechałem windą na górę i zapukałem do drzwi Manny'ego Borque'a, był dopiero kwadrans po dziesiątej.

Przez dłuższy czas panowała absolutna cisza, więc zastukałem znowu, tym razem trochę mocniej. Już miałem zamiar zacząć walić pięścią,

by obudzić gospodarza, gdy nagle drzwi się uchyliły i stanął w nich bardzo rozespany, półnagi Manny Borque. Popatrzył na mnie, mrugając powiekami.

– Do kurwy nędzy...! – wychrypiał. – Która godzina?

– Kwadrans po dziesiątej – odpowiedziałem pogodnie. – Właściwie prawie pora lunchu.

Może jeszcze się nie obudził, a może myślał, że użyte przez niego przekleństwo jest bardzo zabawne i warto je powtórzyć. Tak czy inaczej, powiedział znowu:

– Do kurwy nędzy...!

– Mogę wejść? – spytałem grzecznie. Mrugnął jeszcze kilka razy i otworzył szeroko drzwi.

– Lepiej niech to będzie coś dobrego! – warknął. Poszedłem za nim w głąb mieszkania, minąłem ohydne dzieło sztuki stojące w holu i podążyłem w stronę miejsca koło okna. Usiadł na stołku, a ja naprzeciwko niego.

– Chciałbym porozmawiać o swoim weselu – odezwałem się. Pokręcił z irytacją głową i pisnął:

– Franky! – Nikt nie odpowiedział i Manny uderzył drobną dłonią w blat stołu. – Mam nadzieję, że ten mały sukinsyn... Franky, cholera jasna! – ryknął piskliwie.

W głębi mieszkania rozległ się prędki tupot stóp i po chwili pojawił się młody mężczyzna,



zawiązując szlafrok. Pośpiesznie wszedł do salonu, wygładził proste brązowe włosy i stanął przed Mannym.

– Cześć! – odezwał się. – To znaczy, no wiesz, dzień dobry!

– Zaparz szybko kawę – rozkazał Manny, nie patrząc na niego.

– Aha, jasne, w porządku – odpowiedział Franky. Zawahał się na pół sekundy, co dało Manny’emu czas, by unieść mikroskopijną pięść i wrzasnąć:

– Natychmiast, kurwa!

Franky przełknął ślinę i popędził do kuchni, a niezadowolony Manny wsparł pięścią głowę i z westchnieniem zamknął oczy, jakby dręczyły go niezliczone hordy kretyńskich demonów.

Wydawało się oczywiste, że rozmowa bez kawy nie wchodzi w rachubę, toteż wyjrzałem przez okno i podziwiałem widok. Na horyzoncie płynęły trzy duże frachtowce, wypuszczając pióropusze dymu, a bliżej zauważyłem jachty, w tym parę wartych po kilka milionów dolarów luksusowych łodzi zmierzających na Bahamy. W pobliżu brzegu kilka osób uprawiało windsurfing, a w stronę frachtowców płynął jaskrawożółty kuter. Świeciło słońce, nad plażą krążyły mewy, szukając śmieci, a ja czekałem, aż Manny otrzyma transfuzję z kawy.

W kuchni rozległ się ogłuszający brzęk i stłumiony krzyk Franky'ego: „O kurwa!”. Manny usiłował jeszcze mocniej zacisnąć powieki, jakby chciał się w ten sposób odseparować od otaczającej go straszliwej głupoty. Po kilku minutach do pokoju wszedł Franky, niosąc serwis do kawy: srebrny, nieco bezkształtny dzbanek i trzy niskie, kamionkowe filiżanki stojące na przezroczystej tacy w kształcie palety malarskiej.

Drżącymi rękami postawił przed Mannym filiżankę i napełnił kawą. Manny wypił niewielki łyk, westchnął ciężko, nie okazując ulgi, i w końcu otworzył oczy.

– W porządku – rzekł. Odwrócił się w stronę Franky'ego i dodał: – Idź posprzątać ten ohydny bałagan, a jeśli później wejdę na kawałek szkła, przysięgam na Boga, że cię wypatroszę! – Franky odszedł, a Manny wypił kolejny mikroskopijny łyk i popatrzył na mnie mętными oczyma. – Chcesz pogadać o swoim weselu – stwierdził takim tonem, jakby nie mógł w to uwierzyć.

– Zgadza się – odpowiedziałem.

– Przystojny z ciebie gość – rzekł, kręcąc głową. – Po co właściwie chcesz się żenić, do licha?!

– Zarobię na rozliczaniu podatków razem z żoną – odparłem. – Możemy porozmawiać

o menu?

– W sobotę, o świcie? Nie! – rzucił. – To okropny, bezsensowny, prymitywny rytuał. – Przyjąłem, że mówi o weselu, a nie menu, choć w wypadku Manny’ego nie można było mieć żadnej pewności. – Przeraza mnie myśl, że ktoś może się na to dobrowolnie decydować. Ale przynajmniej mam dzięki temu okazję do eksperymentów – dodał, machając lekceważąco ręką.

– Zastanawiam się, czy nie dałoby się eksperymentować trochę taniej?

– Teoretycznie – odrzekł i po raz pierwszy pokazał zęby. Mógłby to nazwać uśmiechem tylko człowiek, który uwielbia torturować zwierzęta. – Ale to wykluczone.

– Dlaczego?

– Bo już postanowiłem, co zrobię, i nie możesz mnie powstrzymać.

Szczerze mówiąc, przychodziło mi do głowy kilka skutecznych sposobów, by go powstrzymać, ale żaden z nich – choć mogłyby mi dostarczyć wiele przyjemności – nie zgadzał się z surowymi zasadami Kodeksu Harry’ego, toteż nie mogłem ich wykorzystać.

– Nie mógłbym pana grzecznie przekonać? – spytałem z nadzieją.

Zerknął na mnie chytrze.

- Jak grzecznie? – zagadnął.
- Cóż, ładnie poprosiłbym, uśmiechnąłbym się – odparłem.
- To nie wystarczy – rzekł. – W żadnym wypadku.
- Vince mówił, że szacuje pan koszty na pięćset dolarów od gościa...
- Ja niczego nie szacuję! – warknął. – I w ogóle mnie nie obchodzą twoje zasrane pieniądze!
- To oczywiste – powiedziałem, starając się trochę go udobruchać. – To przecież nie pańskie pieniądze.
- Twoja przyjaciółka podpisała umowę, kurwa mać! – rzucił. – Mogę wam kazać zapłacić, ile zechcę!
- Musi istnieć coś, co mógłbym zrobić, by trochę obniżyć cenę, prawda? – spytałem z nadzieją.
- Manny przestał się wykrzywiać i znów spojrzał na mnie przebiegle.
- Nie na krześle – odpowiedział.
- Więc co powinienem zrobić?
- Jeśli pytasz o to, jak sprawić, bym zmienił zdanie, nie możesz zrobić nic. Absolutnie nic. Mnóstwo ludzi czeka w kolejce, by mnie wynająć; mam zarezerwowane terminy na dwa lata naprzód i wyświadczam ci wielką przysługę.

– Jego chytry uśmiech stał się jeszcze szerszy, niemal nadnaturalny. – Dlatego szykuj się na cud i bardzo wysoki rachunek.

Wstałem. Niski człowieczek najwyraźniej nie zamierzał ustąpić i nie mogłem nic w tej sprawie zrobić. Chciałem powiedzieć coś w rodzaju: „Jeszcze o mnie usłyszysz”, lecz wydawało się, że nie ma to żadnego sensu. Dlatego po prostu uśmiechnąłem się do Manny’ego, powiedziałem: „Cóż” i wyszedłem z mieszkania. Kiedy zamknęły się za mną drzwi, usłyszałem, jak Borque wrzeszczy piskliwym głosem do Franky’ego:

– Na litość boską, rusz swoje tłuste dupsko i sprzątnij z podłogi to gówno!

Kiedy szedłem w stronę windy, poczułem na karku lekkie dotknięcie stalowego, lodowatego palca i przez chwilę coś się we mnie poruszyło, jakby Mroczny Pasażer zanurzył w wodzie palec u nogi i uciekł, widząc, że jest za zimna. Stałem jak wryty i powoli rozejrzałem się po korytarzu.

Nic. Na drugim końcu stał jakiś mężczyzna; pochylił się i podniósł gazetę leżącą na wycieracze. Poza tym nikogo nie zauważyłem. Zamknąłem na chwilę oczy. Co to? – spytałem w myślach. Nie otrzymałem odpowiedzi. Ciągle byłem sam. Fałszywy alarm, chyba że ktoś

obserwował mnie przez wizjer w drzwiach. Albo – co bardziej prawdopodobne – chciałem, by tak było.

Wsiadłem do windy i zjechałem na dół.

\* \* \*

Kiedy drzwi windy się zasunęły, Patrzący wyprostował się, w dalszym ciągu trzymając gazetę podniesioną z wycieraczki. Był to dobry kamuflaż, nadający się do ponownego wykorzystania. Popatrzył w głąb korytarza i zastanawiał się, co się wydarzyło w mieszkaniu, które odwiedziła istota, lecz tak naprawdę nie miało to żadnego znaczenia. Dowie się. Dowie się wszystkiego.

Powoli policzył do dziesięciu i podążył korytarzem w stronę mieszkania. Ustalenie, co się tam działo, zajmie tylko chwilę. A potem...

Patrzący nie miał pojęcia, o czym w tej chwili myśli istota, lecz wydarzenia nie toczyły się wystarczająco szybko. Należało przyprzeć ją do muru, wyrwać ze stanu beczynności. Czuł, jak w ciemnej chmurze mocy rozbrzmiewa radosna melodia, i słyszał trzepot czarnych skrzydeł.

Moje wieloletnie studia nad istotami ludzkimi dowodzą, że nie wynalazły one jeszcze sposobu, by zapobiec nadejściu poniedziałkowego ranka. Naturalnie, wiele z nich się stara, lecz poniedziałek zawsze przychodzi i wszystkie trutnie muszą śpiesznie wrócić do nudnego codziennego życia pełnego bezsensownego trudu i cierpienia.

Ta myśl zawsze mnie rozwesela, a ponieważ lubię uszczęśliwiać ludzi, którzy mnie otaczają, postanowiłem nieco złagodzić ból wywołany koniecznością pojawienia się w pracy w poniedziałek rano i przywiozłem pudełko pączków. Nim dotarłem do swojego biurka, wszystkie znikły w trakcie napadu zbiorowego szaleństwa o wyjątkowo ponurym charakterze – tylko tak można to określić. Poważnie wątpię, czy ktokolwiek miał lepszy powód niż ja, by się czuć ponuro, lecz nikt by się tego nie domyślił, patrząc, jak wszyscy łapią moje pączki i chrząkają.

Vince Masuoka również wydawał się zaniepokojony. Wkroczył do mojej klatki

z wyrazem trwogi i zdumienia na twarzy; musiało się wydarzyć coś bardzo poruszającego, bo jego mina wyglądała prawie autentycznie.

– Jezu, Dexter! – rzekł. – O Jezu Chryste...!

– Próbowałem ocalić jeden pączek dla ciebie – odpowiedziałem, uznawszy, że taki wyraz rozpaczy musi oznaczać, że Vince’a spotkało prawdziwe nieszczęście: zobaczył puste pudełko po pączkach. Jednak Masuoka pokręcił głową.

– O Jezu, nie mogę w to uwierzyć! On nie żyje!

– Czy komuś zaszkoziły pączki? – spytałem.

– Mój Boże, miałeś się z nim spotkać! Rozmawiałeś z nim?!

W każdej rozmowie przychodzi chwila, gdy przynajmniej jeden z uczestników musi zacząć rozumieć, o co chodzi. Doszedłem do wniosku, że ta chwila właśnie nadeszła.

– Vince – odezwałem się. – Weź głęboki oddech, zacznij od początku i udawaj, że mówimy tym samym językiem.

Spojrzał na mnie wybałuszonymi oczyma.

– O kurwa! – zaklął. – Jeszcze nic nie wiesz, prawda? Kurwa mać!

– Twoje zdolności komunikacyjne znacznie się pogorszyły – stwierdziłem. – Rozmawiałeś z Deborah?



– On nie żyje, Dexter! Wczoraj późnym wieczorem znaleźli jego zwłoki!

– Cóż, a zatem nie musimy się śpieszyć. Jest dość czasu, byś mi wyjaśnił, o czym właściwie mówisz, do licha.

Vince zamrugał, a jego oczy nagle stały się wielkie i wilgotne.

– Manny Borque! – szepnął. – Został zamordowany!

Przyznaję, że przyjąłem tę wiadomość z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony nie odczuwałem przykrości, że ktoś usunął ze sceny tego koszmarnego typu – sam nie mogłem tego zrobić z przyczyn etycznych. Jednak z drugiej strony musiałem teraz znaleźć nowego mistrza kuchni – i, o tak, prawdopodobnie zostanę przesłuchany w trakcie śledztwa. Ogarnęła mnie irytacja, która mieszała się z ulgą, a potem przypomniałem sobie o zniknięciu pączków.

Z tego powodu zwyciężyła irytacja i zacząłem myśleć o wszystkich kłopotach, jakie mnie czekały. Ale Harry dobrze mnie wyszkolił i zdawałem sobie sprawę, że nie jest to właściwa reakcja na wiadomość o śmierci znajomego. Dlatego postarałem się nadać twarzy przekonujący wyraz szoku, troski i niepokoju.

– Och, nie wiedziałem – odezwałem się. – Wiadomo, kto to zrobił?

Vince pokręcił głową.

– Manny nie miał wrogów – odrzekł, chyba nie zdając sobie sprawy, jak nieprawdopodobnie brzmi to stwierdzenie dla kogoś, kto znał Manny’ego. – Wszyscy go podziwiali, cenili.

– Wiem – odparłem. – Pisano o nim w magazynach, był sławny.

– Nie mogę uwierzyć, że ktoś go zamordował! – powiedział.

Prawdę mówiąc, ja również nie mogłem uwierzyć, że ktoś tak długo zwlekał z zabiciem Manny’ego, lecz mówienie tego wydawało się niezbyt rozsądne.

– Cóż, na pewno złapią sprawcę. Kto prowadzi śledztwo?

Vince popatrzył na mnie w taki sposób, jakbym spytał o coś absolutnie oczywistego.

– Odcięto mu głowę, Dexter – rzekł. – Tak samo jak zamordowanym na kampusie.

Kiedy byłem młody i bardzo się starałem nie odróżniać od otoczenia, grałem przez pewien czas w futbol amerykański. Podczas jednego z meczów uderzono mnie w brzuch i przez kilka minut nie mogłem oddychać. Teraz czułem się podobnie.

– Och... – westchnąłem.

– Więc oczywiście dali sprawę twojej siostrze – dokończył Vince.

– Jasne. – Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl i ponieważ jestem miłośnikiem ironii, spytałem: – Nie został spalony, prawda?

– Nie – odpowiedział Masuoka, kręcąc głową. Wstałem.

– Porozmawiam z Debs – rzekłem.

Kiedy przyjechałem do mieszkania Manny’ego, Deborah nie była w nastroju do rozmów. Stała nad Camillą Figg, która zbierała odciski palców wokół nóg stołu pod oknem. Nie spojrzała na mnie, toteż zajrzałem do kuchni, gdzie leżały zwłoki. Pochylał się nad nimi Angel-Nie-Z-Rodziny-Dyktatora.

– Angel, czy to naprawdę głowa dziewczyny?! – spytałem, nie wierząc własnym oczom.

– Twoja siostra mówi, że pewnie tej z Lowe Museum – odrzekł, dotykając głowy długopisem.

– Położyli ją tutaj, bo ten facet to *bugero*.

Popatrzyłem na oba cięcia, jedno tuż nad ramionami, drugie pod brodą. Nacięcie na głowie było schludne i czyste, podobne do tych, które widzieliśmy wcześniej. Jednak zauważyłem, że nacięcie na ciele należącym do Manny’ego wykonano mniej równo, jakby w pośpiechu. Głowę i tułów starannie połączono, lecz oczywiście niezupełnie do siebie pasowały. Nawet sam, bez mrocznego głosu rozlegającego się w moim mózgu, rozumiałem, że pojawiła się

jakaś różnica, i po moim karku przesunął się mały lodowaty palec. Ta różnica mogła być bardzo istotna – nawet dla moich obecnych kłopotów – lecz nie miałem nic oprócz niejasnego, niepewnego przeczucia, lekkiego niepokoju, z którego nie wynikało nic konkretnego.

– Jest druga ofiara? – spytałem Angela, przypomniawszy sobie biednego terroryzowanego Franky’ego.

Wzruszył ramionami, nie patrząc na mnie.

– W sypialni – odpowiedział. – Facet zamordowany nożem rzeźnickim. Zostawili głowę na miejscu. – Wydawał się nieco zbulwersowany tym, że zabójcy wcześniej zadali sobie tyle trudu, a potem zostawili głowę, lecz poza tym nie miał nic więcej do powiedzenia, toteż wróciłem do siostry, przykucniętej koło Camilli.

– Dzień dobry, Debs! – rzekłem beztroskim tonem, choć wcale nie czułem się beztrosko. Najwyraźniej nie tylko ja, bo Deborah nawet na mnie nie spojrzała.

– Jeśli nie masz mi do powiedzenia czegoś naprawdę ważnego, zjeżdżaj stąd, Dexter, kurwa! – rzuciła.

– Nie wiem, czy to ważne, ale facet w sypialni ma na imię Franky – odpowiedziałem. – Ten

nazywa się Manny Borque, pisali o nim w magazynach.

– Skąd to wszystko wiesz, do cholery?! – zdziwiła się.

– Cóż, czuję się trochę niezręcznie – odparłem. – Niewykluczone, że jestem jedną z ostatnich osób, które widziały go żywego.

Wyprostowała się.

– Kiedy?

– W sobotę rano, około dziesiątej trzydzieści. W tym mieszkaniu. – Wskazałem filiżankę, która w dalszym ciągu stała na stole. – Są tu moje odciski palców.

Deborah ciągle spoglądała na mnie z niedowierzaniem.

– Znałeś tego faceta? – spytała, kręcąc głową.  
– Byliście przyjaciółmi?

– Wynająłem go jako kuchmistrza na swoje wesele – odrzekłem. – Podobno był bardzo dobry.

– Aha – mruknęła. – I co tu robiłeś w sobotę rano?

– Zażądał wyższego honorarium i chciałem go namówić, by je obniżył – wyjaśniłem.

Deborah rozejrzała się po mieszkaniu i zerknęła przez okno, z którego rozciągał się wspaniały widok.

– Ile zażądał? – spytała.

– Pięćset dolarów od gościa – odparłem.

Gwałtownie obróciła głowę w moim kierunku.

– O kurwa! – zaklęła. – Właściwie za co?!

Wzruszyłem ramionami.

– Nie chciał mi powiedzieć ani obniżyć ceny – odpowiedziałem.

– Pięćset dolarów od gościa?! – powtórzyła ze zdumieniem.

– Trochę drogo, prawda? Cóż, teraz to już przeszłość.

Deborah przez dłuższą chwilę przygryzała wargi i spoglądała na mnie nieruchomym wzrokiem. Później chwyciła mnie za ramię i odciągnęła od Camilli. W dalszym ciągu widziałem drobną stopę nieodżałowanego Manny’ego Borque’a, który zginął tragicznie w swojej kuchni. Deborah zaprowadziła mnie w przeciwną stronę, na drugi koniec pokoju.

– Dexter, daj słowo, że nie zabiłeś tego gościa – powiedziała.

Jak wcześniej wspomniałem, nie odczuwam prawdziwych emocji. Dzięki długotrwałym, wyczerpującym ćwiczeniom nauczyłem się udawać normalne ludzkie reakcje w prawie wszystkich możliwych sytuacjach, lecz tym razem byłem kompletnie zaskoczony. Jaka jest prawidłowa mina, gdy ktoś zostaje oskarżony

o morderstwo przez własną siostrę? Szok? Złość? Niedowierzenie? Nie było tego w żadnym podręczniku, a przynajmniej nic o tym nie wiedziałem.

– Debs... – odezwałem się. Niezbyt inteligentna odpowiedź, lecz nie przyszło mi do głowy nic innego.

– Nie sądź, że przymknę na to oko – ostrzegła.  
– Wykluczone, nie tym razem.

– Nigdy bym... To przecież... – zacząłem i urwałem. Pokręciłem głową, czując, że zostałem potraktowany strasznie niesprawiedliwie. Najpierw opuścił mnie Mroczny Pasażer, a teraz siostra i, chyba, rozum. Wszystkie szczury odpływały, a stary okręt Dexter powoli szedł na dno.

Odetchnąłem głęboko i podjąłem próbę zapędzenia załogi do wyczerpywania wody. Deborah była jedyną osobą na świecie, która wiedziała, czym naprawdę jestem, i chociaż jeszcze się do końca nie oswoiłem z tą myślą, sądziłem, że rozumie, jakie są granice starannie wyznaczone przez Harry’ego i że nigdy ich nie przekroczę. Najwyraźniej byłem w błędzie.

– Debs – powiedziałem. – Dlaczego miałbym...

– Skończ z tymi idiotyzmami! – rzuciła. – Oboje wiemy, że mogłeś go zabić. Byłeś w tym mieszkaniu w odpowiednim momencie. Masz

dobry motyw: nie chciałeś mu zapłacić pięćdziesięciu tysięcy dolarów. A może powinnam uwierzyć, że zamordował go facet, który siedzi w areszcie?

Ponieważ jestem imitacją człowieka, przez większość czasu zachowuję wyjątkową jasność umysłu, gdyż toku mojego rozumowania nie mącą emocje. Lecz teraz czułem się tak, jakbym usiłował zajrzeć w głąb ruchomych piasków. Z jednej strony byłem zdziwiony i nieco rozczarowany, że moja siostra sądzi, iż mogłem zrobić coś tak niechlujnego. Z drugiej strony pragnąłem ją zapewnić, że nikogo nie zabiłem. Chciałem również powiedzieć, że gdybym był sprawcą, nigdy by mnie nie wytropiła, lecz nie wydawało się to dyplomatyczne. Dlatego jeszcze raz głęboko odetchnąłem i powiedziałem tylko:

– Przysięgam, że to nie ja. – Długo spoglądała na mnie twardym wzrokiem. – Naprawdę – dorzuciłem.

W końcu kiwnęła głową.

– W porządku – rzekła. – Lepiej, żebyś mówił prawdę.

– Mówię prawdę – odpowiedziałem. – Ja tego nie zrobiłem.

– Aha! – mruknęła z przekąsem. – Więc kto to zrobił?



To strasznie niesprawiedliwe, prawda? Mam na myśli całe nasze życie. Oto w dalszym ciągu broniłem się przed zarzutem zabójstwa – ze strony własnej przybranej siostry! – a jednocześnie proszono mnie, bym rozwiązał zagadkę kryminalną. Podziwiałem elastyczność umysłową, która pozwalała Debs tworzyć takie skomplikowane konstrukcje, lecz czułbym się znacznie lepiej, gdyby jej twórcze myśli szły w innym kierunku.

– Nie mam pojęcia, kto to zrobił – odparłem. – I nie... nie przychodzi mi do głowy żadne pomysły.

Obrzuciła mnie wyjątkowo twardym wzrokiem.

– Dlaczego miałabym w to wierzyć? – spytała.

– Deborah... – zacząłem i zawałem się. Czy nadszedł czas, by jej powiedzieć o zniknięciu Mrocznego Pasażera? Odczuwałem coś bardzo nieprzyjemnego, podobnego do początku grypy. Czy mogły to być emocje atakujące bezbronną linię brzegową Dextera jak gigantyczne fale toksycznych odpadów? Jeśli tak, nic dziwnego, że ludzie to takie nieszczęśliwe istoty. Było to okropne przeżycie. – Posłuchaj, Debs – odezwałem się znowu, zastanawiając się, od czego zacząć.

– Słucham, na litość boską! – odparła. – Ale ty milczysz.

– Trudno mi o tym mówić – wybąkałem. – Nigdy wcześniej o tym nie mówiłem.

– Nadszedł doskonały moment, by to zrobić.

– Ja... eee... mam to w sobie – powiedziałem, zdając sobie sprawę, że to, co mówię, brzmi kompletnie idiotycznie. Nagle poczułem, że moje policzki stają się dziwnie gorące.

– Co to właściwie znaczy? – warknęła. – Masz raka?

– Nie, nie, to... Słyszę, eee... To mi mówi różne rzeczy – dodałem. Z jakiegoś powodu nie mogłem patrzeć na Debs. Na ścianie wisiała fotografia przedstawiająca nagi tors mężczyzny i znów spojrzałem na siostrę.

– Jezu, więc słyszysz głosy? – spytała z przerażeniem. – Jezu Chryste, Dex...!

– Nie, nie chodzi o to, że słyszę głosy – odrzekłem. – Niezupełnie.

– Więc co to takiego, kurwa mać?! – rzuciła.

Znów musiałem popatrzeć na nagi tors. Wypuściłem powietrze z płuc i spojrzałem z powrotem na moją siostrę.

– Czasem miewam te swoje, no wiesz, przebłyski intuicji. Na miejscu zbrodni. Właśnie to mi je podpowiada...

Twarz mojej siostry zastygła, była zupełnie nieruchoma, jakbym opowiadał o czymś okropnym, co zresztą pokrywało się z prawdą.

– Więc to ci coś mówi? – rzekła. – Na przykład, że morderca uważa się za Batmana, tak?

– Coś w tym rodzaju – odpowiedziałem. – Po prostu drobne podpowiedzi, wskazówki.

– Ale tego już nie ma? – spytała.

Naprawdę znów musiałem spojrzeć w bok.

– Odeszło, Debs – potwierdziłem. – Przeraziło się czegoś związanego z Molochem. Nigdy wcześniej się tak nie zachowywało.

Przez dłuższy czas się nie odzywała, a ja nie widziałem powodu, by ją wyręczać.

– Opowiadałeś tacie o tym głosie? – spytała.

– Nie musiałem – odrzekłem. – Wiedział o nim.

– A teraz głosy umilkły?

– Jeden głos.

– I dlatego nic mi nie mówisz?

– Tak.

Deborah zazgrzytała zębami na tyle głośno, że to usłyszałem. Odetchnęła głęboko, nie otwierając ust.

– Albo mnie okłamujesz, bo to zrobiłeś, albo mówisz prawdę i jesteś cholernym czubkiem! – syknęła.

– Debs...

– W co chcę uwierzyć, Dexter, jak sądzisz?!

Zdaje się, że ostatnio czułem prawdziwą złość jako nastolatek, choć może już wówczas nie potrafiłem przeżywać autentycznych emocji. Ale po zniknięciu Mrocznego Pasażera, gdy stopniowo zacząłem się upodabniać do zwykłego człowieka, zniknęły wszystkie dawne bariery między mną a normalnym życiem i ogarnęło mnie uczucie bardzo podobne do rzeczywistego gniewu.

– Deborah, jeżeli mi nie ufasz i uważasz, że to zrobiłem, mam to w dupie! – rzuciłem.

Popatrzyła na mnie ze złością i po raz pierwszy ja również zrobiłem to samo.

– Muszę złożyć meldunek na ten temat – rzekła w końcu. – Od tej chwili masz się trzymać z dala od tej sprawy.

– O niczym innym nie marzę – odpowiedziałem. Spoglądała na mnie jeszcze przez chwilę, po czym zacisnęła wargi i wróciła do Camilli Figg. Przez moment wpatrywałem się w jej plecy, a następnie ruszyłem w stronę drzwi.

Dalsze przebywanie na miejscu przestępstwa nie miało żadnego sensu, zwłaszcza że dano mi do zrozumienia, oficjalnie i nieoficjalnie, że nie jestem tu mile widziany. Przyjemnie byłoby utrzymywać, że Deborah zraniła moje uczucia,

lecz, paradoksalnie, byłem zbyt rozgniewany, by się na nią obrazić. Szczerze mówiąc, to, że ktoś może mnie lubić, zawsze wywoływało we mnie taki szok, iż poczułem ulgę, że przynajmniej raz moja siostra zachowała się rozsądnie.

Dexter jak zawsze świetnie dawał sobie radę. Poszedłem w stronę drzwi, lecz z jakiegoś powodu nie miałem poczucia triumfu.

Czekałem na windę, gdy nagle usłyszałem ochryply okrzyk: „Hej!”.

Obróciłem się i zobaczyłem ponurego, rozwścieczonego starego człowieka, który pędził w moją stronę. Nosił sandały, czarne skarpetki sięgające prawie do kościstych, starczych kolan oraz workowate szorty i jedwabną koszulę. Na jego twarzy malował się wyraz słusznego gniewu.

– Jest pan z policji? – spytał ostro.

– Owszem – odpowiedziałem.

– Gdzie się podziała moja cholerna gazeta?! – rzucił.

Windy jeżdżą bardzo wolno, prawda? Ale staram się być grzeczny, gdy nie mam innego wyjścia, toteż uśmiechnąłem się przyjaźnie do starego wariata.

– Zgubił ją pan? – spytałem.

– Nie dostałem żadnej przeklętej gazety! – wrzasnął na mnie, lekko fioletowiejąc z wysiłku.

– Zatelefonowałem na policję, a ta kolorowa dziewczucha, która ze mną rozmawiała, kazała mi zadzwonić do redakcji! Widziałem, jak ją ukradł jakiś chłopak, a ona odłożyła słuchawkę!

– Chłopak ukradł pańską gazetę? – powtórzyłem.

– Właśnie mówię, cholera! – krzyknął. Jego głos stał się piskliwy, co nie umilało oczekiwania na windę. – Czy po to płacę podatki, żeby słuchać takich rzeczy?! Śmiała się ze mnie, do licha!

– Mógłby się pan postarać o nową gazetę – zauważyłem uspokajająco.

Nie wydawał się uspokojony.

– Co to znaczy, nową gazetę?! Sobota rano, jestem w piżamie i mam się starać o nową gazetę?! Dlaczego nie możecie po prostu zacząć łapać przestępców?!

W końcu rozległ się cichy dzwonek oznajmiający przybycie windy, lecz przestało mnie to interesować, bo przyszła mi do głowy pewna myśl. Zdarza mi się to od czasu do czasu. Większość moich myśli nigdy nie przybiera ostatecznego kształtu, może dlatego, że przez całe życie próbuję udawać człowieka. Jednak ta wynurzyła się powoli na powierzchnię i pękła jak bąbelek gazu wydobywający się z mułu. Olśniło mnie.

– Sobota rano? – spytałem. – Pamięta pan godzinę?

– Jasne, że pamiętam! Podąłem ją przez telefon, dziesiąta trzydzieści w sobotę rano, właśnie wtedy chłopak ukradł mi gazetę!

– Skąd pan wie, że chłopak?

– Patrzyłem przez wizjer! – wrzasnął. – Przecież nie mógłbym powiedzieć, że to chłopak, gdybym go nie widział! Może wy robicie takie rzeczy, ale ja nie!

– Mówi pan „chłopak”, ale co to właściwie znaczy? Ile mógł mieć lat? – dociekałem.

– Niech pan posłucha: dla mnie każdy poniżej siedemdziesiątki to chłopak. Ten miał około dwudziestu i nosił plecak, jak wszyscy w jego wieku.

– Mógłby go pan opisać? – poprosiłem.

– Nie jestem ślepy – odparł. – Wstał z moją gazetą i zauważyłem, że ma na karku jeden z tych cholernych tatuażów, jakie wszyscy sobie teraz robią!

Poczułem na szyi lekkie dotknięcie metalowych palców.

– Jaki tatuaż? – spytałem, choć znałem odpowiedź.

– Jakaś głupota, japoński znak. Daliśmy w dupę Japończykom, a teraz kupujemy ich

samochody i pozwalamy naszym dzieciom tatuować sobie na skórze ich znaki!

Wyglądało na to, że dopiero się rozkręca, i chociaż szczerze podziwiałem jego siły witalne, ogromne jak na tak zaawansowany wiek, doszedłem do wniosku, że pora go przekazać odpowiednim władzom, czyli mojej siostrze. Towarzyszył temu przyływ lekkiego zadowolenia, gdyż w ten sposób dostarczyłbym jej lepszego podejrzanego niż biedny Dyskryminowany Dexter, a ponadto ten stary, beznadziejny dureń stałby się karą za to, że zaczęła mnie podejrzewać.

– Proszę ze mną – odezwałem się do mężczyzny.

– Nigdzie nie pójde – odburknął.

– Nie chciałby pan porozmawiać z prawdziwym inspektorem? – spytałem. Godziny spędzone przeze mnie na ćwiczeniu uśmiechów najwyraźniej się opłaciły, ponieważ zmarszczył brwi, rozejrzał się i w końcu rzekł:

– No cóż, w porządku. – Poszedł za mną do miejsca, gdzie moja siostra strofowała Camillę Figg.

– Kazałam ci zabrać stąd dupę! – powiedziała z serdecznością i urokiem, jakich można było po niej oczekiwać.



– W porządku – odrzekłem. – Świadka też mam zabrać?

Kilkakrotnie otworzyła i zamknęła usta, jakby próbowała naśladować rybę wyjętą z wody.

– Nie możesz... To nie jest... Niech to licha, Dexter! – wykrztusiła w końcu.

– Mogę i jestem pewien, że licha nie śpi – stwierdziłem. – A tymczasem ten sympatyczny starszy pan chce ci powiedzieć coś interesującego.

– Jak pan śmie nazywać mnie starszym?! – zachnął się.

– To inspektor Morgan – wyjaśniłem. – Kieruje śledztwem.

– Kobieta?! – prychnął. – Nic dziwnego, że policja nie łapie przestępców! Kobieta inspektor!

– Niech pan jej opowie o plecaku i tatuażu – poprosiłem.

– Jakim tatuażu? – spytała ostro Deborah. – O czym ty gadasz, do cholery?!

– Proszę nie kłać! – rzucił starzec. – Wstyd!

Uśmiechnąłem się do siostry.

– Miłej rozmowy – powiedziałem.

Nie byłem pewien, czy oficjalnie zaproszono mnie z powrotem do gry, lecz wolałem zbytnio się nie oddalać, by nie stracić okazji do łaskawego przyjęcia przeprosin siostry. Stałem tuż przy frontowym wejściu do mieszkania nieżyjącego Manny'ego Borque'a, gdzie mogłem zostać zauważony w odpowiednim czasie. Niestety, morderca nie ukradł wielkiej artystycznej kuli zwierzęcych wymiocin z postumentu obok drzwi. Ciągle tam była, w samym środku obszaru, gdzie czekałem, i musiałem na nią patrzeć.

Zastanawiałem się, ile czasu zajmie Debs pytanie starego człowieka o tatuaż, a następnie połączenie faktów. Kiedy o tym myślałem, usłyszałem, jak podnosi głos, wygłaszając rytualne słowa kończące przesłuchanie; podziękowała staremu człowiekowi za pomoc i poprosiła, by zadzwonił, gdyby coś mu się przypomniało. Później podążyli w stronę drzwi; Deborah mocno trzymała starego człowieka za łokieć i wyprowadziła go z mieszkania.

– Co z moją gazetą, proszę pani? – zaprotestował, gdy otworzyła drzwi.

– Pani sierżant – odezwałem się, a Deborah zerknęła na mnie z wściekłością.

– Niech pan zatelefonuje do gazety – rzekła. – Zwrócą panu pieniądze. – Później praktycznie wyrzuciła go za drzwi. Stał przed nimi przez chwilę, trzęsąc się ze złości.

– Źli ludzie wygrywają! – krzyknął i wtedy, na szczęście, Deborah zamknęła drzwi.

– Cóż, ma rację – powiedziałem.

– Nie musisz robić z tego powodu takiej zachwyconej miny – odparła.

– Za to ty powinnaś trochę bardziej się cieszyć. To on, narzeczony tej dziewczyny. Jak się nazywa?

– Kurt Wagner – odpowiedziała.

– Bardzo dobrze – odezwałem się. – Wszystko się zgadza. To Kurt Wagner i doskonale o tym wiesz.

– Gównu wiem! – prychnęła. – To mógł być po prostu zbieg okoliczności!

– Jasne – rzekłem. – Teoretycznie jest możliwe, że słońce wstanie na zachodzie, ale to mało prawdopodobne. Kogo jeszcze mamy?

– Tego pieprzonego świra Wilkinsa.

– Jest pod obserwacją, czy tak?

– Tak, ale wiesz, jacy są ci faceci od inwigilacji – burknęła. – Ucinają sobie drzemkę, idą do toalety, a później przysięgają, że nie spuszczały śledzonego z oczu. A tymczasem on radośnie morduje cheerleaderki.

– Naprawdę uważasz, że zabójcą mógł być Wilkins? Przecież w chwili śmierci Manny’ego był tu ten chłopak.

– I ty także – odpowiedziała. – To zabójstwo wygląda inaczej, jak tania imitacja.

– Więc skąd się tu wzięła głowa Tammy Connor? – spytałem. – To na pewno Kurt Wagner, Debs, nie widzę innej możliwości.

– W porządku – rzekła. – Przyznaję, że to dość prawdopodobne.

– Prawdopodobne? – odezwałem się. Byłem szczerze zdziwiony. Wszystko wskazywało na młodego człowieka z tatuażem na karku, a Deborah ciągle się wahała.

Obserwowała mnie przez dłuższą chwilę, lecz nie było to spojrzenie pełne ciepła i siostrzanej czułości.

– To jednak mogłeś być ty – zauważyła.

– W takim razie mnie aresztuj – odpowiedziałem. – To rozsądne, prawda? Kapitan Matthews będzie zadowolony, że dokonałaś zatrzymania, a dziennikarze zrobią z ciebie bohaterkę, bo aresztowałaś własnego

brata. Idealne rozwiązanie, Deborah. Prawdziwy morderca też będzie zachwycony.

Nie odpowiedziała; po prostu odwróciła się i wyszła. Po chwili namysłu zdałem sobie sprawę, że to idealne rozwiązanie. Poszedłem za jej przykładem; podążyłem w przeciwnym kierunku, opuściłem mieszkanie i wróciłem do pracy.

Reszta dnia okazała się znacznie bardziej satysfakcjonująca. W bmw zaparkowanym na poboczu autostrady Palmetto znaleziono zwłoki dwóch białych mężczyzn. Ktoś usiłował ukraść samochód, natknął się na trupy i zatelefonował na policję – usunąwszy wcześniej zestaw muzyczny i poduszki powietrzne. Zmarli zginęli wskutek licznych ran postrzałowych. Gazety lubią używać określenia „w stylu gangsterskim”, gdy opisują morderstwa odznaczające się schludnością i oszczędnością środków. Tym razem nic nie wskazywało na gangsterów. Dwa ciała znajdujące się w aucie dosłownie podziurawiono kulami; całe wnętrze samochodu pokrywała krew. Sądząc z otworów w szybach, cud, że pociski nie trafiły żadnego przejeżdżającego kierowcy.

Dexter zajęty pracą powinien być szczęśliwy, a w aucie i wokół niego znajdowało się tyle okropnej, zakrzepłej krwi, że miałem zajęcie na

wiele godzin, lecz mimo to nie byłem szczęśliwy – zresztą trudno się dziwić. Przydarzyło mi się mnóstwo koszmarnych rzeczy, a teraz jeszcze posprzeczałem się z Debs. Twierdzenie, że kocham swoją siostrę, nie jest zupełnie ściśle, ponieważ nie jestem zdolny do miłości, ale przyzwyczaiałem się do Deborah i lubię przebywać w jej towarzystwie, gdy nie ma do mnie o coś pretensji.

Kiedy byliśmy młodszy, od czasu do czasu się sprzeczaaliśmy – normalne zjawisko w stosunkach między bratem a siostrą – lecz nigdy nie doszło do poważnego konfliktu. Byłem trochę zdziwiony, że tym razem tak się przejąłem całą sprawą. Chociaż jestem bezdusznym potworem, który uwielbia mordować, było mi przykro, że Deborah uważa mnie za coś takiego, zwłaszcza że dałem jej słowo honoru ogra, że w tej sprawie jestem całkowicie niewinny.

Chciałem, by moje stosunki z siostrą układały się dobrze, lecz jednocześnie czułem się urażony, że z takim entuzjazmem wciela się w rolę przedstawiciela Majestatu Prawa i nie chce z identyczną gorliwością pełnić funkcji mojej pomocnicy i powiernicy.

To, że marnuję czas, wściekając się na to wszystko, wydawało się sensowne, ponieważ nie

miałem żadnych innych ważnych spraw, którymi mógłbym się zająć – wesele, tajemnicza muzyka i zaginieni Pasażerowie to drobne problemy, które prędzej czy później same się rozwiążą, prawda? A badanie śladów krwi to prosta praca wymagająca minimalnej koncentracji. Aby to udowodnić, zacząłem myśleć o swoich nieszczęściach i przez nieuwagę poślizgnąłem się na plamie krwi, i upadłem na kolano na poboczu autostrady przy bmw.

Szokowi wywołanemu kontaktem z ziemią towarzyszył wstrząs psychiczny – poczułem przeszywający strach i lodowaty chłód, który wypełnił pustkę mojego umysłu niczym koszmar, lepka breja, i dopiero po dłuższej chwili byłem w stanie znowu oddychać. Spokojnie, Dexter, pomyślałem. To tylko drobne, bolesne przypomnienie tego, czym jesteś i skąd pochodzisz, wywołane przez stres. Nie ma to żadnego związku z bydłem, jakim są ludzie.

Zdołałem wstać bez jęków, lecz miałem podarte spodnie, bolało mnie kolano, a jedna z nogawek spodni była pokryta odrażającą, lepką krwią.

Naprawdę nie lubię krwi. Popatrzyłem w dół i zauważyłem ją na swoim ubraniu, dotykającą mojego ciała teraz, gdy mój umysł zmienił moje życie w pustą otchłań, pozbawioną obecności

Pasażera – to dopełniło miary. Niewątpliwie odczuwałem emocje i nie były one przyjemne. Zadrżałem i omal nie krzyknąłem, lecz jakimś cudem zdołałem się opanować, oczyścić spodnie i wrócić do pracy.

Nie czułem się lepiej – włożyłem zapasowe ubranie, które mądrzy technicy kryminalistyczni zawsze mają pod ręką, i w końcu przyszedł czas, by wrócić do domu.

Kiedy podążałem na południe Old Cutler Road, zaczęło za mną jechać niewielkie czerwone geo i nie chciało się odczepić. Obserwowałem je w lusterku, lecz nie widziałem twarzy kierowcy i zastanawiałem się, czy w jakiś sposób go rozzłościłem. Kusilo mnie, by nagle nacisnąć hamulec i doprowadzić do kraksy, lecz nie byłem jeszcze tak ogłupiały, by uznać, iż rozbicie własnego samochodu poprawi sytuację. Próbowałem ignorować podążające za mną auto, wmawiając sobie, że to po prostu jeszcze jeden zwariowany kierowca z Miami realizujący jakiś tajemniczy plan.

Uparcie jechał tuż za mną w odległości kilkunastu centymetrów i zacząłem się zastanawiać, o co chodzi. Przyśpieszyłem. Geo również dodało gazu i w dalszym ciągu wisiało mi na zderzaku.

Zwolniłem; geo zrobiło to samo.



Popędziłem do przodu, gwałtownie zmieniając pasy ruchu. Za moimi plecami rozległy się gniewne klaksony; kierowcy zaczęli unosić środkowe palce. Geo podążyło za mną.

Kto to jest? Czego ode mnie chce? Czy to możliwe, by Starzak się zorientował, że to ja go związałem, a teraz jedzie za mną innym autem, by się zemścić? A może tym razem to ktoś inny – jeżeli tak, to kto? Dlaczego? Nie mogłem uwierzyć, że samochodem jadącym za mną kieruje Moloch. W jaki sposób starożytne bóstwo mogłoby zdobyć prawo jazdy?! Ktoś jednak za mną jechał i najwyraźniej nie zamierzał się odczepić, a ja nie miałem pojęcia, kto to może być. Rozpaczliwie szukałem odpowiedzi, próbowałem dosięgnąć czegoś, co nie istniało. Poczucie straty i pustki powiększyło moją niepewność, gniew i zdenerwowanie; zdałem sobie sprawę, że zgrzytam zębami i wciągam z sykiem powietrze. Mocno ścisnąłem kierownicę, oblewał mnie zimny pot i wreszcie pomyślałem – dosyć.

Kiedy przygotowywałem się psychicznie do naciśnięcia hamulca, wyskoczenia z samochodu i zmasakrowania nieznanego kierowcy, czerwone geo nagle skręciło w prawo i zniknęło w bocznej uliczce, rozplywając się w mroku spowijającym Miami.

Mimo wszystko nie było to nic ważnego, normalna psychoza godzin szczytu. Kolejny zwariowany kierowca z Miami, znudzony długą jazdą do domu i zabawiający się tropieniem innego wozu.

A ja byłem zgrzytającym zębami, oszołomionym, poobijanym, paranoidalnym byłem potworem z dłońmi zaciśniętymi na kierownicy.

Pojechałem do domu.

\* \* \*

Patrzący został z tyłu i zniknął, a potem zatoczył krąg i wrócił w to samo miejsce. Poruszał się wśród innych aut, niewidoczny dla istoty, i odczekał chwilę, nim skręcił w stronę jej domu. Uwielbiał śledzić istotę z bliskiej odległości, doprowadzając ją do lekkiej paniki. Prowokował ją, by sprawdzić, czy jest już gotowa, i był zadowolony z rezultatu. Proces wprowadzania istoty w odpowiedni stan psychiczny wymagał ogromnej finezji. Robił to już wielokrotnie i znał typowe oznaki. Obiekt był nerwowy, lecz nie na granicy wytrzymałości, jak powinien, jeszcze nie.

Pora przyśpieszyć.

Dzisiejsza noc będzie wyjątkowa.

Kiedy przyjechałem do domu Rity, kolacja była gotowa. Jeśli wziąć pod uwagę to, co dziś wycierpiałem i co o tym myślałem, można by uznać, że nigdy nie tknę jedzenia. Ale gdy znalazłem się za drzwiami, zaatakowały mnie aromaty – Rita przygotowała pieczeń wieprzową, brokuły, ryż i fasolkę, a niewiele rzeczy na tym świecie da się porównać z pieczenią wieprzową Rity. Toteż kiedy Dexter w końcu odsunął talerz i wstał od stołu, był już spokojniejszy. Prawdę mówiąc, reszta wieczoru również okazała się względnie kojąca. Bawiłem się z Codym, Astor i dziećmi z okolicy w chowanego, aż musiały iść do łóżek, a potem siedziałem z Ritą na sofie, oglądając film o zrzędlwym lekarzu. W końcu poszliśmy spać.

Normalność nie jest wcale taka zła, nie z pieczenią wieprzową Rity oraz Codym i Astor, którzy dostarczali mi zajęć. Może mógłbym przeżyć z nimi od nowa swoje życie, jak stary gracz w baseball, który zostaje trenerem, gdy zakończy występy na boisku. Musieli się tyle dowiedzieć, a ja, ucząc ich, mógłbym jeszcze raz

przeżyć dni swojej gasnącej chwały. Smutne, owszem, lecz jest to przynajmniej jakaś rekompensata.

Kiedy zasypiałem, przyłapałem się na myśli, że może sytuacja nie jest wcale taka zła.

To idiotyczne wyobrażenie przetrwało do północy, gdy się obudziłem i zobaczyłem Cody'ego stojącego w nogach łóżka.

– Ktoś jest przed domem – rzekł.

– W porządku – odparłem. Byłem bardzo senny i nie odczuwałem żadnej ciekawości, dlaczego koniecznie musiał mi o tym powiedzieć.

– Próbuje wejść – dodał.

Usiadłem na łóżku.

– Którędy? – spytałem.

Cody odwrócił się i wyszedł na korytarz. Podążyłem za nim. Podejrzewałem, że chłopiec miał po prostu zły sen, lecz w końcu znajdowaliśmy się w Miami, gdzie zdarzają się włamania, choć rzadko więcej niż pięćset, sześćset razy w ciągu jednej nocy.

Cody zaprowadził mnie do drzwi do ogrodu. W odległości trzech metrów od nich stanął jak wryty. Ja również się zatrzymałem.

– Patrz! – rzekł cicho.

Faktycznie, nie był to zły sen, lecz jawa bardzo przypominająca koszmar. Gałka

w drzwiach się poruszała. Kręcił nią ktoś stojący na zewnątrz.

– Obudź mamę! – szepnąłem do Cody’ego. – Każ jej zatelefonować na policję!

Popatrzył na mnie, lekko rozczarowany, że nie zamierzam wybiec przed dom z ręcznym granatem i samodzielnie rozprawić się z intruzem, lecz po chwili się odwrócił i ruszył korytarzem w stronę sypialni.

Cicho i ostrożnie podszedłem do drzwi. Na ścianie obok nich znajdował się włącznik reflektora oświetlającego ogród. Kiedy wyciągnąłem rękę w jego kierunku, gałka w drzwiach przestała się obracać. Mimo to zapaliłem światło.

W tym samym momencie coś zaczęło walić w drzwi frontowe, jakby reagując na naciśnięcie włącznika.

Odwróciłem się i pobiegłem do przedniej części domu. W połowie korytarza zderzyłem się z Ritą, która wyszła z sypialni.

– Dexter! – powiedziała. – Co się... Cody mówił...

– Zadzwoń na policję! – zawołałem. – Ktoś próbuje się włamać! – Popatrzyłem na Cody’ego, który stał za plecami matki. – Weź siostrę, schowajcie się razem z mamą w łazience i zamknijcie drzwi!

– Ale kto... Nie jesteśmy... – wybąkała Rita.

– Idźcie! – zakomenderowałem i precisnąłem się koło niej do drzwi frontowych. Znów włączyłem zewnętrzne światło i dźwięk natychmiast ucichł.

Po chwili rozległ się stukot w głębi korytarza; ktoś uderzał w okno kuchni.

Kiedy do niej wbiegłem, dźwięk ustał, nim zdążyłem zapalić światło.

Powoli podszedłem do okna nad zlewem i ostrożnie wyjrzałem do ogrodu.

Nic. Tylko mrok, żywopłot i dom sąsiadów, nic więcej.

Wyprostowałem się i stałem przez chwilę, czekając, aż hałas rozlegnie się w innym miejscu. Nic się nie działo. Zdałem sobie sprawę, że wstrzymuję oddech, i wypuściłem powietrze. Cokolwiek to było, już się skończyło. Hałasy ucichły. Przestałem zaciskać pięści i głęboko odetchnąłem.

Nagle usłyszałem przeraźliwy krzyk Rity.

Obróciłem się błyskawicznie, wykręcając sobie kostkę, i czym prędzej pokuśtykałem do łazienki. Drzwi były zamknięte, lecz usłyszałem za nimi odgłos skrobania w szybę.

– Proszę odejść! – zawołała Rita.

– Otwórzcie! – odezwałem się i po chwili Astor spełniła moją prośbę.

– To jest za oknem – rzekła dość spokojnym głosem.

Rita stała pośrodku łazienki, przyciskając do ust zaciśnięte pięści. Osłaniał ją Cody, uzbrojony w przepychaczkę do zlewów. Oboje wpatrywali się w okno.

– Rito... – zacząłem.

Obróciła się w moją stronę z szeroko otwartymi oczyma, w którym malował się strach.

– Czego oni chcą?! – spytała, jakbym potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Może mógłbym to zrobić w normalnych okolicznościach – „normalnością” było całe moje dotychczasowe życie, kiedy towarzystwa dotrzymywał mi Pasazer, zdradzając szeptem straszliwe tajemnice. W tej chwili wiedziałem tylko, że ktoś chce wejść do domu, lecz nie miałem pojęcia dlaczego.

Nie mogłem odgadnąć, czego szuka, ale w tej chwili wydawało się to mniej ważne niż fakt, że najwyraźniej czegoś chce, i uważa, że to mamy.

– Chodźcie! – odezwałem się. – Wyjdźcie stąd!  
– Rita odwróciła się i popatrzyła na mnie, lecz Cody nie ruszył się z miejsca. – Szybciej! – rzuciłem. Astor wzięła Ritę za rękę i wyszły śpiesznie przez drzwi. Pożyłem dłoń na ramieniu Cody’ego i popchnąłem go za matką, delikatnie



wyjmując mu z ręki przepychaczkę. Później odwróciłem się w stronę okna.

W dalszym ciągu rozlegały się hałasy – słyszałem skrobanie, jakby coś drapało pazurami w szybę. Niewiele myśląc, zrobiłem krok naprzód i uderzyłem w okno gumową końcówką przepychaczki.

Hałasy ucichły.

Przez dłuższą chwilę słyszałem tylko swój oddech, przyśpieszony i nierówny. A później, niezbyt daleko, w ciszy rozległo się wycie syreny samochodu policyjnego. Wyszedłem tyłem z łazienki, nie spuszczając oczu z okna.

Rita siedziała na łóżku między Codym a Astor. Dzieci wydawały się dość spokojne, lecz Rita była bliska hysterii.

– Wszystko w porządku – odezwałem się. – Przyjechała policja.

– Będzie z nimi sierżant Debbie? – spytała Astor i dodała z nadzieją: – Myślisz, że kogoś zastrzeli?

– Sierżant Debbie leży w łóżku i śpi – odpowiedziałem. Syrena była już blisko; po chwili samochód policyjny zahamował z piskiem opon przed naszym domem i wycie stopniowo ucichło. – Już są – rzekłem, a Rita zerwała się z łóżka i chwyciła dzieci za ręce.

Wszyscy troje wyszli za mną z sypialni. Kiedy dotarliśmy do drzwi frontowych, rozległo się grzeczne, lecz zdecydowane stukanie. Życie uczy nas ostrożności, toteż zawołałem:

– Kto tam?

– Policja – odparł surowy męski głos. – Wpłynęło zgłoszenie o możliwym włamaniu. – Brzmiało to autentycznie, lecz dla pewności otworzyłem drzwi bez zdejmowania łańcucha. Popatrzyłem przez szparę i rzeczywiście zobaczyłem dwóch umundurowanych funkcjonariuszy; jeden spoglądał na drzwi, a drugi stał odwrócony, obserwując ogród i ulicę.

Zamknąłem drzwi, zdjąłem łańcuch i znów otworzyłem.

– Zapraszam do środka – rzekłem. Na identyfikatorze policjanta widniało nazwisko Ramirez i zdałem sobie sprawę, że przelotnie go znam. Lecz nie wszedł do domu i spoglądał w milczeniu na moją dłoń.

– Co to za groźny incydent, szefie? – spytał, kiwając głową w stronę mojej ręki. Popatrzyłem w dół i zdałem sobie sprawę, że ciągle trzymam przepychaczkę do zlewów.

– Och... – westchnąłem. Włożyłem przepychaczkę do stojaka na parasole stojącego za drzwiami. – Przepraszam. To do samoobrony.

– Ehe – odpowiedział Ramirez. – Skuteczność tej broni mogłaby się okazać iluzoryczna. – Wszedł do domu i zawołał przez ramię do partnera: – Rozejrzyj się po ogrodzie, Williams.

– Tak jest – odparł Williams, żyłasty Murzyn około czterdziestki. Zszedł do ogrodu i zniknął za rogiem domu.

Ramirez stał na środku pokoju, spoglądając na Ritę i dzieci.

– Co się właściwie stało? – spytał i nim zdążyłem odpowiedzieć, zerknął na mnie z ukosa. – Czy ja pana skądś znam? – odezwał się.

– Nazywam się Dexter Morgan – przedstawiłem się. – Pracuję w wydziale kryminologii.

– Jasne – odrzekł. – Więc co się właściwie wydarzyło, Dexter?

Wszystko mu opowiedziałem.

Policjanci spędzili z nami około czterdziestu minut. Rozejrzeli się po podwórku i w sąsiedztwie, lecz niczego nie znaleźli. Nie wydawali się zdziwieni i, szczerze mówiąc, nie był to wielki szok również dla mnie. Kiedy skończyli inspekcję, Rita zaparzyła kawę i podała własnej roboty ciastka z mąki owsianej.

Ramirez był przekonany, że usiłowało nas sprowokować do jakiejś reakcji kilkoro dzieci; jeśli tak, na pewno im się udało. Williams bardzo się starał nas uspokoić – mówił, że to tylko żart i że sprawa jest zakończona. Kiedy odchodzili, Ramirez dodał, że w ciągu nocy przejadą kilka razy koło naszego domu. Nawet mimo tych uspokajających zapewnień Rita siedziała przez resztę nocy w kuchni z filiżanką kawy, nie mogąc zasnąć. Jeśli chodzi o mnie, przewracałem się na łóżku przez ponad trzy minuty, nim z powrotem odpłynąłem do krainy snów.

Kiedy spadałem z wydłużonej czarnej góry w sen, znów rozległa się muzyka. Poczulem

ogromne zadowolenie, a potem gorąco na twarzy...

I w jakiś sposób znalazłem się w korytarzu, a Rita potrząsała mną i wypowiadała moje imię.

– Dexter, obudź się! – wołała. – Dexter!

– Co się stało? – spytałem.

– Chodziłeś we śnie jak lunatyk – rzekła. – I śpiewałeś. Śpiewałeś przez sen.

W ten sposób różanopalca jutrzienka zastała nas siedzących przy kuchennym stole i pijących kawę. Kiedy w sypialni zadzwonił w końcu budzik, Rita wstała, poszła go wyłączyć, wróciła i popatrzyła na mnie. Odwzajemniłem jej spojrzenie, lecz nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Później do kuchni weszli Cody i Astor i nie pozostało nam nic innego, jak tylko zająć się rutynowymi porannymi czynnościami i pojechać do pracy, machinalnie udając, że wszystko jest w idealnym porządku.

Lecz naturalnie nic nie było w porządku. Ktoś usiłował sterować moimi myślami i bardzo dobrze mu to wychodziło. A teraz jeszcze próbował się włamać do mojego domu, a ja nawet nie wiedziałem, kto to jest ani czego chce. Musiałem przyjąć, że ma to jakiś związek z Molochem i zniknięciem Mrocznego Pasażera.

Wydawało się, że ktoś chce mi zrobić coś złego i że jest coraz bliższy celu.

Jakoś nie wierzyłem, iż usiłuje mnie zabić prawdziwe starożytne bóstwo. Przede wszystkim takie bóstwa nie istnieją. A gdyby nawet istniały, dlaczego miałyby zawracać sobie mną głowę? Wydawało się oczywiste, że jakiś człowiek wykorzystuje Molocha, by dodać sobie potęgi i ważności, przekonać swoje ofiary, że posiada magiczną moc.

Ale co ze zdolnością wpływania na moje sny i sprawiania, że słyszę muzykę? Drapieżnik należący do rodzaju ludzkiego nie byłby w stanie tego zrobić. Ani wystraszyć Mrocznego Pasażera i skłonić go do ucieczki.

Jedyne możliwe odpowiedzi wydawały się niemożliwe. Nie byłem w stanie wymyślić niczego sensownego, zapewne z powodu straszliwego zmęczenia.

Kiedy przyjechałem do pracy, nie miałem szans na sformułowanie żadnej lepszej hipotezy, ponieważ natychmiast wezwano nas w sprawie podwójnego morderstwa w domu handlarzy marihuaną w Coconut Grove. Dwóch nastolatków związano, pocięto nożem, a później dla pewności zastrzelono; każdego trafiło kilka kul. Chociaż jestem pewien, że powinienem to uważać za straszliwą zbrodnię, w gruncie rzeczy bardzo się ucieszyłem, że mogę patrzeć na zwłoki, których nie spalono i nie pozbawiono

głów. Przez pewien czas wszystko wydawało się normalne, wręcz spokojne. Spryskałem dom luminolem, prawie uszczęśliwiony, że wykonuję zadanie, które na krótko uciszy ohydą muzykę.

Miałem również czas na myślenie. Codziennie widywałem podobne sceny i w dziewięćdziesięciu procentach przypadków zabójcy mówili: „Coś we mnie pękło” albo „Kiedy zrozumiałem, co robię, było już za późno”. Doskonale wymówki, lecz budziły one we mnie lekkie rozbawienie, gdyż zawsze wiedziałem, co robię, i właśnie dlatego to robiłem.

I w końcu coś mi przyszło do głowy – bez Mrocznego Pasażera nie potrafiłem się zająć Starzakiem. Oznaczało to, iż źródło mojego talentu to Pasażer, nie ja sam. Wydawało się, że ludzie, w których coś „pękło”, przez pewien czas mogli mieć w sobie coś podobnego do Pasażera, prawda?

Jak dotychczas nigdy mnie nie opuścił; nie odstępował mnie ani na krok i nie włączył się po ulicach, by wsiąść do samochodu pierwszego lepszego nieszczęśnika, który był akurat w złym humorze.

W porządku, zostawmy to na razie. Po prostu przyjmijmy, że niektórzy Pasażerowie ciągle zmieniają gospodarzy, a inni osiedlają się na

stałe. Czy to wyjaśnia sen Halperna? Czy coś mogło się w nim zagnieździć, kazać mu zabić dwie studentki, a później odwieźć go do domu i położyć do łóżka?

Nie miałem pojęcia. Ale czułem, że jeśli ta hipoteza ma sens, sprawa jest znacznie poważniejsza, niż przypuszczałem.

Kiedy wróciłem do swojego gabinetu, minęła pora lunchu. Rita nagrała się na automatycznej sekretarce, by mi przypomnieć, że o drugiej trzydzieści jestem umówiony z jej pastorem. Był to duchowny pełniący funkcję proboszcza miejscowej parafii, odpowiedzialny za kontakty Rity z Bogiem. Jeśli chodzi o mnie, zawsze przyjmowałem, że jeśli Bóg istnieje, nigdy nie pozwoliłby na to, by osobnik taki jak ja mógł nieźle prosperować. Gdybym był w błędzie, po moim wejściu do kościoła powinien się zawalić ołtarz.

Niestety, nie mogłem już dłużej unikać budowli o przeznaczeniu religijnym, ponieważ Rita chciała, by udzielił nam ślubu jej pastor, i wydawało się, że pragnie on sprawdzić moje kwalifikacje przed przyjęciem zlecenia. Naturalnie poprzednio kiepsko się spisał, ponieważ pierwszy mąż Rity okazał się narkomanem uzależnionym od cracku i regularnie ją bił, a duchowny jakoś tego nie



zauważył. Skoro poprzednio przeoczył coś tak oczywistego, prawdopodobieństwo, że ze mną pójdzie mu lepiej, wydawało się nikłe.

Mimo to Rita bardzo go szanowała, toteż pojechaliśmy do starego kościoła z wapienia koralowego na zadrzewionej posesji w Grove, zaledwie niecały kilometr od miejsca zbrodni, gdzie pracowałem tego ranka. Rita mówiła, że przystąpiła tu do konfirmacji i знаła pastora od wielu lat. Najwyraźniej przywiązywała dużą wagę do związków z Kościołem, chyba słusznie, biorąc pod uwagę to, co wiedziałem o kilku duchownych, którzy zwrócili moją uwagę w związku z moim hobby. To znaczy dawnym hobby.

Wielebny Gilles czekał na nas w swoim gabinecie – a może nazywa się to plebania, sanktuarium lub coś w tym stylu? Plebania zawsze kojarzy mi się z miejscem, gdzie można zasięgnąć porady proktologa. Może chodziło o zakrystię – przyznaję, że nie znam dobrze terminologii z tej dziedziny. Kiedy byłem chłopcem, moja przybrana matka Doris próbowała zabierać mnie do kościoła, lecz po kilku godnych pożalowania incydentach stało się oczywiste, że nie ma to żadnego sensu, i Harry położył temu kres.

Ściany gabinetu pastora pokrywały półki z książkami o nieprawdopodobnych tytułach, niewątpliwie zawierającymi rozsądne rady, jak sobie radzić z rzeczami, których według Boga powinniśmy unikać. Dostrzegłem kilka tomów omawiających zagadki kobiecej duszy, bez wyjaśnienia, o jakie kobiety chodzi, oraz doradzających, jak sprawić, by Chrystus dla nas pracował – miałem nadzieję, że nie za minimalną stawkę. Zauważyłem nawet rozprawę o chrześcijańskiej chemii, co wydało mi się lekką przesadą, chyba że podawała recepturę pozwalającą przemienić wodę w wino.

Znacznie bardziej zainteresowała mnie książka z gotyckim napisem na grzbiecie. Z czystej ciekawości obróciłem głowę, by przeczytać tytuł, i gdy to zrobiłem, poczułem lodowate zimno.

Tytuł brzmiał: *Opętanie przez demony: fakt czy mit?* i gdy go odcyfrowałem, doznałem olśnienia.

Postronny obserwator może pokręcić głową i powiedzieć: Tak, Dexter nie jest zbyt inteligentny, skoro nigdy wcześniej o tym nie pomyślał. Faktycznie, nie pomyślałem. Słowo „demon” budzi wiele negatywnych skojarzeń, prawda? Dopóki Mroczny Pasażer był obecny, nie widziałem potrzeby definiowania go za

pomocą skomplikowanych terminów. Dopiero teraz, gdy zniknął, zacząłem szukać jakiegoś wyjaśnienia. Dlaczego nie uznać go za demona? Wydawało się to trochę staroświeckie, lecz właśnie ta archaiczność sugerowała, że coś się w tym jednak kryje, że istnieje jakiś związek między nonsensami o Salomonie i Molochu a tym, co mnie niedawno spotkało.

Czy Mroczny Pasażer to naprawdę demon? Czy jego nieobecność oznacza, że został wypędzony? A jeśli tak, przez co? Przez coś nieskończenie dobrego? Nie przypominałem sobie, bym coś takiego spotkał w swoim ostatnim wcieleniu. W gruncie rzeczy wręcz przeciwnie.

Czy demona może wypędzić coś bardzo, bardzo złego? Co jest gorsze od demona? Moloch? Czy z jakiegoś powodu demon może sam się wypędzić?

Usiłowałem się pocieszać, że przynajmniej mam w tej chwili kilka dobrych pytań, lecz wcale mnie to nie pocieszyło, a tok mojego myślenia został nagle przerwany, gdy otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł rozpromieniony pastor Gilles.

– No, no, no! – mruknął.

Miał około pięćdziesięciu lat i wydawał się dobrze odżywiony, co sugerowało, że wierni

hojnie finansują działalność kościoła. Podszedł do nas, uściskał Ritę, pocałował ją w policzek, a później mocno, po męsku ucisnął mi rękę.

– A zatem to ty jesteś Dexter – rzekł i ostrożnie się do mnie uśmiechnął.

– Chyba tak – odpowiedziałem. – Nie mogę nic na to poradzić.

Kiwnął głową, jakby moje słowa miały jakiś sens.

– Siadajcie, proszę, i czujcie się jak u siebie w domu – powiedział. Obszedł biurko i zajął miejsce w dużym obrotowym fotelu.

Potraktowałem jego słowa poważnie i rozsiadłem się w czerwonym skórzanym fotelu stojącym naprzeciwko biurka. Rita nerwowo przysiadła na skraju identycznego fotela.

– Ach, Rito. – Uśmiechnął się. – Widzę, że jesteś gotowa spróbować raz jeszcze, prawda?

– Tak, ja... To znaczy... Tak mi się wydaje – odparła, gwałtownie się rumieniąc. Popatrzyła na mnie z uśmiechem i dodała: – Tak, jestem gotowa.

– Dobrze, dobrze – odrzekł i spojrzał na mnie z serdeczną troską. – Naprawdę chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o tobie, Dexter.

– Cóż, trzeba zacząć od tego, że jestem podejrzany o morderstwo – odpowiedziałem skromnie.

– Dexter! – wykrztusiła Rita i zarumieniła się jeszcze bardziej, choć wydawało się to niemożliwe.

– Policja uważa, że kogoś zabiłeś? – spytał wielebny Gilles.

– Och, nie cała policja, tylko moja siostra.

– Dexter pracuje w laboratorium kryminalistycznym – wyjąkała Rita. – Jego siostra jest inspektorem. On po prostu... po prostu żartował w sprawie tego morderstwa.

Pastor znów skinął głową w moją stronę.

– Poczucie humoru to wielki atut w kontaktach z ludźmi – rzekł. Umilkł na chwilę, zrobił bardzo zamyśloną, zatroskaną minę i spytał: – Jaki jest twój stosunek do dzieci Rity?

– Ach, Cody i Astor dosłownie uwielbiają Dextera! – wtrąciła Rita, wyraźnie uszczęśliwiona, że nie mówimy już o moim statusie podejrzanego.

– A ty, Dexter? Lubisz je? – dopytywał się łagodnie duchowny.

– Tak, bardzo – odpowiedziałem.

Wielebny Gilles kiwnął głową i powiedział:

– Dobrze, doskonale. Niekiedy dzieci mogą być ciężarem. Zwłaszcza cudze.

– Cody i Astor potrafią być ciężarem – odparłem. – Są w tym naprawdę świetni, ale nie mam nic przeciwko temu.

– Po tym, co przeszli, potrzebują kogoś, kto pokierowałby ich życiem, udzielał rad, uczył.

– Och, uczę ich – odpowiedziałem, choć przyszło mi do głowy, że podawanie bliższych szczegółów nie jest dobrym pomysłem. – Są bardzo chętni do nauki.

– W porządku – rzekł. – A zatem będą ucześnieć do naszej szkółki niedzielnej, prawda? – Wydało mi się to cyniczną próbą zmuszenia nas do cotygodniowego dawania pieniędzy na kościelną tacę, lecz Rita ochoczo skinęła głową, toteż milczałem. Ponadto byłem przekonany, że mimo nauki religii Cody i Astor odnajdą spokój wewnętrzny gdzie indziej. – A teraz pomówmy o was – ciągnął wielebny Gilles. Odchylił się w fotelu i potarł ręką grzbiet dłoni. – We współczesnym świecie małżeństwo powinno mieć mocne oparcie w religii. – Popatrzył na mnie wyczekująco. – Co o tym sądzisz, Dexter?

Cóż, można się spodziewać, że duchowny prędzej czy później znajdzie sposób, by powiązać każdą sprawę ze swoją dziedziną. Nie wiem, czy gorzej jest okłamywać pastora niż normalnego człowieka, lecz chciałem zakończyć tę rozmowę szybko i bezboleśnie, a czy mógłbym to osiągnąć, mówiąc prawdę? Przypuśćmy, że bym to zrobił i powiedział coś w tym rodzaju: Tak,

głęboko wierzę, ojciec. Wierzę w ludzką chciwość i głupotę, w słodycz ostrej stali w księżycową noc. Wierzę w to, co mroczne i niewidzialne, w chłodny śmiech cieni w moim mózgu, w absolutną jasność noża. O tak, ojciec, wierzę, a oprócz wiary mam pewność, ponieważ widziałem ostateczną granicę i wiem, że jest rzeczywista. Tam właśnie żyję.

Lecz, doprawdy, z pewnością nie uspokoilibym w ten sposób wielbego Gillesa, a poza tym przecież nie muszę się martwić, że pójdę do piekła za okłamanie duchownego. Jeżeli piekło faktycznie istnieje, mam tam zarezerwowane honorowe miejsce. Dlatego powiedziałem tylko:

– Religia jest bardzo ważna.

Wydawał się bardzo zadowolony.

– Świetnie, znakomicie – rzekł i ukradkiem zerknął na zegarek. – Dexter, czy chciałbyś się czegoś dowiedzieć na temat naszej wspólnoty?

Dobre pytanie, lecz mnie zaskoczył, bo spodziewałem się, że w czasie tej rozmowy to ja będę odpowiadał na pytania. Byłem gotów unikać powiedzenia czegoś konkretnego jeszcze przynajmniej przez godzinę, lecz, doprawdy, o cóż miałbym pytać? Czy używają soku z winogron, czy wina? Czy taca do zbierania pieniędzy jest metalowa, czy drewniana? Czy

taniec to grzech? Byłem po prostu nieprzygotowany. A jednak wielebny Gilles wydawał się szczerze zaciekawiony, czy nie mam jakichś pytań. Dlatego uśmiechnąłem się doń ciepło i rzekłem:

– Szczerze mówiąc, bardzo mnie interesuje, co ksiądz sądzi o opętaniu przez demony.

– Dexter! – wykrztusiła Rita z nerwowym uśmiechem. – To nie... Nie możesz...

Wielebny Gilles uniósł rękę.

– Wszystko w porządku, Rito – powiedział. – Chyba wiem, o co chodzi Dexterowi. – Odchylił się w fotelu, pokiwał głową i uśmiechnął się uprzejmie, a zarazem znacząco. – Dawno nie byłeś w kościele, prawda, Dexter?

– Tak, zgadza się – odparłem.

– Sądzę, że odkryjesz, iż nowoczesny Kościół dobrze pasuje do współczesnego świata. Podstawowa prawda o boskiej miłości się nie zmienia, choć czasem może się zmieniać nasz sposób jej pojmowania – rzekł i, o dziwo, mrugnął do mnie. – Moim zdaniem możemy się zgodzić, że demony nadają się na Halloween, a nie na niedzielne nabożeństwo.

Cóż, miło uzyskać odpowiedź, nawet jeśli okazuje się inna od tej, na jaką liczyłem. Tak naprawdę nie oczekiwałem, że wielebny Gilles wyjmie księgę z magicznymi zaklęciami i rzuci



jakiś czar, lecz przyznaję, iż poczułem się nieco rozczarowany.

– A zatem wszystko w porządku – powiedziałem.

– Masz jeszcze jakieś pytania? – spytał z bardzo zadowolonym uśmiechem. – Na temat naszego Kościoła albo obrzędów?

– Ależ nie – odpowiedziałem. – Wszystko wydaje się jasne.

– Lubimy tak myśleć – stwierdził. – Dopóki najważniejszy jest Chrystus, całą resztę łatwo uporządkować.

– Amen! – dodałem beztrzesko. Rita spojrzała na mnie groźnie, lecz duchowny wziął moją odpowiedź za dobrą monetę.

– A zatem jesteśmy umówieni na dwudziestego czwartego czerwca. – rzekł. Wstał i wyciągnął do mnie rękę. Uniosłem się z miejsca i podałem mu dłoń. – Ale mam nadzieję, że spotkam cię tu wcześniej. W każdą niedzielę o dziesiątej odprawiamy piękne, nowoczesne nabożeństwo. – Puścił do mnie oko i uścisnął moją dłoń mocniej, w męski sposób. – Zdążysz obejrzeć mecz futbolu w telewizji.

– Cudownie – odpowiedziałem. Przyszło mi do głowy, że to miło, gdy biznes bierze pod uwagę potrzeby klientów.

Przestał ściskać moją rękę i otoczył Ritę ramionami, przyciskając ją do piersi.

– Jestem taki szczęśliwy, Rito... – rzekł.

– Dziękuję... – wyszłochała, tuląc twarz do jego barku. Opierała się o niego przez chwilę, pociągając nosem, a potem znów się wyprostowała, otarła oczy i popatrzyła na mnie.

– Dziękuję ci, Dexter – powiedziała. Nie wiem, za co mi dziękowała, lecz zawsze miło usłyszeć takie słowa.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu naprawdę marzyłem o powrocie do swojej klitki na komendzie. Nie z powodu tęsknoty za rozbryzgami krwi, tylko dlatego, że w gabinecie wielebnego Gillesa przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Opętanie przez demony. Brzmiało to w sposób szczególny. Nigdy tak naprawdę nie czułem się opętany, choć Rita z pewnością wysuwała takie przypuszczenia. Jednak było to przynajmniej jakieś wytłumaczenie, zakotwiczone w historii, i miałem wielką ochotę zacząć badać tę kwestię.

Na początku sprawdziłem automatyczną sekretarkę i skrzynkę e-mailową: żadnych wiadomości, z wyjątkiem rutynowego okólnika służbowego na temat konieczności sprzątnięcia po wypiciu kawy. Żadnych unizonych przeprosin Debs. Zatelefonowałem do kilku osób i wypytałem je ostrożnie, po czym się dowiedziałem, że próbuje odszukać Kurta Wagnera, co przyniosło mi ulgę, gdyż oznaczało, że mnie nie śledzi.

Rozwiązawszy problem, z czystym sumieniem zająłem się kwestią opętania przez demony. Jedną z głównych ról znowu odgrywał stary dobry król Salomon. Najwyraźniej zaprzyjaźnił się z licznymi demonami, z których większość miała nieprawdopodobne imiona z kilkoma literami Z. Rozkazywał im jak zakontraktowanym służącym, zmuszając do noszenia ciężarów i wybudowania wielkiej świątyni, co trochę mną wstrząsnęło, bo zawsze słyszałem, że świątynie to coś dobrego – z pewnością musiały istnieć jakieś przepisy regulujące pracę demonów? Skoro denerwuje nas to, że nielegalni imigranci zbierają pomarańcze, czy pobożni patriarchowie nie powinni wydać jakichś rozporządzeń zabraniających zatrudniania demonów?

Lecz napisano czarno na białym – król Salomon spędzał czas w towarzystwie demonów i pełnił funkcję ich szefa. Naturalnie nie lubiły, gdy zmuszano je do posług, lecz spełniały rozkazy króla. Prowadziło to do interesującej myśli – może ktoś inny potrafił je kontrolować i próbował zdobyć władzę nad Mrocznym Pasażerem, który uciekł, by uniknąć podporządkowania? Zacząłem się nad tym zastanawiać.

Największą wadą tej teorii było to, że nie wyjaśniała, skąd się wzięło przytłaczające poczucie śmiertelnego zagrożenia, które pojawiło się już na samym początku, jeszcze przed zniknięciem Pasażera. Doskonale rozumiem, że ktoś może nie chcieć wykonywać nieprzyjemnej pracy, lecz nie miało to nic wspólnego z przeraźliwą trwogą, jaka mnie ogarniała.

Czy to znaczy, że Pasażer nie jest demonem? Czy to znaczy, że cierpię na psychozę? Że jest to tylko czysta paranoidalna fantazja o ścigającym mnie krwiożerczym potworze, o zbliżającej się grozie?

A jednak wszystkie kultury w dziejach świata traktują ideę opętania poważnie. Po prostu nie mogłem jej powiązać ze swoim problemem. Czułem, że natrafiłem na jakiś trop, lecz w moim umyśle nie narodziła się żadna błyskotliwa myśl.

Zorientowałem się nagle, że jest już wpół do szóstej, i poczułem gwałtowną ochotę ucieczki z pracy, by znaleźć się w sanktuarium domu.

\* \* \*

Następnego popołudnia siedziałem w swoim gabinecie i pisałem na komputerze raport

dotyczący bardzo nudnego wielokrotnego morderstwa. Nawet w Miami zdarzają się zwyczajne zabójstwa i prowadziliśmy śledztwo w sprawie jednego z nich – ściśle biorąc, trzech i pół zabójstwa, bo oprócz trzech trupów znajdujących się w kostnicy była jeszcze jedna osoba, która leżała na oddziale intensywnej terapii szpitala Jackson Memorial. Była to dość banalna egzekucja – ktoś zastrzelił ofiary z przejeżdżającego samochodu w jednej z nielicznych dzielnic Miami, w której ceny nieruchomości są niezbyt wygórowane. Nie miało sensu tracić na to dużo czasu, ponieważ było mnóstwo świadków, którzy zgodnie twierdzili, że zabójstwa dokonał osobnik o ksywce „Motherfucker”.

Mimo to należało działać zgodnie z procedurą, więc spędziłem pół dnia na miejscu zbrodni, by uzyskać pewność, że gdy do ofiar strzelano z przejeżdżającego auta, nikt nie wyskoczył z bramy i nie zaatakował ich sekatorem do strzyżenia żywoplotów. Usiłowałem wymyślić jakiś interesujący sposób wyrażenia myśli, że ślady krwi pasują do serii strzałów z pojazdu znajdującego się w ruchu, lecz było to tak straszliwie nudne, że zaczęły mi się kleić powieki. Wpatrywałem się pustym wzrokiem w monitor i nagle usłyszałem

narastający dźwięk dzwonów i gongów; znów rozległa się nocna muzyka. Biała strona edytora tekstu, na której pisałem raport, pokryła się wilgotną, lepką krwią, która oblała mnie od stóp do głów, wypełniła gabinet i cały świat. Zerwałem się z krzesła i mrugnąłem kilkakrotnie, aż koszmar zniknął, lecz ciągle dygotałem, zastanawiając się, co się właściwie stało.

Zaczynałem mieć halucynacje w biały dzień, nawet siedząc za biurkiem na komendzie policji. Bardzo mi się to nie podobało. Albo mój przeciwnik stawał się coraz silniejszy i stopniowo mnie osaczał, albo popadałem w absolutne szaleństwo. Schizofrenicy słyszą głosy – czy również muzykę? Czy Mroczny Pasażer to głos? Czy jestem kompletnym wariatem i zaczyna się ostatni, obłąkany epizod w życiu Dziwaka Dextera, który jak dotąd skutecznie udawał, że jest normalny?

Nie uważałem tego za prawdopodobne. Harry mnie ociosał, sprawił, że nauczyłem się dobrze funkcjonować w społeczeństwie – Harry poznałby, że jestem szalony, lecz utrzymywał, że tak nie jest. Harry nigdy się nie mylił. To rozstrzygało sprawę: byłem zdrowy, absolutnie zdrowy, bardzo dziękuję.

Więc dlaczego słyszałem muzykę? Dlaczego drżały mi dłonie? Dlaczego musiałem się czepiać złudnych teorii, by nie zwariować?

Naturalnie żadna inna osoba przebywająca w gmachu komendy policji niczego nie usłyszała – tylko ja. Inaczej na korytarzach zaroiłoby się od ludzi, którzy tańczyliby lub krzyczeli. Nie, w moim życiu pojawił się strach; nieubłagane podążał moim śladem i wypełniał pustkę, gdzie niegdyś mieszkał Mroczny Pasażer.

Nie miałem żadnego punktu zaczepienia – aby coś z tego zrozumieć, potrzebowałem dodatkowych informacji. Mnóstwo źródeł podawało, że demony istnieją naprawdę, a w Miami roilo się od ludzi, którzy zajmowali się zawodowo ich odpędzaniem. Chociaż *babalao* stwierdził, że nie chce mieć z tym wszystkim nic wspólnego, i czym prędzej się oddalił, najwyraźniej wiedział, o co chodzi. Byłem prawie pewien, że Santeria dopuszcza możliwość opętania. Nieważne; Miami to wspaniałe, różnorodne miasto i z pewnością znajdę inne miejsce, gdzie będę mógł zadać to samo pytanie i otrzymać zupełnie inną odpowiedź – może nawet tę, której szukam. Wyszedłem ze swojej klatki i podążyłem na parking.

Sklep Drzewo Życia znajdował się na skraju Liberty City, dzielnicy Miami, której nie powinni



odwiedzać późnym wieczorem turyści ze stanu Iowa. W tym konkretnym miejscu mieszkali imigranci z Haiti i wiele budynków pomalowano w pstre kolory, jakby nie wystarczył jeden. Na niektórych domach znajdowały się malowidła przedstawiające wiejskie życie na Haiti. Częsty motyw stanowiły koguty i kozy.

Na zewnętrznej ścianie Drzewa Życia namalowano duże drzewo, a pod nim dwie wydłużone sylwetki mężczyzn bijących w wysokie bębny. Zatrzymałem samochód przed sklepem i wszedłem do środka przez drzwi z siatki; kiedy się zatrzasnęły, nade mną zadźwięczał dzwonek. W tylnej części budynku, za zasłoną z paciorków, rozległ się głos kobiety, która krzyknęła coś w dialekcie kreolskim. Stałem przy szklanej ladzie i czekałem. Na ścianach wisiały półki z niezliczonymi słoikami zawierającymi tajemnicze substancje, płynne, stałe i o konsystencji trudnej do określenia. W kilku pojemnikach znajdowały się obiekty przypominające szczątki żywych istot.

Po chwili zza zasłony z paciorków wyszła chuda jak trzcina kobieta i stanęła za ladą. Miała około czterdziestu lat, wysokie kości policzkowe i skórę barwy wyblakłego mahoni. Nosiała zwiewną czerwono-żółtą suknię i turban w tych samych kolorach.

– Ach... – rzekła z wyraźnym kreolskim akcentem. Obrzuciła mnie bardzo sceptycznym spojrzeniem i potrząsnęła lekko głową. – Czym mogę panu służyć?

– Cóż... – Umilkłem. Od czego zacząć? Przecież nie mogłem tak po prostu powiedzieć, że niegdyś opętał mnie demon i chcę, by wrócił. Biedaczka mogłaby mnie oblać kurzą krwią.

– Słucham, proszę pana – odezwała się niecierpliwie.

– Zastanawiam się, czy ma pani jakieś książki o opętaniu przez demony – rzekłem, zgodnie z prawdą – Eee... po angielsku?

Wydęła z dezaprobatą wargi i energicznie pokręciła głową.

– Nie demony – powiedziała. – Dlaczego pan pyta? Jest pan dziennikarzem?

– Nie – odparłem. – Jestem... eee... zainteresowany tym tematem.

– Zainteresowany *voudoun*? – spytała.

– Tylko opętaniem – odrzekłem.

– Ach... – westchnęła i jej dezaprobatą wyraźnie wzrosła. – Dlaczego?

Ktoś bardzo inteligentny musiał kiedyś zauważyć, że gdy wszystko zawiedzie, trzeba powiedzieć prawdę. Maksyma ta brzmiała tak dobrze, że jestem pewien, iż nie ja pierwszy ją wymyśliłem, lecz doszedłem do wniosku, że nie

pozostaje mi nic innego. Postanowiłem spróbować.

– Moim zdaniem jakiś czas temu mogłem być opętany – powiedziałem. – Nie jestem tego zupełnie pewien, ale tak mi się zdaje.

– Ach... – znów westchnęła. Długo przyglądała mi się twardym wzrokiem, po czym wzruszyła ramionami. – Może... – rzekła w końcu. – Dlaczego pan tak sądzi?

– Po prostu... Hm... Miałem takie wrażenie, wie pani. Że coś było... eee... we mnie. Że na mnie patrzyło...

Splunęła na podłogę, bardzo dziwny gest jak na tak elegancką kobietę.

– Ach, *blancs*... – odezwała się z pogardą, kręcąc głową. – Łapiecie nas, przywozicie tutaj, wszystko nam odbieracie. A potem, kiedy stworzymy coś z niczego, choć nic nam nie daliście, zaraz chcecie to mieć. Ach... – Pogroziła mi palcem jak nauczycielka drugiej klasy strofująca kiepskiego ucznia. – Posłuchaj, *blanc*. Gdyby wstąpił w ciebie duch, wiedziałbyś o tym. Wszystko wygląda inaczej niż w filmach, to wielkie błogosławieństwo. Ale nie spotyka ono *blancs* – dodała ze złośliwym uśmiechem.

– Przecież... – zacząłem.

– *Non!* – zaprzeczyła. – Jeśli człowiek nie jest chętny, jeśli nie prosi o błogosławieństwo, to nie

przyjdzie.

– Ale ja jestem chętny – odrzekłem.

– Ach, nigdy do pana nie przyjdzie – powiedziała. – Marnuje pan mój czas. – Odwróciła się, rozsunęła zasłonę z paciorków i znikła na tyłach sklepu.

Doszedłem do wniosku, że nie ma sensu czekać, aż zmieni zdanie. Wydawało się to mało prawdopodobne – podobnie jak to, by voodoo mogło udzielić jakichkolwiek odpowiedzi na temat Mrocznego Pasażera. Oświadczyła, że duch przychodzi tylko na wezwanie i że to błogosławieństwo. Była to przynajmniej nowa odpowiedź, chociaż nie przypominałem sobie, żebym kiedykolwiek wzywał Mrocznego Pasażera, by we mnie zamieszkał – istniał zawsze. Chcąc uzyskać absolutną pewność, stanąłem na krawężniku przed sklepem i zamknąłem oczy. Proszę, wróć do środka, powiedziałem.

Nic się nie stało. Wsiadłem do auta i pojechałem do pracy.

\* \* \*

*Bardzo interesujący wybór, pomyślał Patrzący. Voodoo. Naturalnie kryła się w tym*

pewna logika, nie dawało się temu zaprzeczyć. Lecz najciekawsze było to, co to mówiło na temat istoty. *Zmierza we właściwym kierunku – i dotarła bardzo blisko.*

Kiedy Patrzący udzieli mu następnej drobnej wskazówki, istota znajdzie się jeszcze bliżej. Chłopiec wpadł w panikę, prawie się wymknął. Ale poniósł fiasko; okazał się bardzo pomocny i w tej chwili zmierzał tam, gdzie otrzyma mroczną nagrodę.

Podobnie jak istota.

Ledwo zająłem miejsce w fotelu, do mojej klitki wpadła Deborah i usiadła na składanym krześle naprzeciwko biurka.

– Zaginął Kurt Wagner – oznajmiła.

Czekałem na dalszy ciąg, lecz milczała, toteż skinąłem głową.

– Przyjmuję twoje przeprosiny – powiedziałem.

– Ostatni raz widziano go w sobotę po południu – rzekła. – Jego współlokator zeznał, że po powrocie wyglądał na przerażonego, ale nie chciał nic powiedzieć. Zmienił buty i wyszedł, to wszystko. – Zawahała się i dodała: – Zostawił plecak.

Przyznaję, że nadstawiłem uszu.

– Co w nim było? – spytałem.

– Ślady krwi – odparła tonem winowajcy przyłapanego na kradzieży ciasteczka. – Należała do Tammy Connor.

– Cóż, to bardzo mocna poszlaka – zauważyłem. Nie chciałem komentować faktu, że kazała zbadać krew komuś innemu.

– Tak, mocna. Sprawcą jest Wagner. Nie ma innej możliwości. Zamordował Tammy, włożył głowę do plecaka, a potem zabił Manny’ego Borque’a.

– Rzeczywiście, wszystko się zgadza – odrzekłem. – Szkoda. Zaczynałem się już oswajać z myślą, że to ja jestem sprawcą.

– To się kupy nie trzyma, do cholery! – zakląła Deborah. – Dobry student, członek drużyny pływackiej, z porządnej rodziny...

– Był bardzo sympatyczny – zauważyłem. – Nie wierzę, że popełnił te wszystkie okropne zbrodnie.

– Ja też, do diabła! – odezwała się Debs. – To jakiś totalny idiotyzm, absurd. Załóżmy, że morduje swoją dziewczynę, jasne. Potem współlokatorkę, bo coś widziała. Ale dlaczego innych?! I co to za bzdury z paleniem zwłok, łbami byków i tym, jak mu tam, Maluchem?

– Molochem – rzekłem. – To raczej coś dużego niż małego.

– Nieważne – odparła. – Nic się w tym wszystkim nie zgadza, Dex. Chodzi o to, że... – Odwróciła oczy i przez chwilę myślałem, że jednak mnie przeprosi, lecz się pomyliłem. – Jeśli ma to jakikolwiek sens, to raczej w twoim stylu – dodała. – Związany z tym, co robisz. – Znów na mnie popatrzyła, lecz ciągle wydawała

się zawstydzona. – Czy to... Wiesz, co mam na myśli... Czy to... wróciło? Twój, no...

– Nie – odpowiedziałem. – Nie wrócił.

– Cholera! – zaklęła.

– Wysłałaś list gończy za Kurtem Wagnerem?  
– spytałem.

– Wiem, co mam robić! – odparła. – Jeśli jest na terenie hrabstwa Miami-Dade, nie wymknie się. Zajmuje się tym również policja stanowa. Jeżeli przebywa na Florydzie, prędzej czy później wpadnie w nasze ręce.

– A jeśli wyjechał z Florydy?

Popatrzyła na mnie twardo i zauważyłam, że zaczyna przypominać Harry'ego z okresu przed chorobą, po wielu latach służby w policji: zmęczonego, przyzwyczajonego do codziennych klęsk.

– Wtedy pewnie mu się upiecze – odpowiedziała. – A ja będę musiała cię aresztować, by nie wylecieć z pracy.

– Cóż, miejmy nadzieję, że jeździ samochodem, który zwraca uwagę – rzekłem, usiłując mówić beztroskim tonem, choć przytłaczała mnie ponura szarość.

– Ma czerwone geo – prychnęła. – Wiesz, to taki mały jeep.

Zamknąłem oczy. To, co poczułem, było bardzo dziwne: miałem wrażenie, że cała krew



odpływa mi do stóp.

– Czerwone? – usłyszałem swój zdumiewająco spokojny głos.

Nie odpowiedziała, a ja otworzyłem oczy. Deborah spoglądała na mnie z tak głęboką podejrzliwością, że wydawała się ona wręcz namacalna.

– Co się z tobą dzieje, do cholery?! – spytała. – Słyszysz jeden ze swoich głosów?

– Pewnej nocy śledziło mnie w drodze do domu czerwone geo – odpowiedziałem. – A potem ktoś próbował się włamać.

– O kurwa! Kiedy zamierzałeś mi to powiedzieć?! – warknęła.

– Kiedy zaczęłabyś znów ze mną rozmawiać – odparłem.

Deborah spurpurowiała, co sprawiło mi wielką przyjemność, i popatrzyła na swoje buty.

– Byłam bardzo zajęta – odrzekła, niezbyt przekonująco.

– Podobnie jak Kurt Wagner – zauważyłem.

– Daj spokój, Jezu! – rzuciła i wiedziałem, że to całe przeprosiny, na jakie mogę liczyć. – Tak, czerwone geo. Cholera, chyba ten staruszek miał rację. Żli ludzie zwyciężają – dodała, ciągle patrząc w dół.

Nie lubię, gdy moja siostra jest taka przygnębiona. Czuję, że warto by powiedzieć

coś wesołego, co rozproszyłoby posępny nastrój i napełniło jej serce radością, lecz niestety miałem pustkę w głowie.

– Cóż, skoro źli ludzie zwyciężają, masz przynajmniej mnóstwo roboty.

W końcu na mnie spojrzała, lecz na jej twarzy nie pojawił się uśmiech.

– Zeszłej nocy w Kendall jakiś facet zastrzelił żonę i dwoje dzieci. Muszę prowadzić śledztwo w tej sprawie. – Wstała i powoli się wyprostowała, przybierając prawie swoją normalną pozycję. – Hip, hip, hurra dla naszej drużyny! – rzekła i wyszła z mojego gabinetu.

\* \* \*

*Od samego początku było to idealne partnerstwo. Nowe istoty były obdarzone świadomością, co pozwalało znacznie łatwiej nimi manipulować – i dawało znacznie większe zadowolenie. Zabijały się coraz chętniej i TO nie musiało długo czekać na nowego gospodarza – ani na kolejną reprodukcję. Skłaniało gospodarza, by zabijał, i z utęsknieniem oczekiwało na przyplływ dziwnego, cudownego uczucia.*

*Jednak tym razem, kiedy uczucie wreszcie się pojawiało, okazywało się bardzo słabe –*

*przypominało delikatne mrowienie, a potem znikало bez śladu, nie rozkwitając ani nie tworząc potomstwa.*

*TO było zdziwione. Dlaczego tym razem nie doszło do reprodukcji? Musiała istnieć jakaś przyczyna i TO zaczęło systematycznie szukać odpowiedzi. Przez wiele lat, gdy nowe istoty zmieniały się i powiększały, TO prowadziło eksperymenty. I stopniowo odkryło, jakie warunki umożliwiają reprodukcję. Nim zyskało pewność, że znalazło właściwe rozwiązanie, uśmierciło mnóstwo istot, lecz za każdym razem, gdy ściśle przestrzegało ostatecznej formuły, powstawała nowa świadomość, po czym uciekała w świat, pełna bólu i trwogi, a TO było zadowolone.*

*Najlepsze rezultaty dawało się uzyskać, gdy gospodarze mieli lekko zaburzoną świadomość, bądź po wypiciu napojów, które zaczęli warzyć, bądź pod wpływem transu. Ofiara musiała wiedzieć, co się wydarzy, a jeśli istniała jakaś publiczność, emocje zgromadzonych kumulowały się i sprawiały, że jej doznania stawały się jeszcze potężniejsze.*

*Poza tym potrzebny był ogień – stanowił bardzo dobrą metodę zabijania ofiar. Wydawało się, że wyzwala z krzykiem całą ich esencję w ogromnej, błyskawicznej, spektakularnej eksplozji energii.*

*I w końcu, znacznie lepiej pracowało się z młodymi ofiarami. Emocje widzów były silniejsze, zwłaszcza w przypadku rodziców. TO nie potrafiło sobie wyobrazić niczego cudowniejszego.*

*Ogień, trans, młode ofiary. Prosta formuła.*

*TO zaczęło skłaniać nowych gospodarzy do wymyślenia jakiegoś sposobu, by te warunki istniały permanentnie. A gospodarze okazali się zadziwiająco chętni do spełniania owych życzeń.*

Kiedy byłem bardzo mały, widziałem w telewizji pokaz cyrkowy. Jakiś człowiek ustawił na giętkich prętach kilkanaście talerzy, które następnie wprawiał w ruch wirowy, poruszając prętami, dzięki czemu talerze utrzymywały się w powietrzu. Kiedy zwalniał lub się obracał, jeden z talerzy kolebał się i spadał z trzaskiem na ziemię, po czym podążały za nim wszystkie pozostałe.

Fantastyczna metafora życia, prawda? Wszyscy próbujemy utrzymać swoje talerze wirujące w powietrzu, a gdy już je uniesiemy, nie wolno oderwać od nich wzroku i trzeba bez wytchnienia kręcić prętami. Tyle że w życiu ktoś bez przerwy dodaje nowe talerze, ukrywa pręty i ukradkiem zmienia prawa grawitacji. I za każdym razem, gdy myślisz, że twoje talerze ładnie wirują, nagle słyszysz za plecami okropny, głośny trzask i na ziemię leci cały rząd talerzy, o których istnieniu nawet nie wiedziałeś.

Głupio przyjąłem, że w wyniku tragicznej śmierci Manny'ego Borque'a mam jedno zmartwienie z głowy, ponieważ mogłem się

teraz zając przygotowaniami do wesela w porządnym sposób, zamawiając wędliny za sześćdziesiąt pięć dolarów i lodówkę wody sodowej. Mogłem się skoncentrować na najważniejszym problemie, czyli uporządkowaniu swojego życia. Przyjąłem, że sytuacja w domu jest stabilna, odwróciłem się na chwilę plecami i w nagrodę usłyszałem z tyłu głośny brzęk roztrzaskującego się talerza.

Katastrofa nastąpiła, gdy wszedłem po pracy do domu Rity. Było tak cicho, że myślałem, iż nikogo nie ma, lecz kiedy zajrzałem do salonu, ujrzałem bardzo niepokojący widok. Cody i Astor siedzieli bez ruchu na kanapie, a Rita stała za nimi z wyjątkowo kwaśną miną.

– Dexter, musimy porozmawiać – rzekła głosem, w którym zabrzmiała zapowiedź nadchodzącej katastrofy.

– Naturalnie – odparłem i zachwiałem się, patrząc na jej twarz. Beztroska odpowiedź nie wchodziła w rachubę; myśl o tym zmieniła się w pył i porwał ją lodowaty wicher.

– Te dzieci... – odezwała się Rita. Najwyraźniej była to cała wypowiedź, ponieważ popatrzyła na mnie w milczeniu i nie powiedziała nic więcej.

Naturalnie wiedziałem, jakie dzieci ma na myśli, toteż skinąłem głową, by ją zachęcić.

– Tak? – spytałem.

– Ach... – westchnęła.

Cóż, skoro dokończenie jednego zdania zajmowało Ricie tak wiele czasu, nic dziwnego, że w chwili mojego pojawienia się w domu panowała absolutna cisza. Wyglądało na to, że jeśli przed nadejściem pory kolacji mamy usłyszeć więcej niż siedem słów, Dyplomata Dexter powinien ożywić zapomnianą sztukę prowadzenia rozmowy. Zabrałem się do tego z właściwą sobie odwagą.

– Czy coś się stało, Rito? – spytałem.

– Ach... – znowu westchnęła, co nie zabrzmiało zbyt zachęcająco.

Doprawdy, nawet utalentowany gawędziarz taki jak ja nie jest w stanie prowadzić rozmowy z osobą mówiącą wyłącznie monosylabami. Ponieważ Rita nie udzielała mi żadnej pomocy, popatrzyłem na Cody’ego i Astor, którzy nie poruszyli się od mojego przyjścia.

– W porządku – rzekłem. – Możecie mi powiedzieć, o co chodzi mamie?

Wymienili jedno ze swoich słynnych spojrzeń, po czym obrócili głowy w moją stronę.

– To się stało przez przypadek – powiedziała Astor. – Nie zrobiliśmy tego specjalnie.

Niewiele się dowiedziałem, lecz przynajmniej mówili pełnymi zdaniami.

– Bardzo się cieszę – odparłem. – Co się zdarzyło przez przypadek?

– Mama nas złapała – odezwał się Cody, a Astor trąciła go łokciem.

– Nie zrobiliśmy tego specjalnie – powtórzyła z naciskiem. Cody spojrział na nią i przypomniał sobie, co uzgodnili. Siostra popatrzyła nań groźnie, po czym mrugnął i powoli skinął głową w moją stronę.

– To tylko przypadek – rzekł.

Ucieszyłem się, że dobrze się ze sobą komunikują i prezentują jednolite stanowisko, lecz w dalszym ciągu nie miałem pojęcia, o czym mówimy od co najmniej kilku minut. Czas odgrywał w tym wypadku istotną rolę, ponieważ zbliżała się pora kolacji, a Dexter wymaga regularnego karmienia.

– Stale powtarzają to samo – oznajmiła Rita. – To przecież niczego nie wyjaśnia! Nie pojmuję, jak można przez przypadek związać kota Villegasów!

– Kot żyje... – szepnęła Astor. Jeszcze nigdy nie słyszałem, by mówiła tak cichym głosem.

– Po co wzięliście sekator? – spytała ostro Rita.

– Nie użyliśmy go – odpowiedziała Astor.

– Ale zamierzaliście to zrobić, prawda? – dopytywała się Rita.



Drobne twarze dzieci obróciły się w moim kierunku; po chwili spojrzęła na mnie również ich matka.

Stopniowo zacząłem się domyślać, co się wydarzyło; obraz, jaki się pojawił przed moimi oczyma, nie był sielankową martwą naturą. Najwyraźniej Cody i Astor postanowili przeprowadzić niezależne studia bez mojego udziału. Co gorsza, uświadomiłem sobie, że cała ta sprawa w jakiś sposób stała się również moim zmartwieniem; dzieci oczekiwały, że im pomogę, a Rita wydawała się gotowa skoczyć mi do gardła. Naturalnie było to skrajnie niesprawiedliwe – wróciłem do domu z pracy i natychmiast stałem się przedmiotem ataku. Jednak wielokrotnie się przekonałem, że życie jest z zasady niesprawiedliwe i że nie ma wydziału skarg i zażaleń, toteż trzeba je akceptować takim, jakie jest – porządkować bałagan i iść do przodu.

Próbowałem to zrobić, chociaż podejrzewałem, że na próżno.

– Jestem pewien, że istnieje jakieś dobre wytłumaczenie – rzekłem pojednawczo. Astor natychmiast się rozpromieniła i zaczęła kiwać głową.

– To się stało przez przypadek – powtórzyła z zadowoloną miną.

– Nikt nie związuje kota przez przypadek, a potem nie przymocowuje taśmą klejącą do stołu! – stwierdziła Rita. – Staliście nad nim z sekatorem!

Szczerze mówiąc, wszystko trochę się skomplikowało. Z jednej strony się ucieszyłem, że w końcu dokładnie wiem, na czym polega problem. Z drugiej strony wkroczyliśmy na terytorium, gdzie trudno było cokolwiek tłumaczyć. Nie mogłem się powstrzymać od refleksji, że Rita nie powinna nic wiedzieć o tych sprawach.

Jasno poinformowałem Astor i Cody'ego, że nie wolno im robić niczego samodzielnie, dopóki ich nie przygotuję. Najwyraźniej zlekceważyli moje słowa i ponieśli konsekwencje swoich czynów, lecz to na mnie spoczywał obowiązek udzielenia im pomocy. Gdyby wreszcie nie zrozumieli, że pod żadnym pozorem nie wolno im znowu popełnić tego samego błędu – zlekceważyć wskazówek Harry'ego, których usiłowałem ich uczyć – mogłem z radością pozwolić im się męczyć w nieskończoność.

– Zdajecie sobie sprawę, że zrobiliście coś złego? – spytałem. Skinęli jednocześnie głowami.  
– Wiecie, dlaczego było to złe? – ciągnąłem.

Astor miała niepewną minę. Zerknęła na Cody'ego i wypaliła:

– Bo daliśmy się złapać!

– Widzisz?! – odezwała się Rita. W jej głosie zabrzmiała histeria.

– Nie pora na żarty, Astor – rzekłem. Spojrzałem na nią uważnie i prawie mrugnąłem.

– Cieszę się, że ktoś to uważa za zabawne! – zauważyła Rita. – Jednak mnie to nie bawi!

– Rito – odezwałem się najspokojniej, jak umiałem, a potem, wykorzystując spryt nabyty przez długie lata udawania człowieka, dodałem:

– Myślę, że to może być jedna z sytuacji, o których wspominał wielbny Gilles. Powinienem podzielić się z dziećmi swoim doświadczeniem życiowym.

– Dexter Cody i Astor po prostu... Nie mam pojęcia, co... A ty... – wykrztusiła. Była bliska płaczu, lecz z zadowoleniem spostrzegłem, że znów zaczyna mówić w normalny sposób. W tej samej chwili szczęśliwie przypomniała mi się scena ze starego filmu i doskonale wiedziałem, co powinien w tej sytuacji zrobić prawdziwy człowiek.

Podszedłem do Rity, przybrałem bardzo poważną minę i położyłem jej dłoń na ramieniu.

– Rito – odezwałem się. Byłem bardzo dumny, jak poważnie i po męsku zabrzmiał mój głos. – Jesteś zbyt zaangażowana w tę sprawę i emocje nie pozwalają ci trzeźwo ocenić sytuacji. Dzieci

powinny spojrzeć na wszystko z pewnej perspektywy i mogę je tego nauczyć. W końcu teraz muszę być ich ojcem – dodałem, przypomniawszy sobie te słowa, zadowolony, że wszystko tak gładko mi idzie.

Powinienem się domyślić, że moja uwaga wytrąci Ritę z równowagi i doprowadzi ją do płaczu. Natychmiast zaczęły jej drżeć wargi, z twarzy zniknął gniew i po policzkach pociekły strumyczki łez.

– W porządku...! – Zaszlochała. – Proszę, ja... Po prostu z nimi porozmawiaj... – Głośno pociągnęła nosem i wybiegła z pokoju.

Pozwoliłem Ricie zejść ze sceny w dramatyczny sposób, odczekałem chwilę dla większego efektu, a potem podszedłem do kanapy i popatrzyłem na parę grzeszników.

– Cóż, pamiętacie, jak mówiliście: „Rozumiemy, obiecujemy, zaczekamy”? I co teraz? – spytałem.

– To się za długo ciągnie – odrzekła Astor. – Nic nie robimy, z wyjątkiem tego jednego razu, a poza tym nie zawsze masz rację i uważamy, że nie powinniśmy dłużej czekać.

– Jestem gotowy – wtrącił Cody.

– Doprawdy? – spytałem. – W takim razie wasza mama jest najlepszym detektywem na świecie. Jesteście gotowi, a ona i tak was złapała.

– Dexterrrr...! – jęknęła Astor.

– Nie, Astor, przestań gadać i posłuchaj mnie przez chwilę. – Popatrzyłem na nią z wyjątkowo poważnym wyrazem twarzy i przez chwilę myślałem, że mimo wszystko się odezwie, lecz nagle wydarzył się cud. Astor zmieniła zdanie i umilkła. – W porządku – rzekłem. – Od samego początku powtarzam, że musicie mnie słuchać. Nie musicie wierzyć, że zawsze mam rację. – Astor wydała z siebie jakiś dźwięk, lecz nic nie powiedziała. – Ale powinniście wykonywać moje polecenia. W przeciwnym razie wam nie pomogę i skończycie w więzieniu. To jedyny sposób, jasne?

Niewykluczone, że nie wiedzieli, jak zareagować na mój nowy ton głosu i nową rolę. Nie byłem już Rozrywkowym Dexterem, lecz kimś zupełnie innym: Dexterem Mistrzem Mrocznej Dyscypliny, jakiego nigdy wcześniej nie widzieli. Popatrzyli na siebie niepewnie, toteż zwiększyłem presję.

– Daliście się złapać – powiedziałem. – Co się dzieje z ludźmi, którzy dają się złapać?

– Idą do poprawczaka? – spytał niepewnie Cody.

– Tak, rzeczywiście – przytaknąłem. – A jak mają trzydzieści lat?

Po raz pierwszy w całym swoim życiu Astor nie miała pojęcia, co odpowiedzieć, a Cody wyczerpał swój zapas słów. Spojrzeli na siebie, po czym wbili wzrok w swoje stopy.

– Ja i moja siostra, sierżant Deborah, przez cały czas zajmujemy się łapaniem ludzi, którzy robią takie rzeczy – ciągnąłem. – A kiedy ich aresztujemy, trafiają do więzienia. – Uśmiechnąłem się do Astor. – To taki poprawczak dla dorosłych. Jest tam bardzo nieprzyjemnie. Siedzą w celi wielkości łazienki, zamknięci na klucz. Srają do dziury w podłodze. Jedzą świństwa, a wokół chodzą szczury i karaluchy.

– Wiemy, jak wygląda więzienie, Dexter – rzekła Astor.

– Doprawdy? Więc czemu tak się śpieszycie, by tam trafić? – spytałem. – Słyszeliście o smaźalni?

Astor znów popatrzyła na swoje nogi. Cody jeszcze nie uniósł oczu.

– Smaźalnia to krzesło elektryczne. Jeśli was złapią, przymocują was pasami do krzesła elektrycznego, przyczepią druty do głowy i usmażą jak boczek. Czy to miła perspektywa?

Pokręcili przecząco głowami.

– Pierwsza lekcja polegała na tym, by nie dać się złapać – przypomniałem im. – Pamiętacie

piranie? – Kiwnęli głowami. – Wyglądają groźnie, więc ludzie wiedzą, że są niebezpieczne.

– Przecież nie wyglądamy groźnie – zaprotestowała Astor.

– Rzeczywiście, nie wyglądacie – odpowiedziałem. – I bardzo dobrze. Mamy wyglądać jak ludzie, nie jak piranie. Ale chodzi o to samo: trzeba udawać kogoś, kim się nie jest. Kiedy dzieje się coś złego, kogo najpierw aresztują? Ludzi, którzy wyglądają niebezpiecznie. Musicie sprawiać wrażenie słodkich, kochanych, normalnych dzieci.

– Mogę się malować? – spytała Astor.

– Jak dorośniesz – odpowiedziałem.

– Zawsze to powtarzasz!

– Wiem, co mówię. Tym razem was złapano, bo robiliście wszystko po swojemu, nie mając pojęcia, jak postępować. Nie słuchaliście mnie. – Doszedłem do wniosku, że nie należy ich dłużej dręczyć, i usiadłem między nimi na sofie. – Nie róbcie niczego bez mojej wiedzy, jasne? Przrzeknijcie to i dotrzymajcie słowa.

Powoli unieśli na mnie oczy i skinęli głowami.

– Przrzekamy – rzekła cicho Astor, a Cody powtórzył za nią jeszcze ciszej:

– Przrzekamy.

– Bardzo się cieszę. – Uroczyście uściskałem ich dłonie. – Dobrze. A teraz chodźmy przeprosić waszą mamę. – Zerwali się z miejsc z radosnymi minami, czując ulgę, że koszmarne tortury się skończyły. Wyszedłem za nimi z pokoju, bardzo zadowolony z siebie.

Może ojcostwo ma jednak jakiś sens?



Sun Zi, starożytny chiński mędrzec, od dawna nieżyjący, napisał książkę pod tytułem *Sztuka wojny* i zawarł w niej błyskotliwe spostrzeżenie, że kiedy wydarzy się coś strasznego, zawsze można to obrócić na swoją korzyść, jeśli spojrzeć na sytuację z właściwej perspektywy. Nie jest to sztuczny optymizm kalifornijskiej Pollyanny z epoki New Age, która na siłę doszukuje się pozytywnych aspektów w przykrych wydarzeniach, a raczej praktyczna rada, przydatna znacznie częściej, niż można przypuszczać.

Na przykład w tym momencie miałem problem, jak dalej uczyć Cody'ego i Astor Kodeksu Harry'ego, skoro zostali przyłapani przez Ritę. Szukając rozwiązania, przypomniałem sobie starego dobrego Sun Zi i usiłowałem sobie wyobrazić, jak postąpiłby w podobnej sytuacji. Naturalnie był generałem, więc prawdopodobnie rozkazałby kawalerii zaatakować na lewym skrzydle lub coś w tym rodzaju, lecz z pewnością kierował się identycznymi zasadami.

Kiedy prowadziłem Cody'ego i Astor do płaczącej matki, szukałem w ciemnym lesie mózgu Dextera jakiejś idei, którą stary chiński generał mógłby zaaprobować; trochę przypominało to polowanie na kuropatkę kryjącą się w krzakach. I gdy wszyscy troje zatrzymaliśmy się przed pociągającą nosem Ritą, nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł i postanowiłem go wykorzystać.

– Myślę, że mogę to opanować, nim się wymknie spod kontroli, Rito – rzekłem cicho.

– Słyszałeś, co... To już się wymknęło spod kontroli! – odpowiedziała i znów głośno pociągnęła nosem.

– Mam pomysł – powiedziałem. – Chciałbym, żebyś jutro przywiozła dzieci do mnie do pracy zaraz po lekcjach.

– Ale to... Przecież wszystko się zaczęło właśnie dlatego, że...

– Widziałaś kiedyś w telewizji film pod tytułem *Scared Straight?* – spytałem.

Spoglądała na mnie przez chwilę, jeszcze raz pociągnęła nosem i popatrzyła na Cody'ego i Astor.

Nazajutrz o wpół do czwartej po południu siedzieli w laboratorium kryminalistycznym i patrzyli w mikroskop.

– To naprawdę włos? – spytała Astor.

– Owszem – odpowiedziałem.  
– Wygląda ohydnie!  
– Prawie całe ludzkie ciało wygląda ohydnie, zwłaszcza pod mikroskopem – oznajmiłem. – Popatrz na drugi, umieszczony obok.

Astor uważnie przyglądała się włosom. Zapadło milczenie, przerwane tylko raz, gdy Cody pociągnął siostrę za rękę, a ona go odepchnęła i rzekła:

– Przestań, Cody!  
– Co zauważyłaś? – zapytałem.  
– Nie wyglądają tak samo – odparła.  
– Tak, bo należą do innych osób. Pierwszy jest twój, a drugi mój.

Obserwowała włosy jeszcze przez chwilę, a następnie popatrzyła na mnie znad okularu.

– Widać, że się różnią – stwierdziła.  
– To dopiero początek – powiedziałem. – Cody, daj mi swój but.

Chłopiec grzecznie usiadł na podłodze i zdjął trampek z lewej nogi. Wziąłem go i wyciągnąłem rękę do Cody'ego.

– Chodź ze mną. – Pomogłem mu wstać, po czym podążył za mną do najbliższego stołu, skacząc na jednej nodze. Posadziłem go na stołku, uniosłem but i pokazałem podeszwę. – Brudna czy czysta? – spytałem.

Przyjrzał jej się uważnie.

– Czysta.

– Na pozór – rzekłem. – Patrz. – Wziąłem niewielką drucianą szczoteczkę i zacząłem delikatnie drapać podeszwę, wydłubując z rowków prawie niewidoczny brud na szalkę Petriego. Przeniosłem małą próbkę na szkiełko laboratoryjne i umieściłem pod mikroskopem. Astor natychmiast podeszła, by popatrzeć, lecz Cody szybko podążył w stronę stołu, podskakując na jednej nodze.

– Mój but, moja kolej – rzucił.

Astor zerknęła na mnie.

– To but Cody’ego – powiedziałem, kiwając głową. – Tym razem on ma pierwszeństwo. – Najwyraźniej uznała to za sprawiedliwą decyzję, ponieważ się cofnęła i pozwoliła Cody’emu usiąść na stołku. Popatrzyłem w okular, nastawiłem ostrość i zobaczyłem, że na płytce znajduje się to, na czym mi zależało. – Dobrze. Powiedz, co widzisz, młody Jedi – rzekłem i zrobiłem krok do tyłu.

Cody przez kilka minut spoglądał ze zmarszczonym czołem w okular, a tymczasem Astor niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę. W końcu zaczęło to rozpraszać naszą uwagę i popatrzyliśmy na nią.

– Już bardzo długo – odezwiała się. – Teraz moja kolej.

– Za chwilę. – Odwróciłem się z powrotem w stronę Cody’ego. – Powiedz mi, co widziałeś.

Pokręcił głową.

– Śmieci.

– W porządku – rzekłem. – Zaraz ci wszystko opiszę. – Znow popatrzyłem w okular i ciągnąłem: – Po pierwsze, włosy zwierzęcia z rodziny kotowatych.

– Czyli kocia sierść – wtrąciła Astor.

– Po drugie, jest trochę ziemi z dużą zawartością związków azotowych, prawdopodobnie do hodowli roślin doniczkowych. – Mówiłem, nie patrząc na Cody’ego. – Gdzie zaniósłeś tego kota? Do garażu? Tam, gdzie mama przesadza rośliny?

– Tak – odpowiedział.

– Tak przypuszczałem. – Znow zerknąłem w mikroskop. – Ach, popatrz! Syntetyczne włókno z dywanu. Jest niebieskie. – Spojrzałem na Cody’ego i uniosłem brew. – Jaki kolor ma dywan w twoim pokoju?

– Niebieski – odpowiedział z wybałuszonymi oczyma.

– Tak. Gdybym chciał zbadać wszystko skrupulatnie, porównałbym to włókno z próbką pobraną z twojego dywanu. Wtedy byłbyś załatwiony. Mógłbym dowieść, że to ty zabiłeś kota. – Znowu zerknąłem w okular. – O Boże,

ktoś niedawno jadł pizzę... Ach, jest również maleńki okruch popcornu. Pamiętacie film w zeszłym tygodniu?

– Dexter, chcę popatrzeć! – jęknęła Astor. – Teraz moja kolej!

– W porządku – odpowiedziałem i posadziłem ją na stołku obok Cody’ego, by mogła obejrzeć próbkę.

– Nie widzę popcornu – rzekła natychmiast.

– Okrągły, brązowawy okruszek w rogu – wyjaśniłem. Milczała przez minutę, po czym uniosła na mnie oczy.

– Nie możesz rozpoznać wszystkiego – stwierdziła. – Nie przez mikroskop.

Szczerze przyznaję, że trochę się popisywałem, lecz w końcu właśnie o to chodziło i byłem przygotowany na wątpliwości Astor. Wziąłem notatnik, który wcześniej przyniosłem do laboratorium, otworzyłem i położyłem na stole.

– Wręcz przeciwnie, mogę – odparłem. – Mogę jeszcze więcej. Popatrzcie. – Odnalazłem stronę z fotografiami kilkunastu rodzajów włosów zwierzęcych, starannie dobranych, by jak najbardziej się od siebie różniły. – Oto włos kota – rzekłem. – Wygląda zupełnie inaczej niż włos kozy, prawda? – Przewróciłem stronicę. – A to włókna dywanów. Całkowicie różne od

włókien pochodzących z koszuli, o tutaj, i ze ścierki kuchennej.

Cody i Astor stali obok siebie i spoglądali na notatnik. Przejrzeli około dziesięciu stron, które przygotowałem, by udowodnić, że owszem, naprawdę mogę wszystko rozpoznać. Bardzo się starałem przedstawić kryminologię jako naukę stwarzającą nieograniczone możliwości: coś w rodzaju wszytkowiedzącego, wszechmocnego czarodzieja z Krainy Oz. I, prawdę mówiąc, naprawdę potrafimy robić większość z tych rzeczy, które pokazałem dzieciom. Prawie nigdy nie pomaga to łapać przestępców, lecz czemu miałbym to mówić i psuć piękne popołudnie?

– Popatrzcie w mikroskop – rzekłem po kilku minutach. – Zastanówcie się, czy widzicie coś jeszcze. – Chętnie zajęli się obserwacją próbki i przez jakiś czas wydawali się bardzo zadowoleni.

Kiedy w końcu spojrzeli na mnie, uśmiechnąłem się do nich wesoło i rzuciłem:

– I to wszystko pochodzi z czystego buta... – Zamknąłem notatnik i obserwowałem, jak zastanawiają się nad tym, co zobaczyli. – Jak dotąd posługiwaliśmy się tylko mikroskopem – powiedziałem i skinąłem głową w stronę licznych lśniących instrumentów stojących

w laboratorium. – Pomyślcie, czego można się dowiedzieć, wykorzystując wszystkie te skomplikowane urządzenia.

– Tak, ale możemy chodzić na bosaka – zauważyła Astor.

Kiwnąłem głową, jakby jej słowa miały jakiś sens.

– Owszem, możecie – odparłem. – A później ja zrobię coś takiego... Daj mi rękę.

Astor obserwowała mnie z niepokojem przez kilka sekund, jakby się bała, że zamierzam obciąć jej rękę, lecz wreszcie powoli ją uniosła. Ująłem jej dłoń, wyjąłem z kieszeni cążki do obcinania paznokci i wyskrobałem kilka szarych cząsteczek.

– Zaczekaj, aż zobaczysz, co to takiego – rzekłem.

– Myłam ręce.

– To bez znaczenia – odpowiedziałem. Położyłem kilka drobinek na szkiełku laboratoryjnym i umieściłem pod mikroskopem.

– Gotowe.

BUM!

Jeśli powiem, że zamarliśmy, może to zabrzmieć nieco melodramatycznie, lecz tak właśnie było – zamarliśmy. Cody i Astor popatrzyli na mnie, a ja na nich. Wstrzymaliśmy oddech.



BUM!

Dźwięk się zbliżał i trudno było uwierzyć, że znajdujemy się w komendzie policji i że nic nam nie grozi.

– Dexter... – rzekła drżącym głosem Astor.

– Jesteśmy w komendzie policji – odpowiedziałem. – Nic a nic nam nie grozi.

BUM!

Hałas ucichł, bardzo blisko. Zjeżyły mi się włosy na karku i obróciłem się w stronę drzwi, które powoli się otworzyły.

Sierżant Doakes. Stał w drzwiach, spoglądając na nas z wściekłą miną, która wydawała się jego normalnym wyrazem twarzy.

– Ty... – wychrypiał. Jego głos był prawie tak samo niepokojący jak wygląd, gdyż Doakes nie miał języka.

– Tak, to ja – odpowiedziałem. – Cieszę się, że pan sierżant mnie sobie przypomina.

Zrobił jeszcze jeden hałaśliwy krok do przodu i wszedł do laboratorium. Astor zeskoczyła ze stołka i pobiegła do okna, jak najdalej od drzwi. Doakes zatrzymał się i spojrzał na nią. Potem popatrzył na Cody'ego, który zsunął się ze stołka, stanął naprzeciwko Doakesa i wbił w niego nieruchomy wzrok.

Doakes i Cody obserwowali się nawzajem, po czym Doakes odetchnął głęboko – przypominało

to dźwięki wydawane przez Dartha Vadera. Później znów popatrzył na mnie i zrobił kolejny krok, prawie tracąc równowagę.

– Ty! – powtórzył, tym razem sycząc. – Inie...!

– Inie?! – powtórzyłem, Byłem doprawdy zdumiony i nie chciałem go prowokować. Skoro koniecznie musiał tupać i straszyć dzieci, mógł przynajmniej nosić notes i ołówek, by można się było z nim porozumieć.

Wydawało się, że w ogóle go to nie interesuje. Znów odetchnął jak Darth Vader i powoli wyciągnął stalowy szpon w stronę Cody'ego.

– Inie...! – powtórzył, szczerząc zęby.

– Mówi o mnie – rzekł Cody. Popatrzyłem na niego, zdziwiony, że się odzywa w obecności Doakesa, który wyglądał jak postać z koszmarnego snu. Lecz Cody oczywiście nie miał koszmarnych snów. Spoglądał w milczeniu na sierżanta.

– O co chodzi, Cody? – spytałem.

– Zobaczył mój cień – wyjaśnił.

Doakes zrobił następny chwiejny krok w moim kierunku. Jego prawy szpon zadrżał, jakby miał zamiar mnie zaatakować.

– Ty... gu... gik...!

Było oczywiste, że chce coś powiedzieć, lecz postąpiłby mądrzej, gdyby poprzestał na rzucaniu wściekłych spojrzeń, ponieważ nie

dawało się zrozumieć zniekształconych sylab wydobywających się z jego okaleczonych ust.

– Łuk... ty... gu...! – syknął. Zabrzmiało w tym tak oczywiste potępienie wszystkiego, czym jest Dexter, aż w końcu zrozumiałem, że o coś mnie oskarża.

– Co pan ma na myśli, sierzancie? – spytałem.  
– Nie zrobiłem nic złego.

– Goj... – wychrypiał, znów wskazując Cody’ego.

– Tak, rzeczywiście, goj. Jest metodystą. – Przyznaję, że celowo źle go zrozumiałem; zamierzał powiedzieć, że się boi Cody’ego, lecz wymówił słowo „goj”, ponieważ nie miał języka. Poza tym, doprawdy, nawet moja cierpliwość ma swoje granice. Doakes powinien zdawać sobie sprawę, że jego próby przekazywania zrozumiałych treści za pomocą mowy nie przynoszą pożądanego skutku, lecz mimo wszystko próbował. Czy nie miał żadnego wstydu?!

Na szczęście przerwał nam tupot stóp na korytarzu i do laboratorium wpadła Deborah.

– Dexter! – zawołała i stanęła jak wryta, ujrzawszy Doakesa z uniesionym szponem, Astor skuloną koło okna i Cody’ego biorącego ze stołu skalpel, by go użyć przeciwko Doakesowi. – Co się tu dzieje, do cholery?! – spytała. – Doakes?

Bardzo powoli opuścił rękę, lecz nie oderwał ode mnie wzroku.

– Szukałam cię, Dexter. Gdzie się podziewałeś?

Byłem wdzięczny Debs, że pojawiła się w samą porę, i nie skomentowałem absurdalności jej pytania.

– Cały czas siedzę tutaj i uczę dzieci – odpowiedziałem. – A ty co robisz?

– Jadę do Dinner Key. Znaleźli zwłoki Kurta Wagnera.

Deborah pędziła wśród samochodów z błyskawiczną szybkością, prawie jak Evel Knievel. Usiłowałem wymyślić grzeczny sposób zwrócenia jej uwagi, że jedziemy zobaczyć zwłoki, które prawdopodobnie nie uciekną, toteż mogłaby łaskawie zwolnić, lecz nie przychodziły mi do głowy żadne słowa, które nie sprawiłyby, że oderwie dłonie od kierownicy i zaciśnie je na mojej szyi.

Cody i Astor byli zbyt młodzi, by rozumieć, iż znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, i wydawało się, że świetnie się bawią na tylnym siedzeniu. Wczuli się nawet w atmosferę panującą na autostradzie i radośnie odwzajemniali pozdrowienia innych kierowców, unosząc środkowe palce, gdy zajeżdżaliśmy komuś drogę.

Na autostradzie U.S. 1 w LeJeune doszło do kolizji trzech samochodów, co na jakiś czas zatamowało ruch; musieliśmy zwolnić i wlec się w żółwym tempie. Ponieważ nie zużywałem już całego oddechu na powstrzymywanie okrzyków

przerażenia, spróbowałem się dowiedzieć od Debs, co dokładnie mamy zobaczyć.

– Jak go zabito? – spytałem.

– Tak samo jak innych – odpowiedziała. – Spalony. I ciało jest bez głowy.

– Jesteś pewna, że to Kurt Wagner?

– Czy mogę to udowodnić? Jeszcze nie – odparła. – Ale czy jestem pewna? Tak, całkowicie, do cholery!

– Dlaczego?

– W pobliżu znaleziono jego samochód.

Byłem przekonany, że w normalnych okolicznościach bezbłędnie rozumiałbym, czemu ktoś traktuje głowy jako fetysz, i wiedziałbym, gdzie je znaleźć i dlaczego. Lecz teraz, kiedy nie mogłem liczyć na pomoc Mrocznego Pasażera, nic już nie było normalne.

– To nie ma żadnego sensu – stwierdziłem.

Deborah prychnęła i uderzyła nasadą dłoni w kierownicę.

– Powiedz, co o tym sądzisz! – rzuciła.

– Kurt musiał zabić pozostałe ofiary.

– Więc kto go zamordował?! Drużynowy jego zastępu harcerskiego?! – spytała. Nacisnęła klakson i skręciła na sąsiedni pas, by wyprzedzić kilka aut, które utknęły w korku. Przez pięćdziesiąt metrów jechała slalomem wśród samochodów nadjeżdżających z przeciwka,

naciskając pedał gazu, aż wreszcie minęła korek. Skoncentrowałem się na oddychaniu i powtarzałem sobie w duchu, że wszyscy muszą kiedyś umrzeć. Czy to, że zabije nas Deborah, ma naprawdę jakieś znaczenie? Nie było to bardzo pocieszające, lecz udało mi się nie krzyczeć i nie wyskoczyć przez okno, dopóki moja siostra nie wróciła na właściwy pas autostrady U.S. 1.

– Było super! – odezwała się Astor. – Możemy to zrobić jeszcze raz?

Cody skinął entuzjastycznie głową.

– Następnym razem powinniśmy włączyć syrenę – rzekła Astor. – Dlaczego nie używasz syreny, sierżant Debbie?

– Nie nazywaj mnie Debbie! – warknęła Deborah. – Nie lubię syreny!

– Dlaczego? – zainteresowała się Astor.

Deborah odetchnęła głęboko i zerknęła na mnie kątem oka.

– To uzasadnione pytanie – zauważyłem.

– Robi za dużo hałasu – wyjaśniła. – Pozwólcie mi prowadzić, dobrze?

– W porządku – odparła Astor, lecz nie wydawała się przekonana.

Dojechaliśmy w milczeniu do Grand Avenue, a ja usiłowałem się skupić i wymyślić coś, co mogłoby się okazać pomocne. Nie udało się.

Jednak przyszła mi do głowy jedna rzecz warta wspomnienia.

– A jeśli zamordowanie Kurta to tylko przypadek?

– Nawet ty nie możesz naprawdę w to wierzyć – odpowiedziała Deborah.

– Jeżeli chciał uciec, mógł próbować zdobyć fałszywe dokumenty albo poprosić kogoś o wywiezienie z kraju. Jest wielu bandytów, na których można trafić w takiej sytuacji.

Nie wydawało się to prawdopodobne, nawet dla mnie, lecz moja siostra zastanawiała się nad tym przez kilka sekund, przygryzając dolną wargę. Z roztargnieniem nacisnęła klakson i wyprzedziła furgonetkę należącą do jednego z hoteli.

– Nie – rzekła w końcu. – Spalono go, Dexter, podobnie jak dwie pierwsze ofiary. Nie wierzę, że było to tylko naśladownictwo.

Znowu poczułem delikatne poruszenie w ponurej pustce, gdzie niegdyś mieszkał Mroczny Pasażer. Zamknąłem oczy i próbowałem odnaleźć jakiś ślad swojego dawnego nieodłącznego towarzysza, lecz bez powodzenia. Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że Deborah przyśpiesza i wyprzedza jasnoczerwone ferrari.



– Ludzie czytają gazety – zauważyłem. – Morderstwa oparte na naśladownictwie czasem się zdarzają.

Zastanawiała się przez chwilę.

– Nie – rzekła w końcu, kręcąc głową. – Nie wierzę w przypadki. Nie w takiej sytuacji. Spalone zwłoki, brak głów, to miałyby być zbieg okoliczności? Wykluczone.

Trudno się wyzbyć resztek nadziei, lecz musiałem przyznać, że moja siostra prawdopodobnie ma rację. Obcinanie głów i palenie zwłok nie były standardowymi procedurami stosowanymi przez normalnych morderców należących do świata przestępczego; większość poprzestałaby na uderzeniu w głowę, przywiązaniu kotwicy do nóg i wrzuceniu trupa do zatoki.

Wydawało się, że wkrótce zobaczymy zwłoki człowieka, którego uważaliśmy za zabójcę; został on zamordowany w taki sam sposób jak jego ofiary. Gdybym był beztroski jak dawniej, z pewnością wydawałoby mi się to cudownie ironiczne, lecz teraz uznałem to za kolejny afront burzący moją uporządkowaną egzystencję.

Deborah dała mi bardzo niewiele czasu na myślenie, toteż nie zdążyłem wpaść w ponury nastrój. Błyskawicznie przejechała przez

zatłoczone centrum Coconut Grove i skręciła na parking koło Bayfront Park, gdzie trwał znajomy cyrk. Stały tam trzy policyjne wozy patrolowe, a Camilla Figg zbierała odciski palców z odrapanego czerwonego geo, prawdopodobnie należącego do Kurta Wagnera, zaparkowanego przy jednym z parkometrów.

Wysiadłem i rozejrzałem się po okolicy. Nawet bez wskazówek udzielanych przez mój wewnętrzny głos natychmiast zauważyłem, że coś jest nie w porządku.

– Gdzie zwłoki? – spytałem Deborah.

– Na wyspie – odpowiedziała, idąc w stronę bramy jachtklubu.

Mrugnąłem i stanąłem obok samochodu. Z jakiegoś niewiadomego powodu myśl o zwłokach na wyspie sprawiła, że zjeżyły mi się włosy na karku. Spoglądałem na morze, szukając odpowiedzi, i poczułem tylko popołudniową bryzę wiejącą wśród sosen na wyspach Dinner Key i świszczącą w mojej pustej głowie.

Deborah szturchnęła mnie łokciem.

– Chodź! – powiedziała.

Popatrzyłem na tylne siedzenie. Cody i Astor, którzy niedawno opanowali skomplikowaną umiejętność rozpinania pasów bezpieczeństwa, zamierzali wysiąść z samochodu.

– Zostańcie w wozie – odezwałem się. – Za chwilę wrócę.

– Dokąd idziesz? – spytała Astor.

– Muszę popłynąć na tamtą wyspę – wyjaśniłem.

– Są tam zwłoki? – zainteresowała się.

– Tak – odrzekłem.

Zerknęła na Cody'ego, a potem znowu na mnie.

– Chcemy popłynąć z tobą – powiedziała.

– Nie, w żadnym wypadku. Poprzednim razem miałem dość kłopotów. Jeśli pokażę wam następne zwłoki, zginę z ręki waszej mamy.

Cody uznał to za bardzo śmieszne. Wydał z siebie cichy dźwięk i pokręcił głową.

Usłyszałem krzyk i popatrzyłem przez bramę na port jachtowy. Deborah stała na przystani i zamierzała wejść na pokład łodzi policyjnej zacumowanej do nabrzeża. Pomachała do mnie i zawołała:

– Dexter!

Astor tupnęła nogą, by zwrócić moją uwagę. Popatrzyłem na nią.

– Zostańcie tu – rzekłem. – Muszę iść.

– Chcemy popłynąć łodzią, Dexter – powtórzyła.

– Cóż, to wykluczone – odpowiedziałem. – Ale jeśli będziecie grzeczni, w weekend popłyniemy

razem moją łodzią.

– I pokażesz nam zwłoki? – spytała Astor.

– Nie – zaprzeczyłem. – Przez pewien czas nie będziemy oglądać żadnych zwłok.

– Przecież przyrzekłeś! – zawołała.

– Dexter! – znów krzyknęła Deborah. Pokiwałem do niej ręką, lecz najwyraźniej nie tego oczekiwała, bo sama zaczęła gwałtownie machać w moją stronę.

– Astor, muszę iść – powiedziałem. – Zostańcie tu. Porozmawiamy później.

– Zawsze tylko później i później! – mruknęła z niezadowoleniem.

Doszedłszy do bramy, zatrzymałem się koło stojącego w niej umundurowanego policjanta, wysokiego, tęgiego mężczyzny o czarnych włosach i bardzo niskim czole.

– Mógłby pan popilnować moich dzieci? – spytałem.

Popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

– Cóż to, czy jestem przedszkolanką?!

– Tylko parę minut – powiedziałem. – Są bardzo grzeczne.

– Posłuchaj, stary... – odezwał się, lecz nim zdążył skończyć, za jego plecami rozległ się szelest i pojawiła się Deborah.

– Wsiadaj do łodzi, Dexter, do cholery! – zawołała.

– Przepraszam – odrzekłem. – Muszę znaleźć kogoś, kto popilnuje dzieci.

Zazgrzytała zębami, a później zerknęła na wysokiego policjanta i odczytała nazwisko na identyfikatorze na jego piersi.

– Popilnujcie tych pieprzonych dzieci, Suchinsky! – rozkazała.

– Ach, niech pani da spokój, pani sierżant! – zaprotestował. – Jezu Chryste...!

– Popilnujcie dzieci, do cholery! – powtórzyła.  
– Może wreszcie się czegoś nauczysz, Dexter. Wsiadaj na tę przeklętą łódź, ale już!

Odwrociłem się potulnie i pośpieszyłem w stronę przeklętej łodzi. Deborah wyprzedziła mnie i kiedy wskoczyłem na pokład, już siedziała na swoim miejscu. Policjant kierujący łodzią popłynął ku jednej z mniejszych wysp, lawirując między zakotwiczonymi żaglówkami.

W rejonie portu jachtowego Dinner Key znajduje się kilka niewielkich wysepek zapewniających osłonę przed wiatrem i falami; jest to jeden z czynników, które sprawiają, że miejsce to jest dobrym kotwicowiskiem. Naturalnie, dobrym tylko w normalnych okolicznościach, czego dowodził wygląd wysepek. Wszędzie walały się szczątki zniszczonych łodzi i śmieci wyrzucone na brzeg po niedawnych huraganach; gdzieniegdzie

widać było slumsy zbudowane przez bezdomnych ze starych desek i fragmentów poszycia.

Płynęliśmy na jedną z mniejszych wysp. Na plaży leżała połowa piętnastometrowej łodzi wędkarskiej, przechylona pod zwariowanym kątem, a na sosnach w głębi lądu wisiały kawałki styropianu, podartego płótna oraz plastikowych płacht i worków na śmieci. Poza tym wszystko wyglądało tak jak w chwili, gdy mieszkali tu rdzenni Amerykanie – spokojny skrawek ziemi porośnięty sosnami australijskimi, zaśmiecony prezerwatywami i puszkami po piwie.

Zwłoki Kurta Wagnera stanowiły oczywiście wyjątek, gdyż prawie na pewno nie pozostawili ich tu rdzenni Amerykanie. Leżały w środku wyspy na niewielkiej polanie i, podobnie jak poprzednie ciała, ułożono je w sztywnej pozie, z rękami skrzyżowanymi na piersiach i złączonymi nogami. Nie miały głowy; były też pozbawione ubrania i zwęglone od ognia, podobnie jak trupy studentek – choć tym razem pojawił się drobny dodatek. Na szyi znajdował się medalion wielkości jajka, wykonany ze stopu cyny i ołowiu. Pochyliłem się i obejrzałem go; miał kształt byczego łba.

I znów poczułem dziwne poruszenie w wypełniającej mnie pustce, jakby jakaś część

mojego umysłu wyczuła, że to ważne, lecz nie wiedziała dlaczego ani jak to wyrazić – nie samodzielnie, nie bez podpowiedzi Pasażera.

Vince Masuoka przykucnął koło ciała i oglądał niedopałek papierosa, a Deborah uklękła obok niego. Okrążyłem ich i obejrzałem całą scenę ze wszystkich stron: Martwa Natura z Policjantami. Chyba miałem nadzieję, że znajdę jakąś niewielką, ale istotną wskazówkę. Na przykład prawo jazdy mordercy albo podpisane przyznanie się do winy. Jednak niczego takiego nie dostrzegłem – był tylko piasek z odciskami niezliczonych stóp i smugami pozostawionymi przez wiatr.

Przyklęknałem na jedno kolano koło siostry.

– Sprawdziliście, czy ma tatuaż, prawda? – spytałem.

– Na samym początku – odpowiedział Vince. Wyciągnął dłoń w gumowej rękawiczce i lekko uniósł ciało. Litery, częściowo przysypane piaskiem, były ciągle widoczne; górna część została odcięta i prawdopodobnie znajdowała się na brakującej głowie.

– To on – odezwała się Deborah. – Tatuaż, samochód w porcie... To on, Dexter. Bardzo bym chciała wiedzieć, co oznacza ten tatuaż.

– To skrót po aramejsku – wyjaśniłem.

– Skąd to wiesz, do licha? – zdziwiła się.

– Badałem te sprawy – odrzekłem i przykucnąłem obok zwłok. – Popatrz. – Podniosłem z piasku niewielką sosnową gałązkę i wskazałem tatuaż. Brakowało fragmentu pierwszej litery, odciętej razem z głową, lecz reszta była wyraźnie widoczna i pasowała do tego, czego się dowiedziałem o języku aramejskim. – To resztką litery M, dalej jest L i K.

– Co to znaczy, do cholery?! – spytała ostro Deborah.

– Moloch – wyjaśniłem. Wypowiadając to słowo, mimo woli poczułem lekki lodowaty dreszcz, choć świeciło jasne słońce. Usiłowałem o nim zapomnieć, lecz w dalszym ciągu byłem wytrącony z równowagi. – W piśmie aramejskim nie ma samogłosek. MLK oznacza Molocha.

– Albo mleko – zauważyła Deborah.

– Doprawdy, Debs, jeśli sądzisz, że morderca kazałby sobie wytatuować na karku słowo „mleko”, powinnaś się trochę przespać.

– Skoro Wagner to Moloch, kto go zabił?

– Wagner wykańcza innych – stwierdziłem, bardzo się starając mówić tonem pełnym namysłu, a jednocześnie z przekonaniem. Okazało się to trudne. – A później, cóż...

– Tak, wiem! – rzuciła. – Sama wymyśliłam to „cóż”.

– Obserwujecie Wilkinsa, prawda?



– Obserwujemy, na litość boską!

Jeszcze raz popatrzyłem na zwłoki, lecz nie zauważyłem nic, czego wcześniej nie wiedziałem; było tego bardzo niewiele. Moje myśli nie mogły się wyrwać z błędnego koła: Wagner to Moloch, lecz został zamordowany przez Molocha, a zatem...

Wstałem. Przez moment kręciło mi się w głowie, jakby oślepiło mnie jaskrawe światło, i nagle usłyszałem w oddali straszliwą muzykę, która zaczęła wypełniać upalne popołudnie. Przez chwilę nie miałem wątpliwości, że gdzieś w pobliżu jest bóg, który mnie wzywa – prawdziwy bóg, a nie wariat robiący dowcipy.

Potrząsnąłem głową, próbując uciszyć muzykę, i o mało się nie przewróciłem. Poczułem, że ktoś chwyta mnie za rękę, by mnie podtrzymać, lecz nie miałem pojęcia, czy to Debs, Vince, czy sam Moloch. W dali rozlegał się głos wypowiadający moje imię; nucił je śpiewnie w rytmie dziwnej muzyki, który znałem aż za dobrze. Przymknąłem oczy, poczułem na twarzy gorąco i dźwięki stały się głośniejsze. Coś mną potrząsnęło i otworzyłem oczy.

Muzyka ucichła. Żar okazał się po prostu słońcem Miami, a na niebie płynęły chmury niesione popołudniowym wiatrem. Deborah

trzymała mnie za łokcie i potrząsała, cierpliwie powtarzając moje imię.

– Dexter! – mówiła. – Hej, Dex, co z tobą?!  
Dexter, Dexter...

– Wszystko w porządku – odrzekłem, choć wcale nie byłem tego pewien.

– Dex, nic ci nie jest?! – dopytywała się.

– Chyba zakręciło mi się w głowie – powiedziałem.

Nie wydawała się przekonana.

– Aha – mruknęła.

– Naprawdę, Debs, już dobrze – powtórzyłem.

– Tak mi się przynajmniej zdaje.

– Tak ci się zdaje...

– Owszem. Chyba po prostu zakręciło mi się w głowie...

Spoglądała na mnie jeszcze przez chwilę, po czym dała spokój i zrobiła krok do tyłu.

– W porządku – rzekła. – W takim razie, jeśli jesteś w stanie dojść do łodzi, wracajmy.

Byłem ciągle nieco oszołomiony i słowa Debs wydały mi się bezsensowne jak zbitka przypadkowych sylab.

– Wracajmy? – wymamrotałem.

– Dexter – odezwała się. – W tej chwili jest sześć ciał, a główny podejrzany nie ma głowy.

– Zgadza się – odpowiedziałem, słysząc w tle warkot bębna. – Więc gdzie jedziemy?

Deborah zacisnęła pięści i zazgrzytała zębami. Popatrzyła na trupa i przez chwilę myślałem, że splunie.

– Co z tym gościem, którego wepchnąłeś do kanału? – spytała w końcu.

– Starzakiem? Nie, on powiedział... – Urwałem w pół słowa, lecz zrobiłem to zbyt późno, ponieważ Deborah natychmiast zaatakowała.

– Powiedział?! Kiedy z nim rozmawiałeś, kurwa mać?!

Trzeba mi oddać sprawiedliwość: w dalszym ciągu byłem oszołomiony i nie zastanawiałem się nad tym, co mówię. Znalazłem się w niezręcznej sytuacji. Nie mogłem powiedzieć siostrze, że pewnej nocy rozmawiałem ze Starzakiem, gdy leżał przymocowany do stołu taśmą klejącą i zamierzałem go pociąć na drobne kawałki. Jednak stopniowo odzyskiwałem zdolność myślenia.

– Tak mi się tylko zdawało... – rzekłem prędko. – Miałem wrażenie, że... Sam nie wiem. Wyglądało to na osobistą urazę, jakbym mu zajechał drogę.

Spoglądała na mnie przez chwilę gniewnym wzrokiem, po czym pogodziła się z tym, co powiedziałem, odwróciła się i tupnęła nogą w piasek.

– Cóż, nic więcej nie mamy – rzekła. – Nie zaszkodzi go sprawdzić.

Mówienie Debs, że dokładnie go już sprawdziłem i że wykroczyłem przy tym poza granice rutynowych procedur policyjnych, nie wydawało się dobrym pomysłem, toteż skinąłem w milczeniu głową na znak zgody.

Na niewielkiej wyspie nie było już wielu rzeczy wartych oglądania. Vince i pozostali technicy kryminalistyczni powinni dostrzec rzeczy godne uwagi, a nasza obecność tylko by im przeszkadzała. Deborah się niecierpliwiła i chciała jak najszybciej wrócić na stały ląd, by zastraszać podejrzanych. Dlatego podążyliśmy na plażę, weszliśmy na pokład łodzi policyjnej i szybko popłynęliśmy przez zatokę do portu. Kiedy wdrapałem się na nabrzeże i ruszyłem z powrotem w stronę parkingu, poczułem się nieco lepiej.

Nie zauważyłem Cody'ego i Astor, toteż podszedłem do policjanta o niskim czole.

– Dzieciaki są w wozie – rzekł, nim zdążyłem się odezwać. – Chcieli się ze mną bawić w policjantów i złodziei, ale nie jestem przedszkolanką.

Wydawał się przekonany, że jego uwaga o przedszkolance jest tak śmieszna, iż warto ją powtarzać. Nie chcąc ryzykować, że wypowie ją jeszcze raz, kiwnąłem w milczeniu głową, podziękowałem i poszedłem do auta Debs.

Zauważyłem Cody'ego i Astor, dopiero gdy znalazłem się tuż przy samym samochodzie; zastanawiałem się przez chwilę, w którym pojeździe siedzą. Lecz później dostrzegłem ich skulonych na tylnym siedzeniu, patrzących na mnie rozszerzonymi oczyma. Usiłowałem otworzyć drzwi, lecz okazały się zamknięte.

– Mogę wejść? – zawołałem przez szybę.

Cody zaczął manipulować przy zamku i po chwili drzwi się otworzyły.

– Co się stało? – spytałem.

– Spotkaliśmy przerażającego człowieka – odpowiedziała Astor.

Z początku nie miałem pojęcia, co ma na myśli, więc nie rozumiałem, dlaczego po moich plecach zaczęły spływać strużki potu.

– Policjanta? Przeraził was? – dociekałem.

– Nie chodzi o tego głupka, Dexter. Przerażającego człowieka. Jak wtedy, gdy widzieliśmy głowy.

– Tego samego przerażającego człowieka?

Zerknęli na siebie i Cody wzruszył ramionami.

– Chyba tak – odezwała się Astor.

– Widział mój cień – rzekł Cody. Mówił cichym, ochrypłym głosem.

Miło było słyszeć, że stał się taki gadatliwy; poza tym wreszcie zrozumiałem, dlaczego po

moich plecach spływa pot. Cody wspomniał już kiedyś o swoim cieniu, lecz zignorowałem jego uwagę. Przyszła pora, by posłuchać. Usiadłem na tylnym siedzeniu obok dzieci.

– Skąd wiesz, że widział twój cień, Cody?

– Sam to powiedział – wyjaśniła Astor. – A Cody widział jego cień.

Cody kiwnął głową, spoglądając na mnie uważnym, nieruchomym wzrokiem, a jego twarz jak zwykle nie wyrażała żadnych uczuć. Mimo to czułem, że ma do mnie zaufanie i wierzy, że sobie z tym wszystkim poradzę. Szkoda, że nie mogłem podzielać jego optymizmu.

– Kiedy mówisz o swoim cieniu, masz na myśli ten na ziemi, rzucany przez słońce? – spytałem ostrożnie.

Cody pokręcił głową.

– Masz jakiś inny cień? – pytałem dalej.

Popatrzył na mnie takim wzrokiem, jakbym zadał pytanie, czy nosi spodnie, lecz kiwnął głową.

– W środku – odpowiedział. – Wewnętrzny cień, tak jak ty kiedyś.

Usiadłem wygodniej i udawałem, że oddycham. „Wewnętrzny cień”. Był to idealny opis – elegancki, zwięzły i ścisły. To, że Cody

dodał, iż ja również miałem niegdyś taki cień, wydało mi się niemal wzruszające.

Naturalnie odczuwanie wzruszeń nie służy niczemu pożytecznemu i zwykle udaje mi się tego unikać. W tym wypadku potrząsnąłem sobą w duchu i zacząłem się zastanawiać, co się stało z dumnymi wieżami Zamku Dextera, dawniej wyniosłymi i ozdobionymi jedwabnymi sztandarami czystego rozumu. Doskonale pamiętałem, że niegdyś byłem inteligentny, a jednak teraz ignorowałem coś ważnego, ignorowałem stanowczo za długo. Problem nie polegał na tym, o czym mówi Cody, tylko dlaczego go wcześniej nie rozumiałem.

Cody zobaczył innego drapieżnika i natychmiast go poznał, gdy mieszkająca w nim mroczna istota usłyszała ryk spokrewnionego ze sobą potwora. W ten sam sposób ja również rozpoznawałem inne potwory, kiedy towarzyszył mi Pasażer. Nieznajomy także się zorientował, co ma w sobie Cody. Ale dlaczego Cody i Astor przestraszyli się do tego stopnia, że schowali się w samochodzie...?

– Czy ten człowiek coś do was mówił? – spytałem.

– Dał mi to – odrzekł Cody. Wyjął żółtawą wizytówkę i wręczył mi ją.



Na wizytówce znajdował się stylizowany wizerunek byczego łba, dokładnie taki sam, jaki widziałem na szyi Kurta na wyspie. A poniżej zobaczyłem idealną kopię jego tatuażu: MLK.

Otworzyły się przednie drzwi samochodu i Deborah zajęła miejsce za kierownicą.

– Jedziemy – rzekła. – Siadaj na swoim miejscu. – Włożyła kluczyk do stacyjki i zapaliła silnik, nim zdążyłem coś powiedzieć.

– Zaczekaj chwilę! – poprosiłem, gdy udało mi się złapać oddech.

– Nie mam czasu, do cholery! – warknęła. – Siadaj!

– On tu był, Debs – powiedziałem.

– Na litość boską, Dex, jaki on?

– Nie wiem – przyznałem.

– Więc skąd wiesz, że tu był?

Pochyliłem się do przodu i wręczyłem jej wizytówkę.

– Zostawił to – rzekłem.

Deborah wzięła wizytówkę, zerknęła na nią i upuściła na siedzenie jak ukąszona przez jadowitą kobrę.

– O kurwa! – zaklęła. Zgasiła silnik. – Gdzie to zostawił?

– Dał Cody’emu – powiedziałem.

Popatrzyła po kolei na mnie, Cody’ego i Astor.

– Dlaczego zostawił to dziecku? – spytała.

– Ponieważ... – odezwała się Astor, lecz natychmiast zasłoniłem jej dłonią usta.

– Nie przerywaj! – rozkazałem, nim zdążyła coś powiedzieć o cieniach.

Nabrała powietrza w płuca, ale się nie odezwała i siedziała bez ruchu, niezadowolona, że nie pozwoliłem jej mówić. Mimo to wydawało się, że na jakiś czas się z tym pogodziła. Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, cała czwórka, wielka nieszczęśliwa rodzina.

– Dlaczego nie włożył wizytówki za wycieraczkę albo nie wysłał pocztą? – rzekła w końcu Deborah. – I po jaką cholere nam ją dał?! Po co ją w ogóle wydrukował, na litość boską?!

– Dał ją Cody’emu, by nas przestraszyć – odpowiedziałem. – Chce nam przekazać następującą informację: „Widzicie? W każdej chwili mogę zadać cios w wasz słaby punkt”.

– Próbuje się popisywać – zauważyła Deborah.

– Tak, myślę, że o to właśnie chodzi – odparłem.

– Cóż, po raz pierwszy zrobił coś, co ma jakikolwiek sens, do cholery! – Deborah uderzyła dłońmi w kierownicę. – Skoro nas prowokuje jak jakiś cholerny psychopata, sugerując, że nie potrafimy go złapać, bardzo

chętnie zaakceptuję jego reguły gry! I, na Boga, złapię tego sukinsyna! – Popatrzyła na mnie. – Włóż wizytówkę do torebki na dowody i każ dzieciom podać rysopis. – Otworzyła drzwi, wyskoczyła z samochodu i poszła porozmawiać z barczystym policjantem, Suchińskim.

– Pamiętacie, jak wyglądał ten człowiek? – zwróciłem się do dzieci.

– Tak – odrzekła Astor. – Czy rzeczywiście zaakceptujemy jego reguły gry, jak powiedziała twoja siostra?

– Nie miała na myśli zabawy w chowanego. On sugeruje, że nigdy go nie złapiemy, i rzuca nam wyzwanie – odrzekłem.

– Czym to się różni od chowanego? – spytała Astor.

– W czasie zabawy w chowanego nikt nie zostaje zabity – wyjaśniłem. – Więc jak wyglądał?

Wzruszyła ramionami.

– Był stary.

– Bardzo stary? Miał siwe włosy i zmarszczki?

– Nie, taki stary jak ty – odpowiedziała.

– A, taki jak ja... – mruknąłem, czując na swoim czole dotyk lodowatej dłoni śmiertelności, która pozostawiła po sobie słabość i drżenie rąk. Nie był to obiecujący pierwszy krok na drodze do uzyskania szczegółowego

rysopisu, lecz Astor miała dziesięć lat, a w tym wieku wszyscy dorośli wydają się równie nieciekawi. Było jasne, że Deborah postąpiła słusznie, decydując się na rozmowę z tęym policjantem. Sprawa wyglądała beznadziejnie, ale musiałem spróbować.

Nagle poczułem przypływ natchnienia – a przynajmniej czegoś, co mogło uchodzić za natchnienie w moim obecnym stanie zaniku zdolności umysłowych. Przerazającym mężczyzną mógł być Starzak, który mnie ścigał – miałoby to przynajmniej jakiś sens.

– Pamiętasz coś jeszcze? Mówił z dziwnym akcentem?

– Masz na myśli francuski akcent albo coś w tym rodzaju? – spytała i pokręciła przecząco głową. – Nie, mówił normalnie. Kim jest Kurt?

Przesadą byłoby twierdzić, że nagle zabiło mi serce, lecz z pewnością coś we mnie zadrżało.

– Kurt to zamordowany mężczyzna, którego zwłoki niedawno oglądałem. Dlaczego pytasz?

– Powiedział, że któregoś dnia Cody będzie znacznie lepszym pomocnikiem niż Kurt – wyjaśniła.

We wnętrzu Dextera zapanował lodowaty chłód.

– Doprawdy, cóż za miły człowiek... – zauważyłem.

– Wcale nie miły, Dexter, tylko przerażający. Już ci mówiliśmy.

– Ale jak wyglądał, Astor? – spytałem bez autentycznej nadziei, że uzyskam odpowiedź. – Jak możemy go złapać, jeśli nie znamy jego rysopisu?

– Nie musicie go łapać, Dexter – odrzekła tym samym, lekko zirytowanym tonem. – Powiedział, że go znajdziesz, gdy nadejdzie odpowiedni moment.

Świat zatrzymał się na chwilę i poczułem, jak całe moje ciało oblewa się lodowatym potem.

– Co dokładnie powiedział? – wykrztusiłem, gdy czas znów ruszył z miejsca.

– Kazał ci powtórzyć, że go znajdziesz, gdy nadejdzie odpowiedni moment – odparła. – Przed chwilą to powiedziałam.

– Jak to sformułował? – spytałem. – „Powiedz tacie”? „Powiedz mu”? Jakich dokładnie słów użył?

Znowu westchnęła.

– „Powtórz Dexterowi” – odrzekła powoli, bym zrozumiał. – Powiedział: „Powtórz Dexterowi, że mnie znajdzie, gdy nadejdzie odpowiedni moment”.

Przypuszczam, że powinienem być jeszcze bardziej przerażony. Ale, co dziwne, tak się nie stało. Zamiast tego poczułem ulgę. Teraz

wiedziałem na pewno, że ktoś mnie tropi. To, czy był bóstwem, czy śmiertelnikiem, nie miało już żadnego znaczenia; dopadnie mnie w odpowiednim czasie, cokolwiek to może znaczyć.

Chyba że najpierw ja dopadnę jego.

Była to głupia myśl prosto z szatni szkoły średniej. Jak dotychczas nie potrafiłem wyprzedzić tajemniczego nieznanego nawet o pół kroku, a cóż dopiero go zidentyfikować. Wiedziałem, że mnie tropi, terroryzuje, ściga; doprowadził mnie do stanu mrocznego niepokoju, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczyłem.

Wiedział, kim jestem, czym jestem i gdzie przebywam, a ja nawet nie miałem pojęcia, jak wygląda.

– Proszę cię, Astor, to ważne – odezwałem się.  
– Czy był bardzo wysoki? Nosił brodę? Wyglądał jak Kubańczyk? Murzyn?

Wzruszyła ramionami.

– Normalny biały – odpowiedziała. – Nosił okulary. Zwykły człowiek, no wiesz.

Nie wiedziałem, co to znaczy, lecz nie musiałem się do tego przyznawać, ponieważ Deborah otworzyła drzwi samochodu i weszła do środka.

– Jezu, jak można być takim kompletnym idiotą?! – odezwała się.

– Czy to znaczy, że policjant Suchinsky nie miał wiele do powiedzenia? – spytałem.

– Miał mnóstwo do powiedzenia, ale same kretyńskie nonsensy. Jego zdaniem ten mężczyzna mógł przyjechać zielonym samochodem. To właściwie wszystko.

– Niebieskim – wtrącił Cody i wszyscy popatrzyliśmy na niego. – Samochód był niebieski.

– Komu mam w tej sytuacji wierzyć? – spytała Deborah. – Małemu chłopcu czy jakiemuś kurewskiemu tępakowi, który służy w policji od piętnastu lat?

– Nie powinnaś kląć – wtrąciła Astor. – Jesteś mi winna pięć i pół dolara. Cody ma rację, samochód był niebieski. Ja także go widziałam.

Zerknąłem na Astor, lecz czułem na sobie uważny wzrok Debs, więc znów spojrzałem na siostrę.

– I co o tym sądzisz? – zwróciła się do mnie.

– Cóż, bez brzydkich słów, to dwójka bardzo inteligentnych dzieci, a policjant Suchinsky nigdy nie zostanie członkiem Mensy – stwierdziłem.

– Więc mam im wierzyć? – spytała.

– Ja wierzę.

Deborah zastanawiała się przez chwilę, poruszając wargami, jakby coś przeżuwała.

– W porządku – rzekła w końcu. – Czyli wiemy, że jeździ niebieskim autem, jak co trzeci mieszkaniec Miami. Powiedz mi, jak może mi to pomóc.

– Wilkins ma niebieski samochód – zauważyłem.

– Wilkins jest pod obserwacją, do diabła! – prychnęła.

– Skontaktuj się z ludźmi, którzy go śledzą.

Popatrzyła na mnie, przygryzła wargi, wzięła krótkofalówkę i wysiadła. Zaczęła rozmawiać i usłyszałem, że podnosi głos. Potem wypowiedziała następne bardzo brzydkie słowo, a Astor spojrzała na mnie i pokręciła głową. W końcu Deborah wsiadła z powrotem do samochodu i zatrzasnęła drzwi.

– Sukinsyn! – zaklęła.

– Zgubili go?

– Nie, jest w domu. Przed chwilą wrócił.

– Gdzie był?

– Nie mają pojęcia – odpowiedziała. – Zgubili go w czasie zmiany.

– Co takiego?

– Balfour kończył służbę, a DeMarco zaczynał – odparła. – Wymknął się, gdy się zmieniali.



Przysięgają, że nie było go zaledwie dziesięć minut.

– Jego dom jest pięć minut jazdy stąd.

– Wiem – rzuciła z goryczą. – Co zrobimy?

– Niech dalej obserwują Wilkinsa – odrzekłem. – A ty porozmawiaj ze Starzakiem.

– Pojedziesz ze mną, prawda? – spytała.

– Nie – odpowiedziałem. Nie miałem najmniejszej ochoty na spotkanie ze Starzakiem i przynajmniej raz miałem gotową idealną wymówkę. – Muszę zawieźć dzieci do domu.

Popatrzyła na mnie z kwaśną miną.

– A jeśli to nie Starzak? – odezwała się.

Pokręciłem głową.

– Nie mam pojęcia – odparłem.

– Tak, ja też nie mam pojęcia – mruknęła i zapuściła motor. – Zapnij pasy.

Kiedy wróciliśmy na komendę, było już po piątej i chociaż Deborah spoglądała na mnie z kwaśną miną, zapakowałem Cody'ego i Astor do mojego skromnego samochodu i pojechaliśmy do domu. W trakcie jazdy prawie cały czas milczeli, najwyraźniej ciągle wstrząśnięci po spotkaniu z przerażającym mężczyzną. Ale odznaczali się wielką odpornością psychiczną, czego dowodzi fakt, że w ogóle potrafili mówić po tym, co im zrobił biologiczny ojciec. Gdy znaleźliśmy się zaledwie dziesięć minut drogi od domu, Astor zaczęła dochodzić do siebie.

– Szkoda, że nie jeździsz jak sierżant Debbie – rzekła.

– Zamierzam jeszcze trochę pożyć – odpowiedziałem.

– Dlaczego nie masz syreny? – spytała. – Nie jest ci potrzebna?

– Technicy kryminalistyczni nie używają syren. Zresztą nie chciałbym. Wolę się nie afiszować.

Zauważyłem w lusterku wstecznym jej zmarszczone brwi.

– Co to znaczy?

– Że nie mam ochoty zwracać na siebie uwagi – odparłem. – Nie chcę, żeby ludzie mnie zauważali. Wy również musicie się tego nauczyć – dodałem.

– Wszyscy chcą, by ich zauważano – odparła. – Nic innego nie robią, tylko się starają, by ludzie się na nich gapili.

– Wy dwoje jesteście inni – rzekłem. – Zawsze będziecie inni, nie tacy jak wszyscy. – Przez długi czas się nie odzywała i zerknąłem na nią w lusterku. Spoglądała na swoje stopy. – To niekoniecznie coś złego – ciągnąłem. – Jaki jest synonim słowa „normalny”?

– Nie wiem – odparła stłumionym głosem.

– „Przeciętny”. Naprawdę chcecie być przeciętni?

– Nie – przyznała, już trochę mniej nieszczęśliwa. – Ale jeśli nie będziemy przeciętni, ludzie nas zauważą.

– Właśnie dlatego musicie się nauczyć nie afiszować – powiedziałem, skrycie zadowolony z tego, jak rozmowa zatoczyła krąg i doprowadziła do potwierdzenia mojej tezy. – Musicie udawać, że tak naprawdę jesteście normalni.

– Więc nie wolno nam nigdy komukolwiek zdradzić, że jesteśmy inni – rzekła. – Absolutnie nikomu.

– Zgadza się.

Popatrzyła na brata i odbyli kolejną długą niemą rozmowę. Czułem się dobrze w ciszy; jechałem zatłoczonymi ulicami i rozczulałem się nad sobą.

– To znaczy, że nie powinniśmy mówić mamie, co dziś robiliśmy – odezwała się Astor po kilku minutach.

– Możecie jej opowiedzieć o mikroskopie.

– Ale nie o innych rzeczach? – spytała Astor. – Nie o przerażającym człowieku i jeździe z sierżant Debbie?

– Nie – uciałem.

– Przecież nie wolno nikogo okłamywać. Zwłaszcza mamy.

– Dlatego nie mówcie jej wszystkiego. Nie musi nic wiedzieć o rzeczach, które by ją za bardzo zmartwiły.

– Mama nas kocha – powiedziała Astor. – Chce, żebyśmy byli szczęśliwi.

– Tak, ale powinna myśleć, że jesteście szczęśliwi w sposób, który jest dla niej zrozumiały. Inaczej sama nie byłaby szczęśliwa.

Znów zapadła długa cisza, aż wreszcie, nim skręciłem w ulicę, przy której znajdował się dom

Rity, Astor spytała:

– Czy ten przerażający człowiek ma matkę?

– Prawie na pewno – odpowiedziałem.

Rita musiała na nas czekać za drzwiami frontowymi, bo gdy tylko zatrzymaliśmy samochód przed domem, natychmiast wyszła nam na spotkanie.

– Witajcie! – rzekła pogodnym tonem. – Czego się dzisiaj nauczyliście?

– Widzieliśmy ziemię z mojego buta – odparł Cody.

Rita zatrzepotała powiekami.

– Doprawdy? – zdziwiła się.

– I okruszek popcornu – dodała Astor. – Patrzyliśmy w mikrofon i mogliśmy się dowiedzieć, gdzie byliśmy.

– Mikroskop – poprawił Cody.

– Nieważne. – Astor wzruszyła ramionami. – Oglądaliśmy też włosy i rozpoznawaliśmy, skąd się wzięły. Z kozy czy dywanu.

– Wow! – westchnęła Rita, trochę skonsternowana i niepewna. – Domyślam się, że świetnie się bawiliście?

– Tak – odrzekł Cody.

– Cóż, więc może zabierzcie się do odrabiania lekcji, a ja przygotuję coś do zjedzenia – powiedziała.

– W porządku – rzekła Astor i pośpieszyła wraz z Codym do domu. Rita odprowadziła ich wzrokiem, a później odwróciła się w moją stronę i ujęła mnie pod rękę. Podążyliśmy za dziećmi.

– Więc wszystko poszło dobrze? – spytała. – To znaczy... Wydawali się tacy, eee...

– Tak, myślę, że wreszcie zaczynają rozumieć, że można ponieść konsekwencje głupich zachowań.

– Nie pokazałeś im niczego zbyt ponurego, prawda?

– Bynajmniej. Ani odrobiny krwi.

– To dobrze – rzekła i oparła głowę na moim ramieniu. Myślę, że jest to część ceny, jaką trzeba zapłacić, gdy ma się kogoś poślubić. A może był to po prostu sposób oznaczania swojego terytorium. Jeśli tak, powinienem bardzo się cieszyć, że Rita nie robiła tego tradycyjnymi zwierzęcymi metodami. Tak czy inaczej, nie jestem w stanie zrozumieć, jak można okazywać uczucia za pomocą kontaktu fizycznego. Czuję się trochę niezręcznie, jednak objąłem ją ramieniem, gdyż wiedziałem, że jest to prawidłowa ludzka reakcja, po czym ruszyliśmy za dziećmi do domu.

\* \* \*

Jestem zupełnie pewien, że nie należy tego nazywać snem. Ale w nocy w mojej biednej skołowanej głowie znów rozległy się dźwięki – muzyka, śpiew i brzęk gongów, które słyszałem już wcześniej. Czuję na twarzy gorąco i w od dawna opustoszałym miejscu w moim umyśle wezbrała dzika radość. Obudziłem się, stojąc przed frontowymi drzwiami z ręką na klamce, zlany potem, zadowolony, spełniony, pozbawiony niepokoju, który powinienem był odczuwać.

Naturalnie znam termin „lunatyk”. Ale pamiętam z wykładów psychologii na pierwszym roku studiów, że ludzie nie stają się lunatykami, ponieważ słyszą muzykę. W głębi duszy czuję, że powinienem być zaniepokojony, zdenerwowany, zmartwiony, rozpaczać z powodu tego, co się dzieje w mojej podświadomości. Nie powinienem przeżywać czegoś takiego, było to kompletnie niemożliwe – a jednak się działo. I sprawiało mi przyjemność. Właśnie to najbardziej mnie przerażało.

Nie chciałem słuchać tej muzyki w Sali Koncertowej Dextera. Nie była mi potrzebna. Chciałem, by umilkła. Lecz pojawiła się, grała i sprawiła, że wbrew własnej woli stałem się nieziemsko szczęśliwy, po czym znalazłem się

przy drzwiach frontowych, najwyraźniej usiłując wyjść na dwór...

I co dalej? Przyszła mi do głowy nagła myśl, która zrodziła się w głębi mojego jaszczurczego mózgu...

Czy uległem przypadkowemu impulsowi? Czy wstałem z łóżka i poszedłem do drzwi z powodu jakiegoś niepojętego poruszenia w swojej podświadomości? A może coś próbowało mnie skłonić do otwarcia drzwi i wyjścia z domu? Nieznajomy intruz powiedział dzieciom, że w odpowiednim czasie go znajdę. Czy nadszedł odpowiedni czas?

Czy ktoś chce, by Dexter był w nocy samotny i pozbawiony świadomości?

Była to cudowna myśl i czułem ogromną dumę, że mi przyszła do głowy. Oznaczała, że mam uszkodzony mózg i nie odpowiadam za swoje czyny. Znów przecierałem nowe szlaki w krainie głupoty. Wpadłem w idiotyczną histerię wywołaną przez stres. Nikt na świecie nie mógł mieć tyle czasu do zmarnowania; Dexter jest ważny wyłącznie dla Dextera. Aby tego dowieść, włączyłem reflektor na ganku od frontu i otworzyłem drzwi.

Po przeciwnej stronie ulicy, około piętnastu metrów na zachód, stał jakiś samochód. Kierowca uruchomił silnik i odjechał.



Zatrzasnąłem drzwi i zamknąłem na dwa zamki.

I znowu usiadłem przy stole w kuchni, popijałem kawę i zastanawiałem się nad wielką tajemnicą życia.

Kiedy siadałem, zegar wskazywał trzecią trzydzieści dwie, a o szóstej do kuchni weszła w końcu Rita.

– Dexter... – odezwała się z wyrazem sennego zdziwienia na twarzy.

– Tak, to ja – odpowiedziałem, z wielkim trudem zachowując sztuczną beztroskę.

Zmarszczyła brwi.

– Co się stało?

– Nic – odrzekłem. – Po prostu nie mogłem zasnąć.

Rita pochyliła głowę, poczłapała do ekspresu i naląła sobie filiżankę kawy. Usiadła przy stole naprzeciwko mnie i wypila łyk.

– Dexter, wahania to coś zupełnie normalnego – powiedziała.

– Naturalnie – zgodziłem się, nie mając pojęcia, co ma na myśli. – Bez wahań kursów nie można grać na giełdzie.

Pokręciła lekko głową i uśmiechnęła się ze znużeniem.

– Wiesz, o co mi chodzi – rzekła, niezgodnie z prawdą. – Mam na myśli wahania dotyczące

ślubu.

W tylnej części mojej głowy zapaliło się słabe światełko i prawie powiedziałem na głos: „Aha”. Jasne, ślub. Kobiety mają obsesję na punkcie ślubów, nawet jeśli same nie wychodzą za mąż. Kiedy chodzi o ich własny ślub, myślą o nim na okrągło, na jawie i we śnie. Rita patrzyła na wszystko z perspektywy ślubu. Skoro nie mogłem spać, na pewno miałem złe sny wywołane przez zbliżające się wesele.

W przeciwieństwie do niej ja nie przejmowałem się tą sprawą w taki sam sposób. Istniało mnóstwo ważnych spraw, o które musiałem się martwić, a ślub był czymś z góry ustalonym. W pewnym momencie przyjdę, odbędzie się krótka uroczystość i to wszystko. Oczywiście nie mogłem namawiać Rity, by podzielała ten punkt widzenia, niezależnie od tego, jak rozsądny mi się wydawał. Nie, musiałem podać wiarygodne wyjaśnienie, dlaczego nie zmrużyłem oka przez całą noc, a na dodatek powinienem okazać entuzjazm dla cudownego wydarzenia, które zbliżało się wielkimi krokami.

Rozejrzałem się po kuchni, szukając jakiejś wskazówki, i w końcu zauważyłem dwa pojemniki na lunch stojące koło zlewu. Doskonały sposób, by zacząć: sięgnąłem w głąb

wilgotnego szlamu wypełniającego mój umysł i wyciągnąłem jedyną rzecz, która nie była całkowicie mokra.

– A jeśli się nie nadaję na ojca Cody’ego i Astor? – spytałem. – Jak mogę odgrywać rolę ojca, skoro nim nie jestem? Może nie dam sobie rady?

– Och, Dexter, jesteś wspaniałym ojcem – odpowiedziała. – Przepadają za tobą.

– Ale... – odezwałem się, próbując wypaść jak najbardziej wiarygodnie i zastanawiając się nad dalszym ciągiem. – Teraz to jeszcze małe dzieci. Co będzie później? Kiedy zechcą się czegoś dowiedzieć o swoim prawdziwym ojcu...

– Wiedzą o tym sukinsynu wszystko, co potrzeba! – rzuciła ostro. Byłem zaskoczony, bo jeszcze nigdy nie słyszałem, by klęła. Może rzeczywiście był to pierwszy raz, bo zaczęła się rumienić. – Ty jesteś ich prawdziwym ojcem – dodała. – Szanują cię, słuchają i kochają. Właśnie takiego ojca potrzebują.

Przypuszczam, że częściowo pokrywało się to z prawdą, gdyż tylko ja mogłem ich nauczyć Kodeksu Harry’ego i innych rzeczy, które powinni wiedzieć, choć podejrzewałem, że Rita ma na myśli coś zupełnie innego. Jednak poruszanie tego tematu nie wydawało się rozsądne, toteż rzekłem po prostu:

– Chciałbym być dla nich dobrym ojcem. Nie mogę popełnić żadnych błędów.

– Och, Dex, ludzie zawsze popełniają błędy – odparła. Miała całkowitą rację. Wiele razy zauważyłem, że skłonność do popełniania błędów to jedna z cech wyróżniających ludzi jako gatunek. – Ale staramy się je naprawiać i wszystko dobrze się kończy. Zawsze tak jest. Będiesz wspaniałym ojcem, przekonasz się.

– Naprawdę tak uważasz? – spytałem, tylko lekko zawstydzony swoim haniebnym popisem.

– Jestem tego absolutnie pewna – odrzekła i uśmiechnęła się do mnie w swój charakterystyczny sposób. Wyciągnęła rękę nad stołem i ujęła moją dłoń. – Nie pozwolę ci popełniać błędów – dodała. – Teraz należysz do mnie.

Było to śmiałe twierdzenie; jednym krótkim zdaniem odrzuciła Proklamację Emancypacji, która zniosła niewolnictwo, i uznała mnie za swoją własność. Jednak jej słowa rozładowały niezręczną atmosferę, toteż pominąłem tę kwestię milczeniem.

– W porządku – powiedziałem. – Zjedzmy śniadanie.

Pochyliła głowę i spoglądała na mnie przez chwilę, aż zdałem sobie sprawę, że w moim

głosie musiała zabrzmieć fałszywa nuta.  
Mrugnęła kilka razy i rzekła:

– Dobrze. – Wstała i zaczęła szykować  
śniadanie.

\* \* \*

W nocy istota podkrađła się do drzwi,  
a potem zatrzasnęła je ze strachem – nie było  
wątpliwości, że to strach. Istota odczuwała go już  
wcześniej. Usłyszała wezwanie i ogarnął ją lęk.  
Patrzący był tego pewien.

Przyszedł czas.

Wreszcie.

Byłem zmęczony do szpiku kości, oszołomiony i, co najgorsze, ciągle przerażony. Każdy beztroski ryk klaksonu sprawiał, że podskakiwałem, szarpiąc pasy, i szukałem jakiejś broni, by stawić czoła niebezpieczeństwu. Kiedy przypadkowe, niewinne auta zbliżały się do mojego zderzaka na odległość kilku centymetrów, przyłapywałem się na tym, że spoglądam wściekle w lusterko, czekając na nietypowo agresywny ruch lub eksplozję znienawidzonej muzyki ze snu atakującej moją głowę.

Coś mnie tropiło. Ciągle nie wiedziałem, co ani dlaczego; byłem pewien jedynie, że istnieje jakiś niejasny związek tego ze starożytnym bóstwem. Zrozumiałem, że mnie tropi i nawet jeśli nie jest w stanie mnie natychmiast dopaść, próbuje mnie zmęczyć do tego stopnia, by kapitulacja wydała się wyzwoleniem.

Jakże kruchy jest człowiek – a bez Pasażera nie byłem niczym więcej tylko kiepską imitacją człowieka. Słabą, miękką, powolną, głupią, niezdolną widzieć, słyszeć i rozumieć, bezradną,

beznadziejną i udręczoną. Tak, byłem prawie gotów położyć się i czekać, aż to coś po mnie przejedzie, czymkolwiek jest. Skapitulować, pozwolić, by pochłonęła mnie muzyka i uniosła w radosny ogień i pusty błogostan śmierci. Nie będzie walki, negocjacji, tylko koniec wszystkiego, co jest Dexterem. Po kilku nocach podobnych do ostatniej nie będę miał nic przeciwko temu.

Nawet w pracy nie miałem chwili ulgi. Deborah już na mnie czekała i podbiegła, gdy tylko wyszedłem z windy.

– Starzak zaginał – oświadczyła. – W skrzynce pocztowej są listy z kilku dni, przed domem walają się gazety... Przepadł jak kamień w wodę.

– To chyba dobra wiadomość, Debs – odrzekłem. – Skoro uciekł, czy to nie dowód, że jest winny?

– Gównu, a nie dowód! – prychnęła. – Kurt Wagner też zniknął i znaleźliśmy jego zwłoki. Skąd mogę wiedzieć, że tak samo nie będzie ze Starzakiem?!

– Możemy rozesłać listy gończe – zaproponowałem. – Dostaniemy go pierwsi.

Kopnęła nogą w ścianę.

– Kurwa mać, niczego nie zrobiliśmy pierwsi, a nawet punktualnie! – warknęła. – Pomóż mi,

Dex! Ta sprawa doprowadza mnie do szaleństwa!

Mogłem powiedzieć, że ze mną jest jeszcze gorzej, lecz nie wydawało się to rozsądne.

– Spróbuję – odpowiedziałem, a Deborah odeszła korytarzem jak zбитy pies.

Na progu mojej klitki czekał na mnie Vince Masuoka. Na jego twarzy malowała się udawana irytacja.

– Gdzie są pączki? – spytał oskarżycielsko.

– Jakie pączki? – zdziwiłem się.

– Teraz twoja kolej – przypomniał. – Dziś to ty powinieneś przynieść pączki!

– Miałem nieprzyjemną noc – odpowiedziałem.

– Więc wszyscy mamy mieć nieprzyjemny poranek?! – spytał ostro. – Twoim zdaniem to sprawiedliwe?!

– Nie zajmuję się wymierzaniem sprawiedliwości, Vince – rzekłem. – Analizuję ślady krwi.

– Hm – mruknął. – Wygląda na to, że nie zajmujesz się również pączkami!

Odszedł z wyrazem słusznego oburzenia na twarzy; wydawało się ono prawie autentyczne. Przyszło mi do głowy, że właściwie nie pamiętam sytuacji, gdy Vince zdołał mnie pokonać w czasie dyskusji. Kolejna oznaka, że



jestem u kresu sił. Czyżby biedny Degenerat Dexter ostatecznie się staczał?

Reszta dnia pracy koszmarnie się wlokła, czyli sytuacja była dokładnie taka, jak zwykle opisują to ludzie. W przypadku Dextera jest zupełnie inaczej; w pracy zawsze okazuję sztuczną wesołość i zaaferowanie; nigdy nie patrzę na zegar ani się nie skarżę. Może lubię pracować, bo zdaję sobie sprawę z tego, że to część gry, fragment wielkiego żartu polegającego na udawaniu przeze mnie człowieka? Ale naprawdę dobry dowcip musi mieć przynajmniej jednego słuchacza, a ponieważ zostałem sam, pozbawiony swojej wewnętrznej publiczności, nie potrafiłem zrozumieć puenty.

Dzielnie pracowałem przez resztę ranka, obejrzałem zwłoki w centrum miasta i wróciłem, by wykonać serię bezsensownych badań laboratoryjnych. Zakończyłem dzień pracy, składając kilka zamówień na odczynniki i uzupełniając raport. Kiedy porządkowałem biurko przed wyjściem do domu, rozległ się dzwonek telefonu.

– Potrzebuję twojej pomocy – rzuciła szorstko moja siostra.

– Jasne, że tak – odrzekłem. – Miło mi, że to przyznajesz.

– Mam służbę do północy – powiedziała, ignorując moją dowcipną, złośliwą ripostę. – Kyle nie jest w stanie sam założyć osłon na okna.

Bardzo często w połowie rozmowy zdaję sobie sprawę, że nie wiem, o czym mówię. To niepokojące uczucie, chociaż gdyby inni ludzie uświadomili sobie to samo, zwłaszcza politycy z Waszyngtonu, żylibyśmy w znacznie lepszym świecie.

– Po co Kyle zakłada osłony na okna? – spytałem.

– Jezu Chryste, Dexter, w jakim ty świecie żyjesz?! – prychnęła Deborah. – Zbliża się huragan.

Mogłem odpowiedzieć, że w jakimkolwiek świecie żyję, nie mam czasu siedzieć w fotelu i słuchać w radio prognoz pogody. Zamiast tego odrzekłem:

– Huragan, doprawdy... Bardzo ekscytujące. Kiedy się zacznie?

– Postaraj się przyjechać około szóstej. Kyle będzie na ciebie czekać – odpowiedziała.

– W porządku – odparłem, lecz już odłożyła słuchawkę.

Doskonale znam sposób mówienia swojej siostry i chyba powinienem uznać jej telefon za rodzaj oficjalnych przeprosin za jej niedawną absurdalną wrogość. Niewykluczone, że

zaakceptowała Mrocznego Pasażera, zwłaszcza że zniknęła. Powinienem być szczęśliwy z tego powodu, ale w takim dniu była to tylko jeszcze jedna drzazga wbita pod paznokiec biednego Załamanego Dextera. Na dodatek pojawił się jeszcze huragan, wybierając najgorszy moment, by mnie dręczyć w bezcelowy sposób. Czy ból i cierpienie, które muszę znosić, nie będą miały końca?

Ach, życie to kraina nieszczęść... Wyszedłem z pracy, by się spotkać z wybrankiem Debs.

Zanim włączyłem silnik samochodu, zatelefonowałem do Rity, która według moich kalkulacji powinna już prawie dotrzeć do domu.

– Dexter, nie pamiętam, ile mamy wody w butelkach, a w supermarkecie Publix kolejki sięgają aż na parking! – rzekła bez tchu.

– Cóż, po prostu będziemy pić piwo – odpowiedziałem.

– Myślę, że wystarczy nam puszek, chociaż gulasz wołowy ma już dwa lata – ciągnęła, nie zwracając uwagi na moje słowa. Pozwoliłem jej gadać w nadziei, że w końcu się zmęczy. – Dwa tygodnie temu sprawdziłam latarki – dodała. – Kiedy przez czterdzieści minut nie było światła, pamiętasz? Zapasowe baterie leżą w lodówce na dolnej półce, z tyłu. Cody i Astor są ze mną, jutro nie ma zajęć pozalekcyjnych, ale ktoś powiedział

im w szkole o huraganie Andrew i Astor wydaje się trochę wystraszona, więc może mógłbyś z nimi porozmawiać po powrocie do domu? Wytłumacz im, że to po prostu wielka burza i że nic nam się nie stanie; przez pewien czas będzie trochę wiatru, hałasu i zgasną światła. Jeśli po drodze zobaczysz jakiś sklep, w którym nie ma dużej kolejki, zatrzymaj się i kup wodę w butelkach, ile tylko możesz. I trochę lodu; zdaje się, że na półce nad pralką ciągle leży lodówka turystyczna; możemy włożyć do niej lód i łatwo psujące się artykuły. Och... co z twoją łodzią? Jest zacumowana w bezpiecznym miejscu czy musisz coś z nią zrobić? Chyba zdążymy zabrać rzeczy z ogrodu przed zmrokiem, wszystko będzie dobrze, huragan pewnie i tak ominie Miami.

– Wrócę dziś trochę później – poinformowałam.

– Dobrze. Ach, w supermarkecie Winn-Dixie nie ma dużej kolejki. Spróbujemy zrobić zakupy, widzę wolne miejsce do parkowania. Cześć!

Nigdy nie uważałbym tego za możliwe, lecz Rita najwyraźniej nauczyła się obywać bez oddychania. A może po prostu wystarczał jej jeden oddech na godzinę, jak wielorybowi? Tak czy inaczej, był to inspirujący popis, po którym poczułem się lepiej przygotowany do

montowaniu osłon na okna wraz z jednorękim narzeczonym mojej siostry. Uruchomiłem silnik samochodu i włączyłem się do ruchu.

Normalnie w godzinach szczytu na ulicach panuje chaos, lecz przed nadejściem huraganu rozpętuje się szaleństwo – można odnieść wrażenie, że zbliża się koniec świata. Każdy za wszelką cenę chce jak najszybciej zdobyć sklejkę i baterie. Kierowcy zachowywali się tak, jakby mieli ochotę zabić wszystkich, którzy mogliby im przeszkodzić w dotarciu do sklepu. Jazda do niewielkiego domu Debs w Coral Gables nie trwała długo, lecz gdy wreszcie zatrzymałem samochód na podjeździe, czułem się, jakbym przeszedł obrzęd inicjacyjny Apaczów.

Kiedy wysiadłem z wozu, otworzyły się drzwi frontowe i ukazał się Chutsky.

– Witaj, stary! – zawołał. Radośnie pomachał stalowym hakiem, który zastępował mu lewą dłoń, i ruszył ścieżką, by się ze mną przywitać. – Dzięki za pomoc. Ciężko przykręcać śruby tym przeklętym hakiem.

– Jeszcze trudniej dłubać w nosie – zauważyłem, zirytowany jego beztroską w obliczu cierpienia.

Nie obraził się, tylko wybuchnął śmiechem.

– Zgadza się! A podcieranie tyłka to prawdziwy koszmar. Chodź. Wszystkie rzeczy są

na tyłach domu.

Podążyłem za nim za dom, gdzie znajdowało się niewielkie zarośnięte patio, pielęgnowane przez Debs. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu okazało się, że nie jest już zarośnięte. Ktoś przyciął gałęzie drzew i usunął chwasty rosnące między kamiennymi płytami. Zauważyłem trzy starannie przystrzyżone krzaki róży i rabatę ozdobnych kwiatów; w rogu stał wypolerowany grill.

Popatrzyłem na Chutsky'ego i uniosłem brew.

– Tak, wiem... – westchnął. – Wygląda to teraz jak dom geja, prawda? – Wzruszył ramionami. – Nudzę się, nic nie robiąc na urlopie zdrowotnym, a poza tym lubię porządek bardziej niż twoja siostra.

– Patio jest teraz bardzo ładne – powiedziałem.

– Aha... – mruknął, jakbym naprawdę zasugerował, że jest gejem. – Cóż, weźmy się do roboty. – Skinął głową w stronę kilkunastu arkuszy blachy falistej leżących pod ścianą: były to solidne osłony zabezpieczające okna przed huraganem przygotowane przez Debs. Morganowie mieszkali na Florydzie od dwóch pokoleń i Harry nauczył nas, że okna zawsze należy starannie zabezpieczać. Warto

przeznaczyć trochę pieniędzy na osłony, by nie wydać majątku na nowy dom, gdy stary zostanie zniszczony.

Wadą solidnych osłon Debs było to, że okazały się bardzo ciężkie i miały ostre krawędzie. Potrzebowaliśmy grubych rękawic – w przypadku Chutsky’ego jednej. Nie jestem pewien, czy rzeczywiście zależało mu na zaoszczędzeniu pieniędzy na rękawicach. Pracował trochę ciężiej, niż należało, by mi pokazać, że w gruncie rzeczy nie jest kaleką i że nie potrzebuje mojej pomocy.

Tak czy inaczej, umocowaliśmy osłony po około czterdziestu minutach. Chutsky po raz ostatni popatrzył na drzwi patia i, najwyraźniej zadowolony z naszych osiągnięć, uniósł lewą rękę, by otrzeć pot z czoła. Zrezygnował w ostatniej chwili, nim poharatał sobie hakiem policzek. Roześmiał się gorzko, patrząc na stalową protezę.

– Ciągłe się nie przyzwyczailem – rzekł, kręcąc głową. – Budzę się w nocy i czuję swędzenie dłoni, której już nie ma.

Trudno wymyślić inteligentną lub nawet społecznie akceptowalną odpowiedź na taką uwagę. Nigdzie nie znalazłem rady, co odpowiedzieć, gdy ktoś twierdzi, że ma fantomowe doznania po amputacji ręki. Zdaje

się, że Chutsky wyczuł moje zmieszanie, bo cicho parsknął; miał to być śmiech, lecz nie zabrzmiało w nim rozbawienie.

– Cóż, nieważne – rzekł. – Stary muł ciągle może kopnąć. – Uznałem to za niefortunne sformułowanie, ponieważ nie miał lewej stopy i kopanie nie wchodziło w rachubę. Jednak ucieszyłem się, że odzyskuje dobry humor, toteż uznałem, że należy się z nim zgodzić.

– Nikt w to nie wątpi – odpowiedziałem. – Wierzę, że niedługo wrócisz do pracy.

– Hm, dzięki – odrzekł niezbyt pewnym tonem. – Tak czy owak, nie ciebie muszę przekonać, tylko paru urzędników w Waszyngtonie. Proponowali mi robotę za biurkiem, ale... – Wzruszył ramionami.

– Daj spokój! – powiedziałem. – Przecież nie chcesz znowu pracować jako agent wywiadu, prawda?

– Jestem w tym dobry – odparł. – Przez jakiś czas byłem najlepszy.

– Brakuje ci adrenaliny? – spytałem.

– Może... – mruknął. – Napijesz się piwa?

– Dziękuję, ale mam rozkazy z góry, by kupić wodę i lód, nim ich zabraknie w sklepach – odrzekłem.

– Zgadza się. Wszyscy są przerażeni, że będą musieli pić mojito bez lodu.



– To jedno z największych niebezpieczeństw huraganu – zauważyłem.

– Dzięki, że mi pomogłeś – powiedział.

\* \* \*

Kiedy jechałem do domu, na ulicach panował jeszcze większy chaos. Niektórzy kierowcy pędzili do siebie z cennymi arkuszami sklejki przymocowanymi do dachów samochodów, jakby przed chwilą obrabowali bank. Byli wściekli po godzinnym napiętym oczekiwaniu w kolejce przed sklepem, gdy przez cały czas się denerwowali, czy ktoś się przed nich nie wepchnie i czy coś dla nich zostanie.

Inni użytkownicy dróg jechali zająć miejsca w tych samych kolejkach i czuli nienawiść do wszystkich, którzy dotarli tam wcześniej i być może wykupili ostatnie baterie na Florydzie.

Ogólnie rzecz biorąc, to rozkoszne połączenie wrogości, wściekłości i paranoi powinno mnie wprowadzić w doskonały humor. Ale wszelkie nadzieje na poprawę nastroju znikły, gdy przyłapałem się na nuceniu jakiejś melodii. Wydawała się znajoma, lecz nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie ją słyszałem. W dalszym ciągu ją nuciłem i w końcu zrozumiałem, skąd ją

znam, po czym cała radość natychmiast się ulotniła.

Była to muzyka z mojego snu.

Melodia rozlegająca się w mojej głowie sprawiała, że czułem żar i zapach spalenizny. Była prosta, monotonna i niezbyt wpadająca w ucho, mimo to nuciłem ją pod nosem na autostradzie South Dixie, czerpiąc przyjemność z jednostajnych dźwięków, jakbym odtwarzał kołysankę, którą niegdyś śpiewała mi matka.

Wciąż nie miałem pojęcia, co to wszystko znaczy.

Jestem pewien, że to, co się działo w mojej podświadomości, miało prostą, logiczną, zrozumiałą przyczynę. Z drugiej strony nie potrafiłem jej wymyślić – prostej, logicznej, zrozumiałej przyczyny, która sprawiała, że słyszę we śnie muzykę i czuję na twarzy gorąco.

Rozległ się dzwonek mojej komórki i odebrałem telefon, ponieważ samochody zwolniły.

– Dexter – odezwała się Rita, lecz ledwo rozpoznałem jej głos. Wydawała się zagubiona, kompletnie załamana. – Cody i Astor zniknęli... – rzekła.

\* \* \*

Wszystko funkcjonowało znakomicie. Nowi gospodarze byli niezwykle chętni do współpracy. Zaczęli tworzyć grupy i bez trudu dali się przekonać, by zachowywać się tak, jak życzy sobie TO. Zbudowali wielkie kamienne budowle dla jego potomstwa, opracowali skomplikowane ceremonie z muzyką wywołującą trans i pomagali z takim entuzjazmem, że przez pewien czas było ich zbyt wielu, by ich policzyć. Jeżeli gospodarzom dobrze się powodziło, składali z wdzięczności kilka ofiar; jeśli źle, zabijali je w nadziei, że TO im pomoże. TO nie musiało nic robić – wystarczyło biernie obserwować.

Miało mnóstwo wolnego czasu i zaczęło się zastanawiać nad skutkami swojej reprodukcji. Po raz pierwszy, odkąd nastąpił rozrost i wybuch, TO połączyło się ze swoim potomkiem, uspokoiło go, uśmierzyło niepokój, podzieliło się świadomością. Potomek okazał niezwykle zapał – szybko nauczył się wszystkiego, co TO chciało mu przekazać, i z radością zaczął postępować właściwie. Niebawem pojawiło się czterech, ośmiu, sześćdziesięciu czterech potomków – i nagle było ich zbyt wielu. W takiej masie nie dawało się wszystkiego ogarnąć. Nawet nowi gospodarze zaczęli się skarżyć na liczbę niezbędnych ofiar.

*TO* miało zmysł praktyczny. Szybko zrozumiało istotę problemu i rozwiązało go, zabijając prawie wszystkich swoich potomków. Kilku uciekło w świat w poszukiwaniu nowych gospodarzy. *TO* zostawiło przy sobie nielicznych i sytuacja znów znalazła się pod kontrolą.

Nieco później potomkowie, którzy uciekli, zaczęli kontratakować. Stworzyli konkurencyjne świątynie i rytuały; wielokrotnie wysłali armie przeciwko *TEMU*. Doszło do ogromnego zamętu, który trwał bardzo długo. Jednak *TO* było najstarsze i najbardziej doświadczone, toteż w końcu pokonało wszystkich z wyjątkiem kilku, którzy się ukryli.

Zagnieździli się w rozproszonych gospodarzach, starali się nie zwracać na siebie uwagi i wielu ocalało. Ale *TO* nauczyło się w ciągu tysiącleci, jak ważne jest czekanie. Miało nieskończenie dużo czasu i mogło sobie pozwolić na cierpliwość, powoli tropiło i mordowało tych, którzy uciekli, a następnie stopniowo, starannie odbudowało własny kult w całej jego wspaniałości.

*Podtrzymywało swój kult – ukryty, lecz żywy.  
I czekało na pozostałych.*

Bardzo dobrze wiem, że świat nie jest sympatycznym miejscem. Ludziom, a zwłaszcza dzieciom, może się przydarzyć wiele okropnych rzeczy – może je porwać obcy człowiek, przyjaciel domu albo rozwiedziony ojciec; mogą się oddalić i zniknąć, wpaść do leja krasowego lub utonąć w basenie sąsiada. Zbliżający się huragan stwarzał jeszcze więcej możliwości. Im bogatsza wyobraźnia dzieci, tym więcej zagrożeń, a Cody i Astor mieli bardzo bujną wyobraźnię.

Lecz kiedy Rita powiedziała, że zniknęli, nawet nie pomyślałem o studzienkach kanalizacyjnych, wypadkach samochodowych ani gangach motocyklistów. Wiedziałem, co spotkało Cody'ego i Astor, wiedziałem z chłodną, twardą pewnością, jaśniejszą i bardziej oczywistą niż jakiegokolwiek szeptu Mrocznego Pasażera. W głowie eksplodowała mi jedna myśl i ani przez chwilę jej nie kwestionowałem.

Kiedy zrozumiałem znaczenie słów Rity, w moim umyśle natychmiast pojawił się potok obrazów: śledzące mnie samochody, nocni

goście stukający w drzwi i okna, przerażający mężczyzna zostawiający dzieciom wizytówkę. Najbardziej przekonało mnie brutalne zdanie wypowiedziane przez profesora Kellera: „Moloch lubił ofiary z ludzi. Zwłaszcza dzieci”.

Nie wiedziałem, czemu Moloch potrzebował właśnie moich dzieci, lecz nie miałem najmniejszych wątpliwości, że to on je porwał (a może była to istota rodzaju żeńskiego lub nijakiego?). Cody i Astor znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Natychmiast pojechałem do domu, pędząc po autostradach jak rodowity mieszkaniec Miami, i po kilku minutach wysiadłem z samochodu. Rita czekała na mnie w strugach deszczu na końcu podjazdu; wyglądała jak mała samotna mysz.

– Dexter, o Boże, Dexter, proszę, znajdź ich! – jęknęła. W jej głosie zabrzmiała straszliwa pustka.

– Zamknij dom i chodź ze mną – rozkazałem.

Spoglądała na mnie przez chwilę takim wzrokiem, jakbym zaproponował, by zostawiła dzieci bez opieki i poszła pograć w kręgle.

– Wiem, gdzie są, ale potrzebuję pomocy – dodałem.

Rita odwróciła się i pobiegła do domu, a ja wyjąłem komórkę i zatelefonowałem.

– Tak? – rozległ się głos Deborah.

– Potrzebuję twojej pomocy – rzekłem.

Przez chwilę panowała cisza, a później usłyszałem twardy, ochrypły śmiech, w którym nie było autentycznej wesołości.

– Jezu Chryste, zbliża się huragan, w całym mieście tłumy bandziorów tylko czekają, aż wysiądzie elektryczność, a ty potrzebujesz mojej pomocy!

– Cody i Astor zniknęli – odpowiedziałem. – Porwał ich Moloch.

– Dexter... – zaczęła Debs.

– Muszę ich szybko odnaleźć i potrzebuję twojej pomocy.

– Przyjedź tutaj – rzekła.

Kiedy schowałem komórkę, Rita szła ku mnie po podjeździe, brodząc w kałużach, które zaczęły się tworzyć na ulicach.

– Zamknęłam dom, Dexter – powiedziała. – Ale co się stanie, jeśli wrócą i nas nie zastaną?

– Nie wrócą, chyba że ich przywieziemy – odparłem. Najwyraźniej spodziewała się bardziej pocieszającej uwagi. Włożyła do ust zaciśniętą pięść, jakby chciała stłumić krzyk. – Wsiądź do samochodu, Rito – poprosiłem i otworzyłem drzwi. Popatrzyła na mnie, ciągle gryząc palce. – Chodź! – ponagliłem i w końcu wsiadła do auta.

Zająłem miejsce za kierownicą, zapaliłem silnik i wyjechałem z podjazdu.

– Mówiłeś, że wiesz, gdzie są – odezwała się Rita i z ulgą zauważyłem, że wyjęła pięść z ust.

– Tak – odpowiedziałem. Automatycznie skręciłem w autostradę U.S. 1 i przyspieszyłem, korzystając z niewielkiego ruchu.

– Gdzie są? – spytała.

– Wiem, kto ich porwał – odrzekłem. – Deborah pomoże nam ustalić, gdzie ich trzyma.

– O Boże, Dexter! – wyjąkała Rita i zaczęła bezgłośnie płakać. Nawet gdybym nie siedział za kierownicą, nie miałbym pojęcia, co zrobić lub powiedzieć, toteż skupiłem się na prowadzeniu samochodu, byśmy dojechali żywi na komendę.

\* \* \*

W bardzo wygodnym pokoju zadzwonił telefon. Nie zaczął głuźawo ani nie odegrał salsy lub nawet fragmentu Beethovena, jak to robią nowoczesne komórki. Zamiast tego wydał prosty, tradycyjny dźwięk, jak normalny telefon.

Staroświecki dzwonek pasował do eleganckiego, spokojnego wystroju pomieszczenia. W pokoju znajdowała się skórzana kanapa i dwa fotele, leciutko zużyte jak



para ulubionych butów. Aparat stał na ciemnym mahoniowym stole po drugiej stronie pokoju, obok mahoniowego barku.

Ogólnie rzecz biorąc, pokój przypominał wnętrze starego, szacownego klubu dla dżentelmenów – było w nim coś spokojnego i ponadczasowego. Nie pasował tylko jeden szczegół: między barkiem a kanapą stała duża oszklona szafa, skrzyżowanie gabloty na trofea z biblioteczką przeznaczoną na rzadkie książki. W środku nie znajdowały się płaskie półki, tylko setki niewielkich otworów wyściełanych filcem. W przeszło połowie z nich leżały ceramiczne łby byków o wielkości ludzkiej czaszki.

Do pokoju wszedł stary człowiek. Nie śpieszył się, lecz także nie poruszał się w ostrożny, niezdecydowany sposób charakterystyczny dla zaawansowanego wieku. Stąpał pewnym krokiem jak ktoś znacznie młodszy. Miał siwe, bujne włosy i gładką skórę, która wyglądała jak wypolerowana przez pustynny wiatr. Zmierzał w stronę telefonu, jakby był zupełnie pewny, że dzwoniący się nie rozłączy. Najwyraźniej miał rację, bo telefon wciąż dzwonił, gdy podniósł słuchawkę.

– Tak? – spytał, a jego głos również okazał się młodszy i silniejszy, niż można się było spodziewać. Słuchając swojego rozmówcy, wziął

ze stołu leżący obok telefonu wykonany z brązu nóż o starożytnym wyglądzie. Głowica wyobrażała łeb byka, oczy wykonano z dwóch dużych rubinów, a na klindze znajdowały się złote litery przypominające skrót MLK. Nóż był znacznie starszy i mocniejszy, niż wyglądał, podobnie jak mężczyzna. Stary człowiek w zamyśleniu przesunął kciukiem po ostrzu i na skórze pojawiła się krwawa linia. Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Odłożył nóż. – Dobrze – rzekł. – Przywieź ich. – Słuchał przez chwilę, powoli zlizując krew z kciuka. – Nie – powiedział w końcu i musnął językiem dolną wargę. – Pozostali już się zbierają. Huragan nie ma znaczenia dla Molocha ani jego ludu. Przez trzy tysiące lat widzieliśmy gorsze rzeczy i ciągle istniejemy.

Słuchał jeszcze przez chwilę, po czym przerwał z nutą zniecierpliwienia.

– Nie! – rzucił. – Żadnej zwłoki. Niech Patrzący przywiezie go do mnie. Już czas.

Odłożył słuchawkę i stał przez chwilę. Później znowu podniósł nóż i na jego gładkiej, starej twarzy pojawił się dziwny wyraz.

Był to prawie uśmiech.

\* \* \*

W Miami wiał wiatr i zaczął deszcz, lecz tylko od czasu do czasu, a prawie wszyscy mieszkańcy siedzieli w domach i wypełniali formularze ubezpieczeniowe opisujące szkody, jakie zamierzali odnieść, toteż na ulicach panował względny spokój. Jeden silny podmuch wichury o mało nie zepchnął nas z autostrady, na szczęście podróż nie trwała długo.

Deborah czekała obok stanowiska oficera dyżurnego.

– Chodźcie do mojego gabinetu – rzekła. – Powieście mi, co wiecie. – Podążyliśmy za nią do windy i pojechaliśmy na górę.

Nazywanie pomieszczenia, gdzie pracowała Deborah, „gabinetem” wydawało się lekką przesadą. Była to klitka stanowiąca część dużej sali podzielonej na kilkanaście małych boksów. W środku znajdowały się biurko, fotel i dwa składane krzesła dla gości, na których usiedliśmy.

– W porządku – rzekła Deborah. – Co się stało?

– Oni... Posłałam dzieciaki do ogrodu, żeby zebrały zabawki i pozostałe rzeczy – odpowiedziała Rita. – Przed nadejściem huraganu.

Deborah kiwnęła głową.

– A potem? – spytała.

– Wróciłam do środka, by schować zapasy na huragan – odparła Rita. – Kiedy znowu wyszłam, zniknęli. To... nie było mnie tylko przez dwie minuty, a potem... – Ukryła twarz w dłoniach i rozszlochała się.

– Widziałaś kogoś, kto do nich podchodził? – dopytywała się Deborah. – Jakies obce samochody w okolicy? Cokolwiek?

Rita pokręciła głową.

– Nie, nic, po prostu przepadli jak kamień w wodę.

Deborah popatrzyła na mnie.

– Co to za historia, Dexter, do cholery?! – odezwała się. – To wszystko? Nic więcej? Skąd wiecie, że nie grają u sąsiadów na nintendo?

– Daj spokój, Deborah! – zachnąłem się. – Skoro jesteś zbyt zmęczona, by pracować, po prostu powiedz. I przestań pleść bzdury. Wiesz równie dobrze jak ja...

– Nic nie wiem, podobnie jak ty! – warknęła.

– W takim razie nie uważałaś – rzekłem i zauważyłem, że mówię tonem równie ostrym jak ona, co trochę mnie zdziwiło. Emocje? Ja? – Wizytówka, którą zostawił Cody’emu, mówi nam wszystko, co powinniśmy wiedzieć.

– Z wyjątkiem tego, o co właściwie chodzi! – prychnęła. – I ciągle czekam na jakieś sugestie na ten temat.

Chociaż mógłbym odezwać się do niej ostrym tonem, w gruncie rzeczy nie wiedziałem, co powiedzieć. Miała rację. Zniknięcie Cody'ego i Astor nie oznaczało, że nagle uzyskaliśmy nowe informacje, które pozwolą schwytąć mordercę. Dowodziło tylko, że stawka stała się znacznie wyższa i że brakuje nam czasu.

– Co z Wilkinsem? – spytałem.

– Jest pod obserwacją – odpowiedziała, machając ręką.

– Jak ostatnim razem?

– Proszę! – przerwała Rita. W jej głosie pojawiła się nuta hysterii. – O czym wy właściwie mówicie? Czy nie ma jakiegoś sposobu, żeby... żeby coś zrobić?! – Umilkła i znów się rozszlochała, a Deborah przeniosła wzrok na mnie. – Proszę...! – jęknęła Rita.

Jej coraz donośniejszy głos odbijał się echem w mojej głowie i miałem wrażenie, że w wirującej pustce, która mnie wypełniała, pojawił się nowy, ostateczny element – ból, łącząc się z daleką melodią.

Wstałem.

Poczułem, że lekko się chwieję; usłyszałem Deborah wypowiadającą moje imię, a potem rozległa się muzyka, cicha, lecz natrętna, jakby istniała od zawsze, czekając na moment, aż ją usłyszę, bo nic nie będzie mnie rozpraszać.

Kiedy skupiłem uwagę na warkocie bębnow, muzyka zaczęła mnie przywoływać, tak jak to robiła ostatnio, lecz teraz bardziej natarczywie, wznosząc się ku szczytom ostatecznej ekstazy, każąc mi podążać za sobą, przybywać, śpieszyć do swojego źródła.

Pamiętam, że ogarnęła mnie głęboka radość, iż wreszcie nadszedł czas. Chociaż słyszałem, że Deborah i Rita coś do mnie mówią, nie wydawało mi się, by ich słowa mogły być szczególnie istotne, nie w chwili, gdy wzywa mnie muzyka i pojawia się obietnica całkowitego szczęścia. Więc uśmiechnąłem się do nich i chyba nawet powiedziałem: „Przepraszam”, a następnie opuściłem pokój, nie zwracając uwagi na ich zdumione miny. Wyszedłem z budynku i podążyłem na drugi koniec parkingu, skąd dobiegała muzyka.

Czekał tam na mnie samochód, co jeszcze bardziej mnie ucieszyło, więc pośpieszyłem w jego stronę, krocząc w przepięknym rytmie muzyki, a gdy się zbliżyłem, otworzyły się tylne drzwi. Nie pamiętam, co było potem.

Jeszcze nigdy nie byłem taki szczęśliwy.

Radość przyleciała do mnie jak kometa – ogromna, płomienista i niezgrabna na nocnym niebie. Pędziła w moim kierunku z niewiarygodną szybkością, zbliżając się, by mnie pochłonąć i unieść do bezgranicznego wszechświata zachwytu, wszechwiedzącej jedności, miłości i zrozumienia – szczęście bez końca, we mnie, poza mną i wokół mnie, na zawsze.

Niosła mnie po bezdrożach nocnego nieba w ciepłym, oślepiającym kokonie triumfującego uwielbienia i bujała w kołysce nieskończonej radości, radości, radości. Leciałem coraz wyżej i szybciej, coraz bardziej wypełniony szczęściem w każdej jego możliwej odmianie, gdy wtem moje ciało przeszył potężny huk zatrzaskiwanych drzwi i otworzyłem oczy w niewielkim, ciemnym pokoju bez okien, z twardą betonową podłogą i betonowymi ścianami. Nie miałem pojęcia, gdzie jestem ani jak się tu dostałem. Nad drzwiami paliła się

pojedyncza, słaba żarówka i leżałem na posadzce w jej przyćmionym świetle.

Szczęście znikło, przepadło i nie zastąpiło go nic z wyjątkiem poczucia, że gdziekolwiek jestem, nikt nie ma zamiaru budzić we mnie upojenia ani zwracać mi wolności. I chociaż w pokoju nie było nigdzie byczych łbów, ceramicznych ani innych, a na podłodze nie leżały stosy starych czasopism po aramejsku, nietrudno było wszystko zrozumieć. Podążyłem za muzyką, wpadłem w ekstazę i straciłem kontrolę nad sobą. Oznaczało to, że najprawdopodobniej schwytał mnie Moloch, nieważne, czy prawdziwy, czy mityczny.

Lepiej nie przyjmować niczego na wiarę. Może po prostu wszedłem we śnie do jakiegoś magazynu i wystarczy przekręcić gałkę w drzwiach, by wyjść? Z trudem stanąłem na nogi – kręciło mi się w głowie i miałem niepewne ruchy; domyśliłem się, że podano mi jakiś narkotyk, by mnie tu przywieźć. Stałem przez chwilę, starając się, by pokój znieruchomiał; po kilku głębokich wdechach w końcu się udało. Zrobiłem krok w bok i dotknąłem ściany – bardzo solidne betonowe bloki. Drzwi wydawały się prawie tak samo grube i szczelnie zamknięte: nawet nie zaskrzypiały, gdy pchnąłem je ramieniem.



Okrążyłem niewielkie pomieszczenie – w gruncie rzeczy miało rozmiar komórki. Na środku podłogi znajdował się otwór odpływowy; nie było żadnych mebli. Nie wydawało się to zbyt zachęcające, ponieważ oznaczało, że albo będę musiał wykorzystywać otwór do załatwiania potrzeb fizjologicznych, albo pozostanę tu tak krótko, że toaleta nie okaże się potrzebna. Skoro tak, trudno uwierzyć, że czeka mnie coś dobrego.

Cokolwiek miało mnie spotkać, nie mogłem nic zrobić. Czytałem *Hrabiego Monte Christo* i *Więźnia na zamku Zenda*, toteż wiedziałem, że jeśli zdobędę łyżkę lub sprzączkę od paska, w ciągu piętnastu lat z łatwością wykopię tunel i ucieknę. Jednak nie dano mi łyżki, a sprzączka od paska zniknęła. Dostarczało to pewnych informacji o ludziach, którzy mnie uwięzili. Byli bardzo ostrożni, czyli zapewne doświadczeni, i brakowało im poczucia przyzwoitości, ponieważ nie obchodziło ich to, że bez paska mogą mi opaść spodnie. W dalszym ciągu nie miałem pojęcia, kim są ani czego mogą ode mnie chcieć.

Nie były to dobre wiadomości.

I nie miałem żadnego pomysłu, co powinienem zrobić. Mogłem tylko siedzieć na zimnej betonowej podłodze i czekać.

Właśnie tak postąpiłem.

Mówi się, że medytacja to balsam dla duszy. Od tysięcy lat ludzie szukają ciszy i spokoju, by mieć trochę czasu tylko dla siebie i bez przeszkód oddawać się medytacji. Miałem to wszystko – ciszę, spokój i czas, jednak nie potrafiłem usiąść wygodnie na cementowej podłodze i zająć się medytacją, która ukoiłaby moją duszę.

Przede wszystkim nie byłem pewien, czy mam duszę. Jeżeli tak, dlaczego pozwoliła mi robić przez tyle lat potworne rzeczy? Czy Mroczny Pasażer zajął miejsce hipotetycznej duszy, którą ponoć mają ludzie? Czy teraz, gdy zniknął, powstanie we mnie prawdziwa dusza i przekształcę się w człowieka?

Zdałem sobie sprawę, że rozmyślam, lecz nie dostarczyło mi to żadnego zadowolenia. Mogłem rozmyślać przez dziesiątki lat, aż do starości – lecz nigdy nie dowiem się, dokąd uciekł Pasażer ani gdzie są Cody i Astor. I dzięki temu nie wydam się z tego małego pomieszczenia.

Wstałem i okrążyłem pokój, tym razem wolniej, szukając jakichś słabych punktów. W rogu znajdował się otwór wentylacyjny – znakomita droga ucieczki, gdybym miał rozmiary łasicy. W ścianie koło drzwi dostrzegłem gniazdko elektryczne. To wszystko.

Zatrzymałem się przy drzwiach i dotknąłem ich dłonią. Były ciężkie i masywne; nie miałem najmniejszych szans na wyważenie ich lub otwarcie zamka – potrzebowałbym do tego materiałów wybuchowych lub walca drogowego. Znowu rozejrzałem się po pomieszczeniu, lecz niczego takiego nie zauważyłem.

Znalazłem się w pułapce. Zamknięty, uwięziony, schwytany – nawet synonimy nie poprawiły mi samopoczucia. Przyłożyłem ucho do drzwi. Po co w ogóle miałbym odczuwać nadzieję? Na co? Na powrót do świata, do bezcelowego życia? Czy nie byłoby lepiej dla wszystkich zainteresowanych, by Pokonany Dexter po prostu zniknął, tonąc w morzu niepamięci?

Nagle usłyszałem przez grube drzwi jakiś piskliwy dźwięk, który się zbliżał. Po chwili rozpoznałem głos mężczyzny, który sprzeczał się z drugą osobą – jej głos był wyższy, natarczywy i znajomy.

Astor.

– Głupota! – rzekła, gdy zbliżyli się do drzwi. – Nie muszę... – Odeszli.

– Astor! – krzyknąłem z całych sił, chociaż wiedziałem, że mnie nie usłyszy. Aby udowodnić, że głupota jest zjawiskiem trwałym

i pospolitym, uderzyłem w drzwi obiema rękami i znów ryknąłem: – Astor!

Naturalnie nie uzyskałem żadnej odpowiedzi; zaczęły mnie tylko lekko piec dłonie. Ponieważ nie przyszło mi do głowy nic innego, osunąłem się na podłogę, oparłem o drzwi i czekałem na śmierć.

Nie wiem, jak długo tak siedziałem. Przyznaję, że nie zachowałem się heroicznie. Wiem, powinienem się zerwać na równe nogi, wyciągnąć sekretny anihilator materii i przebić mur, wykorzystując swoje tajemne radioaktywne moce. Lecz opuściły mnie wszystkie siły. Usłyszenie za drzwiami przekornego głosu Astor było ostatnim gwoździem do trumny. Mroczny Rycerz zniknął. Pozostała tylko rozklejona koperta.

Siedziałem zgarbiony, oparty o drzwi i nic się nie działo. Zastanawiałem się, jak mógłbym się powiesić na włączniku światła na ścianie, gdy usłyszałem za drzwiami lekki szelest. Później ktoś je pchnął.

Naturalnie nie mogły się otworzyć, bo je blokowałem. Poczulem ostry ból w miejscu, gdzie znajduje się tylny koniec ludzkiej godności osobistej. Zwlekałem z reakcją i drzwi popchnięto jeszcze raz. Znowu zaboląło. Z tego

bólu, rozkwitając niczym pierwszy wiosenny kwiat, narodziło się coś naprawdę cudownego.

Wściekłem się.

Nie ogarnęła mnie zwykła irytacja, złość, że ktoś uderzył mnie w tyłek. Wpadłem w prawdziwą wściekłość, furię wywołaną potraktowaniem mnie w taki lekceważący sposób – ktoś uznał, że nic nie znaczę, że można mnie zamknąć w celi i do woli mną pomiatać, jeśli ma się na to ochotę. To, że jeszcze przed chwilą sam sobą pogardzałem, nie miało żadnego znaczenia. Dosłownie oszalałem z wściekłości i, niewiele myśląc, z całej siły pchnąłem plecami drzwi.

Poczułem lekki opór, lecz po chwili rozległo się szczęknięcie zamka. Wstałem, myśląc: Tak! – choć tak naprawdę nie wiedziałem, co to miałyby znaczyć. Spoglądałem z wściekłością na drzwi, które znowu zaczęły się otwierać, i napałem na nie, aż się zamknęły. Było to wyjątkowo przyjemne; od dawna nie czułem się tak dobrze, lecz po chwili, gdy czysta, ślepa wściekłość nieco osłabła, przyszło mi do głowy, że chociaż blokowanie drzwi daje dużo satysfakcji, postępuję bez sensu, ponieważ wcześniej czy później muszę ponieść klęskę – nie mam narzędzi ani broni, a ludzie znajdujący się po drugiej stronie dysponują teoretycznie

niewyczerpanymi zasobami, które mogą wykorzystać.

Kiedy to pomyślałem, drzwi znowu się uchyliły, natrafiając na moją stopę. Odruchowo je zatrzasnąłem i jednocześnie przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Był to idiotyzm w stylu Jamesa Bonda, lecz mimo wszystko mógł się udać, a ja nie miałem absolutnie nic do stracenia. Kiedy w mojej głowie pojawia się jakaś idea, natychmiast przystępuję do działania, toteż zatrzasnąłem drzwi, uderzając w nie ramieniem, a następnie zrobiłem krok w bok i czekałem.

I rzeczywiście, po chwili drzwi gwałtownie się otworzyły, lecz tym razem ich nie blokowałem. Uderzyły w ścianę i do pokoju wpadł, zataczając się, mężczyzna ubrany w coś w rodzaju munduru. Zamierzałem go złapać za rękę, lecz zamiast tego chwyciłem bark. To wystarczyło – obróciłem się i z całych sił pchnąłem go głową naprzód w stronę ściany. Usłyszałem przyjemny trzask, jakbym strącił ze stołu duży arbuz, po czym mężczyzna odbił się od muru i padł twarzą na betonową podłogę.

I oto nastąpił cud – Dexter się odrodził, triumfował, stał dumnie nad ciałem pokonanego wroga, przed otwartymi drzwiami, za którymi czekała wolność, odkupienie, a później może skromna kolacja.

Szybko obszukałem strażnika, zabrałem mu klucze, duży scyzoryk i pistolet automatyczny, który w najbliższym czasie nie mógł mu się przydać. Wszedłem ostrożnie na korytarz i zamknąłem za sobą drzwi. Gdzieś czekali na mnie Cody i Astor, powinienem ich odnaleźć. Nie wiedziałem, co wtedy zrobię, lecz nie miało to znaczenia. Musiałem ich odszukać.

Była to typowa duża willa w Miami Beach. Ostrożnie przeszedłem długim korytarzem, kończącym się drzwiami podobnymi do tych, za którymi przed chwilą unieszkodliwiłem strażnika. Zbliżyłem się na palcach i przyłożyłem do nich ucho. Niczego nie usłyszałem, lecz drzwi były grube, więc prawie nic z tego nie wynikało.

Położyłem dłoń na gałce i bardzo powoli ją obróciłem. Drzwi nie były zamknięte i ustąpiły.

Wyjrzałem ostrożnie zza framugi i nie zauważyłem niczego niepokojącego, z wyjątkiem kilku foteli, które wydawały się pokryte prawdziwą skórą – postanowiłem zawiadomić o tym organizację PETA, domagającą się etycznego traktowania zwierząt. Pokój wyglądał dość elegancko i kiedy otworzyłem szerzej drzwi, spostrzegłem bardzo ładny mahoniowy barek stojący w rogu po przeciwnej stronie.

Jednak znacznie ciekawsza była gablota na trofea obok barku. Ciągnęła się wzdłuż ściany przez sześć metrów i za szklanymi szybami dostrzegłem wiele rzędów byczych łbów



wykonanych z ceramiki. Każdy podświetlono od spodu odrębnym małym reflektorem. Nie liczyłem, lecz musiało ich być przeszło sto. Nim zdążyłem wejść do pokoju, usłyszałem głos, tak zimny i suchy, że wydawał się prawie nie ludzki, choć należał do człowieka.

– Trofea. – Podskoczyłem i skierowałem pistolet w kierunku miejsca, skąd dobiegał głos. – To ściana pamięci poświęcona naszemu bogu. Każdy łeb byka symbolizuje duszę, którą mu posłaliśmy. – W pokoju siedział stary człowiek. Patrzył na mnie spokojnie, lecz jego widok mną wstrząsnął. – Po nowej ofierze dodajemy kolejną głowę – ciągnął. – Wejdz, Dexter.

Nie wydawał się groźny. W istocie rzeczy był prawie niewidoczny; siedział w jednym z dużych skórzanych foteli. Wstał powoli, z ostrożnością starca, i zwrócił ku mnie twarz chłodną i gładką jak głaz z dna rzeki.

– Czekaliśmy na ciebie – rzekł, chociaż wydawało się, że jest w pokoju sam; poza tym widziałem tylko meble. – Wejdz.

W gruncie rzeczy nie wiem, czy rzeczywiście powiedział właśnie to, czy może coś zupełnie innego. Kiedy popatrzył prosto na mnie, nagle poczułem, że w pokoju robi się duszno. Opuściła mnie szaleńcza energia, która kipiała we mnie podczas ucieczki – spłynęła w dół i utworzyła

kałużę wokół moich stóp. Wypełniła mnie straszliwa pustka, przelatując przeze mnie niczym świszczący wicher, jakby na świecie nie istniało nic oprócz bezsensownego cierpienia, a starzec był jego panem i władcą.

– Przysporzyłeś nam dużo kłopotów – rzekł cicho.

– Cieszę się – odparłem. Wypowiedzenie tych słów przyszło mi z trudnością i zabrzmiały one słabo nawet dla mnie, lecz na twarzy starca pojawił się wyraz irytacji. Zrobił krok w moim kierunku i odruchowo zacząłem się cofać. – A tak w ogóle: „nam”, czyli komu? – spytałem z udawaną nonszalancją, choć miałem wrażenie, że za chwilę się roztopię.

Spojrzał na mnie z ukosa.

– Chyba wiesz – odpowiedział. – Obserwujesz nas wystarczająco długo. – Zrobił następny krok naprzód i zadygotały mi kolana. – Ale nie chcę być nieuprzejmy i zaraz ci wyjaśnię – ciągnął. – Jesteśmy czcicielami Molocha, spadkobiercami króla Salomona. Od trzech tysięcy lat podtrzymujemy kult naszego boga jako strażnicy jego tradycji i potęgi.

– Ciągle powtarzasz słowo „my” – zauważyłem.

Skinął głową i poczułem ból.

– Są również inni – rzekł. – Ale z pewnością wiesz, że „my” to Moloch. Przebywa we mnie.

– Więc to ty zabiłeś te studentki i mnie śledziłeś? – spytałem. Przyznaję, że byłem zaskoczony, iż dokonał tego stary człowiek.

Uśmiechnął się, lecz bez wesołości, i nie poczułem się lepiej.

– Nie osobiście. Zajmowali się tym Patrzący.

– A zatem... Chcesz powiedzieć, że Moloch może opuszczać twoje ciało?

– Naturalnie – odrzekł. – Przenosi się między nami, kiedy chce. Nie jest jedną osobą i nie przebywa w jednym z nas. Opuszcza mnie i wstępuje w innych, gdy ma wykonać specjalne zadania. Patrzyć.

– Cóż, pięknie jest mieć hobby – powiedziałem. Nie byłem pewien, do czego zmierza nasza rozmowa i czy moje cenne życie wkrótce się skończy, toteż zadałem pierwsze pytanie, które przyszło mi do głowy. – Dlaczego zostawiliście zwłoki na uniwersytecie?

– Chcieliśmy cię znaleźć, oczywiście. – Kiedy usłyszałem słowa starego człowieka, zamarłem. – Zwróciłeś naszą uwagę, Dexter, lecz musieliśmy zyskać pewność – ciągnął. – Obserwowaliśmy cię, by się przekonać, czy rozpoznasz rytuał i zareagujesz na Patrzącego. I,

naturalnie, wygodnie było skupić uwagę policji na Halpernie – dodał.

Nie wiedziałem, od czego zacząć.

– Nie jest jednym z was? – spytałem.

– Och, skądże – odrzekł sympatycznym tonem. – Kiedy zostanie zwolniony z aresztu, znajdzie się tutaj, wraz z pozostałymi. – Wskazał ruchem głowy gablotę z trofeami, wypełnioną ceramicznymi łbami byków.

– Więc nie zabił tych studentek?

– Ależ zabił – powiedział starzec. – Kazało mu to zrobić jedno z Dzieci Molocha przebywające w jego wnętrzu. – Przekrzywił głowę. – Jestem pewien, że ty potrafisz to zrozumieć, prawda?

Jasne, że potrafiłem. Lecz nie uzyskałem odpowiedzi na żadne z najważniejszych pytań.

– Czy możemy wrócić do punktu, gdy powiedziałaś, że zwróciłem waszą uwagę? – spytałem uprzejmie, myśląc o tym, ile pracy włożyłem w to, by nie rzucić się w oczy. – Jak to się stało?

Popatrzył na mnie, jakbym był wyjątkowo głupi.

– Zabiłeś Alexandra Macauleya – odrzekł.

Wreszcie zrozumiałem. Zapadki osłabionego stalowego zamka, jakim jest mózg Dextera, wskoczyły we właściwe miejsca.

– Zander był jednym z was?

Pokręcił lekko głową.

– Drugorzędnym pomocnikiem. Dostarczał surowca do naszych rytuałów.

– Przywoził wam pijaków, których mordowaliście – powiedziałem.

Wzruszył ramionami.

– Składamy ofiary, a nie mordujemy, Dexter. Tak czy inaczej, kiedy porwałeś Zandera, śledziliśmy cię i odkryliśmy, czym jesteś.

– A czym właściwie jestem? – spytałem, czując przyływ radości na myśl, że oto stoję naprzeciwko kogoś, kto potrafi odpowiedzieć na pytanie, nad którym zastanawiam się przez większość swojego szczęśliwego życia nożownika. Lecz po chwili zaschło mi w gardle i gdy czekałem na odpowiedź starego człowieka, ogarnęło mnie uczucie bardzo podobne do prawdziwego strachu.

– Jesteś aberracją – rzekł, spoglądając na mnie ostro. – Czymś, co nie powinno istnieć.

Przyznaję, że zdarzają się chwile, gdy zgodziłbym się z tą opinią, ale nie tym razem.

– Nie chcę, by to zabrzmiało niegrzecznie, lecz lubię istnieć – odpowiedziałem.

– Wybór nie należy już do ciebie – oznajmił. – W twoim wnętrzu przebywa coś, co nam zagraża. Chcemy się tego pozbyć, a także ciebie.

– Prawdę mówiąc, tego już we mnie nie ma – odparłem, pewien, że mówi o Mrocznym Pasażerze.

– Wiem! – rzucił z lekką irytacją. – Ale kiedyś to coś przybyło do ciebie z powodu wielkiego cierpienia, traumy. Zestroiło się z tobą. To bękart Molocha, co z kolei zestrąja cię z nami. – Pokiwał groźnie palcem. – Właśnie dlatego mogłeś słyszeć muzykę. Dzięki związkowi z twoim Patrzącym. Kiedy zadamy ci wystarczająco silny ból w bardzo krótkim czasie, to coś wróci do ciebie jak ćma do ognia.

Nie podobały mi się jego słowa i zdałem sobie sprawę, że nasza rozmowa szybko wymyka się spod kontroli, lecz w samą porę przypomniałem sobie, że mam pistolet. Wcelowałem go w starca i wyprostowałem się, drżąc na całym ciele.

– Oddajcie mi dzieci! – zawołałem.

Nie wydawał się zaniepokojony widokiem pistoletu wymierzonego w swój pępek, co wydało mi się przesadną pewnością siebie. Nosił na pasku od spodni duży nóż o złowieszczym wyglądzie, lecz po niego nie sięgnął.

– Dzieci to już nie twoja sprawa – rzekł. – W tej chwili należą do Molocha. Moloch lubi smak dzieci.

– Gdzie są? – spytałem.

Machnął lekceważąco ręką.

– Tutaj, na Toro Key, ale nie zdążysz przerwać rytuału.

Wyspa Toro Key znajduje się daleko od lądu i jest w całości terenem prywatnym. Chociaż przyjemnie się dowiedzieć, gdzie człowiek się znajduje, tym razem pojawiło się wiele niemiłych pytań – na przykład gdzie są Cody i Astor czy jak przeciwdziałać szybkiemu zakończeniu się tego, co uważam za życie?

– Chyba zabiorę dzieci i wrócimy do domu, jeśli nie masz nic przeciwko temu – rzekłem i poruszyłem lufą pistoletu, by zrozumiał, o co chodzi.

Nawet nie drgnął. Popatrzył na mnie w milczeniu i niemal zobaczyłem ogromne czarne skrzydła, które zatrzepotały w jego oczach. Zanim zdążyłem nacisnąć spust, odetchnąć lub mrugnąć, warkot bębnow zaczął narastać, łącząc się z dźwiękami, które już się we mnie rozlegały. Usłyszałem rogi, a później chór głosów, który poprowadził mnie do szczęścia. Zastygłem w bezruchu.

Widziałem normalnie, pozostałe zmysły również funkcjonowały bez zakłóceń, lecz słyszałem tylko muzykę i mogłem jedynie spełniać jej polecenia. Mówiła, że za drzwiami czeka prawdziwe szczęście. Kazała mi iść i korzystać z niego, napełnić dłonie i serce

wieczystą radością, która będzie trwać do końca świata. Ujrzałem, że się obracam w stronę drzwi, i nogi poniosły mnie ku szczęśliwemu przeznaczeniu.

Drzwi się otworzyły, gdy do nich podszedłem, i do pokoju wszedł profesor Wilkins. On także miał pistolet. Ledwo na mnie zerknął.

– Jesteśmy gotowi.

Jego słowa utonęły w narastającym chórze i ochoczo podążyłem ku drzwiom.

Gdzieś w głębi rozległ się słaby, piskliwy głos Dextera, który krzyknął, że nie mogę tego robić, i domagał się zmiany kierunku. Ale mówił bardzo cicho, a muzyka była donośna, potężniejsza niż wszystko w nieskończenie cudownym świecie, toteż nie ulegało wątpliwości, co zrobić.

Ruszyłem ku drzwiom w takt wszechobecnej muzyki. Zdawałem sobie niejasno sprawę, że stary człowiek idzie wraz ze mną, lecz w gruncie rzeczy w ogóle mnie to nie interesowało, podobnie jak wszystko inne. Ciągłe trzymałem w ręku pistolet – nie marnowali czasu na odbieranie mi go i mnie nie przyszło do głowy go użyć. Chciałem tylko podążać za muzyką.

Stary człowiek okrążył mnie i otworzył drzwi. Wszedłem na zewnątrz, poczułem na twarzy gorący podmuch i ujrzałem boga, źródło



muzyki, źródło wszystkiego, wielką, cudowną fontannę ekstazy z rogatym łbem byka. Wznosił się nad wszystkim; ogromna głowa z brązu znajdowała się na wysokości siedmiu i pół metra, potężne ramiona były wyciągnięte w moją stronę, a w brzuchu płonął wspaniały, gorący ogień. Ogarnęła mnie radość i ruszyłem w stronę posągu, prawie nie widząc garstki ludzi, którzy stali i patrzyli; była wśród nich Astor. Gdy mnie zobaczyła, jej oczy się rozszerzyły; poruszyła ustami, lecz nie usłyszałem słów.

Mikroskopijny Dexter krzyczał głośniej, lecz tylko na tyle głośno, by można go było usłyszeć. Nie zwracałem na niego uwagi. W dalszym ciągu kroczyłem w stronę boga, patrząc na ogień płonący w jego brzuchu, obserwując płomienie tańczące na wietrze, który nas owiewał. Podszedłem bardzo blisko do rozgrzanego pieca, zatrzymałem się i czekałem. Nie miałem pojęcia, na co czekam, ale rozumiałem, że coś się zbliża i zabierze mnie do cudownej wieczności, toteż czekałem.

Nagle zobaczyłem Starzaka, który trzymał za rękę Cody'ego. Przyciągnął go do nas, a tymczasem Astor szarpała się z pilnującym ją strażnikiem, usiłując się wyrwać. Nie miało to żadnego znaczenia, ponieważ był z nami bóg i jego ramiona się opuszczały – rozłożył je, by

mnie pochwycić w ciepłe, wspaniałe objęcia. Zadygotałem z rozkoszy, nie słysząc już piskliwych, bezsensownych protestów Dextera, nie słysząc nic oprócz głosu boga wołającego poprzez muzykę.

Wiatr podsycił ogień, a Astor wpadła na mnie, aż się zachwiałem i uderzyłem w bok posągu, rozgrzany od wielkiego ognia płonącego w brzuchu. Wyprostowałem się, przez chwilę zirytowany, i znów obserwowałem cud polegający na tym, że bóg opuszcza ramiona. Strażnik pchnął Astor, by dołączyła do mnie w objęciach z brązu, a później poczułem spaleniznę i ostry ból w nogach. Popatrzyłem w dół i zobaczyłem, że palą mi się spodnie.

Ból wywołany przez ogień zaatakował setki tysięcy moich komórek nerwowych, które wydały z siebie straszliwy okrzyk, i natychmiast się ocknąłem. Muzyka stała się po prostu hałaśliwym jazgotem płynącym z głośników, a obok mnie stali Cody i Astor, którzy znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Miałem wrażenie, że w tamie pojawił się otwór, przez który wylał się z powrotem Dexter. Odwróciłem się w stronę strażnika i odepchnąłem go od Astor. Spojrzał na mnie ze zdumieniem i przewrócił się na ziemię; w chwili upadku chwycił mnie za rękę i pociągnął za sobą. Na

szczęście puścił Astor i wyleciał mu z dłoni nóż, który poszybował w moim kierunku. Podniosłem go i wbiłem aż po rękojeść w splot słoneczny mężczyzny.

Później ból stał się silniejszy i szybko skupiłem się na gaszeniu płonących spodni – tarzałem się po ziemi i uderzałem rękami w swoje nogi, aż płomienie znikły. Ugaszenie ognia było rzeczą pozytywną, lecz zajęło kilkanaście sekund, co dało Starzakowi i Wilkinsowi czas, by rzucić się w moją stronę. Chwyciłem pistolet leżący na ziemi i wstałem, by stawić im czoła.

W dawnych czasach Harry nauczył mnie strzelać. Niemal słyszałem jego głos, gdy przyjąłem pozycję strzelecką, wstrzymałem oddech i spokojnie pociągnąłem za spust. Mierz w korpus, strzel dwukrotnie. Starzak runął na ziemię. Teraz celuj w Wilkinsa i zrób to samo. Na ziemi leżały dwa martwe ciała; pozostali widzowie rozbiegli się, by się ukryć, a ja stałem obok boga. Byłem sam, muzyka ucichła i słychać było tylko wiatr. Odwróciłem się, by zobaczyć, co się dzieje.

Stary człowiek chwycił Astor i trzymał ją za szyję dużo mocniej, niż wydawało się możliwe przy jego kruchej budowie. Pchnął ją w stronę pieca.

– Rzuć pistolet albo ją spalę! – rzekł.

Nie widziałem powodu, by wątpić, że spełni obietnicę, i nie miałem pojęcia, jak go powstrzymać. Wszyscy uczestnicy ceremonii uciekli; w pobliżu leżały trupy Starzaka i Wilkinsa.

– Skąd mam wiedzieć, że i tak nie wrzucisz jej do ognia, mimo że odłożę pistolet? – spytałem, mając nadzieję, że moje słowa brzmią rozsądnie.

– Nie jestem mordercą! – warknął i poczułem ukłucie bólu. – Trzeba to zrobić porządnie, bo inaczej to zwykłe zabójstwo!

– Nie jestem pewien, czy potrafię dostrzec różnicę – odpowiedziałem.

– Nie możesz jej zauważyć. Jesteś aberracją! – rzucił.

– Skąd mam pewność, że i tak nas nie zabijesz? – spytałem.

– To ciebie muszę cisnąć w ogień! – zawołał. – Odłóż pistolet, to ocalisz dziewczynkę!

– Nie brzmi to szczególnie przekonująco – zauważyłem, próbując grać na zwłokę, mając nadzieję, że coś się stanie.

– Nie muszę mówić przekonująco! – odparł. – To nie pat; na wyspie wciąż są nasi ludzie i wkrótce wrócą. Nie zastrzelisz wszystkich. I ciągle jest tu bóg! Ale skoro nie jesteś przekonany, może kilka razy ciachnę nożem

twoją dziewczynkę, by cię przekonała jej krew?!  
– Wyciągnął rękę w stronę biodra, nic nie znalazł i zmarszczył brwi. – Mój nóż... – rzekł i wyraz zaskoczenia widoczny na jego twarzy przekształcił się w ogromne zdumienie. Patrzył na mnie w milczeniu z szeroko otwartymi ustami, jakby miał zamiar zaśpiewać arię operową.

A potem osunął się na kolana, zmarszczył czoło i upadł na twarz. W jego plecach tkwił nóż i zobaczyłem stojącego za nim Cody'ego. Uśmiechnął się lekko, spoglądając na upadającego starca, po czym popatrzył na mnie.

– Mówiłem, że jestem gotowy – powiedział.

W ostatniej chwili huragan skręcił na północ i skończyło się na ulewnym deszczu oraz lekkim wietrze. Najgorsze uderzenie nawałnicy nastąpiło daleko na północ od Toro Key. Cody, Astor i ja spędziliśmy resztę nocy w eleganckim pokoju, ustawivszy kanapę naprzeciwko jednych drzwi i wielki fotel klubowy przed drugimi. Znalazłem aparat telefoniczny i zadzwoniłem do Debs, a później zrobiłem za barkiem niewielkie posłanie z poduszek, uznawszy, że w razie potrzeby gruby mahoń zapewni dodatkową osłonę.

Okazało się to zbędne. Przez całą noc siedziałem z pistoletem w ręku, obserwując drzwi i śpiące dzieci. Ponieważ nikt nas nie niepokoił, musiałem zająć czymś umysł, więc myślałem.

Zastanawiałem się, co powiedzieć Cody'emu, kiedy się obudzi. Pchnięcie nożem starego człowieka wszystko zmieniło. Nieważne, co myślał – nie był jeszcze gotowy. Sprawił, że wszystko stało się trudniejsze. Czekala go długa, kręta droga i nie wiedziałem, czy potrafię mu

pomóc ją przebyć. Nie byłem Harrym; nigdy nie stanę się kimś podobnym do Harry'ego. Kierowała nim miłość, a mój system operacyjny opierał się na czymś zupełnie innym.

A jaki jest teraz? Czym jest Dexter bez Ciemności?

Jak mogę żyć, a co dopiero uczyć dzieci, jak żyć, mając w sobie tylko szarą pustkę bez dna? Stary człowiek powiedział, że Pasażer wróci, jeśli poczuję dostatecznie silny ból. Czy musiałem zadawać sobie tortury fizyczne, by go wezwać? Jak to zrobić? Przed chwilą stałem w płomieniach i patrzyłem, jak Astor o mało nie została wrzucona do ognia, lecz to nie wystarczyło, by zechciał powrócić.

Kiedy o świcie pojawiła się Deborah, oddział antyterrorystyczny i Chutsky, w dalszym ciągu nie znałem odpowiedzi na te pytania. Nie znaleźli na wyspie nikogo; nie mieliśmy żadnych wskazówek, co się stało z ludźmi, którzy tam przebywali. Zwłoki starego człowieka, Wilkinsa i Starzaka trafiły do plastikowych worków, po czym wgramoliliśmy się do dużego helikoptera straży przybrzeżnej, by polecieć na stały ląd. Cody i Astor byli, rzecz jasna, zachwyceni, choć świetnie udawali, że nie robi to na nich żadnego wrażenia. Rita ścisnęła ich i płakała, po czym

wszyscy uznali, że dobrze wykonali swoją pracę, i życie potoczyło się dalej.

\* \* \*

Po prostu – życie potoczyło się dalej. Nie zdarzyło się nic nowego, nie rozwiązałem żadnego ze swoich problemów i nie pojawiły się żadne nowe wskazówki. Znowu musiałem stawić czoła zwykłej, agresywnie banalnej egzystencji, która dręczyła mnie znacznie bardziej niż jakikolwiek ból fizyczny. Może stary człowiek miał rację – może byłem aberracją? Teraz już nawet nie aberracją, tylko czymś zupełnie bezwartościowym.

Opuściły mnie wszystkie siły. Czułem się pusty w środku, kompletnie wykończony, jakbym zrobił wszystko, co miałem do wykonania na świecie, i stał się pustą skorupą, która może tylko żyć wspomnieniami.

W dalszym ciągu chciałem zrozumieć, co się stało z Mrocznym Pasażerem; jego nieobecność dręczyła mnie i nie umiałem sobie odpowiedzieć na pytanie, dokąd odszedł. Pewnie nigdy się nie dowiem. Ogarnęło mnie takie odrętwienie, że nie mogłem odczuwać dostatecznie silnego bólu, by Mroczny Pasażer zdecydował się wrócić.



Wszyscy byliśmy bezpieczni; źli ludzie nie żyli albo uciekli, lecz miałem dziwne wrażenie, że to wszystko jakoś mnie nie dotyczy. Jeśli brzmi to egoistycznie, mogę tylko powiedzieć, że zawsze interesowałem się tylko sobą i nigdy tego nie ukrywałem – chyba że ktoś mnie obserwował. Teraz, naturalnie, będę musiał się nauczyć szczerze odgrywać narzuconą mi rolę – myśl ta napełniła mnie lekką, znużoną odrazą, od której nie mogłem się uwolnić.

To uczucie prześladowało mnie przez kilka następnych dni, aż wreszcie tak wtopiło się w tło, że zacząłem je uważać za stały element swojego nowego życia. Nieszczęśliwy Dexter. Nauczę się chodzić zgarbiony, zacznę ubierać się na szaro, a dzieci będą mi robić złośliwe figle, uważając mnie za ponurego nudziarza. W końcu, jako żaloszny starzec, umrę – nie wzbudzi to niczyjego zainteresowania i wszyscy szybko o mnie zapomną.

Życie toczyło się dalej. Dni zmieniały się w tygodnie. Vince Masuoka gorączkowo zajmował się przygotowaniem do wesela – znalazł nowego kuchmistrza, zabrał mnie do krawca na przymiarkę smokingu i, gdy nadszedł dzień ślubu, zawiózł mnie punktualnie do zarośniętego kościoła w Coconut Grove.

Stałem odrętwiały przed ołtarzem, słuchając organów, i cierpliwie czekałem, aż Rita nadejdzie nawą i zawrze ze mną dozgonny związek małżeński. Była to bardzo ładna scena, lecz niestety nie byłem w stanie jej docenić. Kościół wypełniało mnóstwo elegancko ubranych ludzi – nie miałem nawet pojęcia, że Rita ma tylu przyjaciół! Może ja również powinienem zdobyć kilku, by mnie wspierali w moim szarym, bezsensownym życiu. Ołtarz tonął w kwiatach, a Vince stał obok mnie; pocił się ze zdenerwowania i co kilka sekund konwulsyjnie wycierał ręce w nogawki spodni.

Nagle organy zagrzały głośnie, po czym wszyscy wstali i obejrzel się za siebie. Z przodu szła Astor w pięknej białej sukience, z włosami zakręconymi w loki francuskie, z ogromnym koszem kwiatów w dłoniach. Za nią kroczył Cody, ubrany w smoking, z przylizanymi włosami, niosąc niewielką aksamitną poduszkę, na której leżały obrączki.

Rita podążała na końcu. Kiedy zobaczyłem ją i dzieci, miałem wrażenie, że zbliża się do mnie cała ponura męka mojego nowego życia złożonego z wywiadówek, rowerów, hipotek, zebrzań społecznej straży osiedlowej, zbiórek harcerskich, piłki nożnej, nowych butów i aparatów ortodontycznych. Czekala mnie

martwa, bezbarwna, nędzna egzystencja i poczułem dojmujący ból, prawie niemożliwy do wytrzymania. W całym swoim życiu nie znalazłem jeszcze tak straszliwej tortury, męka była tak potworna, że zamknąłem oczy...

I nagle coś się poruszyło w moim umyśle i poczułem przypływ zadowolenia. Miałem wrażenie, że wszystko jest takie, jakie powinno być, teraz, na zawsze, po wsze czasy – że nic nigdy nie zerwie więzi, jaka się przed chwilą narodziła.

Zdziwiony własnym przekonaniem, że wszystko jest w porządku, otworzyłem oczy i popatrzyłem na Cody'ego i Astor, którzy wchodzili po schodkach, by stanąć przy mnie przed ołtarzem. Astor wydawała się szczęśliwa, wręcz promieniała. Nigdy wcześniej jej takiej nie widziałem, a to wzmocniło we mnie poczucie, że postępuję słusznie. Był również Cody, stawiający z wielką godnością drobne kroki, bardzo uroczysty w powściągliwy sposób. Zauważyłem, że porusza wargami, jakby chciał mi przekazać jakąś sekretną wiadomość; popatrzyłem nań pytająco. Jego usta znowu się poruszyły i pochyliłem lekko głowę, by go usłyszeć.

– Twój cień wrócił! – szepnął.

Wyprostowałem się powoli i zamknąłem na chwilę oczy. Dostatecznie długą, by usłyszeć

znajomy syk i krótki śmiech.

Pasażer wrócił. Witaj w domu!

Otworzyłem oczy i znów popatrzyłem na świat, który stał się taki, jaki być powinien. To, że otaczają mnie kwiaty, światło i muzyka, nie miało żadnego znaczenia. Rita wchodząca po stopniach, by się ze mną na zawsze połączyć, również przestała mnie interesować. Świat stał się normalny, prawidłowy – przekształcił się w miejsce, gdzie księżyc śpiewa hymny, gdzie w mroku rozlegają się harmonijne akordy, przerywane kontrapunktem ostrej stali i radością łowów.

Szarość zniknęła. Życie powróciło do miejsca, gdzie w ciemności lśnią ostrza, gdzie Dexter maskuje się w świetle dnia, by wyskoczyć z mroku i być tym, czym ma być: Dexterem Mścicielem, Mrocznym Pomocnikiem istoty, która znów w nim zamieszkała.

I kiedy Rita stanęła obok mnie, na mojej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Trzymaliśmy się za ręce, wypowiadając piękne słowa, a uśmiech nie zniknął, bo znów mogłem to obiecać, teraz i na zawsze.

Tak, przysięgam. Tak, obiecuję.

Wkrótce to zrobię.

# Epilog

*Wysoko w górze, nad bezcelową krzątaniną miasta, TO obserwowało. Czekало. Miało mnóstwo rzeczy do oglądania, jak zawsze, i nie śpieszyło się. Wcześniej robiło to wiele razy i znowu będzie to robić, wiecznie, bez końca. Istniało właśnie w tym celu. Teraz należało rozważyć wiele różnych możliwości; dopóki nie stanie się jasne, która z nich jest właściwa. TO nie miało powodu robić nic innego. Później rozpocznie wszystko od początku – zbierze wiernych, da im olśniewający cud i znów poczuje oszołomienie, radość i narastającą słusność ich bólu.*

*Wszystko znowu się powtórzy. To tylko kwestia oczekiwania na właściwy moment.*

*A TO ma czas do końca świata.*



CIERPIENIA  
DEXTERA



JEFF LINDSAY